

# Z zimną krwią

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.43

**Jonathan Kellerman**

**Z zimną krwią**

*(A Cold Heart)*

*Przełożył Przemysław Bieliński*

*Ludziom muzyki:*

*Larry'emu Brownowi, Robowi Carlsonowi, Benowi Elderowi,  
Wayne'owi Griffithowi, George'owi Gruhnowi, Johnowi Monteleone,  
Greggowi Minerowi, Johnowi Sihie, Tomowi Von Hoosemu,*

*Larry'emu Wexerowi*

*oraz pamięci Michaela Katza*

Świadek pamięta zajście następująco:

Niedługo po drugiej w nocy Baby Boy Lee wychodzi z Jamy Węży tylnym wyjściem pożarowym, prowadzącym do zaułka. W lampie nad drzwiami jest miejsce na dwie żarówki, ale jednej brakuje, więc światło na zaśmieconym asfalcie jest słabe i jego ukośny krąg przypomina metrowej średnicy dysk koloru musztardy. To, czy brak jednej żarówki jest wynikiem czyjegoś zamierzonego działania, pozostaje w sferze przypuszczeń.

Baby Boy ma właśnie drugą i ostatnią przerwę tego wieczoru. Jego kontrakt z klubem opiewa na dwa godzinne sety. Lee i jego zespół przeciągnęli pierwszy set o dwadzieścia dwie minuty – Baby Boy rozpedził się z solówkami na gitarze i harmonijce. Publiczność, sto dwadzieścia cztery osoby wypełniające niemal cały klub, jest wniebowzięta. Jama nie dorasta do pięć miejscom, w których Baby Boy grywał za swoich najlepszych dni, ale on też wydaje się zadowolony.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio stał na scenie i grał porządnego bluesa. Kilka wybranych z publiczności osób, zapytanych o zdanie, odpowiada zgodnie – heros gitary grał tego wieczora jak nigdy dotąd.

Baby Boy podobno wyzwolił się wreszcie ze szponów swoich licznych nałogów, jednego jednak nie udało mu się pokonać: nikotyny. Pali trzy paczki koolsów dziennie, zaciąga się mocno na scenie, a na lakierze jego gitary wyraźnie widać czarne, okrągłe ślady przypaleń.

Dziś wieczorem jednak Baby Boy był niezwykle skupiony, rzadko tylko wyjmował zapalonego papierosa z miejsca, w które zazwyczaj go wtyka – pod trzy najwyższe struny, zaraz za siodełkiem swojego telecastera 62.

Prawdopodobnie więc to głód nikotynowy wypędza go ze sceny po zagranie ostatniego dźwięku. Baby Boy wychodzi, nie odezawszy się ani słowem do zespołu czy kogokolwiek innego. Drzwi zatraskują się za nim, ale chyba nie zwraca na to uwagi.

Pięćdziesiąty kools tego dnia zostaje przypalony, zanim Baby Boy wchodzi do zaułka. Bluesman wdycha mentolowy dym, przechodząc przez krąg brudnego światła.

Świadek jest pewien, że dostrzegł twarz Baby Boya i że on się pocił. Jeśli to prawda, pocenie się może nie mieć nic wspólnego z poczuciem zagrożenia czy niepokojem, lecz wynikać z tuszy muzyka i kalorii spalonych na scenie: przez osiemdziesiąt trzy minuty Lee skakał, wył i zawodził, pieszcząc swoją gitarę, a pod koniec setu rozpalając publikę do białości ognistym wykonaniem swojej sztandarowej piosenki, prostego bluesa w tonacji B, w której głos przechodzi stopniowo od niezrozumiałego mamrotania do umęczonego wycia.

*Są takie, co rozpieszczają,*

*Są takie, co cię biorą pod but,*

*Ale mi się trafiła*

*Taka, co ma serce jak lód.*

*Jak lód*

*Serce jak lód*

*Moja mała mnie rozpala, choć to zimna żmija*

*Jak lód*

*Serce jak lód*

*Moja mała moją duszą zabija.*

Od tej chwili szczegóły zeznania stają się niewiarygodne. Świadkiem jest chory na zapalenie wątroby bezdomny mężczyzna, Linus Leopold Brophy, lat trzydzieści dziewięć, choć wygląda na sześćdziesiąt. Nie interesuje się bluesem ani żadną inną muzyką, a w zaułku znalazł się dlatego, że cały wieczór pił tanie wino – stojący pięć metrów od tylnych drzwi Jamy Węży kontener na śmieci to dobre miejsce, by odespać delirium tremens. Brophy został później poddany testowi na obecność alkoholu we krwi. Stwierdzono, że jego poziom przekracza trzykrotnie ilość dopuszczalną dla kierowców, ale sam Brophy utrzymywał, że jest „lekkowstawiony”.

Brophy twierdzi, że drzemał, ale obudził go odgłos otwieranych drzwi i zobaczył wychodzącego z nich potężnego faceta, który zniknął w ciemnościach. Brophy mówi, że widział żarzącego się papierosa, Jak w Halloween, wiecie – pomarańczowy, taki jasny, rozumiecie?”, i przyznaje, że miał ochotę wyżebrać od palącego jakiegoś pieniądza. „Bo facet jest gruby, to myślę sobie: ma co jeść, bez dwóch zdań, może coś rzuci, no nie?”

Linus Brophy podnosi się z trudem i idzie w kierunku mężczyzny.

Kilka sekund później to samo robi ktoś jeszcze, nadchodzi z przeciwnej strony – od wlotu zaułka przy Lodi Place. Linus Brophy zatrzymuje się, cofa, siada w ciemnościach przy kontenerze.

Nieznajomy, również słusznej budowy według Brophy’ego, choć nie aż tak wysoki, jak Baby Boy Lee i o połowę szczuplejszy, podchodzi do muzyka i mówi coś, co brzmi „przyjaźnie”. Wypytywany o to dokładnie Brophy utrzymuje, że nie słyszał samej rozmowy, ale upiera się, że toczyła się w przyjaznej atmosferze. „Jakby to byli kumple, rozumiecie? Stali tak, jak kumple”.

Pomarańczowy żar papierosa Baby Boya wędruje od jego ust na wysokość pasa, kiedy muzyk słucha nieznajomego.

Nieznajomy coś mówi, a Baby Boy odpowiada.

Nieznajomy podchodzi blisko Baby Boya. Wygląda to tak, jakby się obejmowali.

Nieznajomy cofa się, rozgląda, odwraca na pięcie i wychodzi z zaułka tą samą drogą, którą przyszedł.

Baby Boy zostaje sam.

Upuszcza papierosa. Pomarańczowe światełko spada na asfalt, w górę strzela kilka iskierek.

Baby Boy chwieje się. Upada.

Linus Brophy gapi się spod kontenera, w końcu zbiera się na odwagę i podchodzi do muzyka. Klęka, mówi: „Hej, człowieku”. Nie słyszy odpowiedzi, wyciąga więc rękę i dotyka brzucha Baby Boya. Czuje wilgoć i gwałtownie cofa rękę.

W młodości Brophy był niezłym awanturnikiem. Połowę życia spędził w więzieniach stanowych i okręgowych, widział różne rzeczy i różne rzeczy robił. Wie, jak pachnie krew i jaka jest w dotyku.

Zrywa się na nogi, skacze do drzwi Jamy Węży i próbuje je otworzyć, ale są zatrzaśnięte. Łomocze, lecz nikt nie otwiera.

Wybrać najkrótszą drogę z zaułka oznacza pójść za nieznajomym na Lodi Place, skręcić na północ do Fountain i znaleźć kogoś, kto będzie chciał słuchać.

Brophy już dwukrotnie tego wieczora zmoczył spodnie – raz, kiedy spał pijany, drugi raz, kiedy dotknął krwi Baby Boya. Ogarnia go strach – potykając się, biegnie w przeciwną stronę do drugiego wylotu zaułka. Na ulicy o tej porze nikogo nie ma, więc Brophy dociera do całodobowego sklepu monopolowego na rogu Fountain i El Centro.

W środku zaczyna krzyczeć do libańskiego sprzedawcy, siedzącego z książką za pleksiglasową szybą tego samego, który godzinę wcześniej sprzedał mu trzy butelki czerwonego feniksa. Brophy macha rękami, próbuje opowiedzieć, co właśnie widział. Sprzedawca traktuje go dokładnie tak, jak można by się spodziewać – jak bełkoczącego lumpa – i każe mu się wynosić.

Kiedy Brophy zaczyna dobijać się do szyby, sprzedawca zastanawia się, czy nie wyjąć spod lady nabijanego gwoździami kija baseballowego. Śpiący i zmęczony dzwoni jednak pod numer 911.

Brophy wychodzi ze sklepu i zaczyna krążyć po Fountain Avenue. Kiedy przyjeżdża patrolowiec z Hollywood Division, posterunkowi Keith Montez i Cathy Ruggles od razu stwierdzają że ich problem to właśnie Brophy, i natychmiast zakładają mu kajdanki.

Brophy’emu jakoś udaje się z nimi porozumieć. Policjanci podjeżdżają do wlotu zaułka. Mocne światło standardowych policyjnych latarek ukazuje zwłoki Baby Boya Lee.

Potężny mężczyzna leży z otwartymi ustami, źrenice uciekły mu pod powieki. Jego bananowo-żółta koszulka ze Steviem Rayem Vaughanem jest cała czerwona, na asfalcie pod ciałem zebrała się już kałuża krwi. Później okazuje się, że zabójca wypatroszył go klasycznym pchnięciem ulicznego

nożownika – ciosem pod mostek i szarpnięciem w górę, które rozdarło przeponę i wbiło się w prawy przedsionek serca Baby Boya.

Muzykowi nie można już pomóc i gliniarze nawet nie próbują.

Petra Connor dopiero co wyszła z fazy „żadnych facetów” i wiedziała, że kostium to był głupi pomysł.

Trzymiesięczna faza „żadnych facetów”. Petra uważała, że zasługuje na więcej oddechu, ale jej przebacząca natura wzięła górę i teraz mogła już patrzeć na nosicieli chromosomu Y, nie czując przemożnej chęci prania ich po pysku.

Była jedyną kobietą detektywem pracującą na nocnej zmianie w Hollywood Division, a udawanie sympatii do kogoś przyprawiało ją o ból mięśni twarzy.

Pierwszy miesiąc fazy spędziła przekonując samą siebie, że to nie jej wina, iż, choć nie miała jeszcze trzydziestu lat, już dwa razy przegrała w budowaniu poważnego związku.

Rozdział pierwszy: mąż gnida. Rozdział drugi, jeszcze gorszy: chłopak, który wrócił do byłej żony.

Przestała już nienawidzić Rona Banksa, mimo że to on zaczął całą sprawę: chodził za nią i nagabywał, nie narzucając się zbyt, ale i nie dając się zniechęcić. Podkopywał mury jej fortecy – był uprzejmy, czuły, delikatny w łóżku, po prostu superfacet.

I jak prawie wszyscy superfaceci był w duchu słaby.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Ron postąpił słusznie. Dla siebie samego. Dla swoich córek.

Petrę przyciągnęło do niego coś jeszcze – był wspaniałym ojcem. Wychowywał Alicie i Beę, podczas gdy jego eks, hiszpańska piękność, trenowała konie na Majorce. Dwa lata po rozwodzie można by pomyśleć, że już po sprawie.

Słodkie dziewczynki, sześć i siedem lat. Petra pozwoliła sobie przywiązać się do nich. Udawała...

Przeszła histerektomię w zadziwiająco młodym wieku.

Pod koniec, kiedy pani Caballera zaczęła porządnie cisnąć – dzwoniła do Rona dziesięć razy dziennie, mówiła mu świństwa, przysyłała e-mailem swoje fotki w bikini, błagała – Ron był już wrakiem. W końcu sama Petra popchnęła go we właściwym kierunku; wziął urlop z pracy w wydziale zabójstw biura szeryfa i poleciał z dziewczynkami do Hiszpanii, żeby wszystko sobie poukładać.

Petrze Hiszpania zawsze kojarzyła się ze sztuką. Prado, Degas, Velasquez, Goya. Nigdy tam nie była. Nigdy nie była za granicą.

Teraz Hiszpania oznaczała koniec.

Ron zadzwonił do niej tylko raz, cały zapłakany. „Tak mi przykro, kochanie, tak bardzo przykro, ale dziewczynki są takie szczęśliwe, nie zdawałem sobie sprawy, jakie były nieszczęśliwe...”



Petra zawsze myślała, że z dziewczynkami wszystko jest w porządku, ale tak naprawdę, co mogła wiedzieć o dzieciach, ona, stara panna przed trzydziestką.

Ron został w Hiszpanii na całe lato i przysłał jej prezent na pocieszenie – głupią, małą figurkę tancerki flamenco z kastanietami i całą resztą. Petra odłamała jej ręce i nogi i wyrzuciła do śmieci.

Stu Bishop, jej wieloletni partner, też wystawił ją do wiatru. Zrezygnował z dobrze zapowiadającej się kariery, żeby zaopiekować się chorą żoną. Ach, te małżeńskie obowiązki.

Wkrótce potem Petra przeszła na nocną zmianę, bo i tak nie mogła spać, a poza tym pasował jej zatruty klimat, wyczuwalny w nocnym powietrzu Hollywood.

Znajdowała pocieszenie w kłopotach ludzi, którzy mieli jeszcze gorzej niż ona.

W ciągu dziewięćdziesięciu dni fazy „żadnych facetów” trafiły się jej trzy morderstwa. Pracowała nad nimi w pojedynkę, bo były kłopoty z kadrami, i nie protestowała, kiedy wcześniej komendant zastrzegł taką możliwość. Do dwóch doszło we wschodnim Hollywood – zastrzelony sprzedawca w monopolowym i zadźganie nożem w latynoskim klubie. Wszędzie pełno świadków, obie sprawy zamknięte w ciągu tygodnia.

Trzecie było trudniejsze – osiemdziesięcioletnia kobieta, Elsa Bragoon, została zatłuczona tępym narzędziem w swoim mieszkaniu na Los Feliz Boulevard.

Ta sprawa zajęła jej większość tych dziewięćdziesięciu dni – czas ten spędziła głównie sprawdzając fałszywe tropy. Elsa była alkoholiczką o irytującym usposobieniu, wyklócała się o byle co przy każdej okazji. Niedawno wykupiła polisę ubezpieczeniową o wartości stu tysięcy dolarów, a jej beneficjentem był syn nierób, który stracił właśnie na giełdzie prawie cały swój majątek.

Petra rozwiązała w końcu zagadkę, sprawdzając drobiazgowo wszystkich mieszkańców kamienicy. Stróż wynajęty przez jej właściciela był notowany za ekshibicjonizm, napaść na tle seksualnym i włamanie, a kiedy Petra odwiedziła go w jego zapuszczonej kawalerce w centrum, unikał jej wzroku jak ognia. Umiejętne przesłuchanie, przeprowadzone przez detektywa drugiego stopnia Connor, pozwoliło przyskrzynić gnojka.

Trzy na trzy. Procent rozwiązanych przez Petrę spraw zaczynał zbliżać się do wyników mistrza – Mila Sturgisa z West L.A. – i wiedziała, że wielkimi krokami zbliża się do awansu na detektywa trzeciego stopnia, może nawet jeszcze w tym roku. Na pewno wzbudzi to zawiść kolegów.

I dobrze. Mężczyźni to...

Nie, już wystarczy. Mężczyźni to nasi biologiczni partnerzy.

O, Boże...

Dziewięćdziesiątego dnia uznała, że zgorzknienie wyzerają od środka, i postanowiła pozytywnie podejść do życia. Po raz pierwszy od kilku miesięcy wróciła do sztalug, spróbowała namalować coś

farbami olejnymi i doszła do wniosku, że potrzebuje bardziej jaskrawych kolorów. Przerzuciła się więc na rysunek i zapełniła kilka arkuszy bristolu ostrymi, realistycznymi twarzami.

Twarzami dzieci. Oddanymi dobrze, ale tandetnie. Podarła rysunki na kawałki i wybrała się na zakupy.

Potrzebowała kolorów – jeden rzut oka do szafy uświadomił to jej aż nazbyt boleśnie.

Jej codzienny strój składał się z czarnych dzinsów, czarnej koszulki i czarnych butów. Do pracy zakładała ciemne kostiumy: tuzin czarnych, dwa granatowe, trzy czekoladowo-brązowe, jeden grafitowy. Wszystkie szyte na miarę, markowe i kupione na wyprzedazach.

Pojechała ze swojego mieszkania w Wilshire District do dużego sklepu Neiman Marcus w Beverly Hills i kupiła sobie przeceniony kostium Vestimenty z miękkiej wełny.

Klapy podszyte jedwabiem, ukośna kieszonka na piersi, wyraźnie podkreślone ramiona, spodnie w kant.

Szaroniebieski.

Włożyła go tego samego wieczora. Detektywi patrzyli na nią zdziwieni. Jeden zakrył dłonią oczy, jakby raziała go bijąca od niej jasność. Inny powiedział: „Nieźle, Petra”. Kilku zagwizdało, a ona wyszczerzyła się do nich w uśmiechu.

Zanim ktokolwiek zdążył rzucić jakąś złośliwą uwagę, rozdzwoniły się telefony i cały pokój wypełniła intensywna praca nad śmiercią. Petra usiadła za swoim metalowym biurkiem w kącie przy szafkach, przerzuciła papiery i pogładziła szaroniebieski mankiet marynarki. Wiedziała, co chłopaki właśnie myślą.

Morticia zmienia styl.

Smoczyca wychodzi na światło.

Robiła dość grobowe wrażenie, ale wynikało to w dużej mierze z jej budowy. Miała ostre rysy twarzy, skórę barwy kości słoniowej, gęste, proste, smolście czarne włosy przycięte równo nad ramionami i ciemnobrązowe oczy o przeszywającym spojrzeniu.

Łagodność wyzwałały w niej dzieci, ale teraz Alicia i Bea zniknęły z jej życia, a Billy Straight – chłopiec, którego poznała, pracując nad pewną sprawą, i którego polubiła – miał już prawie czternaście lat i znalazł sobie dziewczynę. Już do niej nie dzwonił – ostatnim razem, kiedy Petra zadzwoniła do niego, więcej milczeli, niż rozmawiali.

Uważała więc, że są powody, by uchodziła za Smoczycę.

Biuro prokuratora okręgowego przysłało jej faksem kilka pytań w sprawie zabójstwa Elsy Bragoon. Nawet świeżo upieczony zastępca prokuratora wiedziałby to wszystko, gdyby tylko przeczytał akta, mimo to jednak odesłała odpowiedzi.

Potem zadzwonił jej telefon, Montez, policjant z patrolu, powiadomił ją o zabójstwie ostrym narzędziem na Fountain przy El Centro i Petra natychmiast wybiegła z komisariatu.

Już na miejscu rozmówiła się z asystentem koronera. Powiedział jej, że kostnica jest trochę zapchana i że na wyniki autopsji trzeba będzie niestety poczekać, ale przyczyna śmierci nie wydaje się bardzo tajemnicza.

Pojedyncza rana kłuta, wykrwawienie. Krew zebrała się pod denatem, oznaczając miejsce zgonu.

Spojrzała na prawo jazdy ofiary i zrobiło jej się smutno, bo po raz pierwszy, odkąd została detektywem, trafiła na znajome nazwisko. Nigdy nie interesowała się specjalnie bluesem, ale nie trzeba się nim interesować, by wiedzieć, kim był Edgar Ray Lee. Znany jako Baby Boy.

Prawo jazdy podawało najważniejsze dane: biały mężczyzna, według daty urodzenia lat pięćdziesiąt jeden. Wzrost: sto dziewięćdziesiąt centymetrów, waga: sto trzydzieści kilogramów. Petra pomyślała, że wyglądał na potężniejszego.

Zapisując dane w swoim notesie, usłyszała, jak ktoś – jeden z kierowców z kostnicy – mówi, że facet był bogiem gitary, że jamował z Bloomfieldem, Mayallem, Claptonem, Royem Buchananiem, Steviem Rayem Vaughanem.

Petra odwróciła się i zobaczyła brodatego mężczyznę w kombinezonie, który przyglądał się zwłokom. Miał długie siwe włosy spięte w kucyk i wilgotne oczy.

– Prawdziwy talent – powiedziała.

– Te palce... – westchnął kierowca, rozwijając czarny foliowy worek.

– Gra pan? – spytała Petra.

– Ja brzdąkam. On grał. On był... jego palce to magia. – Przetarł oko dłonią i szarpnął ze złością suwak torby, prawie ją rozrywając. – Gotowa? – spytał.

– Za sekundę. – Petra ukucnęła przy zwłokach, przyjrzała się im jeszcze raz i zapisała szczegóły w notesie.

Żółta koszulka, niebieskie džinsy, ogolona głowa, mała bródka. Oba ramiona niebieskie od tatuaży.

Długowłosy odszedł na bok z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Petra dalej badała zwłoki. Usta Edgara Raya Lee były szeroko otwarte, widziała połamane, zepsute zęby. Cpun? – pomyślała, ale na wytatuowanych ramionach nie zauważyła żadnych śladów po igłach.

Baby Boy nie żył od niespełna godziny, lecz jego twarz nabrała już charakterystycznego, szarzielonego koloru. Sanitariusze z karetki rozerwali mu koszulkę wokół rany, dziesięciocentymetrowego cięcia na brzuchu.

Petra naszkicowała ranę i schowała notatnik do torebki. Odsuwała się właśnie, kiedy stojący za

nią fotograf oznajmił:

– Chcę sprawdzić, czy ustawiłem dobrze światło.

Dał krok do przodu, stracił równowagę i upadł ciężko w kałużę krwi.

Jego aparat upadł na asfalt i zagrzechotał złowieszczo, ale nie tym przejęła się Petra.

Jej spodnie pokryły się czerwonymi kropkami i plamami. Obie nogawki.

Fotograf leżał na ziemi, oszołomiony. Petra nie pomogła mu wstać. Mruknęła pod nosem przekleństwo, aż wszyscy na nią spojrzeli i szybko odeszła.

Sama była sobie winna. Nikt jej nie zmuszał, by nosiła tak jasne ciuchy.

Petra poświęciła się sprawie bez reszty, proceduralne czynności uzupełniała sprawdzaniem wiadomości o Baby Boyu w Internecie. Wkrótce zaczęła mieć wrażenie, że świat ofiary stał się jej własnym, i zastanawiała się, jakie to było uczucie być Edgarem Rayem Lee.

Bluesman pochodził z rodziny z klasy średniej, był jedynym dzieckiem dwojga profesorów z Uniwersytetu Emory w Atlancie. Jego trwająca dziesięć lat nauka gry na wiolonczeli i skrzypcach zakończyła się, kiedy w wyniku młodzieńczego buntu zainteresował się gitarą i wylądował w autobusie do Chicago. Tam odkrył zupełnie nowy styl życia – mieszkał na ulicy i u znajomych, grał z Butterfield Blues Band, Albertem Lee, B.B. Kingiem i każdym innym geniuszem, który akurat był w mieście. Grał coraz lepiej, ale wpadł w nałogi.

Starsi muzycy od razu poznali się na talencie grubego chłopaka, a jeden z nich nadał mu ksywę, która przylgnęła do niego na dobre.

Przez dwadzieścia lat Baby Boy zarabiał na życie jako muzyk sesyjny. Grał też w barach. Składano mu wiele fantastycznych obietnic, z których nic nie wychodziło, nagrywał płyty, które przepadały bez śladu, w końcu z zespołem o nazwie Junior Biscuit nagrał hit, który trafił na listy przebojów. Piosenka *Zimne serce*, napisana, zagrana i zaśpiewana przez niego samego, była przejmującą skargą. Ją właśnie grał na kilka chwil przed śmiercią.

Przebój zajął od razu dziewiętnaste miejsce na liście Billboardu i nie wypadł z tabeli przez wiele miesięcy. Baby Boy kupił sobie dobry samochód, kilkanaście gitar i dom w Nashville. W rok przepuścił wszystkie pieniądze, wracając do starych nałogów – kobiet, wystawnego jedzenia i narkotyków. Potem słuch o nim zaginął.

Jego śmiercią nie zainteresowali się żadni krewni. Oboje rodzice Baby Boya nie żyli, on sam nigdy się nie ożenił ani nie miał dzieci. To sprawiło, że Petra przejęła się jego śmiercią, a widok jego zwłok ciągle miała przed oczami.

Proceduralne czynności polegały na oklejeniu taśmą mieszkania Baby Boya, żeby później osobiście je przeszukać, i przesłuchaniu jego kolegów z zespołu, menedżera, właściciela Jamy Węży, bramkarzy, barmanów i kelnerki oraz kilku gości, którzy plątali się wokół miejsca zbrodni i dali się spisać.

Nikt nie miał pojęcia, kto mógłby chcieć skrzywdzić Baby Boya. Wszyscy go uwielbiali, był wielkim poczciwym dzieckiem, oddałby człowiekowi ostatnią koszulę – więcej, oddałby swoją gitarę.

Zwieńczeniem standardowej procedury była godzina spędzona w ciasnym pokoju przesłuchań z głównym świadkiem, Linusem Brophym.

Kiedy Petra usłyszała, że jest świadek naoczny zdarzenia, nabrała nadziei. Ale gdy porozmawiała

z bezdomnym, zdała sobie sprawę, że jego zeznanie jest właściwie bezwartościowe.

Opis, podany przez Brophy'ego, sprowadzał się do stwierdzenia: wysoki mężczyzna.

Wiek? Nie ma pojęcia.

Rasa? Nie ma pojęcia.

Ubranie? Nie ma pojęcia.

„Było bardzo ciemno, pani detektyw”.

Jakby tego było mało, by zniechęcić Petrę, menel zaczął być namolny, wypytywał ją, czy spotka się z nim ktoś z telewizji. Petra zaczęła się zastanawiać, kiedy bezdomny spróbuje sprzedać komuś scenariusz. Oczyma wyobraźni widziała już nagłówki szmatławców: WIDZIAŁEM, JAK KOSMICI MORDUJĄ BABY BOYA LEE.

Ale szmatławce miały to gdzieś. Bo choć Baby Boy wrócił na scenę, nie był nikim naprawdę sławnym. Minęło osiemnaście lat, odkąd jego piosenka gościła na listach przebojów, a w czasach, w których rock był w telewizji równie popularny jak porno, dla MTV Lee był nikim.

Petra dowiedziała się za to sporo od gapiów. Wszyscy byli młodzi, dość młodzi, by być dziećmi Baby Boya, i wszyscy podziwiali go tylko i wyłącznie za to, że w zeszłym roku nagrał gitary do albumu młodego zespołu Tic 439. Płyta zdobyła platynę i to sprawiło, że Baby Boy spróbował wrócić na scenę.

Petra zastanawiała się, czy zarobił na tym jakieś większe pieniądze – większe pieniądze zawsze były dobrym motywem. Zrzuciła jednak ten trop po rozmowie z menedżerem Lee.

– Nie, Baby nie zrobił się nagle bogaty. Nawet nie wyszedł na swoje. – Były opiekun kariery bluesmana, Jackie Trup, był długowłosą, przygarbioną, ubraną w dzins łasicą. Nie mówił normalnie, tylko mamrotał jak chory na kliniczną depresję.

– Dlaczego nie, proszę pana?

– Bo to było jedno wielkie gówno, ścierna – odparł True. – Te dzieciaki złapały go na gadkę o tym, jakim to jest dla nich idolem, że nic ma drugiego takiego, jak on. I niech pani zgadnie, jak mu zapłacili: podwójną stawkę sesyjną. Próbowałem zdobyć jakiś procent od sprzedaży, ale... – True westchnął i pokręcił głową. – Nie wziąłem nawet swojej działki. Baby potrzebował każdego grosza.

– Szkoda – powiedziała Petra.

– *Szkoda* to tytuł piosenki jego życia.

Petra rozmawiała z Jackiem w jego nędznym mieszkanku w North Hollywood. Miał zdarte buty i połamane paznokcie. Ile dostawał menedżer dziesięć, piętnaście procent? Ten nie wyglądał na takiego, co ma pod swoją opieką muzyków, którzy są coś warte. Czy śmierć Baby Boya oznaczała, że

nowe obuwie i manicure pozostaną dla Jackiego jedynie marzeniem? Jeśli tak, trzeba poszukać nowego śladu.

Zresztą to i tak nie mógł być on. Linus Brophy wydawał się pewny jedynie tego, że morderca był wysoki, a True mierzył metr sześćdziesiąt pięć w kapeluszu, Petra zajęła się więc następnym człowiekiem na liście; studentem dorabiającym jako akustyk, który o Baby Boyu nie wiedział prawie nic.

– Prawdę mówiąc, to nie moja działka. Słucham raczej klasyki oświadczył.

Petra zaszła do mieszkania Baby Boya następnego popołudnia po morderstwie. Okazało się, że bluesman mieszkał równie nędznie, jak Jackie True, na parterze niezgrabnego, białego bloku niedaleko Calwenga, w połowie drogi między Hollywood i Valley. Budynek stał za otoczonym cyprysami parkingiem. Na poznaczonym plamami oleju asfalcie stały samochody, podobnie jak trzynastoletni camaro Baby Boya, zakurzone i poobijane.

Biorąc pod uwagę historię życia muzyka, Petra spodziewało się zastać bałagan, brud, puste butelki, prochy, coś w tym rodzaju, ale Baby Boy żył czysto w każdym znaczeniu tego słowa.

Mieszkanie składało się z dużego pokoju, aneksu kuchennego, sypialni i łazienki: ściany w kolorze złamanej bieli, na podłodze żółtozielona wykładzina, niskie, popękane sufity, oświetlenie jeszcze z lat sześćdziesiątych, kiedy to w modzie była złota farba. Petra zaczęła od środka i przesuwiała się w stronę drzwi.

W sypialni cuchnęło zastarzałym potem. Baby Boy spał na tapczanie, pod którym nie dało się nic schować. Jego ubrania zajmowały połowę niedużej szafy – koszulki, bluzy, dżinsy, wielka skórzana kurtka, tak popękana, że wyglądała, jakby miała się za chwilę rozlecieć. W szufladzie szafki nocnej leżał prawie pusty kalendarz i kilka starych, niezapłaconych rachunków.

Petra zabrała kalendarz i dalej przeszukiwała mieszkanie. Nigdzie nie znalazła prochów ani alkoholu, a najmocniejszym środkiem w łazience okazała się duża butelka ekstramocnego advilu, odkręcona, co wskazywało na częste używanie.

W lodówce koloru awokado znalazła jogurt, ser, bezkofeinową i beztłuszczową kawę, trochę poobijanych brzoskwiń i śliwek, pomarszczone winogrona. W zamrażalniku leżały piersi z kurczaka i tuzin pudełek dietetycznych dań do mikrofalówki.

Dieta. Biedak próbował schudnąć, a ktoś wypatroszył go jak rybę.

W dużym pokoju stały dwa fotele, osiem gitar na stojakach i trzy wzmacniacze. Na jednym z nich leżało rzucające się w oczy czarne pudełko wymalowane w czerwone smoki, Lee przechowywał w nim kostki do gry.

I to wszystko.

Komórka Petry zahuczała. Dyżurny z posterunku powiadomił ją, że dzwonił Linus Brophy, pytał, czy będzie jej jeszcze do czegoś potrzebny.

Zaśmiała się i rozłączyła.

Załatwienie pozostałych proceduralnych czynności zajęło jej następne kilka dni – sporo wysiłku, efekty prawie żadne. Petrę bolał przełyk i huczało jej w głowie. Cała sprawa zaczynała poważnie śmierdzieć.

W poniedziałek o pierwszej w nocy siadła przy biurku i otworzyła kalendarz Baby Boya.

Czarny, oprawiony w sztuczną skórę notes był prawie pusty, nie licząc rzadkich wpisów przypominających o zakupach, odebraniu prania z pralni albo telefonie do J.T.

Lee kontaktował się z Jackiem True. Na co miał nadzieję?

Petra doszła do tygodnia, w którym go zamordowano. Wszystkie siedem dni zapełniały kanciaste, pochyłe litery Baby Boya, tym razem większe, napisane grubym, czarnym markerem.

*SZTUKA W JW*

Bez wykrzykników, ale równie dobrze mogłyby tam być. Podniecenie Baby Boya koncertem wyraziło się w skali.

Petra przerzuciła stronę. Dwa wpisy, o wiele mniejszymi literami. Baby Boy planował przyszłość, która nigdy nie nadeszła.

Gold Rush Studios? \$\$\$?

To miało sens. Jackie True powiedział jej, że bluesman był wciąż napalony, zamierzał przeznaczyć część pieniędzy z Jamy Węży na sesję nagraniową.

– Smutne było to – True zmarszczył czoło – że Baby nie zdawał sobie sprawy, jak mało mu zostanie, kiedy opłacę zespół i całą resztę.

– Co to za cała reszta?

– Wypożyczenie sprzętu, akustyk, chłopak, który targał nasze graty, takie rzeczy. – Chwila wahania. – Moja działka.

– Niewiele zostaje – stwierdziła Petra.

– Niewiele było do podziału.

Drugi wpis odnosił się do środy i wyglądał jak przypomnienie o umówionym spotkaniu:



Petra dowiedziała się o Baby Boyu dość, by wiedzieć, że grał na fenderach telecasterach, chodziło więc o spotkanie z lutnikiem.

RC. Dziewczyna Aleksa Delaware, Robin Castagna, budowała i naprawiała gitary, a z tego, co Alex mówił Petrze, to do niej dzwonili poważni muzycy, kiedy musieli coś zrobić ze swoim sprzętem.

RC. To musi być to.

Rzeczywiście, lutnik.

Petra wątpiła, by Robin mogła rzucić jakieś światło na sprawę, ale nie miała żadnych innych tropów i zapisała sobie, by zadzwonić do niej rano.

Poszła wcześniej do domu, myśląc o nowoczesnym, białym domu Aleksa i Robin niedaleko Beverly Glen.

Przykład solidnego związku, ci dwoje.

Robin, w przeciwieństwie do wielu innych ludzi, miała dość rozsądku, by znaleźć sobie statecznego faceta. Trafiała w dziesiątkę, zwłaszcza że gość był specem od głowy, a Petra podejrzewała, że większość speców od głowy lubi życie w luksusie.

Alex miał do tego klasę – jeszcze jeden symptom luksusu. Poza tym było w nim coś takiego... solidność. Trochę za poważny, ale to lepsze niż egocentryczne krytykanctwo, które cechuje, wygląda na to, większość mężczyzn w Los Angeles.

Petra nie rozmawiała z nim już od jakiegoś czasu. Rozważała, czy nie zadzwonić do niego, kiedy odwrócił się od niej Billy, i zaczęła się zastanawiać, czy nadaje się na... przyjaciela. Alex był terapeutą Billy'ego. Ale nic z tego nie wyszło. Była za bardzo zajęta.

Nie, to nie był prawdziwy powód. Solidny czy nie, Delaware był wciąż psychologiem i Petra obawiała się, że nie uda się jej ukryć smutku w głosie, a on go wyczuje i będzie próbował na niej swoich zawodowych sztuczek. Nie miała ochoty na psychoanalizę.

Teraz, za parawanem zabójstwa, mogła się niezobowiązująco do niego odezwać.

Następnego dnia o dziesiątej wykręciła numer białego domu, Odebrał Alex.

– Cześć, Petra, co słychać?

Pogadali chwilę, Alex spytał o Billy'ego, a Petra skłamała, że wszystko świetnie.

– Właściwie dzwonię do Robin – powiedziała w końcu. – Jej nazwisko pojawiło się w kalendarzu

ofiary, chodzi o sprawę, którą właśnie dostałam.

– Baby Boy Lee?

– Skąd wiesz?

– Robin zajmowała się jego gitarami. Był u nas kilka razy. Fajny facet.

– Znasz go całkiem nieźle?

– Nie. Zjawiał się raz na jakiś czas. Był przyjacielski, zawsze się uśmiechał. Ale to był uśmiech bluesmana.

– To znaczy?

– Smutny, zrezygnowany. Robin powiedziała mi, że facet nie miał szczęścia. Kilka razy wchodziłem do jej warsztatu, kiedy grał. Potem przez cały rok nie słyszałem nic lepszego. Miał niesamowity zmysł frazowania: mało dźwięków, ale tylko te właściwe.

Alex mówił jak muzyk – prawie to samo, słowo w słowo, Petra słyszała od kolegów Baby Boya z zespołu. Przypomniała sobie: Alex grał na gitarze.

– Miał cholernego pecha – przyznała. – Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?

– To chyba wszystko. Robin robiła jego gitary za darmo, bo zawsze był splukany. Zawsze robił scenę z wypisywaniem pokwitowań, ale z tego, co wiem, nigdy nie upominała się o pieniądze. Podejrzewasz, kto to zrobił?

– Nie. Dlatego sprawdzam wszystkie możliwości. Masz tam gdzieś Robin?

Minęło kilka sekund.

– Ona już tu nie mieszka, Petra. Rozstaliśmy się kilka miesięcy temu.

– Och.

– Wspólna decyzja, wszystko powoli się układa – powiedział, ale nie brzmiało to przekonująco. – Dam ci jej nowy numer.

Petra poczuła, że się czerwieni. Nie ze wstydu. Ze złości. Właśnie rozsypał się kolejny zamek.

– Jasne – rzuciła.

– Mieszka w Venice. Rennie Avenue, na północ od Rose. To bliźniak, jej studio jest w południowej części.

Petra zapisała sobie adres i podziękowała.

– Chyba nie ma jej w mieście. Prawie cały zeszły rok spędziła jeżdżąc z trasą *Zabić Głód*. – Cisza. – Poznała faceta.

– Przykro mi – wymamrotała Petra.

– Cóż, tak to bywa. Zgodziliśmy się... wypróbować naszą niezależność. W każdym razie, ten facet to nauczyciel śpiewu, też sporo podróżuje. Są w Vancouver. Wiem, bo zadzwoniła i powiedziała mi, że zabiera Spike'a do tamtejszego weterynarza. Bolały go zęby.

Petra przypomniała sobie psa. Słodki mały francuski buldog. Szansa na zmianę tematu.

– Mam nadzieję, że już z nim lepiej.

– Ja też... tak czy inaczej, chyba jutro wracają.

– W porządku, dzięki.

– Nie ma za co. Powodzenia ze sprawą. Pozdrów ode mnie Robin.

– Oczywiście – Petra nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła skończyć rozmowę. – Uważaj na siebie.

– Ty też.

Rozłączył się. Petra odłożyła słuchawkę i po raz enty przejrzała szczegóły zgonu Baby Boya. Potem wyszła z posterunku i kupiła sobie obiad w barze przy Vine Street. Tłustego hamburgera, choć wiedziała, że nie będzie jej smakował.

Kiedy po raz pierwszy kochałem się z Allison Gwynn, czułem się jak cudzołóżnik. Kompletnie irracjonalnie. Robin i ja nie mieszkaliśmy razem już od miesiący. Teraz była z Timem Plachette. Ale kiedy ma się czyjś zapach i dotyk w swoim DNA... Jeśli Allison to wyczuła, nic nie powiedziała.

Poznałem ją na krótko przed tym jak moje wspólne lata z Robin zaczęły dobiegać końca. Pomagałem Milowi rozwikłać zagadkę morderstwa sprzed dwudziestu lat. Wiele lat temu siedemnastoletnia Allison była molestowana seksualnie przez mężczyznę, który miał sporo wspólnego z tą sprawą. Jej mentor z uczelni był moim starym przyjacielem i zapytał ją, czy ze mną porozmawia. Przemyślała to i się zgodziła.

Od razu mi się spodobała podziwiałem jej odwagę, uczciwość i delikatność. Była też atrakcyjna, ale wtedy było to dla mnie piękno abstrakcyjne.

Skóra jak kość słoniowa, łagodne, ale wyraźne kości policzkowe, szerokie, stanowcze usta i najwspanialsze, jakie widziałem, czarne, sięgające do pasa włosy. Olbrzymie oczy, granatowe jak noc, patrzące z ciekawością i bez lęku. Tak jak ja była psychologiem. Od razu pomyślałem, że w tej pracy jej oczy muszą jej dobrze służyć.

Dorastała w Beverly Hills jako jedyna córka zastępcy prokuratora generalnego, skończyła Penn i została tam na doktorat. Na ostatnim roku poznała whartonowskiego gościa, zakochała się, młodo wyszła za mąż i wróciła do Kalifornii. Kilka miesięcy po tym jak dostała lokalne prawo jazdy, u jej męża wykryto rzadką chorobę i wkrótce potem owdowiała. W końcu doszła do siebie i otworzyła praktykę na Santa Monica. Zajmowała się pracą kliniczną, wieczorem wykladała na uniwerku, udzielała się też jako wolontariuszka w hospicjum.

Nie dawać sobie czasu. Znam tę śpiewkę.

Kiedy siedziała, jej wysoka talia, smukłe ramiona i łabędzia szyja sugerowały wysoki wzrost, ale podobnie jak Robin była drobną, kruchą kobietką – proszę, znów porównuję.

W przeciwieństwie do Robin lubiła drogi makijaż, odprężała się kupując ubrania i nie bała się biżuterii z brylantami.

Kiedys zwierzyła mi się, że późno dojrzała i nie chciała przez całe liceum wyglądać jak mała dziewczynka. W wieku trzydziestu siedmiu lat wyglądała dziesięć lat młodziej.

Byłem jej pierwszym mężczyzną od długiego czasu.

Kiedy do niej zadzwoniłem, minęło kilka miesięcy od naszej ostatniej rozmowy. W jej głosie usłyszałem zaskoczenie i radość.

– O, cześć!

Chwilę krążyłem wokół tematu, w końcu zaprosiłem ją na kolację.

– Że to niby randka? – spytała.

– Że to niby tak.

– Myślałam, że... kogoś masz.

– Ja też – powiedziałem.

– Och. To świeża sprawa?

– Nie chodzi o odreagowanie. Jestem sam już od jakiegoś czasu. Byłem zły na siebie za to, jak niezręcznie i żałośnie to brzmi.

– Dawałeś sobie czas – dokończyła.

Powiedziała to, co należało. Nauczono ją mówić to, co należy. Może to był jednak błąd. Już na studiach unikałem umawiania się z kobietami z mojej branży, chciałem poznawać inne światy, bałem się, że intymność z innym terapeutą będzie mnie zbyt ograniczać. Potem poznałem Robin i nie musiałem już więcej szukać...

– W każdym razie – powiedziałem – jeżeli jesteś zajęta...

Roześmiała się.

– Jasne, wyjdźmy gdzieś razem.

– Dalej jesteś mięsozercą?

– Zapamiętałeś. Aż takie paskudne zrobiłam wtedy wrażenie? Nie odpowiadaj. Nie, nie zostałam wegetarianką.

Zaproponowałem restaurację niedaleko jej gabinetu.

– Może jutro wieczorem?

– Mam pacjentów do ósmej, ale jeśli nie masz nic przeciwko późnej kolacji, jak najbardziej.

– Dziewiąta – powiedziałem. – Przyjadę po ciebie do biura.

– Może spotkajmy się na miejscu. Nie będę wtedy musiała zostawiać samochodu.

Zostawiała sobie awaryjny plan ucieczki.

– Świetnie.

– A więc do zobaczenia, Alex.

Randka.

Ile to czasu minęło? Wieki całe... Chociaż Allison miała przyjechać własnym wozem, zabrałem się za mycie i odkurzanie seville'a. Wciągnęło mnie i skończyłem w kucki przed maskownicą chłodnicy ze szczoteczką do zębów w ręku. Godzinę później, brudny, spocony i śmierdzący płynem do czyszczenia, poszedłem pobiegać, rozciągnąłem się i wziąłem prysznic. Ogoliłem się, wypolerowałem czarne mokasyny i wyciągnąłem z szafy granatowy blezer.

Miękki, jednorzędowy, włoski, dostałem go na Gwiazdkę dwa lata temu... od Robin. Ściągnąłem go z siebie, włożyłem czarną, sportową marynarkę, uznałem, że wyglądam w niej jak przedsiębiorca pogrzebowy, i wróciłem do granatu. Następny krok: spodnie. Łatwizna. Lekkie, szare, flanelowe, zakładałem je, kiedy zeznawałem w sądzie. Do tego żółta koszula, krawat i będe... który krawat? Wypróbowałem kilka, doszedłem do wniosku, że są zbyt sztywniackie jak na taką okazję, włożyłem granatowy pulower. To okazało się, cholera, za bardzo hollywoodzkie.

Z powrotem żółta koszula. Rozpięła pod szyją. Nie, źle. Poza tym plamy potu pod pachami.

Serce biło mi za szybko, a żołądek kurczył się i skręcał. To bez sensu. Co powiedziałbym w takiej sytuacji pacjentowi?

Bądź sobą.

Kimkolwiek jesteś.

Przyjechałem do restauracji pierwszy. Zastanawiałem się, czy nie zostać w seville'u i nie zaczekać na Allison, ale uznałem, że to mogłoby ją speszyć, więc wszedłem do środka. W lokalu było ciemno jak w krypcie. Usiadłem przy barze, zamówiłem piwo i zacząłem oglądać jakiś mecz w telewizji nie pamiętam, kto grał ani jaka to była gra. Ledwie spiłem piankę, kiedy zjawiała się Allison, uwalniając spod swetra swoje czarne włosy, rozejrzała się dookoła.

Podszedłem do niej w chwili, kiedy zauważył ją kelner. Zobaczyła mnie. Nie zmierzyła mnie wzrokiem, po prostu skupiła się na mojej twarzy. Uśmiechnąłem się, ona też.

Dobry wieczór. Nadstawiła policzek, ja cmoknąłem.

Miała na sobie sweter z lawendowego kaszmiru, pasował do obcisłej sukienki, okrywającej ją od obojczyków do kolan. Do tego dobrane buty na wysokim obcasie. Brylantowe kolczyki, brylantowa bransoletka, wokół białej szyi krótki naszyjnik z pereł.

Usiedliśmy. Zamówiła kieliszek merlota, a ja poprosiłem o chivas. Wyłożona czerwoną skórą wnęka była przestronna, siedziałem więc dość daleko, by się nie narzucać, i dość blisko, by czuć jej perfumy. Pachniała wspaniale.

– A więc powiedziała, kierując spojrzenie swoich ciemnoniebieskich oczu na sąsiednią wnękę.

– Ciężki dzień?

Znów na mnie.

– Tak. Dzięki Bogu.

– Wiem, o co ci chodzi powiedziałem.

Zaczęła się bawić serwetką.

– Co robiłeś?

– Kiedy sprawa Ingalls przycichła, wziąłem sobie wolne. Ostatnio zajmowałem się konsultacjami sądowymi.

– W sprawach karnych?

– Też. Kilka o pobicie, kilka o opiekę nad dzieckiem.

– Opieka. Paskudna rzecz.

– Zwłaszcza kiedy ma się dość pieniędzy, żeby w nieskończoność opłacać prawników, i trafia się na sędziego idiotę. Staram się ograniczać do tych bystrych.

– Znalazłeś jakiegoś?

– To prawdziwe wyzwanie.

Przyszły nasze drinki. Stuknęliśmy się kieliszkami i napiliśmy się w milczeniu. Allison zakręciła winem, przyjrzała się menu.

– Umieram z głodu, pewnie znów będę obrzydliwie pochłaniać.

– Proszę uprzejmie.

– Co mają dobrego?

– Nic byłem tu od lat.

– Och? – Wydawała się rozbawiona. – Wybrałeś to miejsce, żeby stało się zadość moim mięsożerczym skłonnościom?

– Twoim i moim. Poza tym pamiętałem, że tu zawsze było miło.

– I jest.

Milczenie. Poczulem gorąco na twarzy – szkocka i niezręczność. Nawet w słabym świetle było widać, że ona też się czerwieni.

– Nie wiem, czy ci w końcu podziękowałam, ale sprawiłeś, że mówienie o moich przeżyciach stało się dla mnie łatwe. A więc dziękuję – powiedziała.

– To ja ci dziękuję za pomoc. Przydała się.

Allison znów przyjrzała się menu, przygryzła dolną wargę i podniosła wzrok.

– Chodzi za mną stek.

– Nieźle.

– A ty?

– Żeberka.

– Pierwsza liga mięsożerstwa. – Znów spojrzała na sąsiednią, pustą wnękę, potem na obrus, jakby przyglądała się moim palcom. Dobrze, że opiłowałam paznokcie.

– Wzięłeś wolne od spraw kryminalnych – stwierdziła – ale wrócisz do tego.

– Jeśli mnie o to poproszą.

– A poproszą?

Kiwnąłem głową.

– Nigdy cię o to nie spytałam. Co cię w tym tak pociąga?

– Mógłbym wygłosić teraz szlachetną mowę o przeciwstawianiu się złu i walce o lepszy świat, ale przestałem się już okłamywać. Prawda jest taka, że ciągnie mnie nieprzewidywalność i nowość. Raz na jakiś czas potrzebuję zastrzyku adrenaliny.

– Jak kierowca rajdowy.

Uśmiechnąłem się.

– To zbyt szlachetne porównanie.

Napiła się wina, przytrzymała kieliszek na wysokości ust, potem go opuściła i uśmiechnęła się.

– A więc jesteś po prostu jeszcze jednym napaleńcem. – Przesunęła palcem po podstawce. – Jeśli chodzi ci tylko o dreszcz emocji, dlaczego nie zajmiesz się wyścigami albo skokami ze spadochronem?

To, czym się zajmowałem, było jednym z powodów mojego rozstania z Robin. Czy wciąż bylibyśmy razem, gdybym ograniczył się do spadochroniarstwa?

– Przepraszam, nie chciałam cię przesłuchiwać – powiedziała Allison, kiedy układałem w myślach



odpowiedź na jej pytanie. – Wydaje mi się po prostu, że pragniesz czegoś więcej niż tylko nowości. Myślę, że naprawdę lubisz naprawiać wyrządzone zło.

Nie odpowiedziałem.

– Z drugiej strony – ciągnęła – kim jestem, by tak się mądrzyć bez solidnych podstaw? W końcu tylko naukowcem behawioralnym i tak dalej.

Poruszyła się na kanapie, skubnęła kosmyk włosów i napiła się wina. Próbowałem rozwiać jej zakłopotanie uśmiechem, ale unikała mojego wzroku. Kiedy odstawiła kieliszek, położyła dłoń bliżej mojej. Nasze palce dzieliło tylko kilka milimetrów.

Potem ten odstęp zniknął – oboje się poruszyliśmy. Dotknęliśmy.

Udaliśmy, że to przypadek, i cofnęliśmy dłonie.

Ciepło ciała dotykającego ciała.

Błękitna koszula, którą włożyłem zamiast przeupoconej żółtej, była coraz bardziej mokra.

Allison zaczęła bawić się włosami. Wbiłem wzrok w resztki mojej szkockiej. Wdychałem opary alkoholu. Przez cały dzień niewiele jadłem, więc whisky na pusty żołądek powinna wywołać choćby mały szum.

Nic.

Byłem, cholera, za bardzo spięty.

Jak mi szło?

Przez resztę wieczoru zdradziliśmy ostrożnie po kilka okruczeństw autobiografii, dobrze jedliśmy, za dużo piliśmy, a potem poszliśmy na spacer po Wilshire. Obok siebie, ale się nie dotykając. Jej wysokie obcasy stuknęły o chodnik, włosy falowały na wietrze. Kręciła biodrami – nie jak wamp, po prostu tak się poruszała i przez to była seksowna. Mężczyźni się za nią oglądali. W połowie drogi zaplotła rękę o moje ramię. Bryza znad oceanu zasnuła ulice mgiełką. Oczy bolały mnie od niepewności.

Rozmowa zgasła i kilka następnych przecznic przeszliśmy w milczeniu, udając, że oglądamy witryny mijanych sklepów. Kiedy wróciliśmy do samochodów, Allison pocałowała mnie lekko w usta. Zanim się zorientowałem, wsiała do swojego dziesięcioletniego jaguara i odjechała.

Dwa dni później zadzwoniłem do niej i znów zaprosiłem na kolację.

– Mam wolne popołudnie – powiedziała – i zamierzałam zrelaksować się w domu. Może wpadniesz i zjemy u mnie? To znaczy, jeśli jesteś gotów podjąć takie ryzyko?

– Duże?

– Czy to ważne? Lubisz przecież adrenalinę.

– Słuszna uwaga – stwierdziłem. – Mogę coś przynieść?

– Kwiaty zawsze są odpowiednie. Nie, żebym coś sugerowała. Żartuję, przynieś tylko siebie. I nie bądźmy oficjalni, dobrze?

Mieszkała w parterowym, hiszpańskim domu na Czternastej ulicy, kawałek na południe od Montana, skąd na piechotę mogła spokojnie dojść do gabinetu. Znak ostrzegawczy na jej trawniku rzucał się z daleka w oczy, a czarny jaguar kabrio stał zaparkowany za żelazną bramą, odgradzącą front posesji od ulicy. Kiedy podszedłem do drzwi, włączył się czujnik ruchu. Zabezpieczenia kobiety mieszkającej samotnie. Zabezpieczenia kobiety, która dwadzieścia lat temu była molestowana seksualnie.

Parkując samochód, pomyślałem o Robin, przeprowadzającej się do Venice, całkiem samej. Poprawka: już nie samej... przestań, idioto.

Zadzwoniłem i stanąłem na baczność z bukietem kwiatów w ręce. Uznając, że róże byłyby zbyt śmiałe, kupiłem tuzin białych peonii. Moim nieoficjalnym strojem była oliwkowa koszulka polo, dzinsy i adidas.

Allison otworzyła drzwi, ubrana w koszulkę koloru limonki, dzinsy i adidas.

Spojrzała na mnie i powiedziała:

– Nie do wiary.

A potem wybuchła śmiechem.

Siedziałem w jej białej, niedużej kuchni, a ona szykowała omlety z grzybami i drobiowymi wątróbkami. Z lodówki wyjęła schłodzoną sałatkę. Na stole czekały bułeczki, białe wino, kubek z lodem i sześciopak dietetycznej coli.

Kuchnia otwierała się na podwórko. Zjedliśmy na zwieńczonym trejażem patio. Otoczony żywopłotem trawnik przecinały ścieżki ze starych cegieł.

Spróbowałem omleta.

– Niewielkie ryzyko.

– To jedna z niewielu rzeczy, które potrafię zrobić, nie powodując klęski żywiołowej. Przepis babci.

– Brawo dla babci.

– Babcia była wredna, ale potrafiła radzić sobie w kuchni.

Allison zaczęła opowiadać o swojej rodzinie i w końcu zorientowałem się, że sam zdradzam trochę szczegółów o sobie. Im dłużej trwał wieczór, tym bardziej się rozluźniałem. Allison też się odprężyła, zwinęła na kanapie, chowając pod sobą stopy. Dużo się śmiała, jej ciemnoniebieskie oczy patrzyły na mnie żywo.

Miała powiększone źrenice: ci, którzy badają tego rodzaju rzeczy, mówią, że to dobry znak. Ale tuż przed jedenastą zeszywniała i spojrzała na zegarek.

– Mam rano pacjenta – oświadczyła.

Wstała i zerknęła na drzwi, a ja zastanawiałem się, co zrobiłem nie tak.

– Przepraszam – powiedziała, odprowadzając mnie.

– Za co?

– Że jestem tak obcesowa.

– Pacjenci mają swoje potrzeby – stwierdziłem, a zabrzmiało to okropnie sztywno.

Wzruszyła ramionami, jakby wcale nie o to chodziło, ale nie powiedziała nic więcej, wyciągnęła tylko rękę. W jej domu było ciepło, skórę jednak miała chłodną i wilgotną. Jej białe stopy były maleńkie i miałem ochotę wziąć ją w ramiona.

– Fajnie było znów cię widzieć – szepnąłem.

– Ciebie też.

Wyszedłem na ganek. Z bolesnym uśmiechem zaczęła zamykać drzwi, potem wyszła i przelotnie pocałowała mnie w policzek.

Dotknąłem jej włosów. Obróciła głowę i pocałowała mnie jeszcze raz, tym razem prosto w usta, lecz z zaciśniętymi wargami. Mocno, prawie napastliwie. Nachyliłem się po następny pocałunek, ale cofnęła się.

– Jedź ostrożnie – powiedziała i tym razem zamknęła drzwi.

Zadzwoniła do mnie następnego dnia w południe.

– Wyobraź sobie, że mój pacjent nie przyszedł.

– Szkoda – powiedziałem.

– Tak... Ja... może moglibyśmy... czy chciałbyś... jestem dzisiaj wolna o siódmej, jeśli masz ochotę.

– Może być siódma. Coś ugotować?

– Alex, może zrobilibyśmy coś innego, zamiast tylko siedzieć i jeść? Jakaś przejażdżka? Byłam taka spięta. Kiedy prowadzę, rozluźniam się.

– Ja też. – Ile setek kilometrów przejechałem seville'em, odkąd odeszła Robin? – Moglibyśmy skoczyć wzdłuż wybrzeża do Malibu.

Moja ulubiona trasa. Wszystkie te nocne wycieczki wzdłuż Pacyfiku z Robin. Zamknij się.

– Doskonale – powiedziała. – Jak zgłodniejemy, jest tam mnóstwo miejsc, gdzie można się zatrzymać. Do zobaczenia o siódmej.

– Mam cię skądś zabrać?

– Nie, przyjedź do mnie do domu.

Byłem tam o siódmej zero dwie. Zanim doszedłem do drzwi, otworzyła je, wyszła na ścieżkę i spotkała mnie w połowie drogi, włączając światelko czujnika ruchu. Miała na sobie czarną bawełnianą sukienkę bez rękawów i czarne sandały na płaskim obcasie. Żadnych rajstop, brylantów, tylko cienki, złoty łańcuszek, podkreślający długość i biel jej szyi. Włosy spięła w kucyk. Wyglądała przez to młodziej, bardziej śmiało.

– Muszę wyjaśnić zeszły wieczór – wyrzuciła z siebie. Mówiła szybko, jakby brakowało jej tchu. – Prawda jest taka, że pierwszy pacjent był umówiony na dziewiątą trzydzieści. Miałam mnóstwo czasu, nie musiałam wszystkiego psuć. Byłam.. bądźmy szczerzy: byłam zdenerwowana, bardzo, bardzo zdenerwowana, Alex, bo byłam z tobą.

– Przecież...

– Nie chodziło o ciebie. – Jej ramiona wzniosły się i opadły. Zaśmiała się krótko, wzięła mnie za rękę i pociągnęła do domu. – Dobrze, że moi pacjenci mnie teraz nie widzą – oparła się plecami o drzwi. – Jestem świetnym ekspertem w doradzaniu innym, jak przejść krytyczne momenty, ale sama sobie z tym nie radzę. – Pokręciła głową. – Krytyczne momenty. A teraz pochopnie wyciągam wnioski...

– Daj spokój – powiedziałem. – Kiedy umówiliśmy się po raz pierwszy, trzy razy zmieniałem koszulę.

Spojrzała mi w oczy. Dotknąłem jej podbródka i uniosłem go. Odsunęła moją rękę.

– Mówisz to, co należy. Z takimi jak my nigdy nie wiadomo, czy to nie odruch.

– Ryzyko zawodowe.

Zarzuciła mi ręce na szyję i głęboko pocałowała. Jej język był zwinny i szybki. Objąłem ją mocno, gładziłem jej twarz, plecy, zaryzykowałem i opuściłem dłoń niżej i kiedy mnie nie zatrzymała, ścisnąłem jej pośladki. Ujęła moją rękę i wsunęła ją sobie między okryte bawełną uda. Poczułem żar, a ona zupełnie niedwuznacznie poruszyła biodrami. Uniosłem jej czarną sukienkę, ściągnąłem majteczki i poczułem, że rozchyła nogi. Całowałem ją i gładziłem. Wplotła dłoń w moje włosy, drogą szarpała mój rozporek. W końcu mnie uwolniła... i leżeliśmy na drewnianej podłodze salonu, i byłem już w niej, a ona mnie ścisnęła i poruszaliśmy się razem, jakbyśmy robili to całe życie.

Pocałowała mnie w policzek.

– Zaryzykuję i powiem to. Z tobą to nie tylko szkolenie. Jesteś słodki.

Uczucia przyszły później. Kiedy się przespaliśmy, zjedliśmy resztki, odświeżyliśmy odwodnione ciała i pojechaliśmy w końcu na północ Pacific Coast Highway. Wzięliśmy jaguara Allison, bo miał składany dach. Ja siedziałem za kierownicą, a Allison rozciągnęła się na rozłożonym fotelu pasażera, owinięta w wielki, biały, puchaty sweter, z rozpuszczonymi włosami, powiewającymi jak hebanowo-czarny sztandar, twarzą do wiatru.

Oparła dłoń na moim kolanie. Miała piękne palce, długie i wypielęgnowane. Gładkie i białe.

Bez blizn. Robin, choć po mistrzowsku posługiwała się swoimi narzędziami, od czasu do czasu się kaleczyła.

Dodałem gazu. Jaguar mknął wzdłuż czarnego oceanu i szarych wzgórz, mijając światła reflektorów innych niespokojnych duchów. Zerkąłem na Allison, kiedy wyjeżdżaliśmy na prosty odcinek drogi. Skóra na głowie wciąż mnie bolała, w miejscu, w którym pociągnęła mnie za włosy, a czoło, z którego zlizwała mój pot, szczypało jak naelektryzowane.

Przyspieszyłem jeszcze bardziej. Pogłaskała mnie po kolanie, a ja poczułem, że twardnieję. Znów.

Piękna kobieta, zmysłowa kobieta.

Szybki samochód, wspaniała kalifornijska noc. Ideał. Ale tę idiotyczną radość mącił karcący palec wątpliwości, wrażenie, że kogoś zdradzam.

Totalna głupota. Robin jest z Timem.

A ja jestem teraz z Allison.

Wszystko się zmieniło. Zmiany są dobre.

Prawda?

Minęło sto godzin, odkąd Baby Boy wykrwawił się w zaułku, a Petra wciąż nic nie miała. Kleisty, kwaśny smród zagadki zalegał jej w zatokach. Zaczęła marzyć o jakimś zadźganiu w podłym barze, ale nie brała żadnych innych spraw. Spadek liczby przestępstw, którym chlubił się ostatnio posterunek, oznaczał, że mieli wreszcie dość ludzi. Minie trochę czasu, zanim znów wypadnie jej kolej.

Czytała akta raz po raz, aż rozbolała ją głowa. Spytała paru kolegów, czy nie mają jakichś pomysłów.

– Powinnaś posłuchać jego muzyki – powiedział detektyw pierwszego stopnia Arbogast.

Petra kupiła kilka płyt, cały ranek spędziła, słuchając chropawego głosu Baby Boya i jego łkającej gitary.

– Bo tam może być jakiś ślad?

– Nie – powiedział Arbogast. – Bo facet dawał czadu.

– To był jebany geniusz – zgodził się inny detektyw.

Petra nigdy nie wzięłaby go za fana bluesa. Potem uświadomiła sobie, że był mniej więcej w wieku Baby Boya, pewnie dorastał przy jego muzyce.

Geniusz umiera, ale główna prasa ma to gdzieś. Z „Timesa” nikt nawet nie zadzwonił, chociaż przeszukując sieć, Petra znalazła sporo jednogłośnie pozytywnych recenzji muzyki bluesmana. Zostawiła wiadomość na sekretarce redaktora z działu muzycznego w gazecie, mając nikłą nadzieję, że jakieś wydarzenie z przeszłości Baby Boya naprowadzi ją na nowy ślad. Pajac nawet nie oddzwonił.

Molestowało ją kilku samozwańcych „dziennikarzy muzycznych”, młodych ludzi, sądząc po głosach, podających się za pracowników wydawnictw takich, jak „Gitara”, „Świat Gitary” i „Gitara XXI wieku”. Żaden z nich nic nie potrafił powiedzieć o Baby Boyu, tylko chwalił jego grę. Wszyscy powtarzali słowo „frazowanie” Alex użył tego terminu – i Petra w końcu domyśliła się, że oznacza to łączenie dźwięków z rytmem.

W tym przypadku frazowanie szło jej bardzo kiepsko.

Dziennikarze przestali się interesować, kiedy okazało się, że Petra zadaje pytania, zamiast na nie odpowiadać. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, który męczył ją o szczegóły, Jurija Drummonda, wydawcy lokalnego magazynu „GrooveRat”, który przed rokiem zamieścił duży artykuł o Baby Boyu.

Drummond natychmiast zraził do siebie Petrę, mówiąc do niej po imieniu, i zniechęcał ją dalej, wpytując o szczegóły zgonu. „Ile ran kłutych? Ile krwi tak naprawdę stracił?”

Gość miał ciekawość trupojada i nosowy głos nastolatka, męczonego przez burzę hormonów. Petra zaczęła się zastanawiać, czy to nie jakiś dowcip. Zesztywniała jednak, kiedy zapytał, czy na ścianie zaułka było coś napisane.

– Dlaczego pan o to pyta?

– No, wiesz – odparł Drummond. – Tak jak z morderstwami Mansona: zagadka.

– Dlaczego morderstwa Mansona miałyby mieć coś wspólnego z zamordowaniem pana Lee?

– Nie wiem. Tak tylko pomyślałem...

Słyszał pan coś o tajemniczej śmierci pana Lec, panie Drummond? Nie. – Głos Drummonda zrobił się piskliwy. Co niby miałbym słyszeć?

Kiedy przeprowadzał pan wywiad z panem Lee? Nie, nie. Nigdy się z nim nie widziałem. Powiedział pan, że napisał pan o nim artykuł. Opisaliśmy jego karierę i podaliśmy dyskografię. Opisał pan jego karierę, nie rozmawiając z nim.

– Właśnie – odparł Drummond przekornym tonem. – Oto właśnie chodzi.

– O co?

– „GrooveRat” zajmuje się psycho-bio-społeczną esencją sztuki i muzyki, a nie kultem osobowości.

Psycho-bio-społeczną powtórzyła Petra.

– Mówiąc prościej wyjaśnił z wyższością Drummond – nie interesuje nas, kto kogo pieprzy, tylko jaki *groove*.

– Stąd tytuł pana pisma.

Cisza.

– Ma pan informacje o tym, kogo pieprzył Baby Boy? – spytała Petra.

– Twierdzisz, że morderstwo miało aspekt seksualny...

– Panie Drummond, na czym konkretnie skupiał się ten artykuł?

– Na muzyce.

– Na frazowaniu Baby Boya.

– Na całym *groove* Baby Boya: na stanie umysłu, w jaki się wprowadzał, żeby osiągnąć swoje brzmienie.

– Nie uważał pan, że rozmowa z nim może pomóc? – naciskała Petra, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego marnuje czas na tego palanta. Znała smutną odpowiedź na to pytanie: nie miała nic innego.

– Nie – powiedział Drummond.

– Czy Baby Boy nie chciał udzielić wam wywiadu?

– Nie prosiliśmy go o to. Powiedz, o jakim ostrzu mówimy... Jaki *groove* miał Baby Boy? – spytała Petra.

– Cierpienie. Dlatego to, że ktoś go zabił, jest takie... tak pasuje. Więc co mi możesz powiedzieć o tym, jak zginął?

– Chodzi panu o makabryczne szczegóły.

– Zgadza się.

– Podejrzewa pan, kto go zabił?

– Niby dlaczego? Posłuchaj, naprawdę powinnaś nam pomóc. Ludzie mają prawo wiedzieć, a my najlepiej im to opowiemy.

– Czemuż to, panie Drummond?

– Bo my go rozumieliśmy. Były jakieś szczegóły? Makabryczne.

– Czy był pan w Jamie Węży w sobotę wieczorem?

– Nie.

– Nie jest pan aż takim fanem?

– Byłem w Whiskey, na koncercie kilku młodych zespołów... zaraz, o co ci chodzi? – Głos Drummonda zrobił się jeszcze bardziej piskliwy i brzmiał już tak, jak głos dwunastolatka.

Petra wyobraziła sobie przyszczatego chudzielca w zabałaganionym pokoju. Pajaca, który ma za dużo wolnego czasu i dzwoni do supermarketu, ściskając słuchawkę spoconą ręką: „Dzień dobry, czy ma pani kurze udka?” „Tak”. „To niech pani nosi spódnice, to nikt nie zauważy, cha, cha, cha!”

– Gdybym wiedział, że to się stanie – powiedział Drummond – byłbym tam. Na pewno.

– Dlaczego?

– Żeby zobaczyć jego ostatni koncert. Jak to się mówi, usłyszeć łabędzi śpiew.

– Jurij – powiedziała Petra. – Co to za imię, rosyjskie?



Drummond odłożył słuchawkę.

W piątek, tuż po osiemnastej, dyżurny z dołu połączył się z Petrą.

– Przyszła pani Castagna.

– Już schodzę – powiedziała zaskoczona Petra.

Kiedy zeszła na parter, Robin stała sama w holu z rękami na biodrach. Oglądała listy gończe. Włosy miała dłuższe, niż Petra pamiętała – kasztanowe loki spływały jej po plecach jak kiście winogron. Alex też był kędzierzawy. Gdyby mieli dziecko, pewnie spłodziliby następną Shirley Tempie.

Potem Petra pomyślała: tyle lat razem i nie mieli dziecka. Nie wzięli też ślubu. Sama była panną, więc często myślała o takich rzeczach.

Podeszła do Robin, przyglądając się jej ubraniu, jak to kobiety. Czarny sztruksowy kombinezon na czerwonej koszulce z krótkim rękawem, czarne tenisówki. Z tylnej kieszeni zwisała czerwona bandana.

Rock'n'roll. Na nieodpowiednim ciele kombinezon wyglądałby koszmarnie – figura Robin sprawiała, że wyglądał dobrze.

– Cześć.

– Robin odwróciła się i Petra zobaczyła, że ma wilgotne oczy i przygryza wargę.

– Petra. – Objęły się. – Dopiero co wróciłam do miasta, rano odebrałam twoją wiadomość. Musiałam być w Hollywood na sesji, więc pomyślałam, że wpadnę. To straszne.

– Przepraszam, że cię powiadomiłam w taki sposób, ale nie wiedziałam, kiedy wrócisz.

Robin potrząsnęła głową.

– Dowiedziałam się wczoraj, w Vancouver.

– Pisali o tym u nich w gazetach?

– Nie wiem. Zakulisowa poczta pantoflowa muzyków. Byłam w szoku. Wszyscy byliśmy, nie miałam pojęcia, że to ty się tym zajmujesz.

– No właśnie, zajmuję. Możesz mi coś powiedzieć?

– Niby co? Był taki słodki. – Głos Robin zadrżał i ucichł. Z trudem powstrzymywała łzy. – Wielki, stary słodziak i niesamowicie utalentowany człowiek.

– Coś jeszcze krążyło pocztą pantoflową? Na przykład, kto mógł chcieć to zrobić? Choćby najmniejsza plotka.

Robin znów pokręciła głową i potarła gładkie, opalone ramię.

– Baby był ostatnią osobą którą podejrzewałabym o wrogów, Petra. Wszyscy go lubili.

Nie wszyscy, pomyślała Petra.

– Tak jak mówiłam w wiadomości, twoje nazwisko było w jego kalendarzu. O co chodziło, miałaś robić jego gitary?

– Już zrobiłam. Miał przyjść je odebrać. – Robin się uśmiechnęła. – Dziwne, że w ogóle to zapisał. Dla Baby’ego czas był dość plastycznym pojęciem.

– Już od dawna zajmujesz się jego sprzętem.

– Całe lata. I to dość często. Baby grał tak mocno, że palcami robił bruzdy na podstrunnicy. Zawsze je szlifowałam, wymieniałam progi, mocowałam gryfy. W dwóch już nic nie dało tego naprawić, trzeba było dorobić nowe podstrunnice.

– Fender telecaster. I J-45. Ktoś mi powiedział, że to gibson.

Robin uśmiechnęła się.

– Akustyk gibson. Lakierowałam tę gitarę już kilka razy, bo Baby ją przesuszał, lakier pękał i złaził, a od kostki zrobiła się już prawie dziura. Tym razem zakładałam już drugą podstrunnicę. Z tele sprawa była prostsza, tylko regulacja. Szybko je obie skończyłam, zanim wyjechałam z miasta, bo dla Baby’ego zawsze starałam się szybko kończyć.

– Dlaczego? – spytała Petra.

– Bo wydobywał z gitar dźwięki, jakich nie potrafił wydobyć nikt inny, a ja chciałam mieć w tym swój udział. Wiedziałam, że wyjadę do Vancouver, więc zostawiłam mu wiadomość, żeby odebrał je w środę. Nie oddzwonił, ale to nic niezwykłego. Jak mówiłam, Baby i punktualność raczej słabo się znali. Większość z nich taka jest.

– „Z nich”, znaczy z muzyków.

– Muzyków – powtórzyła Robin.

Usta wygięły jej się w podkówkę.

– A więc nie zadzwonił – powiedziała Petra – ale zapisał sobie datę.

– Pewnie tak. Zazwyczaj po prostu wpadał. Petra, co mam teraz zrobić z gitarami? Nie są dowodem w sprawie, prawda?

– Są coś warte?

– Normalnie byłyby bardzo drogie. Po wszystkich modyfikacjach... dużo mniej.

– Nie zyskały na wartości, bo grał na nich Baby? – spytała Petra. – Czytałam, że Clapton wystawił na aukcji kilka swoich gitar i poszły za o wiele więcej, niż się wszyscy spodziewali.

– Baby nie był Claptonem. – Z oczu Robin pociekły łzy. Wyciągnęła czerwoną bandanę i otarła je.  
– Jak ktoś mógł to zrobić?

– Śmierdząca sprawa – powiedziała Petra. – Nie rozumiem, w jaki sposób gitary miałyby trafić do dowodów, ale nie sprzedawaj ich. Jak będą mi potrzebne, dam ci znać.

Może powinnam je zabrać, pomyślała. Na wypadek, gdybym złapała gnoja, postawiła go przed sądem, a jakiś obrońca próbowałby narobić zamieszania wokół dowodów...

– Mam nadzieję, że dorwiesz tego, kto to zrobił – westchnęła Robin.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Baby Boyu? – spytała Petra.

– Wyluzowany. Duże dziecko. Ludzie go wykorzystywali. Jak tylko zarobił jakieś pieniądze, od razu je tracił.

– Wygląda na to, że ostatnio za dużo nie zarabiał – Petra przypomniała sobie, co Alex mówił o kwitach, które Baby zostawiał Robin. Uznała, że cytowanie go w tej chwili nie jest dobrym pomysłem.

– Nie miał lekko – powiedziała Robin. – Już od jakiegoś czasu. Rozruszał się, kiedy nowy, popowy zespół poprosił go, żeby zagrał na jego płycie. Goście byli na tyle młodzi, że mogli być jego dziećmi, a on się tak zapalił. Myślał, że to może być wielka szansa. Album świetnie się sprzedał, ale wątpię, żeby dużo mu zapłacili.

– Dlaczego?

Robin stuknęła butem o but.

– Chyba był splukany, jak zwykle. Od dawna mi nie płacił. Wypisywał skomplikowane pokwitowania, właściwie miniumowy. Oboje udawaliśmy, że to na poważnie. Potem odbierał sprzęt i dawał mi parę dolarów jako część zapłaty, ja się nie zgadzałam, on się kłócił, ale w końcu ustępował. I tak aż do następnego razu. Ciągnęło się to tak długo, że przestałam oczekiwać, że spłaci dług. Ale kiedy nagrał płytę z tymi dzieciakami, zadzwonił do mnie i obiecał, że odda pieniądze. „Płacę rachunki, siostrzyczko”, tak to ujął. Często powtarzał, że gdyby miał młodszą siostrę, chciałby, żeby była taka, jak ja. – Znów otarła oczy bandaną.

– Ale nie zapłacił – powiedziała Petra.

– Ani grosza. Stąd wiem, że nie zarobił na nagraniach. Gdyby coś dostał, byłabym wysoko na jego

liście, zaraz za jedzeniem i czynszem.

– Czynsz miał opłacony, a w lodówce było jedzenie, dietetyczne.

Robin zamrugała.

– Znów? Na scenie chełpił się swoją wagą: trząsał brzuchem, kręcił tyłkiem, żartował z tego, ile waży. Ale biedak nienawidził swojej tuszy, cały czas chciał schudnąć. – Pociągnęła nosem. – Tyle przeszedł i zawsze chciał coś ze sobą zrobić. Raz, kiedy wpadł w poważny dołek, powiedział mi: „Bóg spaprał sprawę, kiedy mnie tworzył, a ja muszę to naprawić”.

Załamana się i rozplakała, a Petra objęła ją ramieniem. Dwaj mundurowi weszli przez główne wejście i przeszli przez hol, podzwaniając oporzadzeniem. Nie zwrócili uwagi na płaczącą kobietę. Za dużo już ich widzieli.

W czwartek po zamordowaniu Baby Boya ktoś zadzwonił do moich drzwi. Przez całe popołudnie wypisywałem raporty sądowe i byłem półprzytomny. Zamówiłem chińszczyznę.

Wziąłem pieniądze na napiwek i przeszedłem z gabinetu do salonu. Otworzyłem drzwi i stanąłem twarzą w twarz z Robin. Nie oddała do tej pory kluczy, ale zachowywała się jak gość. Którym, jak sądzę, była. Zobaczyła drobne i uśmiechnęła się.

– Tak tanio mnie nie kupisz. Schowałem banknoty.

– Cześć.

– Przyszłam nie w porę?

– Jasne, że nie. – Otworzyłem szeroko drzwi, a ona weszła do domu, który razem projektowaliśmy. Patrzyłem, jak krąży po salonie, jakby na nowo się z nim zaznajamiała. Kiedy przycupnęła na brzegu kanapy, usiadłem naprzeciwko.

– Wiesz o Baby Boyu – powiedziała.

– Petra dzwoniła do mnie, chciała z tobą rozmawiać.

– Wracam właśnie z posterunku w Hollywood, rozmawiałam z nią. – Wbiła wzrok w sufit. – Nigdy nie byłam blisko z kimś, kogo zamordowano... przez wszystkie lata, kiedy byliśmy razem, trzymałam się na uboczu.

– Nic nie straciłaś.

Skubnęła kolczyk.

– To okropne, to uczucie pustki. Przypomina mi się, jak umarł mój ojciec. To nie to samo, oczywiście. Lubiłam Baby Boya, ale nie był rodziną. Mimo to jakoś...

– Baby był w porządku.

– Był wspaniały. Kto mógłby chcieć go skrzywdzić?

Wstała i znów zaczęła chodzić. Poprawiła obrazek na ścianie.

– Nie powinnam ci się tak zwierzać.

– Czy Petra wpadła na jakiś ślad? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Może coś ze stylem życia? Czy Baby wrócił do narkotyków?

– O ile wiem, nie. Kiedy był u nas ostatnio, wyglądał na czystego, prawda?

– Takie miałem wrażenie.

Nie, żebym zwracał jakąś szczególną uwagę na jego wygląd. Ostatnim razem, kiedy przywiózł jakiś sprzęt, dobiegła mnie muzyka i poszedłem do studia Robin, żeby posłuchać. Baby Boy zostawił drzwi otwarte. Stałem, patrzyłem i słuchałem: wziął do rąk swojego starego gibsona, zagrał kilka dźwięków i zaśpiewał coś niskim, czułym i przepełnionym bólem głosem.

– Ale co ja wiem? – powiedziała Robin. – Może odezwały się dawne czasy. Co my wiemy o innych? – Potarła oczy. – Niepotrzebnie przyszłam. Nie przemyślałam tego.

– Ciągłe jesteśmy przyjaciółmi.

– Właśnie. Taki był układ, rozstajemy się jako przyjaciele. Odpowiada ci to?

– A jak ty sobie z tym radzisz?

– W porządku. – Wstała. – Będę lecieć, Alex.

– Rzeczy do zrobienia, miejsca do zobaczenia?

Po co przyszła? Potrzebowała ramienia, żeby się wyplakać? Tim miał niesprawne?... Uświadomiłem sobie, że jestem zły, ale też dziwnie zadowolony – wybrała mnie.

– Nic pilnego – powiedziała. – Ale nie powinnam tu być.

– A ja jestem zadowolony, że tu jesteś.

Dlaczego to powiedziałem?

Podeszła do mnie, zmierzwiła mi włosy i pocałowała w czubek głowy.

– Dawno temu poradzilibyśmy sobie z tym, sam wiesz jak.

– Jak?

Uśmiechnęła się.

– Dawno temu zrobilibyśmy zwierzę o dwóch grzbietach. Zawsze tak się kończyło, kiedy mieliśmy jakiś problem.

– Znam gorsze sposoby.

– Na pewno.

Usiadła mi na kolanach i długo się całowaliśmy. Dotknąłem jej piersi. Westchnęła długo, smutno, sięgnęła po mnie. Zatrzymała się.

– Przepraszam – powiedziała i pobiegła do drzwi.

Wstałem, ale nie poszedłem za nią.

– Nie masz za co.

– Mam, i to za wiele. Następne cudzołóstwo.

– Jak Spike? – Kiedy masz wątpliwości, spytaj o psa.

– W porządku. Możesz wpaść go odwiedzić.

– Dzięki.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Robin odwróciła się gwałtownie.

– Zamówiłem jedzenie. Z restauracji Hunan w Village.

Przyglądała włosy.

– Dobrze.

– Ostre, ale zjadliwe.

Uśmiechnęła się i nacisnęła klamkę. Wyglądający na dwanaście lat Latynos wyciągnął zatłuszczoną, papierową torbę. Podbiegłem do drzwi, wziąłem jedzenie, sięgnąłem do kieszeni po drobne, wyjąłem za dużo i wcisnąłem mu.

– Dzięki, facet – powiedział i zbiegł po schodach.

– Głodna? – spytałem.

– Tylko nie to – odparła i odwróciła się.

Gonitwa myśli.

– Petra jest najlepsza – wykrztusiłem w końcu. – Będzie nad tym pracować.

– Wiem. Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Do widzenia, Alex.

– Zawsze do usług.

Ale to już nie była prawda.

Przez dwa tygodnie podwójnych zmian, których większość zapominała wpisywać jako nadgodziny, Petra powoli dostawała szału, próbując odnaleźć jak najwięcej osób z ostatniej publiczności Baby Boya. Udało jej się dotrzeć zaledwie do paru nazwisk z listy zaproszonych gości – większość nie przyszła – i gapiów, z którymi już rozmawiała. Przesłuchała właściciela Jamy Węży – dentystę z Long Beach – bramkarzy, kelnerki, barmanów, zespół Lee – wynajętych muzyków – i małego, nędznie obutego Jackiego True. Wszystko na próżno.

Próbowała nawet skontaktować się z członkami Tic 439, zespołu, który rozpałił w głowie Baby Boya wizję wielkiego powrotu. I wtedy natknęła się na drugą stronę muzycznego biznesu – kolejno warstwy ochronne, od recepcjonistki szefów wydawnictwa po menedżera zespołu, obłudnego ópuna Beelzebuba Lawrenceca, który po wielu telefonach od Petry wreszcie zniżył się do rozmowy z nią. W tle słyszała łomot muzyki, a Lawrence mówił cicho. Po dwóch minutach Petra ogłuchła i miała dość.

„Tak, Baby Boy był wspaniały”.

„Nie, nie ma pojęcia, kto mógłby chcieć go skrzywdzić”.

„Tak, chłopaki byli napaleni na jamowanie z nim”.

„Nie, nie kontaktowali się od sesji nagraniowej”. – Dodał coś do ich brzmienia, prawda? – spytała Petra.

Kupiła płytę, która okazała się odrzucającą mieszanką płaczących tekstów i męczących, wolnych rytmów. Tylko gitara Baby Boya w dwóch piosenkach, słodka i pięknie brzmiąca, dodawała tej papce wartości muzycznych.

– No, niezły był – stwierdził Beelzebub Lawrence.

Koroner skończył oględziny ciała Baby Boya, ale nikt nie zgłosił się, by je odebrać. Chociaż nie należało to do jej obowiązków, Petra przeprowadziła małe dochodzenie genealogiczne, dzięki któremu dotarła do najbliższej żyjącej krewnej Edgara Raya Lee, ciotki o staro brzmiącym nazwisku Grenadina Bourgcouis.

Wkrótce stało się jasne, że Grenadina Bourgcouis faktycznie jest stara, a do tego szwankuje jej głowa. Telefon wzburzył staruszkę, a Petrę przyprawił o zawroty głowy. Zadzwoiła do Jackiego True i przedstawiła mu sytuację.

– Baby chciał być skremowany powiedział menedżer.

– Mówił o śmierci?

– Wszyscy mówią, nie? Ja się tym zajmę.



Dochodziła czwarta rano w poniedziałek. Petra była zmęczona, ale zbyt zdenerwowana, by spać. Wzięła głęboki oddech, usiadła wygodnie w fotelu i napiła się zimnej kawy z kubka, który stał na biurku od kilku godzin. Kofeina – na pewno ci pomoże na nerwy, bystra dziewczynka.

W pokoju detektywów było spokojnie tylko ona i detektyw drugiego stopnia Balsam, który stukał w klawiaturę starego komputera. Balsam był w wieku Petry, ale zachowywał się jak starzec. Miał też gust muzyczny starego człowieka. Przyniósł radiomagnetofon, który nastawiał na stację nadającą łagodne piosenki. Akurat leciał jakiś hit z lat osiemdziesiątych, nagrany w wersji na harfę i smyczki. Petrze skojarzyło się to z windą w galerii handlowej. Damska odzież sportowa, trzecie piętro...

Przed nią leżały rozłożone notatki o Baby Boyu. Zebrała je i zaczęła układać w segregatorze. Pilnowała, żeby każda strona trafiła na swoje miejsce. Ostrożności nigdy za wiele...

Jaka to różnica? Ta sprawa i tak nie zakończy się w najbliższej przyszłości.

Zadzwonił telefon.

– Connor.

– Detektyw? – spytał męski głos.

– Tak, tu detektyw Connor.

– To dobrze. Mówi posterunkowy Saldinger. Jestem na skrzyżowaniu Western i Franklin i przydałby nam się ktoś od was.

– W czym problem? – spytała Petra.

– Wasza specjalność – odparł Saldinger. – Mnóstwo krwi.

Po niespodziewanej wizycie Robin nasz kontakt ograniczył się do uprzejmych telefonów i e-maili opatrzonych jeszcze bardziej uprzejmymi notatkami. Jeśli musiała porozmawiać o Baby Boyu albo o jakiejś innej ważnej sprawie, znajdowała sobie innego słuchacza.

Zastanawiałem się, czy nie odwiedzić Spike'a. To ja go przygarnąłem, ale całkiem mną wzgardził i zaczął starać się o względy Robin. Nie spieraliśmy się o opiekę nad nim, wiedziałem, jaki będzie wynik. Mimo to od czasu do czasu tęskniłem za jego małą, buldożą mordą, komicznym egoizmem i imponującym łakomstwem.

Może jakoś niedługo...

Od pierwszego telefonu Petry nie słyszałem nic o morderstwie. Kilka tygodni później zauważyłem jej nazwisko w gazecie.

Potrójne zabójstwo na parkingu klubu przy Franklin Boulevard. O trzeciej w nocy samochód pełen Ormian, gangsterów z Glendale, został napadnięty przez rywalizującą bandę z Basi Hollywood. Petra i jej partner – nie znalazłem go detektyw Eric Stahl, aresztowali piętnastolatka, który strzelał, i szesnastoletniego kierowcę... po „długim dochodzeniu”.

„Dłgie” oznaczało prawdopodobnie, że sprawę otwarto wkrótce po śmierci Baby Boya.

Petra poświęciła czas czemuś, z czym dla odmiany mogła sobie dać radę?

Może i tak, ale była zawzięta: porażka nie dałaby jej spokoju.

Przez następne kilka tygodni dużo czasu spędzałem z Allison, pomagałem też dzieciom i zarabiałem pieniądze. Moją uwagę pochłaniała zwłaszcza jedna sprawa – dwuletniej dziewczynki postrzelonej przypadkowo w nogę przez jej czteroletniego brata. Sporo rodzinnych komplikacji, zero łatwych rozwiązań, ale wszystko zdawało się powoli zmierzać ku końcowi.

Przekonałem Allison, żeby wzięła trochę wolnego, i spędziliśmy cztery dni na ranchu San Ysidro w Montecito, rozkoszując się słońcem i wspaniałą pogodą. Kiedy wracaliśmy do L.A., przekonałem się ostatecznie, że świetnie mi idzie na wszystkich frontach.

Dzień po moim powrocie zadzwonił Milo.

– No proszę, słyszę, że ci weselej.

– Ciężko pracowałem, żeby było mi weselej.

– Tylko się nie przepracuj. Nie chciałbym, żebyś zapomniał o ponurych fundamentach naszej znajomości.

– Boże broń. Co sływać?

– Coś zupełnie niewesołego. Mam tu dziwną sprawę, więc naturalnie pomyślałem od razu o tobie.

– Dziwną w jakim sensie?

– Pozornie bez motywu, ale nas, psychologicznych spryciarzy, to przecież nie zmyli, prawda?

Artystka, malarka, zamordowana w noc otwarcia swojej dużej wystawy. W zesłą sobotę. Ktoś ją udusił. Narzędzie cienkie, chropowate, przypuszczalnie metalowy drut z owijką.

– Napaść na tle seksualnym?

– Tak leżały zwłoki, ale brak dowodów gwałtu. Masz czas?

– Dla ciebie zawsze.

Poprosił, żebym poszedł z nim na lunch w Cafe Moghul, indyjskiej restauracji przy Santa Monica, kilka przecznic od posterunku West L.A. Drzwi do lokalu zakrywały skrzące się od brokatu, madrasowe zasłony. Niedaleko wejścia na zakazie parkowania stał nieoznakowany ford LTD, a na jego desce rozdzielczej leżały tanie okulary przeciwsłoneczne. Poznałem je. Należały do Mila.

Ściany w restauracji miały kolor magenty. Obwieszono je tkanymi maszynowo gobelinami, przedstawiającymi wielkookich, ciemnoskórych ludzi i zwieńczone iglicami świątynie. Z głośników dobiegał wysoki, zawodzący śpiew. Powietrze pachniało curry i anyżkiem. Przywitała mnie ubrana w sari kobieta koło sześćdziesiątki.

– Jest tam. – Wskazała na stolik pod ścianą w głębi. Niepotrzebnie, Milo był jedynym klientem.

Przed nim stała litrowa szklanka czegoś, co wyglądało na mrożoną herbatę, i talerz pełen czegoś kanciastego i smażonego. Milo miał pełne usta; pomachał do mnie, nie przestając żuć. Kiedy dotarłem do stolika, podniósł się, otarł tłuszcz z podbródka, przełknął jedzenie wypychające mu policzki jak orangutanowi i uściśnął mi dłoń.

– Zestaw mieszanych przystawek – powiedział. – Często się. Zamówiłem dla nas obu: kurczak tali z ryżem, soczewicą i warzywem. Warzywo to okra. Zazwyczaj wygląda smakowicie... jak obsmarkana grzanka, ale dobrze ją tu robią. Do tego chutney z mango.

– Cześć – odparłem.

Nieśmiała kobieta przyniosła szklankę, naląła mi herbaty i odeszła.

– Zmrożona i przyprawiona, dużo goździków – oświadczył Milo. – Tu też trochę sobie pofolgowałem.

– Jak to miło, kiedy ktoś o ciebie dba.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Sięgnął po trójkątną przystawkę, mruknął „samosa” i spojrzął na

mnie uważnie zmrużonymi jasnozielonymi oczami. Odkąd Robin się wyprowadziła, próbowałem przekonać go, że ze mną wszystko w porządku. Twierdził, że mi wierzy, ale mową ciała dawał do zrozumienia, że na razie wstrzymuje się z ostatecznym osądem.

– Nikt nie dba o biednego detektywa? – zdziwiłem się.

– Sam nie chcę. Za dużo z tym roboty. – Mrugnął.

– Jak leci? – spytałem, głównie po to, żeby nie skupił się na moim samopoczuciu.

– Świat się wali, ale u mnie w porządku.

– Być wolnym strzelcem to wciąż dobry ubaw?

– Tak bym tego nie nazwał.

– A jak?

– Biurokratycznie usankcjonowaną izolacją. Nie wolno mi mieć ubawu. – Wyszczерzył się w grymasie. Wiedziałem, że u niego to uśmiech; ktoś inny mógłby go uznać za oznakę wrogości. Patrzyłem, jak Milo pożera następną przystawkę i popija herbatą.

W zeszłym roku podpadł szefowi policji, zanim ten przeszedł na emeryturę. Udało mu się jednak dobrze pograć i skończył ze stopniem i pensją porucznika, ale bez biurka, które zazwyczaj się z tym wiąże.

Praktycznie wyrzucony z wydziału zabójstw i napadów, dostał własny gabinet bez okien na końcu korytarza – przebudowany pokój przesłuchań, całe kilometry od pozostałych detektywów. Oficjalne stanowisko: oficer uzupełniający. Obowiązki: doprowadzić do wyjaśnienia nierozwiązanych spraw. Ogólnie oznaczało to decydowanie, które stare akta ruszać, a których nie. Plusem tej sytuacji była niezależność. Minusem – brak wsparcia departamentu.

Teraz Milo pracował nad świeżą sprawą. Domyśliłem się, że coś się za tym kryje i wiedziałem, że powie mi o tym, kiedy będzie gotów.

Dobrze wyglądał, a czyste spojrzenie jego oczu świadczyło o tym, że nie pije, tak jak sobie postanowił. Postanowił też zacząć chodzić dla zdrowia na spacer, ale ostatnio za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, narzekał na bolące stopy.

Był ubrany w szorstką, brązową, sportową marynarkę, zdecydowanie za ciężką na kalifornijską wiosnę, białą niegdyś koszulę noniron i zielony krawat w niebieskie smoki. Czarne włosy miał świeżo przycięte, jak zwykle długo u góry, krótko na skroniach. Baki, już śnieżnobiałe, sięgały mu do końców uszu. Nazywał je skunksimi paskami. Oświetlenie restauracji było łagodne dla jego cery, wygładzając głębokie dzioby.

– Artystka nazywała się Juliet Kipper, znana jako Julie – powiedział. – Trzydzieści dwa lata, rozwiedziona, malowała w oleju. Jak to mówią.

– Jak kto mówi?

– Spece od sztuki. Tak właśnie mówią: malarz w olejach, rzeźbiarz w brązie. Obrazy to „sztuki” albo „rzuty”, „robi się” je, bla, bla, bla. Wracając do Julie Kipper: musiała być utalentowana, zdobyła sporo nagród w college’u, zrobiła magistra sztuk pięknych w Szkole Projektów Rhode Island, a wkrótce potem zwróciła na siebie uwagę jednej z nowojorskich galerii. Sprzedała kilka płócien, wyglądało na to, że robi postępy, potem coś jej nie wyszło i wpadła w problemy finansowe. Przeprowadziła się tu siedem lat temu, zarabiała na życie ilustracjami dla agencji reklamowych. Rok temu znów zainteresowała się poważnie sztuką, znalazła sobie galerię, wzięła udział w kilku wystawach zbiorowych i dobrze wypadła. W zeszłą sobotę miała pierwszą własną wystawę, odkąd wyjechała z Nowego Jorku.

– Co to za galeria?

– Nazywa się Światło i Przestrzeń. To spółka, prowadzona przez kilkoro artystów, którzy wystawiają tam głównie własne rzeczy. Popierają też coś, co określają jako wyróżniający się talent, a Julie Kipper została za takowy uznana przez ich komisję recenzencką. Mam wrażenie, że ci ludzie nie zarabiają na życie tworzeniem. Większość z nich ma normalną pracę. Julie musiała zapłacić za przyjęcie – ser, krakersy, tanie wino, tercet jazzowy. Tego wieczoru przez galerię przewinęło się około pięćdziesięciu osób, sześć obrazów dostało czerwone kropki – w artystycznym slangu to oznacza „sprzedane”. Robi się małe, czerwone kropki na karteczkach z tytułami.

– Któryś z właścicieli spółki brzydko pachnie?

– Robią wrażenie miłującej pokój gromadki, o Julie mówili bez wyjątku dobrze, ale kto wie?

Julie. Nazywał ofiarę po imieniu na samym początku śledztwa. Wciągnął się mocno w tę sprawę.

– Co się stało? – spytałem.

– Ktoś napadł ją w damskiej toalecie galerii po zamknięciu wystawy. To małe pomieszczenie, tylko umywalka, toaleta i lustro. Na potylicy miała guza, koroner twierdzi, że uderzenie nie było dość silne, żeby straciła przytomność, ale skóra pękła i na umywalce znalazły się ślady krwi. Koroner przypuszcza, że szarpała się i uderzyła przypadkiem.

– Tylko jej krew?

– Chciałbym mieć tyle szczęścia.

– Szarpanina – powiedziałem. – Julie była duża?

– Drobna. Metr sześćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt pięć kilo.

– Miała skórę pod paznokciami?

– Ani komórki, ale znaleźliśmy talk. Taki, jak sypie się do lateksowych rękawiczek.

– Jeśli to znaczy to, co myślę, ktoś się porządnie przygotował. Jak długo po zamknięciu galerii to się stało?

– Wystawa skończyła się o dziesiątej, Julie została, żeby posprzątać. Pomagała jej jedna z właściolek, CoCo Barnes. Nie podejrzewam jej, bo a) ma siedemdziesiąt parę lat i b) jest wzrostu ogrodowego krasnala. Tuż po jedenastej Barnes poszła do łazienki sprawdzić, co z Julie, i ją znalazła.

– Ma problemy ze słuchem? – spytałem. – Przecież tam była szarpanina.

– To akurat nic dziwnego, Alex. Galeria to duże pomieszczenie, łazienki są na zapleczu, oddzielone grubymi drzwiami prowadzącymi do małego przedsionka i magazynu, do którego można wejść z zaułka za budynkiem. Poza tym same drzwi łazienki też są solidne. Jakby tego było mało, grała muzyka. Nie zespół jazzowy, oni już poszli, ale Julie przyniosła wieżę stereo i taśmy, żeby coś grało, gdy zespół będzie robił przerwy. Włączyła ją, kiedy sprzątała. To zupełnie logiczne, że Barnes nic nie słyszała.

Uśmiechnięta kobieta przyniosła płytkie okrągłe tacki z nierdzewnej stali, na których ustawione były małe, podobne do spodków talerzyki. Ryż basmati, soczewica, sałata, okra, chleb *nan*, kurczak *tandoori*. Sosjerka z sosem mango.

– Niezły wybór, co? – powiedział Milo, biorąc skrzydełko kurczaka.

– Zakładasz, że – morderca dostał się od strony zaułka. Czy zamek w drzwiach był wyłamany?

– Nie.

– Kiedy Julie poszła do łazienki?

– CoCo nie pamięta. Przypomina sobie, że Julie nie było dość długo, zanim poszła sprawdzić. Ale obie byty zajęte sprzątaniami. W końcu sama musiała skorzystać z toalety, poszła na zaplecze, zapukała do łazienki, a kiedy Julie nie odpowiedziała, otworzyła drzwi.

– Drzwi miały zamek?

Pomyślał chwilę.

– Tak.

– Więc morderca postanowił ich nie zamykać.

– Albo zapomniał.

– Ktoś, kto przynosi rękawiczki i zaczaja się na ofiarę, nie zapomniałby.

Milo potarł twarz.

– Dobra, co ci chodzi po głowie?

– Chwalił się – powiedziałem. – Chciał urządzić przedstawienie. Mówiłeś, że ułożył ją w seksualnej pozycji.

– Majtki ściągnięte do kostek, nogi rozłożone, zgięte w kolanach. Żadnych siniaków ani śladów penetracji. Leżała na plecach między sedesem i umywalką. Musiał ją tam wcisnąć, naturalnie nikt by tak nie upadł. – Odgarnął włosy z czoła i zajął się jedzeniem.

– Jaki miała nastrój tego wieczora?

– CoCo Bames twierdzi, że skakała z radości, bo dobrze jej poszło.

– Sprzedała sześć z piętnastu obrazów.

– Najwyraźniej to świetny wynik.

– Skakała z radości – powtórzyłem. – Ze wspomaganiami czy bez?

Odłożył widelec.

– Czemu pytasz?

– Powiedziałeś, że kariera Julie przygasła po początkowym sukcesie. Zastanawiam się, czy nie stanęły jej na drodze jakieś nałogi.

Wziął to, co zostało ze skrzydełka, przyjrzał się i zaczął chrupać kostki. Musiał je pogryźć dość drobno, żeby połknąć, bo nic nie wypluł.

– Tak, miała problemy. Skoro taki jesteś dobry, doktorze Jasnowidz, może masz dla mnie jakieś cenne rady?

– Trzymaj pieniądze w materacu.

– Dzięki... tak, jeszcze w Nowym Jorku wpadła w kokainę i alkohol. Mówiła o tym otwarcie, wszyscy jej koledzy artyści o tym wiedzieli. Ale ludzie, z którymi rozmawiałem do tej pory, zgodnie twierdzą, że z tego wyszła. Przeszukałem osobiście jej mieszkanie i najbardziej uzależniającą rzeczą, jaką znalazłem w jej apteczce, był midol. Najmocniejszym środkiem w jej organizmie w noc, kiedy zginęła, była według koronera aspiryna. Więc wychodzi na to, że naprawdę skakała z radości.

– Aż ktoś ściągnął ją na ziemię. I dokładnie zaplanował upadek. Ktoś, kto znał galerię na tyle dobrze, by wiedzieć, że łazienka jest raczej bezpiecznym miejscem do załatwienia sprawy. Czy coś wskazuje na to, że Julie umówiła się z kimś po wystawie?

– Nikomu o niczym takim nie wspominała, a w kalendarzu nie było żadnych innych wpisów.

– Seksualna pozycja, ale nie gwałt. Możliwe, że ktoś chciał, żeby to tak wyglądało.

– Też mam takie wrażenie. Cała ta cholerna sprawa jest zbyt dokładnie przemyślana, jak na zwykły gwałt i morderstwo.

– Prawie jak dzieło sztuki – powiedziałem. – Performance.

Zacisnął zęby.

– Dlaczego się w to zaangażowałaś? – spytałem.

– Przysługa osobista. Jej rodzina знаła moją rodzinę jeszcze w Indianie. Jej ojciec pracował w hucie z moim. Był jednym z podwładnych taty. Nie żyje, matka Julie też, ale brat ojca, stryj Julie, przyleciał zidentyfikować ciało, skontaktował się ze mną i poprosił, żebym się tym zajął. Osobiste powiązanie ze sprawą to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, ale co miałem zrobić? Facet traktował mnie tak, jakbym był jakimś pieprzonym Sherlockiem Holmesem.

– W Indianie jesteś sławny.

– To dopiero powód do radości – mruknął, nadział na widelec kawałek okry, rozmyślił się i strząsnął maziowatą plątaninę z powrotem na talerz.

– Znaleźliście ten drut?

– Nie, koroner wnioskował z ran na szyi. Drut przeciął skórę, ale morderca go wyjął. Przeczesał okolicę, ale nic nie znaleźliśmy.

Jeszcze jeden dowód, że dokładnie to zaplanował – powiedziałem. – In jakiś bystry gość.

Będziemy mieli ubaw po pachy.



Skończyliśmy jeść, wsiedliśmy do mojego samochodu, a Milo pokazał mi drogę do Światła i Przestrzeni na Carmelina, niedaleko Pico. Znałem te okolice: magazyny, warsztaty samochodowe i małe fabryczki, kawałek od zachodniej granicy L.A. i Santa Monica. Gdyby Julie Kipper została uduszona kilka przecznic dalej, jej stryj nie miałby u Mila czego szukać.

Kiedy prowadziłem, Milo bawił się wykałaczką, którą trzymał między wskazującymi palcami obu dłoni, i spojrzeniem gliniarza obserwował świat za oknem.

– Trochę czasu minęło, odkąd ostatnio to robiliśmy, co?

W ciągu ostatnich kilku miesięcy spotykaliśmy się coraz rzadziej. Mówiłem sobie, że Milo jest zawalony starymi aktami, a ja mam za dużo pracy. Oszukiwałem się. Obaj się unikaliśmy.

– Pewnie miałeś za mało dziwnych spraw.

– Żebyś wiedział – odparł. – Tylko zwyczajne, a zwyczajnymi nie zawracam ci głowy. – Nagle spytał: – U ciebie wszystko w porządku? Tak ogólnie?

– Nie narzekam.

– To dobrze..... Przecznice dalej dodał:..... A więc... wszystko z Allison... układa wam się?

– Allison jest cudowna.

– No to świetnie. – Podłubał sobie w zębach, nic przestając obserwować ulicy.

Jego pierwsze spotkanie z Allison było czysto zawodowe: zamykał sprawę Ingalls. Powiedziała mi, że był taktowny i współczujący.

Jego pierwszą reakcją na wiadomość, że się spotykamy, było milczenie. Polem: „Jest śliczna, to ci muszę przyznać”.

A czego mi nie przyznasz? pomyślałem. Później doszedłem do wniosku, że jestem za bardzo drażliwy, i zamknąłem gębę na kłódkę. Kilka tygodni potem, w łagodny marcowy wieczór, przygotowałem w domu kolację dla czworga: steki, pieczone ziemniaki i czerwone wino na tarasie. Milo i Rick Silyerman, Allison i ja.

Zaskoczyło mnie, że Rick i Allison się znają. Jeden z jej pacjentów trafił na ostry dyżur w Cedars-Sinai po wypadku samochodowym, a dyżurnym chirurgiem był akurat Rick.

Oni rozmawiali, ja bawiłem się w gospodarza, Milo jadł i szczekał sztuczkami. Pod koniec wieczoru odciągnął mnie na bok.

– Miła dziewczyna, Alex. Nie, żebyś potrzebował mojej aprobaty. – Brzmiało to tak, jakby ktoś

kazał mu to powiedzieć.

Od tamtej pory rzadko o niej wspominał.

– Jeszcze kilka przecznic – powiedział. – Co z psem?

– Słyszałem, że w porządku.

Chwilę później dodał:

– Robin i ja spotkaliśmy się kilka razy na kawie.

Niespodzianka.

– Nie ma w tym nic złego – rzuciłem.

– Jesteś wściekły.

– Dlaczego miałbym być wściekły?

– Mówisz, jakbyś był wściekły.

– Nie jestem wściekły. Gdzie skręcić?

– Jeszcze dwie przecznice, potem w prawo. Dobra, sklejam jadaczkę na superglue. Chociaż przez tyle lat powtarzałeś mi, że powinienem wyrażać to, co czuję.

– I wyrażaj.

– Ten jej facet...

– On ma imię. Tim.

– Tim to pierdoła.

– Odpuść sobie, Milo.

– Odpuść co?

– Fantazjowanie.

– Ja tylko...

– Kiedy się z nią widziałeś, usychała z tęsknoty za mną?

Milczenie.

– Hej.

– Tu w prawo?

– Tak.

Ze Światłem i Przestrzenią sąsiadowały drukarnia i hurtownia plastikowych tabliczek. Od razu rzuciło się w oczy, że galeria na początku służyła za magazyn: ceglane ściany, smołowany dach, zamiast witryny troje stalowych, spuszcanych drzwi. Nad środkowymi widniały czarne plastikowe litery układające się w napis ŚWIATŁO I PRZESTRZEŃ. DOM SZUKI. Zewnętrzne drzwi zabezpieczono solidnymi zamkami szyfrowymi, środkowe jednak zamykały się tylko na zapadkę, która ustąpiła pod kluczem Mila. Pchnął je, a metalowy panel wsunął się w prowadnice nad wejściem.

– Dali ci klucz? – spytałem.

– Dobrze mi patrzy z oczu – odparł, wchodząc do środka i zapalając światła.

Wnętrze miało jakieś czterysta-pięćset metrów kwadratowych. Ściany pomalowano na waniliowo-biało, kolor, który wydobywa ze sztuki to, co najlepsze. Betonowa podłoga była goła, pod sufitem na wysokości siedmiu metrów biegły przewody wentylacyjne, halogeny skierowano na kilka dużych płócien bez ram.

Jedynym meblem w sali było biurko przy wejściu, leżały na nim broszury i odtwarzacz CD. Na najbliższej ścianie wisiał napis, ułożony z takich samych czarnych, plastikowych liter jak ten na zewnątrz.

JULIET KIPPER

PRZESTRZEŃ I OBRAZ

Taka sama informacja na broszurach. Wziąłem jedną, przejrzałem kilka akapitów slangu artystycznego i przewróciłem stronę na czarno-białe zdjęcie malarki.

Juliet Kipper pozowała do niego w czarnym golfie i bez biżuterii; wydawała się trupioblada na szarym, matowym tle. Kanciasta niebrzydka twarz, postrzępione, platynowe blond włosy. Jasne oczy, głęboko osadzone i czujne, zdawały się wyzywać fotografa spojrzeniem. Usta wykrzywiały się w ponurym grymasie. Krótka, nierówna grzywka odsłaniała zmarszczone czoło; zmarszczone w skupieniu, a może ze zmartwienia. Juliet bardzo starała się wyglądać na nieszczęśliwego artystę, a może wyszło jej to naturalnie.

Po galerii niosło się echo kroków Mila, przechodzącego od obrazu do obrazu. Ja też zacząłem je oglądać.

Gdyby ktoś chciał wnioskować o sztuce Julie Kipper na podstawie jej ponurej fotografii, myliłby się całkowicie. Stworzyła piętnaście świetlistych krajobrazów, tryskających kolorami i emanujących mistrzowskim opanowaniem sztuki kompozycji i światłocienia.

Uśpione parowy, otulone mgłą, poszarpane góry, rozszalałe wodospady i strumienie gładkie jak lustro, ciemnozielone lasy, smugami złotego blasku zwiastujące wspaniałe odkrycia. Dwa obrazy nocnego oceanu ożywiało ciemnoniebieskie niebo i cytrynowożółte światło księżyca, zamieniające przybój w pianę. Na wszystkich płótnach znać było pewną rękę kogoś, kto wie, jak posługiwać się farbami. Warstwy kolorów zdawały się fosforyzować; komuś mniej utalentowanemu wyszedłby z tego kicz dla turystów.

Ceny sięgały od dwóch do czterech tysięcy. Przyjrzałem się płótnom drugi raz, szukając znajomych miejsc, ale żadnych nie znalazłem. Przeczytałem kartki z tytułami: *Sen I, Sen II, Sen III...*

Juliet Kipper sama tworzyła swoje krajobrazy.

– Na moje oko miała wybitny talent – powiedziałem.

Mój głos poniósł się echem po prawie pustej sali.

– Dla mnie też te obrazy są piękne, ale ja się nie znam – stwierdził Milo. – Chodź, pokażę ci, gdzie zginęła.

Toaleta była za mała dla nas dwóch, więc Milo zaczekał na zewnątrz, a ja obejrzałem brudną podłogę, na której umarła Juliet Kipper.

Paskudna, wilgotna klita bez okien. Popękana umywalka, kurki z nierdzewnej stali, w rogach czarne pasma pleśni.

W tym brudzie pewnie bym nie zauważył niewyraźnych, brązowych smug na betonowej podłodze, gdybym nie wiedział, że tam są.

Wycofałem się z toalety, a Milo pokazał mi resztę zaplecza. Duży magazyn po lewej był zapełniony obrazami bez ram, artykułami biurowymi i przypadkowymi tandetnie wyglądającymi meblami. Męska toaleta nie była ani większa, ani przyjemniejsza.

Tylne drzwi galerii zamykały się na zasuwę.

– Następny zamek – powiedziałem. – Kolejna rozmyślna próba sprowokowania odkrycia.

– Ekshibicjonista.

– Ale opanowany. Ktoś bardzo zrównoważony.

Milo odciągnął zasuwę, zablokował drzwi leżącym tam właśnie po to kawałkiem drewna i wyszliśmy do zaułka. Naprzeciw nas wznosił się trzymetrowy, ceglany mur. W rogu stał kontener na śmieci.

– Co jest za murem?

– Parking sklepu z artykułami żelaznymi. Po ich stronie grunt jest wyższy, może o metr, ale i tak

trzeba by się wspinać. Zresztą morderca nie musiałby tego robić, bo mógł po prostu wejść.

Milo poprowadził mnie wzdłuż północnej ściany galerii i pokazał następny asfaltowy zaułek, oddzielający budynek od drukarni i wychodzący na ulicę. Z drukarni bił straszliwy smród.

– Raczej nie mają tu solidnych zabezpieczeń – stwierdziłem.

– A po co one gromadzie artystów?

Wróciliśmy do otwartych drzwi, a ja dokładniej przyjrzałem się zamkowi.

– Ten sam klucz, co od frontowych?

– Aha.

– Zakładam, że wszyscy członkowie spółdzielni go mają.

– To, jak ten ktoś się tu dostał, to nie tajemnica, Alex. Tajemnica to motyw. Już rozmawiałem ze wszystkimi członkami spółdzielni i żaden z nich nawet przez chwilę nie wydał mi się podejrzany. Na dwadzieścia osób czternaście to kobiety, a z sześciu facetów trzech jest w wieku CoCo. Młodszy robią wrażenie typowych artystów z głowami w chmurach. Uprawiają sztukę zamiast wojny i tak dalej. Nikt się nie wykręcał. Zresztą i tak ich wszystkich sprawdziłem. Czysto. Za często wychodziłem na idiotę, żeby myśleć, że to się już nie powtórzy, ale ich raczej bym nie podejrzewał.

Weszliśmy z powrotem do galerii, a ja znów przyjrzałem się obrazom Julie Kipper.

Piękne.

Nie byłem pewien, czy to coś znaczy w świecie sztuki, ale znaczyło dla mnie i poczułem wzruszenie.

– Kiedy się rozwiodła? – spytałem.

– Dziesięć lat temu. Trzy lata przed sprowadzeniem się tutaj.

– Kim jest jej były?

– Nazywa się Everett Kipper – powiedział Milo. – Też był kiedyś artystą ale zmienił zawód. Poznali się w Rhode Island.

– Zatrzymała nazwisko.

– Julie mówiła wszystkim, że rozstali się po przyjacielsku. Kipper był na wystawie. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że oboje wyglądali na przyjaciół.

– Jaki wybrał zawód?

– Maklera.

– Od sztuki do finansów... Płaci alimenty?

– Na jej konto co miesiąc wpływały dwa tysiące, a innych środków utrzymania nie miała.

– Więc skoro umarła, facet oszczędza dwadzieścia cztery tysiące rocznie.

– Jasne, jak każdy małżonek jest pierwszym podejrzanym – powiedział Milo. – Spotkam się z nim za godzinę.

– Jest stąd?

– Mieszka w South Pasadena, pracuje w Century City.

– Dlaczego dopiero teraz się z nim umawiasz?

– Bawiliśmy się w berka przez telefon. Jadę tam, jak tu skończymy. – Dotknął węzła krawata. – Wyglądam dość biznesowo jak na Aleję Gwiazd?

– Wolałbym nie mieć nic wspólnego z takim biznesem.

Kiedy wróciliśmy do seville'a, pod galerię podjechał stary volkswagen furgonetka. Na tylnym zderzaku miał naklejkę CHRON MOKRADŁA, wyżej SZTUKA TO ŻYCIE. Za kierownicą siedziała, ledwie nad nią wystając, drobna siwowłosa kobieta. Z fotela pasażera wyglądał żółtobrązowy pies. Kobieta zamachała.

– Juhu, panie detektywie!

– Dzień dobry, panno Barnes – przywitał się Milo. – Co słychać? – Przedstawił mnie CoCo Barnes, a ona uściśniła mi dłoń czymś, co w dotyku przypominało wróblą łapkę.

– Przyjechałam sprawdzić, czy nie mieliście panowie jakichś problemów z wejściem. – Barnes zerknęła na front galerii. Pies nie ruszył się z miejsca, patrzył tępo i zaciskał szczęki. Był wielki, pysk miał posiwiały, a w futrze kawałki suchych liści.

Zaryzykowałem i poczochrąłem go. Polizał mnie po rękę.

– Weszliśmy bez problemu – odparł Miło.

– Skończyliście już tu? – Głos CoCo Barnes był zgrzytliwy, niemal irytujący, łagodził go jedynie południowy akcent. Wyglądała na siedemdziesiątkę. Siwe włosy miała obcięte bardzo krótko. Szare oczy – bystrzejsze niż psa, ale też nieco przymglone – uważnie mi się przyjrzały.

– Jak się wabi? – spytałem.

– Lance.

– Miły pies.

– Jeśli kogoś lubi. – CoCo Barnes odwróciła się do Mila. – Jakież postępy w sprawie Julie?

– Śledztwo dopiero się zaczęło, proszę pani.

Staruszka zmarszczyła czoło.

– Gdzieś słyszałam, że jeśli nie uda wam się czegoś rozwiązać szybko, to prawdopodobnie nie uda się nigdy.

– To nie takie proste, proszę pani.

CoCo Barnes poczochnęła Lance'a po karku.

– Cieszę się, że panów złapałam, nie będę musiała dzwonić. Pamięta pan, jak prosił mnie, żebym przypomniawszy sobie, czy coś niezwykłego nie zdarzyło się w sobotę wieczór, a ja powiedziałam, że nie, że to była zwyczajna wystawa? Myślałam o tym i jednak coś sobie przypomniawszy. Nie wieczorem i nie podczas wystawy, ściśle rzecz biorąc. I nie jestem pewna, czy właśnie o to panu chodzi.

– Co się stało? – spytał Milo.

– To było przed wystawą – powiedziała Barnes. – Tego samego dnia, koło drugiej po południu. Julie nawet tu jeszcze nie było, tylko ja i Lance. Był też Clark Van Alstrom, ten, od aluminiowych instalacji?

Milo kiwnął głową.

– Przeprowadziłam Clarka, bo sama nie dam rady unieść tych metalowych drzwi – wyjaśniła CoCo Barnes. – Kiedy już weszłam, Clark sobie poszedł, a ja zaczęłam wszystko rozstawiać. Upewniałam się, że wszystko jest w porządku... kilka miesięcy temu mieliśmy awarię prądu. Katastrofa. – Uśmiechnęła się. – Zwłaszcza że artysta pracował w neonach... W każdym razie, sprawdzałam wszystko i usłyszałam, że Lance szczeka. To się nie zdarza często. To bardzo spokojny pies.

Uśmiechnęła się do niego. Lance zamruczał zadowolony.

– Postawiłam mu z tyłu miskę z wodą w korytarzu, niedaleko miejsca, gdzie Julie... koło łazienek, ale zostawiłam otwarte drzwi do przedsionka i słyszałam, jak szczeka. Nie idzie mu to już najlepiej, ma czternaście lat i ze strun głosowych za wiele mu nie zostało. Bardziej kaszle. – Zademontrowała szczekanie Lance'a. Pies spojrzał na nią ale się nie poruszył. – Szczekał i szczekał, nie przestawał, więc poszłam zobaczyć, co się dzieje. Kiedy weszłam do przedsionka, skakał na drzwi. Pomyślałam, że może usłyszał szczurą, mieliśmy problem ze szczurami kilka sezonów temu, wystawa skończyła się katastrofą gdzie jest szczurołap z Hamelin, kiedy jest potrzebny... na czym to ja... ach, tak, otworzyłam drzwi, wyrzalam, ale nie zobaczyłam żadnego szczura. Była tam za to kobieta. Grzebała w śmieciach. Bezdomna i raczej nienormalna.

– Nienormalna w sensie wyglądu? – spytał Milo.

– Nienormalna w sensie chora umysłowo. Nienawidzę takich uogólnień, lecz czasem ułatwiają zrozumienie. Była szalona jak przysłowiowy kapelusznik.

– Poznała to pani po...

– Choćby po oczach. Dzikich oczach, przestraszonych. Cały czas skakały. – Próbowала to zademonstrować swoimi szarymi gałkami, ale poruszały się dość leniwie. Zamrugala kilka razy, jakby chcąc je oczyścić, odwróciła się do Lance'a i podrapala go za uchem. – Spokojnie, dobry piesek... Do tego to, jak była ubrana: niedopasowane, za duże, za grube, jak na tę pogodę. Mieszkałam w Venice przez pięćdziesiąt trzy lata, detektywie. Widziałam dość umysłowo chorych, żeby ich poznawać. Poza tym, oczywiście, grzebała w śmieciach. Kiedy drzwi się otworzyły, odskoczyła do tyłu, straciła równowagę i prawie upadła. Tak się bała. Powiedziałam: „Zaczekaj tu, przyniosę ci coś do jedzenia”. Ale ona uniosła rękę do ust, zagryzła palce i uciekła. Często to robią wie pan? Odmawiają jedzenia. Niektórzy nawet stają się agresywni, kiedy im się je zaproponuje. W głowach bełkoczą im głosy i każą robić nie wiadomo co. Czy można ich winić za to, że są nieufni? – Poglaskała psa. – To pewnie nic takiego, ale ze względu na to, co stało się z Julie, nie sądzę, żeby można było cokolwiek lekceważyć.

– Nie można, proszę pani. Co jeszcze może mi pani powiedzieć o tej kobiecie? – spytał Milo.

Oczy staruszki rozblęły.

– A więc myśli pan, że to coś ważnego?

– Na tym etapie wszystko jest ważne. Doceniam, że mi pani o tym powiedziała.

– To dobrze. Bo niewiele brakowało, a bym nie powiedziała. To była kobieta, a ja zakładałam, że to mężczyzna zabił Julie, po tym, jak była... – Zacisnęła mocno powieki, potem otworzyła je i zamrugala. – Cały czas nie mogę zapomnieć tego widoku... Nie, żeby ta kobieta nie dała rady obezwładnić Julie. Była wielka, mogła mieć z metr osiemdziesiąt. I mocno zbudowana. Chociaż trudno powiedzieć dokładnie, bo miała na sobie tyle ubrań. I stałyśmy naprzeciw siebie może przez sekundę.

– Grubokoścista – zasugerował Milo.

– Kanciasta, prawie jak mężczyzna.

– Czy to mógł być mężczyzna przebrany za...

Barnes zaśmiała się.

– Nie, nie, to na pewno była kobieta. Ale duża. O wiele potężniejsza od Julie. Co nasuwa mi pewną myśl. To wcale nie musiał być mężczyzna, prawda? Zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z kimś niespełna rozumu.



Milo wyjął notes.

– W jakim wieku była według pani?

– Chyba około trzydziestu paru lat, ale zgaduję, bo taka nędza... bezdomność, choroba umysłowa... zmienia i trudno określić wiek, prawda?

– W jakim sensie, proszę pani?

– Chodzi mi o to, że tacy ludzie wszyscy wyglądają na starych i niedołączonych, okrywa ich rozpacz. Ale ona zachowała jakoś trochę młodości, dostrzegłam ją pod brudem. Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć. Jeśli chodzi o inne szczegóły – CoCo Barnes odgięła palec i zaczęła wyliczać: – miała na sobie grubą wojskową kurtkę, pod spodem czerwono-czarnobiałą flanelową koszulę i niebieską bluzę z napisem UCLA. UCLA dużymi, białymi literami, brakowało połowy C. Na nogach grube, szare spodnie od dresu, a pod nimi przynajmniej jeszcze jedną parę innych. Białe, wiązane tenisówki. Czarny słomkowy kapelusz o szerokim rondzie na głowie. Rondo było z przodu postrzępione. Włosy upchnęła pod kapelusz, ale trochę się wysunęło i były rude. I kręcone. Rude, kręcone włosy. Do tego warstwa brudu i mniej więcej ma pan pełny obraz.

Milo notował.

– Widziała ją pani wcześniej?

– Nie – odparła Barnes. – Nie na chodniku ani w zaułkach Venice, ani w Ocean Front Park, ani nigdzie indziej, gdzie widuje się bezdomnych. Może nie jest stąd.

– Pamięta pani coś jeszcze z tego spotkania?

– To nie było spotkanie, detektywie. Otworzyłam drzwi, ona się przestraszyła, zaproponowałam jej jedzenie, ona uciekła.

Milo przyjrzał się swoim notatkom.

– Ma pani świetną pamięć.

– Szkoda, że mnie pan nie znał kilka lat temu. – Staruszka postukała się w czoło. – Przyzwyczaiałam się do robienia zdjęć oczami. My artyści oglądamy świat przez obiektyw. – Dwa szybkie mrugnięcia. – Gdybym nie stchórzyła przed operacją katarakty, widziałabym jeszcze lepiej.

– Mam do pani prośbę: czy mogłaby pani narysować tę kobietę? Jestem pewien, że byłoby to o wiele lepsze niż coś, co zrobiłby nasz policyjny rysownik.

Barnes, zaskoczona, starała się ukryć uśmiech.

– Nie rysowałam już od jakiegoś czasu. Parę lat temu przerzuciłam się na ceramikę, ale jasne, dlaczego nie? Zrobię to i zadzwonię do pana.

– To bardzo miło z pani strony.

– Obowiązek obywatelski i tak dalej – odparła Barnes. – Wszystko za jednym zamachem.

– Poważnie o tym myślisz? – spytałem, kiedy wracaliśmy do Cafe Moghul.

– A ty nie?

– CoCo Barnes ma katarakty, więc kto wie, co naprawdę widziała. Cały czas myślę, że to morderstwo było zaplanowane przez kogoś inteligentnego. Kogoś zdrowo myślącego. Ale to tylko wrażenie.

Milo zmarszczył czoło.

– Żeby odnaleźć tę rudą trzeba dotrzeć do patroli, które jeżdżą tam, gdzie są bezdomni, dogadać się z opieką społeczną i schroniskami. A jeśli Barnes ma rację i ruda nie jest stąd, nie mogę się ograniczać do Westside.

– Sytuacja ma jeden plus – powiedziałem. – Ruda, kędzierzawa kobieta metr osiemdziesiąt wzrostu rzuca się w oczy.

– Załóżmy, że ją znajdę, co wtedy? Będę miał wariatkę, która grzebała w śmietniku w zaułku na pięć godzin przed śmiercią Julie. – Pokręcił głową. – Czy myślę o tym poważnie? Nie bardzo.

Przecznicę dalej dodał:

– Z drugiej strony...

– Co?

– Jeśli szybko nie znajdę czegoś innego, nie będę mógł sobie pozwolić na zlekceważenie tego, co mam.

Zatrzymałem się przed restauracją. Pod wycieraczką wozu Mila tkwił złożony mandat.

– Chcesz poznać Everetta Kipperera? – spytał Milo.

– Jasne.

Spojrzał na mandat.

– Ty prowadzisz. Skoro to nie mój samochód, to nie mam zamiaru ruszać się z fotela pasażera.

– Czy miasto zwróci mi koszt?

– Och, oczywiście. Prześlę ci kurierem paczkę głębokiej wdzięczności.

Everett Kipper pracował w firmie MuniScope, na dwudziestym piętrze wieżowca ze stali i betonu przy Alei Gwiazd, na południe od małej Santa Monica. Opłaty za parking były wysokie, ale odznaka Mila zrobiła wrażenie na parkingowym i wjechałem seville'em za darmo.

Hol budynku był wielkości małego stadionu. Obsługiwało go dwanaście wind. Pojechaliśmy na górę, nie odzywając się do siebie. Recepcja MuniScope była owalna, ściany pokrywała jasna, klonowa boazeria. Na miękkiej wykładzinie stały szafranowe, skórzane fotele. Na widok odznaki Mila sztywna recepcjonistka wyraźnie się zaniepokoiła. Po chwili zapanowała nad sobą i spróbowała zatrzeć pierwszą reakcję szerokim uśmiechem.

– Już go zawiadamiam, panowie. Podać coś do picia? Kawa, herbata, sprite, dietetyczna cola?

Odmówiliśmy i zapadliśmy się w objęcia żółtopomarańczowej skóry. Miękkie poduszki i brak kątów owalnego pomieszczenia sprawiły, że czułem się jak pisklak w luksusowym jajku.

– Mięciutko – mruknął Milo.

– Klient ma być zrelaksowany – powiedziałem. – To działa. Jestem gotów rozbić dzióbkiem skorupkę i coś kupić.

Zza wypukłej ściany wyszedł mężczyzna w czarnym garniturze.

– Panowie detektywi? Ev Kipper.

Były Julie był szczupłym mężczyzną o mocnym głosie, lekko posiwiałych, krótko obciętych blond włosach i gładkiej, okrągłej twarzy podstarzałego urwisa. Około czterdziestki, metr siedemdziesiąt pięć, na oko siedemdziesiąt pięć kilo. Sprężysty krok sugerował, że Kipper albo dużo ćwiczył, albo tańczył w balecie. Miał na sobie zapinany na cztery guziki garnitur, szyty na miarę, do tego błękitną koszulę, złoty krawat, złote spinki do mankietów i złoty zegarek. Jego wypielęgnowane dłonie były gładkie i duże. W jego uścisku poczułem powstrzymywaną siłę. Ręce suche. Piwne oczy nie unikały mojego spojrzenia. Delikatna opalenizna świadczyła o uprawianych sportach albo solarium.

– Wejdzmy i porozmawiajmy – powiedział bez śladu niepokoju pewnym siebie barytonem. Jeśli zamordował swoją byłą żonę, był psychopatą jak cholera.

Zaprowadził nas do pustej sali konferencyjnej z widokiem na miasto. Wykładziny i ściany miały kolor ostryg, a czarny granitowy stół był dość wielki, by mogło stać wokół niego trzydzieści krzeseł, neobiedermeierów. Usiedliśmy we trójkę przy jego końcu.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – powiedział Kipper. – Jak mogę panom pomóc?

– Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć o pana byłej żonie? – spytał Milo. – Coś, co pomogłoby nam dowiedzieć się, kto ją udusił?

Podkreślił słowa „żona” i „udusił”, przyglądając się uważnie twarzy Kipperera.

– Dobry Boże, nie. Julie była cudowną osobą.

– Utrzymywaliście państwo ze sobą kontakt, mimo że rozwiedliście się dziesięć lat temu.

– Życie poprowadziło nas w przeciwnie strony, ale pozostaliśmy przyjaciółmi.

– Inne strony zawodowe?

– Tak – powiedział Kipper.

Milo usiadł wygodniej.

– Ożenił się pan ponownie?

Kipper się uśmiechnął.

– Nie, wciąż szukam tej jedynej.

– Pana ekszona nianie była.

– Julie żyła sztuką. Ja przegryzaniem się przez prospekty obligacji. Zaczęliśmy w tym samym miejscu, ale pod koniec dzieliło nas już zbyt wiele.

– Studiował pan malarstwo w Rhode Island?

– Rzeźbę. – Kipper dotknął tarczy zegarka, cienkiego jak dziesięciocentówka i z widocznym mechanizmem. Na krawędzi cztery brylanty, pasek z krokodylej skóry. Spróbowałem określić, ile obrazów musiałaby sprzedać Julie Kipper, żeby było ją na taki stać.

– Wygląda na to, że przyjrzał się pan bliżej mojemu życiorysowi, detektywie.

– Dowiedzieliśmy się o państwa małżeństwie, rozmawiając z ludźmi, którzy ją znali, proszę pana. Sporo osób wie o pana artystycznych początkach.

– Ci ze Światła i Przestrzeni? – spytał Kipper. – Żałosna zgraja.

– Dlaczego, proszę pana?

– Dużo mówią, mało robią.

– Dużo mówią?

– Nazywają samych siebie artystami. – W głosie Kipperera pojawiła się nowa nuta. – Julie naprawdę była artystką, oni nie. Ale to się odnosi do całego świata sztuki. Nie ma ustalonych kryteriów, to nie to samo, co być chirurgiem. Zawsze jest w tym sporo pretensjonalności. – Spojrzał na swoje wielkie dłonie o kwadratowych palcach i lśniących paznokciach. Zadbane dłonie. Trudno

było sobie wyobrazić, jak operują dłutem, a spojrzenie Kipperera zdradzało, że o tym wie. – Tak było ze mną.

– Udawał pan kogoś, kim nie był? – spytał Milo.

– Przez jakiś czas. Potem sobie darowałem. – Kipper się uśmiechnął. – Byłem do niczego.

– Był pan dość dobry, żeby dostać się do Szkoły Projektów Rhode Island.

– No właśnie – odparł. Z jego głosu opadła kolejna warstwa jedwabiu. – Tak jak powiedziałem, nie istnieją żadne kryteria. Julie i ja mieliśmy ze sobą tyle wspólnego, że oboje wygrywaliśmy nagrody w liceum i na studiach. Różnica polegała na tym, że ona na swoje zasłużyła. Ja zawsze czułem się jak oszust. Nie twierdzę, że zupełnie nic nie potrafię. Umieć zrobić z drewnem i brązem rzeczy, których przeciętny człowiek nie umie. Ale od tego do prawdziwej sztuki jeszcze daleka droga. Byłem dość mądry, żeby zdać sobie z tego sprawę i zająłem się czymś bardziej dla mnie odpowiednim.

Milo rozejrzał się po sali.

– Znajduje pan w tym jakąś artystyczną satysfakcję?

– Żadnej – odparł Kipper. – Ale zarabiam krocie i folguję swoim marzeniom w niedziele, w domowej pracowni. Większość moich dzieł nie wychodzi nawet ze stadium gliny. Rozwalanie ich to prawie katharsis.

Mówił spokojnie, ale trochę poczerwieniał.

– Co sądziła o tej zmianie zawodu pana była żona? – spytał Milo.

– Uplętnęło tyle lat, jakie to może mieć znaczenie?

– W tej chwili wszystko ma znaczenie, proszę pana. Proszę się nie niecierpliwić.

– Co sądziła? Była wściekła, próbowała mnie odwieść od tego pomysłu. Co sporo mówi o jej sposobie myślenia. Żyliśmy jak nędzarze w norze na Lower East Side, chwytałyśmy się dorywczych zajęć. Julie próbowała sprzedawać przez telefon prenumeraty pism, a ja byłem gospodarzem naszego budynku, żeby zarobić na czynsz. Kiedy zająłem się finansami, po raz pierwszy mogliśmy liczyć na stały dochód. I to niewielki. Na początku byłem chłopcem od wszystkiego w Morgan Stanley, pracowałem za grosze. Ale nawet to był awans. Było nas wreszcie stać na jedzenie. Ale Julie miała to gdzieś. Ciągle na mnie wrzeszczała: masz talent, a się sprzedałeś. Myślę, że mi tego nie wybaczyła dopóki nie sprowadziła się tu, nie odnalazła mnie i nie odnowiliśmy znajomości. Wtedy zobaczyłem, że jest naprawdę szczęśliwa.

– Pan pierwszy się tu sprowadził.

– Rok przed Julie. Po rozwodzie.

– A ona pana odszukała.

– Zadzwoiła do mnie do biura. Była w dołku, przybiło ją to, że nie udało jej się w Nowym Jorku, że musiała rysować głupie reklamówki do gazet. Była też spłukana. Pomogłem jej stanąć na nogi.

– Oprócz alimentów.

Kipper westchnął.

– To nic wielkiego. Jak mówiłem, bardzo dobrze mi się powodzi.

– Niech mi pan to ułoży w czasie – powiedział Milo. – Małżeństwo, rozwód i tak dalej.

– Mam podsumować całe życie w jednym zdaniu, tak?

– W kilku zdaniach, proszę pana.

Kipper rozpiął marynarkę.

– Poznaliśmy się wkrótce po tym, jak dostałem się do Rhode Island. Od razu między nami zaiskrzyło, po tygodniu zamieszkaliśmy razem. Skończyliśmy szkołę i przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku. Tam wzięliśmy ślub, czternaście lat temu. Cztery lata później: rozwód.

– Jakiego rodzaju kontakty utrzymywał pan ze swoją byłą żoną po rozwodzie? – Milo unikał używania imienia Julie w obecności Kipperera. Kładł nacisk na przerwany związek.

– Okazjonalne telefony, jeszcze rzadsze kolacje.

– Przyjacielskie telefony?

– Raczej tak. – Kipper potarł zegarek. – Wiem, do czego pan zmierza. Proszę bardzo. Koledzy mnie ostrzegali, że będę podejrzany.

– Koledzy?

– Inni maklerzy.

– Mają jakieś doświadczenia z wymiarem sprawiedliwości?

Kipper się roześmiał.

– Jeszcze nie. Oglądają za dużo telewizji. Pewnie to nic nie da, jeśli powiem panu, że nie miałem z tym nic wspólnego.

Milo się uśmiechnął.

– Niech pan robi, co pan musi, ale proszę pamiętać o jednym – powiedział Kipper. – Kochałem Julie jako kobietę, a potem uwielbiałem jako osobę. Nie miałem powodu robić jej krzywdy. –

Odsunął krzesło, założył nogę na nogę.

– Czego dotyczyły te przyjacielskie telefony? – spytał Milo.

– Opowiadaliśmy sobie, co porabiamy. Czasami też, można powiedzieć, dzwonił w interesach. W okresie rozliczeń podatkowych. Musiałem podliczyć alimenty i inne pieniądze, które wysyłałem Julie. Bywało, że potrzebowała trochę ekstra.

– Ile?

– Trochę, może dziesięć, dwadzieścia tysięcy rocznie.

– To prawie podwajało jej alimenty.

– Julie nie radziła sobie z pieniędzmi. Łatwo wpadała w kłopoty.

– Żyła ponad stan?

Wielkie dłonie Kipperera opadły na granitowy blat stołu i spoczęły na nim rozpostarte.

– Julie nie radziła sobie z pieniędzmi, ponieważ nie przywiązywała do nich wagi.

– Więc w sumie dawał jej pan prawie czterdzieści tysięcy rocznie. Hojny gest.

– Jeżdżę ferrari – odparł Kipper. – Nie oczekuję pochwał. – Nachylił się do przodu. – Wytlumaczę panu historię Julie: tuż po skończeniu szkoły od razu odniosła sukces. Trafiła do prestiżowej galerii i sprzedała wszystkie obrazy, co do jednego. Zyskała też przychylną krytykę, ale wie pan co? Nie oznaczało to, że zarobiła poważne pieniądze. Jej płótna wyceniono na osiemset do tysiąca dwustu dolarów i kiedy galeria, jej agent i cała reszta pasożytów wzięła swoje działki, zostało jej akurat tyle, żeby kupić sobie dobry obiad. Galeria podniosła jej ceny do półtora tysiąca za obraz i kazała jej wziąć się do roboty. Julie pracowała bez przerwy przez następne pół roku. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, przynajmniej tak to wyglądało. –

Skrzywił się.

– Ostre tempo – stwierdził Milo.

– Raczej samozniszczenie.

– Pomagała sobie jakoś?

– Co pan ma na myśli? – spytał Kipper.

– Wiemy, że miała problemy z narkotykami. Czy to wtedy się zaczęły? Kokaina potrafi dodawać energii.

– Koka – powiedział Kipper. – Brała już na długo przedtem, jeszcze na studiach. Ale tak, wpadła

na dobre, kiedy galeria zażądała od niej kolejnych dzieł w niemożliwym terminie.

– Jaki to był termin?

– Tuzin płócien w cztery miesiące. Byle malarzyna wyrobiłby się bez problemu, ale Julie była bardzo dokładna. Mieszała własne farby, nakładała je po jednej warstwie na przemian z własnymi podkładami i lakierami. Była tak drobiazgową, że czasami sama robiła pędzle. Potrafiła ślęczeć nad nimi tygodniami. I ramy. Każda musiała być jedyna w swoim rodzaju, idealnie dobrana do obrazu. Wszystko musiało być idealne. Wszystko miało ogromne znaczenie.

– Jej ostatnie prace nie mają ram – zauważyłem.

– Widziałem – odparł Kipper. – Pytałem ją o to. Powiedziała, że koncentruje się na samym obrazie. Pochwaliłem ją, że to dobry pomysł. – Wielka dłoń zacisnęła się w pięść. – Julie była świetna, ale nie wiem, czy kiedykolwiek osiągnęłyby prawdziwy sukces.

– Dlaczego nie?

– Bo była za bardzo utalentowana. To, co teraz uchodzi za sztukę, to zwykłe gówno. Wideoinstalacje, performances, badziewie składane ze „znalezionych materiałów”: to w artystowskim slangu oznacza grzebanie w śmieciach. Dzisiaj wystarczy przypiąć zszywaczem wibrator do plastikowej butelki i już wszyscy krzyczą, że narodził się nowy Michał Anioł. Jeśli ktoś naprawdę umie rysować, jest przeżytkiem. Proszę sobie do tego dodać całkowity brak wycucia rynku u Julie... – Ramiona Kipperera opadły bezsilnie. Na jego czarnym garniturze nie pojawiła się ani jedna zmarszczka.

– Nie z tego świata – powiedziałem.

– Właśnie. Była oderwana od rzeczywistości. Na przykład pieniądze. Próbowałem ją namówić, żeby zainwestowała część alimentów w jakieś bezpieczne obligacje. Gdyby zaczęła inwestować wtedy, kiedy ja, zdążyłaby już uwić sobie małe, przytulne gniazdko, mogłaby do woli zajmować się sztuką. Zamiast tego musiała się zniżyć do robienia reklamówek.

– Nie lubiła sztuki komercyjnej.

– Nienawidziła jej. Ale nie chciała zrobić nic, co by ją od niej wyzwoliło. Nie powiem, że była masochistką, ale zawsze jakoś cierpiała. Nigdy nie była naprawdę szczęśliwa.

– Chroniczna depresja? – zapytałem.

– Z wyjątkiem chwil, kiedy malowała.

– Cofnijmy się trochę – powiedział Milo, kartkując swój notes. – Do tej nowojorskiej galerii, która ją wzięła. W jej broszurze wymieniono The Anthony Gallery...

– To właśnie ta. Krwiopijca Lewis Anthony.



– Niezbyt sympatyczny?

– Trafiają się tacy – powiedział Kipper.

– Właściciele galerii.

– Właściciele, agenci, kolekcjonerzy. – Obie dłonie Kipperera zwinęły się w pięści. – Tak zwany świat sztuki. Mówię o ludziach całkowicie pozbawionych talentu, do tego stopnia, że nie rozpoznaliby go, gdyby ugryzł ich w tyłek, żyjących z pracy tych, którzy go mają. Artystyczne pijawki. Tak ich nazywaliśmy, Julie i ja. Przekleństwo talentu. Kryminaliści są osądzeni przez równych sobie, ale artyści nie. Jego gładka, okrągła twarz zrobiła się zupełnie czerwona.

– A więc Lewis Anthony naciskał na Julie, żeby produkowała więcej obrazów, i przez to pogłębił się jej problem z koką.

Kipper skinął głową.

– Używała koki i speedu, żeby utrzymać się na nogach, gorzały i środków uspokajających, żeby odpocząć. Nie jadła i nie spała, jeżeli jej do tego nie zmusiłem. To było piekło. Zacząłem się od tego odcinać. Co było tym łatwiejsze, że miałem nową pracę. Wspiąłem się po drabinie kariery...

– Brał pan narkotyki?

Kipper się zawahał.

– Próbowałem – odparł w końcu. – Wtedy wszyscy próbowali. Ale nigdy w to nie wpadłem. Nie tak łatwo się uzależniam. To pewnie ma coś wspólnego z brakiem talentu, za mało napięcia tu. – Dotknął swojej krótko ostrzyżonej głowy.

– Szaleństwo idzie w parze z geniuszem? – spytał Milo.

– Wie pan, to chyba prawda. Niech mi pan pokaże genialnego artystę, a ja panu pokażę niezłego świra. Julie też taka była. Kochałem ją, była wspaniałą kobietą, ale jej naturalnym stanem był niepokój.

Milo postukał w notes.

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej o Lewisie Anthonym.

– O czym tu opowiadać? Drań naciskał na Julie, naćpała się po uszy i skończyła trzy płótna. Anthony wziął je, sprzedał, przesłał jej jakieś grosze i powiedział, że nie będzie jej wystawiał, dopóki nie nauczy się, co to etyka pracy. Julie przyszła do domu, przedawkowała i wylądowała na odwyku. – Palce Kipperera rozprostowały się i jak szpony przesunęły po czarnym granicie. – Miałem przez to poczucie winy. Że nie było mnie przy niej, kiedy mnie potrzebowała. Gdy wróciła z nędznym czekiem od Anthony'ego, a ja zobaczyłem, jak bardzo jest nędzny, dostałem szału, po prostu wyszedłem z siebie. Sześć miesięcy patrzyłem, jak się zabija. Straciła dziesięć kilo przygotowując się do tej wystawy i dostała za to dwa tysiące. Kiedy wróciłem do domu, znalazłem ją na łóżku i nie

mogłem jej docucić. Myślałem, że nie żyje. Wezwałem karetkę, zabrali ją do Beth Israel. Kilka dni później przeniesiono ją na oddział psychiatryczny Bellevue.

– Przymusowo? – spytałem.

– Tak, przez pierwsze kilka dni, tak jak wymagało prawo. Ale została tam, kiedy już mogła wyjść. Oświadczyła, że woli siedzieć u czubków, niż mieszkać z kimś, kto ma ją gdzieś. Co mogłem powiedzieć? Zawiodłem ją. W Bellevue otruli ją i wysłali do domu, a ja próbowałem się z nią jakoś porozumieć. Jakbym mówił do ściany. Nie mogła pracować, nie miała natchnienia i to doprowadzało ją do szału. Znow zaczęła ćpać, kłóciliśmy się o to. W końcu się wyprowadziłem. To ja złożyłem pozew rozwodowy, ale Julie nie walczyła. Nie zrobiła nic, żeby się zabezpieczyć finansowo. Zadeklarowałem, że będę jej oddawał połowę dochodów jako alimenty. Wtedy to był tysiąc dolarów miesięcznie. Mój adwokat myślał, że zwariowałem. – Kipper przeczesał dłonią włosy. – Kiedy zaczęło mi się lepiej powodzić, podwoiłem tę sumę.

– Dwa tysiące miesięcznie – powiedział Milo.

– Wiem, dla faceta z ferrari to gówno, nie pieniądze. Ale Julie nie chciała wziąć więcej. Zaproponowałem, że wynajmę dla niej jakiś ładny dom, w którym mogłyby mieć własną pracownię. Ale ona upierała się, że zostanie w swojej norze.

– Nie zerwaliście państwo kontaktów.

– Jak mówiłem, spotykaliśmy się od czasu do czasu na kolacji. – Kipper zwiesił głowę. – Czasami też się kochaliśmy. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale zdarzało się, że chemia unosiła swój paskudny, mały łeb. Może byliśmy sobie przeznaczeni. To dopiero byłby dowcip.

– Dowcip?

– Życie w takim zawieszeniu. Nie chciałem się od niej odcinać, po co miałbym to robić? A teraz jej nie ma. A panowie tracicie tutaj czas.

– Proszę pana...

– Macie wolną rękę. Przyjedźcie do mnie do domu i zedrzyjcie jebaną podłogę. Ale kiedy już z tym skończycie, oddajcie mi przysługę i dorwijcie skurwiela, który to naprawdę zrobił. A jak go dostaniecie, powiedzcie mu, że jest pierdolonym barbarzyńcą, który wyrwał coś pięknego z tego pierdolonego świata!

Krzyczał. Był czerwony jak burak, zaciskał pięści, aż pobielały mu kostki. Wreszcie odetchnął i osunął się na krzesło.

– Mam jeszcze kilka pytań – powiedział Milo.

– Jasne, czemu nie.

– Był pan na wystawie.

– Byłem i kupiłem dwa obrazy.

– Pana była żona nie miała nic przeciwko temu?

– Dlaczego miałyby mieć?

– Zależało jej na niezależności i tak dalej – powiedział Milo. – Nie obawiał się pan, że potraktuje to jako jałmużnę?

– Obawiałbym się, gdyby nie to, że rozmawiałem z nią już wcześniej o tych obrazach. Zobaczyłem je u niej w domu i powiedziałem, że chciałbym je mieć. Chciała mi je dać za darmo, ale się nie zgodziłem. Powiedziałem, że powinna je powiesić na wystawie, z czerwonymi kropkami. To miało być takie strategiczne posunięcie: to gorący towar, chodźcie wszyscy i szybko kupujcie.

– Jak długo został pan na wystawie?

– Wyszedłem pół godziny przed zamknięciem.

– To znaczy o której?

– Dziewiętej trzydzieści, czterdzieści.

– Dokąd pan potem poszedł?

– Aha – powiedział Kipper. – Alibi. Nie mam. Wsiadłem do samochodu i pojechałem na przejażdżkę. Sepulveda do San Vincente, potem w Siódmą i do Santa Monica Canyon. Znam te okolice, bo jest tam stacja benzynowa, która sprzedaje stuoktanową benzynę i dodatek, który podbija ją do stu czterech. Jeszcze jedna jest w Pasadenie. Najpierw chciałem pojechać wzdłuż plaży, potem uznałem, że potrzeba mi więcej zakrętów, ferrarii kocha zakręty... zawróciłem, pojechałem Sunset aż do Benedict Canyon i trochę się pokręciłem.

– Wysokooktanowa – powiedział Milo. – Ile kosztuje?

– W tej chwili dolara za litr.

Milo zagwizdał.

– Ferrari tylko na takiej pokazuje, co potrafi.

– Jaki model?

– Testarossa.

– Dzieło sztuki – stwierdził Milo.

– O, tak – przyznał Kipper. – Luksus. Jak wszystko w moim życiu.

Zrozpaczony był mąż – mruknął Milo, kiedy wyjechaliśmy z Century City i mijaliśmy centrum rozrywki ABC.

– Wściekły był mąż. Wielkie, silne dłonie i temperament, a kiedy zaczyna mówić o świecie sztuki, denerwuje się.

– Artystyczne pijawki.

– A Julie była artystką.

– Niepokoi cię.

– Warto mu się przyjrzeć. Sprytny, silny. I był w galerii. Sam przyznał, że jego związek z Julie był pogmatwany. Awantury małżeńskie, od czasu do czasu kontakty seksualne dziesięć lat po rozwodzie. Kiedy faceci, którzy byli blisko z ofiarą, chcą upozorować gwałt, zazwyczaj nie idą na całość. Zsuwają majtki, ale ich nie ściągają. Kipper twierdzi, że musiał namawiać Julie, żeby brała od niego pieniądze, ale kto wie. Mógł być porządnie sfrustrowany. Miał poważne artystyczne aspiracje. Nie zawsze łatwo jest porzucić marzenia.

– Nawet, jeśli ma się ferrari?

– Przypominał nam o nim trzy razy. Ferrari, które tankuje do pełna wysokooktanową benzyną. Pomyśl: sporo dopłaca, żeby doładować i tak już potężny silnik. To agresywny facet. Do tego była żona, z którą nie przestał sypiać, i kwestia pieniędzy...

– Julie mówiła innym artystom, że rozstali się po przyjacielsku.

– Jak dobrze ją znali? Powiedziała komuś o próbach samobójstwa?

– Nie – odparł Milo. – Mówiła o odwyku, ale o tym nie. Więc co, Julie odwróciła sytuację i zaczęła domagać się od Kipperera grubszej forsy?

– Może zmęczyło ją życie przymierającego głodem artysty, wycofała się, uświadomiła sobie, jak żyje Kipper, i postanowiła sama zrobić sobie dobrze. Kipperowi mogło podobać się bycie hojnym, kiedy inicjatywa wychodziła od niego. Gdyby Julie zrobiła się asertywna, to by było coś zupełnie innego. Miała dobry powód, żeby zainteresować się pieniędzmi. Weszła w wiek średni, jej druga próba zdobycia sławy nie zaprowadziła jej na pierwsze strony gazet. Wiem, że sprzedała kilka obrazów, ale Światło i Przestrzeń to nie nowojorska galeria, a ceny za płótna Julie nie wzrosły od czasów, kiedy zaczynała. Właściwie, biorąc pod uwagę inflację, nawet spadły. Więc może w końcu dotarła do niej rzeczywistość: utrzymywanie się tylko i wyłącznie z malarstwa zapowiadało się niewesoło, a ona miała już tego dość. Kipper powiedział, że mieszkała w norze. Bardzo źle to wyglądało?

– Według jego standardów to nora. Według moich, zwykle mieszkanie. Trzy pokoje w Santa Monica, przy Pico. Pracownię miała w salonie. Chociaż była artystką, dekoracja wewnątrz nie była jej mocną stroną.

– To gorsza część Santa Monica – stwierdziłem. – Gangi, handel narkotykami.

Pomyślałem o domu Robin przy Rennie. Tim Plachette był miłym facetem, łagodnym, zawsze uprzejmym wobec mnie. Czy byłby z niego jakiś pożytek, gdyby zrobiło się niebezpiecznie?

– ... porozmawiam jeszcze raz z sąsiadami – mówił Milo. – I przyjrzę się dokładniej Kipperowi.

– Spróbuj dowiedzieć się czegoś o jego sytuacji finansowej. Czasami zawodowi inwestorzy robią się nieostrożni. Jeśli Kipper zaryzykował i stracił grube pieniądze, mogło go kusić, by wycofać się ze zobowiązań wobec Julie.

– Silne dłonie – powiedział. – To mały facet, ale i tak większy niż Julie. Miałby dość siły, żeby obezwładnić ją w tej łazience.

– Może nie musiał jej obezwładniać. Ufała mu. Efekt zaskoczenia murowany.

– A ufała mu?

– Powiedział, że wciąż uprawiali seks.

– Szybki numer w takim kiblu?

– Słyszałem o dziwniejszych rzeczach.

– Ja też, ale... mam wrażenie, że twój tok myślenia zrobił się jeszcze bardziej od czapy niż mój.

Zawróciłem i ruszyłem z powrotem na Santa Monica Boulevard.

– Kiedy stryj Julie poprosił cię, żebyś wziął tę sprawę, rozmawiałeś z nim o niej?

– Jasne.

– Wiedział, jak żyła?

– Dla niego była tylko kochaną, utalentowaną bratanicą, która wyjechała do Nowego Jorku. Rodzina uważała ją za Rembrandta.

– To miłe, kiedy ktoś cię docenia.

– No. – Chwilę później dodał: – Silne ręce. Ten, kto udusił Julie, nie zrobił tego rękami, tylko drutem.

– To dobry sposób, żeby mieć czyste ręce – stwierdziłem. – Oprócz rękawiczek. Zmniejsza ryzyko

zostawienia śladów.

– Czyste ręce.

– W pewnym sensie.

Wysadziłem Mila, pojechałem do domu i włączyłem komputer. Pół tuzina wyszukiwarek znalazło bardzo niewiele na temat Everetta i Julie Kipperów.

On – trzy trafienia: wykłady na prywatnych seminariach dla klientów MuniScope. Za każdym razem na ten sam temat: osobom o wysokich dochodach, kupującym wolne od podatku obligacje, na dłuższą metę bardziej opłaca się zbierać premie, niż liczyć na dyskonto.

Imię Julie pojawiło się tylko raz: sześć miesięcy temu na aukcji w Sotheby's sprzedano jeden z jej wczesnych obrazów. Tysiąc osiemset dolarów za dziesięcioletnie płótno *Marie przy swoim kuchennym stole*. Na stronie nie było zdjęcia. Na aukcji wystawiono tanie eksponaty, niewiele z nich opatrzone ilustracjami.

Z opisu obrazu nie dowiedziałem się niczego, czego sam bym nie zgadł: sprzedający – galeria Lewisa Anthony'ego, kupujący – prywatny kolekcjoner.

Sprawdziłem Anthony'ego. Pięćdziesiąt trafień. Zmarł pięć lat temu, ale jego galeria nadal działa.

Pomyślałem o tym, jak potoczyło się życie Julie Kipper. Faszerowała się narkotykami, zapracowywała na śmierć, żeby spełnić wymagania właściciela galerii. Trzy obrazy.

A teraz jednego z nich pozbyto się za mniej, niż kosztował.

Musiała ją to zboleć, jeśli się o tym dowiedziała.

Dałbym głowę, że wiedziała. Ktoś na pewno jej powiedział.

Mimo to zaryzykowała powrót. Może to sprzedaż tego obrazu ją do tego zmotywowała.

Czy stworzyła najlepsze w swojej karierze dzieła, mając nadzieję na drugą szansę w innej prestiżowej galerii, a musiała się zadowolić Światłem i Przestrzenią?

Mała liczba obrazów oznaczała, że nie było rynku wtórnego.

Niski popyt na jej płótna pozwalał wyeliminować jeden z możliwych motywów morderstwa: kogoś, kto próbował podwyższyć wartość swoich inwestycji, bo martwi artyści często osiągają wyższe ceny niż żywi. Ale dotyczy to tylko tych, którzy coś znaczą. Z punktu widzenia świata sztuki Juliet Kipper nigdy nie istniała, nikt nawet nie mrugnąłby okiem, dowiedziawszy się o jej śmierci.

Nie, to nie miało nic wspólnego z intrygą finansową. To była sprawa osobista.

Bystry morderca. Przewidujący i trzeźwo myślący, ale w środku... wściekłość zamieniona w coś zimnego i odmierzonego.

Kiedy Milo po raz pierwszy do mnie zadzwonił, nazwał tę sprawę „dziwną”, ale morderca musiał to widzieć zupełnie inaczej. Dla niego zaciśnięcie drutu na szyi Juliet Kipper było czymś bardzo racjonalnym.

Wziąłem sobie piwo, pomyślałem trochę o świetlistych krajobrazach Julie i jej zniszczonymi prochami talencie i poszedłem zadzwonić.

Galeria Lewisa Anthony’ego mieściła się na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy w Nowym Jorku. Sposób mówienia kobiety, która odebrała telefon, kojarzył mi się z cząstkami obcinającymi skórki przy paznokciach.

– Pan Anthony zmarł kilka lat temu. – Jej ton sugerował, że znajomość tego faktu powinna być jednym z warunków posiadania amerykańskiego obywatelstwa.

– Może będzie mogła mi pani pomóc. Szukam prac Juliet Kipper.

– Kogo?

– Juliet Kipper, malarki. Państwa galeria wystawiała ją kilka lat temu.

– Kilka, to znaczy ile?

– Dziesięć.

Kobieta parsknęła.

– To całe wieki. Nigdy o niej nie słyszałam. Do widzenia.

Siedziałem, zastanawiając się, jak by to było mieć z kimś do czynienia na co dzień. Dorastać z głową pełną pięknych rzeczy i darem ich interpretacji, słysząc od bliskich, że jest się wspaniałym – same ochy i achy – a potem wejść w to, co uchodziło za „rzeczywistość”, i dowiedzieć się, że miłość nic nie znaczy.

Juliet Kipper stanęła twarzą w twarz z zimnym światem, który pożerał utalentowanych.

Mimo to sięgnęła w głąb siebie jeszcze raz i stworzyła coś przejmująco pięknego.

A potem została uduszona i ułożona z rozłożonymi nogami w brudnej ubikacji.

Znalezienie tego, kto to zrobił, nagle wydało mi się bardzo ważne.

Dopiero kilka godzin później – kiedy skończyłem i wysłałem sprawozdania, zapłaciłem kilka

rachunków i pobiegłem do banku, żeby zrealizować czeki od prawników – uderzył mnie jeszcze jeden aspekt śmierci Julie.

Utalentowany, nieszczęśliwy człowiek brutalnie zabity w przeddzień swojego powrotu.

To samo można by powiedzieć o Baby Boyu Lee.

Porównałem obie te sprawy. Oba morderstwa popełniono w sobotę wieczorem, w zaułku. Dzielił je okres pięciu tygodni. Ani Milo, ani Petra, ani nikt inny nie dostrzegł między nimi żadnego związku, bo nie było uderzających podobieństw. Kiedy spisałem wszystkie różnice, na kartce przede mną pojawiła się spora lista.

*Mężczyzna/kobieta*

*Pod pięćdziesiątkę/trzydzieści parę lat*

*Kawaler/rozwódka*

*Zadźganie/uduszenie*

*Na ulicy/w pomieszczeniu*

*Muzyk/malarka*

Doszedłem do wniosku, że przesadzam z tym analizowaniem. Nie było sensu dzwonić do Mila. Poszedłem pobiegać i przez czterdzieści minut maltretowałem serce i płuca, ale nie udało mi się uporządkować myśli. Wróciłem do komputera i zacząłem szukać informacji na temat zamordowanych artystów na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat.

Chociaż przyjąłem arbitralne kryteria, pojawiło się bardzo dużo rzeczy niezwiązanych z tematem – głównie śmierci gwiazd rocka, prawie wszystkie. Także zabójstwo Sala Mineo w 1976 roku, na długo przed graniczną datą, którą wyznaczyłem. Śmierć Mineo, o której w środowisku filmowym bardzo długo krążyły najprzeróżniejsze plotki i którą wiązano z jego homoseksualizmem, okazała się skutkiem zwykłego ulicznego napadu.

Aktor znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Może to samo spotkało Baby Boya i Julie.

Szukałem i odsiewałem, i kilka godzin później doszedłem do czterech przypadków, którym należało się przyjrzeć.

Sześć lat temu garncarka Valerie Brusco została zatłuczona tępym narzędziem na pustym polu za swoją pracownią w Eugene w Oregonie. Nie znalazłem bezpośredniego doniesienia o jej śmierci, lecz jej nazwisko pojawiło się w retrospektywnym artykule o artystach ceramikach Północno-Zachodniego Wybrzeża, napisanym przez profesora z Reed College. Tę sprawę rozwiązano: chłopak



Brusco, taksówkarz Tom Blascovitch, został aresztowany, osadzony i osadzony w więzieniu. Ale mordercy wychodzą z więzień, więc wydrukowałem dane.

Drugim przypadkiem był zadźgany saksofonista Wilfred Reedy, znaleziony cztery i pół roku temu pod klubem jazzowym na Washington Boulevard. Wymieniono go w dziale nekrologów pisma związku zawodowego muzyków – chwalono łagodne usposobienie Reedy’ego i jego talent improwizacji, dodano też, że zamiast kwiatów można ofiarować datek dla wdowy po muzyku.

Reedy, lat sześćdziesiąt sześć, był przyjacielem Johna Coltrane’a i grał z największymi – Milesem Davisem, Redem Norvo, Talem Farlowem i Miltem Jacksonem. Zalogowałem się do archiwum „L.A. Timesa” i znalazłem krótką notkę o morderstwie i uzupełnienie, zamieszczone tydzień później. Nikogo nie aresztowano, nie ma podejrzanych. Wszyscy, którzy posiadają jakieś pomocne informacje, proszeni są o skontaktowanie się z Southwest Division.

Trzeciego zabójstwa dokonano przed trzema laty. Dwudziestopięcioletnia tancerka baletowa, Angelique Bemet, została zadźgana w Cambridge w Massachusetts. Bernet należała do nowojorskiego zespołu tanecznego, występującego w ramach trasy w Bostonie. Wyszła z hotelu około drugiej nad ranem i już nie wróciła. Dwa dni później znaleziono jej zwłoki za blokiem na Mt. Auburn Avenue, niedaleko kampusu Harvardu. Odnośniki do „Boston Herald” i „Globe” prowadziły do krótkich wzmianek na temat zbrodni; nie dokonano żadnego aresztowania w tej sprawie. Moją uwagę przykuł jeszcze jeden akapit z „Globe”: Bernet niedługo przed śmiercią została wyznaczona na zastępczynię primabaleriny i w dzień, kiedy zniknęła, po raz pierwszy prowadziła zespół.

Ostatni przypadek miał miejsce trzynaście miesięcy później – znów w Hollywood. Podczas całonocnej sesji nagraniowej punkrockowa wokalistka China Maranga wygłosiła pijacką tyradę, w której oskarżyła swój zespół o granie na odwal, wyszła ze studia, trzaskając drzwiami, i zniknęła. Dwa miesiące później dwoje turystów znalazło jej szkielet niedaleko napisu Hollywood, przykryty jedynie gałęziami. Szczątki zidentyfikowano dzięki danym dentystycznym. Złamany kark i brak otworów po kulach oraz ran klutych sugerował, że przyczyną śmierci było uduszenie, ale koroner nie umiał powiedzieć nic więcej.

Zęby Chiny Marangi były łatwe do zidentyfikowania – w dzieciństwie przeszła kilka zabiegów ortodontycznych. Naprawdę nazywała się Jennifer Stilton. Była córką członka zarządu sieci marketów spożywczych i dekoratorki wnętrz. Wychowała się w dużym domu w Palos Verdes. W szkole miała dobre stopnie, a jej słodki sopran zapewnił jej rolę szkolnej gwiazdy. Dostała się do Stanford, na Wydział Literatury Angielskiej, gdzie wciągnęła się w whisky, muzykę i kokainę. Zafundowała sobie pokaźną kolekcję tatuaży i kolczyków, po czym zebrała zespół złożony z podobnych do niej indywidualności i razem rzucili studia. Przez następne kilka lat China Whiteboy jeździli po kraju, grali w małych klubach i zyskali miano kapeli kultowej, ale nie mogli podpisać kontraktu z wytwórnią. W tym okresie China zamieniła swój słodki sopran w zgrzytliwy, atonalny wrzask. Trasa po Niemczech i Holandii przyciągnęła sporo ludzi i zapewniła zespołowi kontrakt z alternatywnym wydawnictwem w L.A. Dwa pierwsze albumy China Whiteboy sprzedawały się zaskakująco dobrze, zespół zaczął zwracać na siebie uwagę liczących się w branży osób, coraz częściej słyszało się plotki o kontrakcie z dużą wytwórnią.

Śmierć Chiny położyła temu wszystkiemu kres.

China umiała dobrze grać na gitarze, lecz ze swym starym, poobijanym voksem obchodziła się dość brutalnie. Wiedziałem o tym, bo dwaj członkowie jej zespołu Squirt i Brancusi – para obszarpanych, prymitywnych w mowie upiórów – poważnie traktowali swój sprzęt i kiedy wymagał naprawy, przychodzili do Robin. Gdy China złamała gryf voksa podczas szaleństw na scenie, dali jej numer Robin.

Pamiętałem dzień, kiedy China do nas wpadła. Wyjątkowo nieprzyjemne, lipcowe popołudnie, duszne od smogu Zachodniego Wybrzeża i wilgoci Wschodniego. Robin pracowała w warsztacie, a ja siedziałem w swoim gabinecie, kiedy zadzwonił dzwonek. Osiem razy pod rząd. Otworzyłem drzwi i ujrzałem bladą zgarbioną kobietę o smoliście czarnych, nastroszonych włosach. W rękę trzymała miękki, płócienny pokrowiec z gitarą i patrzyła na mnie, jakbym to ja był intruzem. Pod tarasem stał zaparkowany wielki zakurzony buick kolom musztardy.

– Kim, do cholery, jesteś i czy zgubiłam się tak bardzo, jak mi się wydaje? – spytała.

– A gdzie chcesz być?

– W raju, ucztować na młodych prawiczkach. Mieszka tu ta kobieta od gitar czy nie?

Tupnęła nogą. Poruszyła ramionami. Powieka jej lewego oka zaczęła drżeć. Miała nieszczęśliwe rysy twarzy, ale mogłaby wyglądać ładnie, gdyby się odprężyła. Była tak blada z powodu zbyt grubej warstwy pudru na policzkach, podkreślonych czarnym cieniem do powiek, poza tym złe nawyki...

Widoczną część jej prawego ramienia pokrywały czarne tatuaże – abstrakcyjne, węzowe wzory. Na prawej stronie twarzy, tuż przy uchu miała czarno-niebieski krzyż. Uszy obciążała zestawem kolczyków. Wszystko to razem z przekłutymi brwiami i nosem wołało: zauważ mnie! Jej niebieska koszula musiała być łupem ze splądrowanej szafy taty. Wcisnęła ją w minispódniczkę, taką jakie noszą dziewczyny ze szkół w małych miejscowościach. Do tego białe podkolanówki i wysokie, czarne glany. Całość zdawała się mówić: nawet nie próbuj zrozumieć.

– Pani od gitar jest z tyłu – powiedziałem.

– Gdzie jest z tyłu? Nie będę tu łazić na oślep. Przeraza mnie ta okolica.

– Dlaczego?

– Mogą tu być kojoty albo jakieś inne gówno.

– Kojoty wychodzą w nocy.

– Ja też. Człowieku, oczy mnie bolą, zaprowadź mnie. Zaprowadziłem ją na dół po schodach, dookoła domu do ogrodu. Nie miała zupełnie kondycji i kiedy dotarliśmy do oczka, ciężko dyszała, wyprzedziła mnie jednak, wymachując pokrowcem, i zatrzymała się nad brzegiem, patrząc na koi.

– Spore ryby – powiedziała. – Wielka orgia sushi?

– To by był drogi posiłek.

Uśmiechnęła się, unosząc do góry kąciuki ust w wykrzywiony grymas.

– Spokojnie, panie Yuppie, nie szukaj xanaksu, nie ukradnę ci twoich ślicznotek. Jestem wegetarianką. – Rozejrzała się po okolicy i oblizwała wargi. – Tyle pysznej japiszonowskiej zieleninki... gdzie ona jest?

Wskazałem warsztat.

– Okej, pieniążek, zrobiłeś dobry uczynek, wracaj do swoich obligacji – powiedziała i odwróciła się do mnie plecami.

Kilka godzin później do domu przyszła Robin, sama.

– Masz uroczą klientelę – powiedziałem.

– Och, ona. To China Maranga. Wrzeszczy w zespole.

– W którym?

– China Whiteboy.

– Squirt i Brancusi – powiedziałem, przypominając sobie dwóch chudych chłopaków z tanimi gitarami.

– To oni mi ją podesłali. Będę musiała z nimi poważnie porozmawiać.

Przeciągnęła się i poszła do sypialni się przebrać. Nalałem sobie chivas, a Robin kieliszek wina.

– Dzięki, dobrze mi zrobi.

Usiedliśmy na łóżku i wypiliśmy.

– Czy ta młoda dama ładnie wrzeszczy? – spytałem.

– Ma niesamowitą skalę głosu. Od zwykłego skrzypienia paznokciami po tablicy do głośnego skrzypienia paznokciami po tablicy. Nie gra, tylko wymachuje gitarą, jakby chciała komuś zrobić krzywdę. Wczoraj wieczorem zaatakowała stojak od mikrofonu i złamała gryf. Mówiłam jej, że nie warto tego naprawiać, ale zaczęła płakać.

– Dosłownie?

– Prawdziwymi łzami. I tupała nogą jak rozpuszczony bachor. Powinnam była ją przysłać do ciebie.

– To nie moja dziedzina.

Robin odstawiła kieliszek i zmierzwiła mi włosy.

– Skasuję ją na maksimum za jeden z tych fenderowskich gryfów bolton i nie będę się spieszyć. W przyszłym tygodniu będzie miała do niszczenia coś jeszcze brzydszego i lepiej, żeby zapłaciła gotówką. A teraz dość już tych uprzejmości, przejdźmy do interesów.

– Jakich interesów?

– Na pewno z twojej dziedziny.

Kiedy tydzień później China przyszła odebrać gitarę, byłem w warsztacie Robin i piłem z nią kawę.

Tym razem dziewczyna miała na sobie brudną motocyklową kurtkę, do tego długą sukienkę, kiedyś białą, teraz buro-beżową, różowe satynowe sandały na wysokim obcasie i szkocką czapkę z pomponem na najeżonych, czarnych włosach.

Robin podała jej voksa.

– Proszę.

China przytrzymała gitarę w wyciągniętej ręce.

– Paskudztwo. Mam ci za to zapłacić?

– Tak to zazwyczaj wygląda.

China spojrzała na nią wilkiem, potem na mnie, potem znów na Robin. Sięgnęła do kieszeni skórzanej kurtki, wyciągnęła garść zmiętych banknotów i rzuciła je na stół.

Robin przeliczyła pieniądze.

– To o czterdzieści dolarów za dużo.

China ruszyła do drzwi, odwróciła się i pokazała nam środkowy palec.

– Kupcie sobie jebaną rybkę.

Na wieść o jej zamordowaniu Robin pokręciła głową i powiedziała: „smutne”.

China różniła się od Baby Boya i Julie Kipper tym, że nie miała wybitnego talentu. Ale pozostawał fakt, że była wschodzącą gwiazdą, którą zgaszono, zanim rozblęła.

Zastanawiałem się, czy Robin skojarzyła te morderstwa wiele lat później. Dwoje jej klientów, jeden bardzo lubiany, drugi wręcz przeciwnie.

Jeśli skojarzyła, nic mi nie powiedziała.

Dlaczego miałyby to zrobić?

Dom Juliet Kipper – jedno z dwóch brzydkich, ciasno przylegających szarych pudełek – stał na małej działce bez podwórka. Przed frontem znajdował się betonowy, zaplamiony olejem parking. Obłaząca z dachów zielona papa stanowiła jedyny kolorystyczny akcent w zasięgu wzroku.

Na oknach kraty. Posesję otaczał zardzewiały płot. Wejście do mieszkania z tyłu oklejono żółtą taśmą, powiewającą na dmącej od oceanu bryzie. Wsiadłem z samochodu. Furtka była zamknięta na klucz, nie widziałem nigdzie dzwonka ani domofonu. Ulicą przeszedł ogolony na łyso chłopak, na oko szesnaście lat, prowadzący na smyczy czerwono-nosowego pitbulla. Ani właściciel, ani pies nie zwrócili na mnie uwagi, ale dwaj starsi, też ogoleni na łyso faceci, którzy przejechali obok kilka chwil później obniżonym chevy nova, zwolnili i dokładnie mi się przyjrżeli.

Nie miałem po co dłużej tu zostawać. Wróciłem do samochodu, pojechałem Pico do Lincoln, potem na południe do Rose Street w Venice, gdzie znalazłem się znów w porządnej części miasta.

Robin mieszkała w wielkim białym bliźniaku o fantazyjnie zaprojektowanym dachu, aż za ślicznym. Rosnących przed frontem kwiatów miesiąc temu jeszcze tam nie było. Nigdy nie widziałem Robin w ogrodzie. Może Tim lubił zieleń.

Jego volvo stało zaparkowane na podjeździe za fordem Robin. Zacząłem się zastanawiać, czy nie odjechać.

– Do diabła z tym – powiedziałem na głos. – Prawa rodzicielskie i tak dalej.

Miałem nadzieję, że to Robin otworzy, ale tak się nie stało.

– Alex.

– Tim.

Wymuszone uśmiechy, krótki uścisk dłoni. Tim miał na sobie swój zwykły strój: kraciatą koszulę, spodnie khaki i brązowe mokasyny. Pan Wyluzowany. Okulary bez oprawek nadawały jego niebieskim oczom – naprawdę niebieskim, ciemniejszym niż moje szarawe tęczęwki – rozmarzony wyraz.

Jest o rok młodszy ode mnie, ale lubię myśleć, że jest starszy, bo łysieje. Pozostały mu już tylko cienkie, jasne i zbyt długie kosmyki – Tim próbuje ukryć to, jak są przerzedzone. W brodzie ma siwe włosy. Smutne oczy.

A do tego jego głos. Najgładszy, najgłębszy bas, jaki można sobie wyobrazić. Każde słowo okrągłe, miękkie i starannie intonowane. Chodząca reklama jego zawodu. Jest nauczycielem śpiewu, jednym z najlepszych – pracuje ze śpiewakami operowymi, gwiazdami rocka i mówcami, dużo

podróżuje. Robin spotkała go na sesji nagraniowej miesiąc po naszym rozstaniu. Wezwano go na pomoc diwie, której wysiadła krtań. Zaczął rozmawiać z Robin. Ona też była tam, żeby ratować sytuację – kilka instrumentów uszkodzono w czasie transportu.

Pomyślałem o tym, co tam robili. Oboje żyli w zupełnie innym świecie niż ja.

Z tego, co zdążyłem zauważyć, Tim był spokojny i cierpliwy, rzadko odzywał się niezagadnięty. Rozwiódł się z żoną, też nauczycielką śpiewu, miał dwudziestoletnią córkę, która studiowała w Julliard i która go uwielbiała.

Tydzień po tym spotkaniu Robin do mnie zadzwoniła. Kiedy wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości, zrozumiałem, że pyta mnie o pozwolenie.

Powiedziałem jej, że go nie potrzebuje, życzyłem wszystkiego najlepszego i odłożyłem słuchawkę. Potem wpadłem w dół. Po miesiącu ona i Tim już razem mieszkali.

– A więc – powiedział.

Zabrzmiało to uroczyście. Może i już się z takim głosem urodził, ale mnie to doprowadzało do szału.

– Jak leci, Tim?

– Dobrze. U ciebie?

– Też.

Oparł się o futrynę.

– Właściwie właśnie wychodziłem.

– Znów w drogę, co?

– Aha. W drogę do Burbank; to brzmi jak tytuł filmu z Hope'em i Crosbym.

– Baw się dobrze.

Nawet nie drgnął.

– Przyjechałeś, żeby...

– Zobaczyć Spike'a.

– Przykro mi – powiedział. – Jest u weterynarza. Na czyszczeniu zębów.

– Aha. Chciałem też o czymś porozmawiać z Robin.

Przez sekundę się nie ruszał, potem odsunął się na bok.

Minąłem go i wszedłem do małego, ciemnego salonu, w którym stały dębowe meble Tima i kilka rzeczy, które Robin zabrała ze sobą. Stara szafa ścienna w korytarzu została przerobiona na przejście między połówkami domu. Zza drzwi dobiegał wizg piły mechanicznej.

– Alex?

Zatrzymałem się i odwróciłem. Tim wciąż stał w drzwiach.

– Proszę, nie denerwuj jej.

– Nie miałem zamiaru.

– Wiem... słuchaj, będę z tobą szczery. Kiedy ostatnio z tobą rozmawiała, była naprawdę wzburzona.

– Kiedy ostatnio ze mną rozmawiała, zrobiła to z własnej inicjatywy. Wpadła do mnie.

Uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Wiem o tym, Alex. Chciała z tobą porozmawiać o Baby Boyu Lee. Dziękuję.

– Za co?

– Że jej wysłuchałeś.

– A mimo to uważasz, że ją zdenerwowałem.

– Nie... słuchaj, przepraszam, nie powinienem był nic mówić. Chodzi tylko o to...

Czekałem.

– Nieważne – powiedział i odwrócił się, gotów odejść.

– Znałeś Baby Boya? – spytałem.

Nagła zmiana tematu sprawiła, że się wzdrygnął.

– Słyszałem o nim.

– Pracowałeś z nim kiedyś?

– Nie, nigdy.

– A China Maranga?

– Nie znam tego nazwiska.

– Była wokalistką – wyjaśniłem. – Właściwie nie śpiewała, tylko wrzeszczała. Dlatego



pomyślałem, że mogła trafić do ciebie.

– Krzykacze rzadko to robią. Dlaczego o nią pytasz?

– Nie żyje. Zamordowano ją, jak Baby Boya.

– To po to tu przyjechałeś? Alex, naprawdę nie uważam, żeby Robin musiała dowiadywać się o następnych...

– Będę to miał na uwadze. – Ruszyłem do drzwi pracowni.

– W porządku – zawołał za mną. – Jesteś uparty. Poddaję się. Ale może tym razem pomyślisz o Robin?

Tym razem. Zrzucił przynętę. Przepłynąłem obok.

Wszedłem w gorąco pracujących maszyn i zapach drewna. Podłogę pokrywała warstwa pyłu i trocin. Na ścianie wisiało kilka mandolin i gitar w różnych stadiach budowy. Robin stała plecami do mnie, prowadząc blok palisandru przez wirujące ostrze. Włosy związała pod jedną z banclan, których ma dużo. Twarz zakrywały jej gogle i maska przeciwpyłowa. Była w obcisłej, białej bluzce, luźnych czarnych spodniach i białych tenisówkach. Ciemne drewno syczało i strzelało drzazgami, wyglądającymi jak czekoladowe chipsy. Gdybym przestraszył ją w tym momencie, mogło by to być niebezpieczne, więc stanąłem i zaczekałem, aż wyłączyła maszynę i odsunęła się od niej, a ryk piły ucichł.

– Cześć – powiedziałem.

Odwróciła się gwałtownie, spojrzała na mnie zza gogli, ściągnęła maskę i położyła przycięty blok drewna na stole.

– Cześć. – Wytarła dłonie w szmatę.

– Spotkałem Tima, kiedy wychodził. Martwi się, że cię zdenerwuję.

– A zdenerwujesz?

– Może.

Rzuciła maskę przez ramię.

– Chodź, idę się czegoś napić.

Poszedłem za nią do maleńkiej kuchni na tyłach domu. Stare białe szafki, żółte płytki, kilka popękanych. Była o dwie trzecie mniejsza od tej, którą razem zaprojektowaliśmy, ale tak samo nieskazitelnie czysta. Wszystko stało na swoim miejscu.

Robin wzięła dzbanek mrożonej herbaty, nalala do dwóch szklanek i zaniosała je do stołu, który ledwie się tu mieścił. Miejsca starczyło tylko na dwa krzesła. Pewnie nie przyjmowali wielu gości. Może byli za bardzo zajęci sobą...

– Zdrowie – powiedziała Robin, ale minę miała raczej ponurą. Napiliśmy się herbaty.

Zerknęła na zegarek.

– Jeśli jesteś zajęta...

– Nie, zmęczona. Pracuję od szóstej, czas na drzemkę. Za starych czasów zaproponowałbym drzemkę we dwoje.

– To ja już pójdę – powiedziałem.

– Nie. O co chodzi, Alex?

– O Chinę Marangę.

– Co z nią?

– Tak sobie myślałem. Ona i Baby Boy. Mogą być pewne podobieństwa.

– China? Jak to?

Powiedziałem jej, dodając nagie fakty o morderstwie Juliet Kipper. Zbladła.

– Chyba... ale przecież jest tyle różnic.

– Pewnie masz rację.

– Zdaniem wielu osób kariera Chiny nabierała rozpędu. Jej nagrania sprzedawały się o wiele lepiej, niż można by się spodziewać. Ale mimo wszystko... Alex, mam nadzieję, że się mylisz. To by było ohydne.

– Mordowanie sztuki?

– Mordowanie artystów, gdy stają się znani. – Nie wróciły jej kolory.

– Znów to zrobiłem – powiedziałem. – Przychodzę do ciebie i przynoszę złe wiadomości. – Wstałem. – Myliłem się, a Tim miał rację.

– Co do czego?

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłaś zdenerwowana. Niepotrzebnie przyszedłem.

Zmarszczyła czoło.

– Tim próbuje mnie chronić... Tak, byłam, ale to ty mnie zdenerwowałeś.

– Więc co?

– Wszystko. Rzeczywistość... cała ta zmiana. Wiem, że postąpiliśmy słusznie, ale... a potem Baby Boy. Jednego dnia z nim rozmawiam, a następnego już go nie ma. Wtedy akurat kiepsko się czułam. Teraz już jest lepiej. Pomogła mi rozmowa z tobą.

– Aż do teraz.

– Nawet teraz.

Wzięła mnie za rękę.

– Byłeś przy mnie, kiedy cię potrzebowałam.

– Dla odmiany.

Puściła mnie i pokręciła głową.

– Po tym wszystkim, co przeżyliśmy, ciągle musisz dopraszać się komplementów?

Wciąż czułem jej dotknięcie na rękę.

– Usiądź – powiedziała. – Proszę. Napij się jeszcze herbaty. Możemy porozmawiać jak kumple.

Usiadłem.

– Baby Boy był moim przyjacielem. Z Chiną nic mnie nie łączyło. Raz tylko coś dla niej robiłam i nie była z tego zadowolona. Pamiętasz, jak pokazała mi palec?

– Nam – powiedziałem. – Chyba to ja ją tak drażniłem. Ciągle mówiła do mnie „panie Yuppie”.

– Była okropna... i to odróżniało ją od Baby Boya, najfajniejszego faceta pod słońcem. Druga różnica: on miał prawdziwy talent. I jej zwłoki ktoś ukrył... nie, nie wydaje mi się, Alex. Założę się, że dała się poderwać niewłaściwemu facetowi, może zaczęła pyskować i zapłaciła za to.

– To ma sens. Wyszła ze studia wściekła. A co z jej zespołem? Któryś z chłopaków miał skłonności do agresji?

– Oni? – zdziwiła się Robin. – Nie. Byli tacy jak China. Studenci bawiący się w złych anarchistów. Po co mieliby ją zabijać? Kiedy China zginęła, razem z nią umarł zespół. Co o tym sądzi Milo?

– Jeszcze go nie pytałem.

– Przyjechałeś najpierw do mnie?

– Jesteś o wiele ładniejsza.

– To zależy, kogo spytać.

– Nie – powiedziałem. – Nawet Rick zgodziłby się, że jesteś ładniejsza. – Znow wstałem. – Dzięki i przepraszam, jeżeli zakłóciłem twoje biorytmy. Miłej drzemki.

Ruszyłem do wyjścia.

– To trudne, prawda? – zawołała za mną.

– Co takiego?

– Zmiany w biorytmie. Tim jest cudowny, ale ciągle łapię się na tym, że zaczynam mówić coś do ciebie... u ciebie wszystko w porządku?

– Tak, dzięki.

– Dobrze cię traktuje? Ona?

– Tak. Co u Spike'a?

– Szkoda, że go tu nie ma. Okresowe czyszczenie zębów.

– Au.

– Zatrzymali go na noc. Możesz do niego pójść. Zadzwoni i sprawdź, czy ktoś tam jest.

– Dzięki.

– Odprowadzę cię – wstała.

– Nie musisz.

– Nie muszę, ale tak każe uprzejmość. Mama dobrze mnie wychowała.

Odprowadziła mnie do samochodu.

– Pomyślę o Chinie, popytam się. Jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać. – Uśmiechnęła się szeroko. – Proszę, zostałam detektywem.

– Nawet o tym nie myśl.

Ścisnęła mi rękę obiema dłońmi.

– Alex, to, co powiedziałam wcześniej, to prawda. Nie zdenerwowałeś mnie. Ani wtedy, ani teraz.

– Taki z ciebie wielki twardziel?

Spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się.

– Ciągle jestem raczej mała.

Ale kiedyś zajmowałaś dużo miejsca w moim sercu.

– Nie dla mnie – powiedziałem.

– Zawsze umiałeś to robić. Sprawiać, żebym poczuła się ważna. Nie wiem, czy robiłam to samo dla ciebie.

Jest cudowna, Co się, do cholery, stało?

Allison jest cudowna...

Puściłem jej dłoń, wsiadłem do samochodu, odpaliłem silnik i odwróciłem się, żeby pomachać. Robin już nie było.

Partner. Jeszcze tego potrzebowała.

Nie, żeby miała jakiś wybór. W samym środku jej zmiany Schoelkopf wezwał ją do swojego gabinetu i pomachał jej przed twarzą jakimś świstkiem. Druk przeniesienia.

– Skąd? – spytała.

– Z armii. Jest nowy w wydziale, ale ma duże doświadczenie jako wojskowy śledczy, więc nie traktuj go jak idiotę żółtodzioba.

– Panie kapitanie, świetnie sobie radziłam sama...

– Och, to świetnie, Connor. Tak się cieszę, że praca daje ci tyle satysfakcji. Masz.

Pomachał papierkiem. Petra wzięła go, ale nie przeczytała.

– Idź już – powiedział Schoelkopf. – Będzie tu za kilka godzin. Znajdź mu jakieś biurko i niech się czuje jak u siebie w domu.

– Mam upiec dla niego ciasteczka, sir?

Wielkie czarne wąsiska kapitana uniosły się, kiedy błysnął w uśmiechu białymi zębami. W ostatnie wakacje wyjechał na trzy tygodnie i wrócił niesamowicie opalony, z nowym uzębieniem i zarostem.

– Jeśli w ten sposób przejawiają się twoje dziewczęce talenty, Connor, proszę bardzo. Osobiście wolę owsiane kuleczki. – Machnął ręką. – Ta sprawa z Ormianami już się wyjaśniła? – spytał, kiedy Petra doszła do drzwi.

– Na to wygląda.

– Na to wygląda?

– Wszystko już dogadane z prokuratorem.

– Co teraz robisz?

– Sprawa Nunesa...

– Co to?

– Manuel Nunes. Murarz, który zadźgał żonę kielnią...

– Aha, cement we krwi. Jak ci idzie?

– To prosty przypadek – odparła Petra. – Kiedy przyjechali mundurowi, Nunes trzymał kielnię w rękę. Muszę tylko dopilnować formalności.

– No to rób, co musisz... a skoro mowa o prostych przypadkach, ruszyłeś z miejsca sprawę tego muzyka? Grubasa Lee?

– Nie, sir.

– Chcesz mi powiedzieć, że to zimna sprawa?

– Obawiam się, że tak.

– Jak to? Jakiś czubek tak po prostu podszedł i go wypatroszył?

– Mogę panu przynieść akta...

– Nie. A więc utknęłaś. Wiesz co, dobrze ci tak, nauczysz się trochę pokory. – Znów zęby. – Masz szczęście, że nie był sławny. Nikogo nie obchodzi, jak ostygnie sprawa takiej drobnej płotki. Co z jego rodziną? Ktoś cię pogania?

– Nie miał rodziny.

– Znów punkt dla ciebie. – Szeroki uśmiech Schoelkopfa był skażony złością. Od pierwszej chwili nie zapałali do siebie sympatią i Petra wiedziała, że nawet gdyby stawała na głowie, lepiej już nie będzie. – Niezła z ciebie szczęściara, co?

– Staram się, jak mogę.

– No jasne. Dobra, to wszystko. Wprowadź tego G.I. Joego, w co trzeba. Może się okaże, że to też szczęściarz.

Petra wróciła do pokoju detektywów, uspokoiła się i zerknęła na świstek. Spodziewała się krótkiego życiorysu swojego nowego partnera, ale Schoelkopf wypisał na formularzu tylko jego imię i nazwisko.

*Erie Stahl*

Erie. Sympatycznie. Wojskowy. Kupiła sobie gorącą czekoladę w automacie na parterze i wróciła na piętro. Jej wyobraźnia działała na wysokich obrotach. Widziała Erica jako nabitego i wysokiego, ostrzyżonego po wojskowemu, może kogoś w stylu Clinty Eastwooda. Faceta, który uprawia sport, surfuje i jeździ motorem, skacze ze spadochronem i na bungee, lubi adrenalinę i tak dalej.

Taki energiczny partner zupełnie by jej nie przeszkadzał. Mógłby prowadzić samochód.

Pojawił się po dwudziestu minutach. Petra trafiła z fryzurą, ale co do reszty się myliła.

Erie Stahl miał około trzydziestki, najwyżej metr siedemdziesiąt, był boleśnie chudy, miał obwisłe ramiona i patykowate kończyny. Szatyn – sterczące włosy okalały szczupłą, zamyśloną twarz zabiedzonego poety. Był blady jak ściana – jak student, który spędza za dużo czasu w bibliotece. Tylko na zapadłych policzkach miał dziwne różowe plamy, jak od gorączki.

Ostry podbródek, bezwargie usta, najgłębiej osadzone oczy, jakie Petra w życiu widziała. Wyglądały, jakby ktoś wepchnął je palcami w głąb czaszki. Tak samo matowe jak włosy. Patrzyły nieruchomo prosto przed siebie.

– Detektyw Connor? Erie Stahl – powiedział, nie poruszając się ani nie wyciągając ręki. Stał po prostu przy jej biurku, w czarnym garniturze, białej koszuli i szarym krawacie.

– Cześć, może usiądziesz? – zaproponowała Petra, wskazując krzesło.

Stahl zastanowił się, w końcu usiadł.

Jego czarny garnitur pasował do jej kostiumu, hebanowej vestimenty, którą kupiła na wyprzedaży u Barneya dwa lata temu. Razem wyglądali jak przedsiębiorcy pogrzebowi.

Stahl nawet nie mrugał. Rzeczywiście, energiczny. I ta twarz... gdyby zapuścił włosy i ubrał się w skóry, Petra mogłaby go aresztować za sam wygląd.

Młodszy brat Keitha Richardsa. Albo sam Keith, z czasów, kiedy najostrzej ćpał.

– A więc, co mogę dla ciebie zrobić, Erie? – spytała Petra.

– Wprowadzić mnie.

– W co?

– We wszystko, co uznasz za istotne.

Z bliska jego skóra była kredowobiała. Mówił bez żadnej intonacji. Jediną oznaką życia była pulsująca na lewej skroni żyła.

– Możesz korzystać z tego biurka – powiedziała Petra. – A to jest twoja szafka.

Stalli się nie ruszył. Nic ze sobą nie przyniósł.

– Co ty na to, żebyśmy się przejechali? – zaproponowała Petra. – Pokażę ci okolicę.

Stahl nie wstał, dopóki ona tego nie zrobiła. W drodze na dół trzymał się za nią. Jak zombi.

Schoelkopf przydzielił jej jako partnera robota.

Pojechali ciemną ulicą. Hollywood o czwartej rano zaludniali ci, którzy unikali światła dnia. Petra pokazywała Stahlowi bary, w których sprzedawano narkotyki, nielegalne kluby, miejsca, gdzie



pokazywali się znani kryminaliści, i bary, w których zbierali się transwestyci. Jeśli zrobiło to na nim jakieś wrażenie, nie dawał tego po sobie poznać.

– Inaczej niż w armii – powiedziała Petra.

Milczenie.

– Jak długo byłeś w wojsku?

– Siedem lat.

– Gdzie stacjonowałeś?

Stahl potarł podbródek i zamyślił się.

To nie było podchwytliwe pytanie.

– Tu i ówdzie – odparł w końcu.

– Tu i ówdzie w kraju, czy tu i ówdzie za granicą?

– Tu i tam.

– Co, byłeś w tajnych służbach? – rzuciła z uśmiechem Petra. – Jak mi powiesz, będziesz musiał mnie zabić? – Zerknęła na Stahla, spodziewając się zobaczyć choćby ślad wesołości.

Nic.

– Za granicą na Bliskim Wschodzie – powiedział.

– Gdzie na Bliskim Wschodzie?

– Arabia Saudyjska, Bahran, Dżibuti, Dubaj.

– Emiraty.

Potakujący ruch głową.

– Fajnie było?

Pięć sekund ciszy.

– Niespecjalnie. Nienawidzą Amerykanów. Nie można było mieć ze sobą Biblii ani niczego, co by wskazywało, że jest się chrześcijaninem.

Aha. Nawrócony.

– Jesteś religijny.

– Nie. – Stahl odwrócił się od niej i zapatrzył w okno.

– Zajmowałaś się zamachem na „Cole’u”? – spytała Petra. – Takimi sprawami?

– Nie.

– Nie – powtórzyła.

– Wydaje mi się, że ten samochód jest kradziony – powiedział.

Wskazał białego mustanga dwie długości samochodu przed nimi. Petra nie widziała nic podejrzanego w tablicach ani w tym, jak prowadził kierowca.

– Naprawdę? – spytała.

Stahl wziął radio i wywołał wóz patrolowy. Bez problemu radził sobie ze sprzętem i kodami departamentu, jakby pracował w nim od lat. Od prób nawiązania rozmowy Petrę rozboleły szczęki. Jeździli jeszcze przez pół godziny w martwej ciszy.

– Mam coś zrobić dzisiaj? – spytał Stahl, kiedy zatrzymali się na parkingu komisariatu.

– Pokazać się – odparła Petra, nie próbując kryć rozdrażnienia.

– Spróbuję – powiedział i wysiadł z samochodu. Odszedł znikając w ciemnościach.

Co, pojedzie autobusem? A może nie chce, żebym zobaczyła, jaki ma samochód?

Później, zanim zamknęła biurko, zadzwoniła do wydziału kradzieży i dowiedziała się, że biały mustang był kradziony.

Po wizycie u Robin pojechałem do domu, usiadłem przed komputerem i spróbowałem odszukać członków zespołu Chiny Marangi.

Gitarzysta Squirt nie zaistniał w cyberprzestrzeni, ale bębniarza, Pan Syfa, i basisty Brancusiego nie musiałem długo szukać.

Rok temu Syf, naprawdę Christian Bangsley, został opisany na „stronie hańby” internetowego zina o nazwie „Misterlittle”: *Najświeższe informacje: były członek China Whiteboy sprzedaje się, wciska ludziom gówno, świniaaaaa!!!*

W ciągu trzech lat, które minęły od śmierci Chiny, Bangsley zdecydowanie zmienił styl życia: przeprowadził się do Sacramento, zainwestował „skromny spadek” i został współwłaścicielem małej sieci rodzinnych restauracji Domowe Ognisko. Zin wspominał o planach Bangsleya, *by rozjątrzyć i rozdrapać ten guz fałszywego jak chuj normanrockwellizmu do formy najzłośliwszej!!! Fraszka!!! Syf tw-(p-) ierdzi (sic!), że jest czysty, ale jest bardziej syfiasty niż kiedykolwiek!*

Tyradę tę „Misterlittle” opatrzył zdjęciami Bangsleya z czasów zespołu i z chwili obecnej. Różnica była tak wielka, że zwątpiłem w autentyczność całej historii.

Kiedy grał, Syf był obdartym, złośliwym upiorem.

Christian Bangsley był dobrze odżywiony, miał fryzurę na Beatlesa, białą koszulę i krawat. Jego oczy błyszczały zadowoleniem.

Brancusiego znalazłem na jego osobistej stronie. Naprawdę nazywał się – niesamowicie – Paul Brancusi. Był stąd; pracował jako animator w Haynes-Bernardo, studio Burbank jednej z najważniejszych wytwórni filmów dla dzieci.

Jak podawała biografia Brancusiego, dwa lata studiował w Stanford, tyle samo grał w China Whiteboy i rok uczył się grafiki komputerowej i animacji na CalArts.

Pracował nad telerankiem *Lumpkinowie*, opisanym jako *przewrotny, ale komiczny. Wymyślone stworki mieszkają na przedmieściu, wesołym, nostalgicznym, gdzie dochodzi do prześmiesznych sytuacji rodem z ludzkiego miasta. Ale w Lumpkinówku rządzi wyobraźnia i fantazja!*

Znalazłem adres siedziby Domowego Ogniska w Sacramento. Zadzwoiłem tam i poprosiłem Christiana Bangsleya.

Recepcjonistka była bardzo wesola – może na skutek rodzinnego odżywiania?

– Pan Bangsley jest na zebraniu. W czym mogę pomóc?

– Dzwonię w sprawie starej przyjaciółki pana Bangsleya, Chiny Marangi.

– Może pan przeliterować?

Przeliterowałem.

– Co mam przekazać panu Bangsleyowi?

– Kilka lat temu pan Bangsley grał z panną Marangą w zespole China Whiteboy.

– Och, o to chodzi. Ona nie żyje, prawda?

– Tak.

– A więc jaką wiadomość mam przekazać panu Bangsleyowi?

Wyrecytowałem, że współpracuję z policją i że chciałbym zadać panu Bangsleyowi kilka pytań.

– Na pewno mu przekażę.

Paula Brancu siego zastałem w pracy.

– Minęło tyle czasu i wreszcie ktoś się tym zajął? – spytał.

– Uważa pan, że niewiele zrobiono?

– Gliny nie znalazły sprawcy, prawda? Zirykowało mnie, że nawet nie chciały z nami rozmawiać. Chociaż byłem z Chiną blisko, bliżej niż ktokolwiek, może z wyjątkiem jej ojca.

– Nie matki?

– Jej matka nie żyje. Umarła rok przed Chiną. Jej tata też nie żyje. Nie wie pan za dużo na ten temat, co?

– Dopiero zaczynam. Może pan mi opowie? Mogę wpaść dzisiaj do pana do biura, kiedy panu pasuje.

– Powiedzmy sobie jasno: jest pan psychiatrą?

Wyjaśniłem mu to dokładniej niż recepcjonistce Domowego Ogniska.

– Dlaczego teraz? – spytał.

– Śmierć Chiny może być powiązana z innym morderstwem.

– Co pan powie – mówił, przeciągając słowa. – Więc teraz to ważne. A ja powinienem z panem porozmawiać, bo...

– Bo ja chcę porozmawiać z panem.

– Już się boję.

– Krótka rozmowa, panie Brancusi.

– Kiedy?

– Kiedy panu pasuje.

– Za godzinę. Będę przed budynkiem HB. Mam na sobie czerwoną koszulę.

Haynes-Bernardo Productions zajmowało wielki, nieforemny, różowo-niebieski budynek po wschodniej stronie Cahuenga Boulevard, tuż przed Universal Studios, tam gdzie Hollywood przechodzi w Valley.

Budynek pozbawiony był symetrii. Same łuki, wybrzuszenia i paraboliczna śmiałość, dopełniona losowo rozmieszczonymi oknami dziwaczego kształtu. Wizja prosto z kreskówki. Trapezoidalne wejście osłaniały palmy kokosowe, a wzdłuż frontowej ściany biegł trzydziestometrowej długości kwiatnik pełen begonii.

Na jego krawędzi przysiadł mężczyzna w luźnej, czerwonej flanelowej koszuli, workowatych dżinsach i grubych adidasach. Palił papierosa.

– Dobry czas – powiedział, nie podnosząc wzroku, kiedy do niego podszedłem.

– Dobra motywacja – odparłem.

Przyjrzał mi się, a ja jemu.

Paul Brancusi nie zmienił się tak bardzo, jak Christian Bangsiej. Wciąż był chudy i blady, miał długie, rozczochrane włosy, teraz ufarbowane na ciemny brąz.

Papieros przykleił mu się do dolnej wargi. Pod haczykowanym nosem przysychał pryszcz. Czarno-niebieski tatuaż krzyża na prawej ręce, w lewym uchu stalowy kolczyk. Na nosie, czole i podbródku co najmniej pół tuzina czarnych kropek, zagojonych dziurek po piercingu. Ktoś, kto nie wiedział, jak Brancusi kiedyś wyglądał, mógł je wziąć za rozszerzone pory.

Lenonki sprawiały, że wydawał się mieć nieobecne spojrzenie, chociaż uważnie mi się przyglądał.

Wyciągnął paczkę rothmansów i poczęstował mnie.

– Nie, dzięki. – Usiadłem obok niego.

– Kogo jeszcze zamordowali? – spytał.

–Przykro mi, nie mogę ujawniać szczegółów.

– Ale chce pan, żebym z panem rozmawiał.

– A pan chce, żeby ktoś rozwiązał sprawę morderstwa Chiny.

– To, czego chcę, i to, co się dzieje, nie zawsze idzie ze sobą w parze.

Nieobecne spojrzenie zrobiło się nieprzyjazne. Plecy Brancusiego wygięły się jak pod jakimś olbrzymim ciężarem. Rozpoznałem to spojrzenie i sposób mówienia. Lata ciągłych rozczarowań. Wyobraziłem sobie, jak siedzi zgarbiony przy stole, powołując do życia Lumpkinów. „Przewrotnych, ale komicznych. Prześmieszne sytuacje”.

Brancusi skończył papierosa i od razu zapalił następnego. Wciągnął policzki, zaciągając się dymem.

– Co chce pan wiedzieć?

– Po pierwsze, czy przypuszcza pan, kto zabił Chinę?

– Jasne. Ktoś, kogo wkurwiła. Czyli jakieś dziesięć milionów ludzi.

– Brakowało jej uroku osobistego.

– China była straszną suką. Wie pan co, jest pan pierwszym gościem z policji, który pyta mnie o jej osobowość. Co z nimi, są jacyś opóźnieni?

– O co pytali?

– O to, co w serialach. Fakty i tylko fakty. O której wyszła ze studia, co robiła przez ostatnie kilka dni, z kim ćpała, z kim się pieprzyła. Nikt nie próbował zrozumieć, kim naprawdę była.

Wydmuchnął nosem dym, który szybko rozwiął się w ulicznym smogu.

– Było jasne, że gardzą nami i nią, uważali, że sama była sobie winna przez swój styl życia.

– Sądzi pan, że jej styl życia miał coś wspólnego z jej śmiercią?

– Może? Wie pan co, naprawdę nie widzę, do czego pan zmierza. – Cierpliwości – powiedziałem.

– Muszę złapać kontekst.

– Na przykład, jaki?

– Na przykład, taki: z tego, co słyszałem, zespołowi zaczynało się dobrze powodzić. Chodziły słuchy o kontrakcie z dużą wytwórnią. To prawda?

Brancusi wyprostował się, ożywiony wspomnieniami.

– To nie były tylko słuchy. Mieliśmy niezłą szansę. Zagraliśmy sztukę w Madame Boo, pod sceną

siedziały szczy z wytwórni. Świetnie nam poszło, naprawdę daliśmy ognia. Następnego dnia zaproszono nas na rozmowę z Mickeyem Gittlesonem... wie pan, kto to był?

Pokręciłem głową.

– Konkretny menedżer z konkretnymi klientami. – Brancusi rzucił parę nazw zespołów, kilka z nich znałem. – Napalił się, że będzie reprezentował China Whiteboy. Gdyby nas wziął, wszystko ruszyłoby z kopyta.

– Powiedział pan: „był”.

– Nie żyje. Zmarł w zeszłym roku. Rak płuc. Idiota, za dużo palił. Strząsnął popiół i zachichotał.

– Z Gittlesonem nie wyszło?

– China zerwała pierwsze spotkanie. Dostała furii, powiedziała, że Gittleson reprezentuje wszystko co złe w muzycznym biznesie i że ona nie ma zamiaru się sprzedać. To było zabawne, bo na koncercie to właśnie ona ześwirowała, kiedy zobaczyła Gittlesona, powiedziała nam za sceną, że to na kogoś takiego czekaliśmy. Kiedy grał następny zespół, podeszła do niego do stolika, zaczęła z nim rozmawiać, niewiele brakowało, a rozebrałaby się dla niego. To akurat by nie zaszkodziło. Facet był obleśnym starym capem, lubił się pieprzyć.

– China i flirt – powiedziałem, próbując to sobie wyobrazić.

Brancusi się roześmiał.

– China nie była zdolna do czegoś tak ulotnego i delikatnego, jak kobiecy flirt. Ale potrafiła zachowywać się sexy, kiedy chciała.

– Grała?

– To znaczy?

– Robiła to naprawdę, czy udawała? Była aktywna seksualnie?

– I to bardzo – powiedział Brancusi. – Tylko z dziewczynami, wołała dziewczyny.

Zapatrzył się na przejeżdżające Cahuenga samochody, jakby trochę znudzony rozmową.

– Więc to ona zainteresowała wami Gittlesona, ale potem zmieniła zdanie?

– Cała China.

– Kapryśna – powiedziałem.

Pstryknął papierosem na asfalt. Niedopałek leżał tam i dymił.

– Powiedział pan: „pierwsze spotkanie”. Gittleson nie wypiął się na was, kiedy je odwołała?

– Podniecił się tym, mógł na nas zarobić, więc umówił się drugi raz. Ale dopiero miesiąc później, bo pojechał do Europy. Zaproponował, żebyśmy nagrali jakieś nowe numery. Dlatego byliśmy w studiu. Chcieliśmy wypalić demo, które naprawdę skopałoby mu tyłek. I udawało nam się. Jechaliśmy. China zmieniła zdanie, teraz Gittleson był w porządku. Miała motywację. Taka właśnie była. Nawet na haju umiała się skupić.

– Bardzo na haju?

– A można inaczej?

– Więc co się stało?

– Sesja idzie świetnie, China zaczyna świrować, może ktoś coś powiedział, może sprzęt nawalał. Kiedy była w takim nastroju, mogło ją wkurzyć to, że zasłony krzywo wiszą. Dostaje furii, wychodzi i znika.

– Nie powiedziała, gdzie idzie?

– Nie. Tylko rzucała kurwami. Myśleliśmy, że wróci, zawsze wracała. Napady złości były jej sposobem na życie. – Wyciągnął następnego papierosa i podpalił go zapalniczką z Kaczorem Donaldem.

– Konkurencja – powiedział, pokazując mi ją.

– Co się stało z tamtymi nagraniami? – spytałem.

– Są nic niewarte. Próbowałem je sprzedać, ale bez Chin nie mogliśmy pojechać w trasę i Gittleson i cała reszta nie chcieli nas znać. Kilka miesięcy później byliśmy już zamierzchłą historią. – Zachichotał. – Niezły patos, co? Jak z tym szwedzkim statkiem „Wazą”, słyszał pan o nim?

Pokręciłem głową.

– Byłem w zeszłym roku w Szwecji, w interesach, może będą tam puszczać *Lumpkinów*, i szwedzki animator zabrał mnie na wycieczkę po Sztokholmie. Dziwne miasto, wszędzie pełno wielkich blond zombi, wyglądających, jakby od kilku lat nie spali. To przez to światło. W lato nie robi się ciemno, w zimie jest ciemno cały czas. Było lato, wyszliśmy z klubu o północy, było widno jak w dzień. W każdym razie następnego dnia ten facet zaprowadził mnie na statek „Wazę”. Wielki, stary, drewniany wikiński okręt, zbudowany kilkaset lat temu, olbrzymi. Szwedzi załadowali go działami i popłynęli na wojnę z Danią. Problem w tym, że go przeładowali, i kiedy wypłynął na Morze Północne, od razu zatonał. Wyciągnęli go czterdzieści lat temu, odremontowali i zbudowali na nim muzeum. Można na niego wejść i udawać Leifa Ericsona, upić się, najeść śledzi, co kto chce. W każdym razie ten facet, kiedy wyszliśmy z muzeum, odwrócił się do mnie ze łzami w oczach, z takim niesamowitym smutkiem, i powiedział: „Paul, przyjacielu, gdyby »Waza« nie zatonał, Szwecja byłaby światową potęgą”.



Trzy szybkie zaciągnięcia dymem. Wstrzymał oddech, zamknął oczy i gwałtownie zakaszłał. Wydawał się z tego zadowolony.

– Byliśmy muzycznym „Wazą”. Gdyby Chiny nie zamordowali, byłibyśmy drugim Aerosmith, cha, cha, cha.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Chinie?

– Przydałby jej się pan. Była niezrównoważona. Wszyscy byliśmy. Biorę lit i antydepresanty. Cztery popieprzone osobowości, do tego wszyscy ciągle ćpaliśmy.

„Prześmieszne sytuacje”.

– Christian Bangsley też?

– Pan Duża Firma? Zwłaszcza Chris. Jeszcze bardziej niż my. Miał bardzo bogatych rodziców i zero skrupułów. W przeciwieństwie do nas; my mieliśmy bardzo słabe.

– Sprzedał się?

– Nie sprzedał się – odparł Brancusi. – To gówniarskie pojęcie. Jaka to różnica, co się robi w życiu, gra muzykę, jest księgowym czy buduje magazyny? To wszystko jeden wielki marsz śmierci. Chris skreślił w inną stronę, to wszystko.

– Gdzie jest Squirt?

– Nie żyje – powiedział Brancusi, jakby to było oczywiste. – Pojechał do Europy i przedawkował heroinę. W jakimś parku w Szwajcarii. Żył jak włóczęga, zidentyfikowali go dopiero po paru tygodniach.

– Nie jest pan zaskoczony.

– Squirt nieźle dawał w żyłę, jeszcze zanim zamordowali Chinę. Potem zaczął ładować się po prostu non stop.

– Załamała go śmierć Chiny.

– Pewnie tak. Był najostrzejszy z nas wszystkich. Nie mówię o Chinie.

– Oprócz tego, że była ogólnie nieprzyjemna, starła się z kimś w ciągu, powiedzmy, tygodnia przed śmiercią?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie zdziwiłbym się. Była instynktownie nieprzyjemna, włączała jej się Greta Garbo: „chcę być sama i chuj ci w dupę za to, że próbujesz się ze mną porozumieć”.

– Może ktoś ją śledził? Brancusi podniósł rękę.

– Pan chyba nie rozumie. Nie byliśmy gwiazdami, wszyscy mieli nas gdzieś. To tak naprawdę dobijało Chinę. Bo mimo tych wszystkich gadek o alienacji, pozowaniu na pustelnika, pozostała królową z Palos Verdes, która jako dziecko była zawsze w centrum uwagi i nadal jej na tym zależało. Dlatego to, że spławiła Gittlesona, było takie głupie. Panna Schizo. Najpierw wściekała się, że zespół nie jest znany i sławny, a zaraz potem goniła wszystkich, którzy próbowali się nim zainteresować, na przykład dziennikarzy. Robiła, co mogła, żeby trzymali się z daleka, nazywała ich dupowłazami, zabroniła wszystkim udzielania wywiadów. – Znow wyciągnął rothmansy i odpalił jednego papierosa od drugiego. – Dam panu przykład: był taki zin, drobny szmatławiec, który chciał o nas napisać. China kazała im się odpiardolić. Napisali i tak. Więc co zrobiła? Zadzwoiła do wydawcy i naciskała mu. – Pokręcił głową. – Przyszedłem akurat, jak kończyła. „Twoja matka wsadza sobie sparszywiałe nazistowskie kutasy i łyka spermę Hitlera”. Jasne, nie zgodziła się na artykuł, ale jaki w tym sens?

– Pamięta pan tytuł tego zina? – spytałem.

– Myśli pan, że jakiś dziennikarz zamordował Chinę, bo brzydko się do niego odezwała? Litości.

– Na pewno ma pan rację. Ale jeśli wydawca był fanem, może ma jakieś pomysły.

– Wszystko jedno. Na pewno ma pan dużo wolnego czasu... „Groove cośćam”: „GrooveRut” czy „GrooveRat”, przysłał nam jeden egzemplarz, a my go wywaliliśmy. Tandetna, amatorska, domowa robota, pewnie już dawno padli.

– Jaki był wydźwięk tego artykułu?

– Jesteśmy geniuszami.

– Zatrzymał pan wycinek?

– Och, pewnie. Przechowuję go razem z nagrodami Grammy i platynowymi płytami, Zerwał się na nogi, zaciągnął się, zakaszlał i zgarbiony ruszył do drzwi. Pchnął je mocno i wrócił do pracy.

Podjechałem do kiosku na Selma Avenue przy Hollywood Boulevard i poszukałem „GrooveRat”. Piętnaście metrów bieżących pism, mnóstwo alternatywnych wydawnictw i gazet w dwudziestu językach, ale zina ani śladu. Spytałem o niego sprzedawcę, Sikha w turbanie, i dowiedziałem się, że nigdy o nim nie słyszał, ale może znajdę coś w sklepie z komiksami, który jest jednocześnie studium piercingu, trzy przecznice dalej.

Przejechałem obok, zauważyłem tabliczkę ZAMKNIĘTE ledwie widoczną zza kraty i wróciłem do domu, zastanawiając się, czy Paul Brancusi nie miał przypadkiem racji twierdząc, że mam za dużo wolnego czasu.

Im dłużej o tym myślałem, tym słabsze wydawały mi się powiązania między kolejnymi morderstwami. Zająłem się trzema pozostałymi z tych, o których dowiedziałem się z Internetu.

Jedyne, które miało miejsce w L.A., to śmierć starego saksofonisty Wilfreda Reedy’ego. Nic nie wskazywało, że wracał na scenę albo robił się sławny. Morderca Valerie Brusco, garncarki z Oregonu, został złapany i zamknięty, a Angelique Bernet, tancerka baletowa – młoda kobieta, której kariera właśnie się zaczynała – zginęła cztery i pół tysiąca kilometrów stąd, w Massachusetts.

Podsumowując: zero. Ciągłe nie było powodu, żeby zawracać głowę Milowi. Miał pełne ręce roboty, rozpracowując Everetta Kipperera – według mnie najpewniejszego kandydata na mordercę Julie.

Zbliżała się pora obiadu, ale nie chciało mi się jeść. Pomogłaby mi rozmowa, ale Allison pracowała dziś wieczorem w hospicjum.

Mogłoby mi dobrze zrobić, gdybym wziął z niej przykład i zajął się wyczerpującą pracą kliniczną, która odciągnęłaby mnie od moich problemów – taką, jaką zajmowałem się lata temu na oddziale onkologii Zachodniego Szpitala Pediatrycznego.

Spędziłem tam prawie dekadę, jako zbyt młody, świeżo upieczony psycholog, udający, że wie, co robi. Za dużo i za wcześnie zobaczyłem – i czułem się jak oszust.

Robiłem to, co musiałem. Ale to bzdura – onkolodzy i pielęgniarki poświęcają chorym całe życie, więc jakim prawem, do cholery, tak się wywyższam?

Mąż Allison zmarł na raka, a ona spędzała jeden wieczór w tygodniu ze śmiertelnie chorymi.

To nie był pocieszający tok myślenia. Znów zacząłem dywagować o śmierci Chiny Marangi. Pyskowanie było u niej czymś normalnym, ale niektórzy nie potrafią czegoś takiego znieść. A kiedy spytałem Robin, czy ma jakieś pomysły na ten temat, jej pierwszą myślą było to, że China spotkała kogoś na ulicy, dała się zabrać do samochodu i bluznęła jeden raz za dużo.

Chociaż Paul Brancusi to wyśmiał, nie można było zlekceważyć motywu śledzenia. Nie trzeba być

sławnym, żeby wzbudzić czyjeś irracjonalne przywiązanie. A alternatywne ziny często są czymś więcej niż biuletynami fanklubów – biuletynami fanatyk-klubów.

Czy jakiś wydawca zina wielbił Chinę z daleka? Czy to, jak go traktowała, zmieniło jego namiętność do niej w szal, z którym nie mógł sobie poradzić?

Puściłem wodze wyobraźni. Może postanowił dać jej ostatnią szansę. Zaczaił się pod studiem. China – naćpana, rozchwiana, wściekła na zespół – wychodzi, a on idzie za nią.

Zadowolona z towarzystwa kogoś, kto ją docenia, China zaczyna z nim rozmawiać.

A potem wszystko się odwraca.

China wpada w swój typowy nastrój.

A on ma dość.

Kiepski scenariusz, ale miałem do wyboru to albo zastanawianie się nad sobą.

Włączyłem komputer i poszukałem „GrooveRat”. Ani jednego trafienia.

Zaskoczyło mnie to. Każdy żyjący złudzeniami misjonarz banału ma własną stronę internetową. A więc zin był nie do znalezienia. I, jak przepowiedział Brancusi, dawno wypadł z obiegu.

Skoro byłem już w sieci, zacząłem sprawdzać, czy aby na pewno dowiedziałem się już wszystkiego o pozostałych trzech morderstwach.

Nazwisko Wilfreda Reedy’ego pojawiło się prawie sto razy, głównie w dyskografiach i pełnych pochwał recenzjach. Dwie wzmianki o jego „tragicznej śmierci”. Żadnych spekulacji. Ani Valerie Brusco, ani Angeliqne Bernet nie zainteresowały nikogo, oprócz autorów tekstów, które znalazłem za pierwszym razem.

Wyszedłem z wirtualnego świata, zadzwoniłem do Central Division i spytałem o detektywa, który zajmował się sprawą Reedy’ego. Dyżurny nie miał pojęcia, o czym mówię, i przełączył mnie do sierżanta.

– Czemu to pana interesuje?

– Jestem konsultantem departamentu...

– Jakim konsultantem?

– Psychologiem. Pracuję z porucznikiem Milem Sturgisem z West L.A.

– Więc niech on zadzwoni.

– Chodzi mi tylko o nazwisko detektywa.

– Ma pan numer sprawy?

– Nie. – Powtórzyłem nazwisko Reedy’ego, podałem sierżantowi datę.

– To cztery lata temu – powiedział. – Musi pan zadzwonić do archiwum w centrum.

Sygnał.

Wiedziałem, że w archiwum nikt nawet nie będzie chciał ze mną rozmawiać, i zadzwoniłem do Cambridge w Massachusetts, pytając o sprawę Angelique Bernet. Mężczyzna mówiący z południowym akcentem pouczył mnie, że w ich policji nastąpiła nowa epoka – należało wypełnić pewne formularze, sprostać pewnym wymaganiom. Kiedy spytał o mój numer ubezpieczenia, podałem mu go. Powiedział, że oddzwoni, i odłożył słuchawkę.

Telefon do więzienia stanowego w Oregonie, gdzie próbowałem się dowiedzieć o status więźnia Toma Blascovitcha, byłego chłopaka Valerie Brusco, wzbudził podobne podejrzenia i nieufność.

Dałem sobie spokój. Dość tej amatorszczyzny. Niech Milo zajmuje się Everettem Kipperem, a jeśli utknie w martwym punkcie, powiem mu o tym, co odkryłem.

Miałem właśnie napaść na lodówkę, kiedy zadzwonił telefon.

– Wiesz co, mam dzisiaj czas – powiedziała Allison. – W hospicjum będą występy: komik i zespół bluegrassowy. Co robisz?

Czekałem przed domem, kiedy podjechała swoim jaguarem. Złożyła dach i miała potargane przez wiatr włosy. Wysiadła, a ja wziąłem ją w ramiona i mocno pocałowałem.

– Ojej – zaśmiała się. – Też się cieszę, że cię widzę.

Objęła mnie w pasie, założyła sobie moją rękę na ramiona i razem weszliśmy po schodach do domu.

– Zostało ci jeszcze trochę tego bordeaux? – spytała, kiedy weszliśmy do środka.

– Wszystko, czego nie wypiliśmy ostatnim razem. Poszliśmy do kuchni i znalazłem wino.

– Ojej – powtórzyła, mierzając mnie wzrokiem od stóp do głów. – Naprawdę się cieszysz, że mnie widzisz.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Leżeliśmy w ciemnościach. Usłyszałem, że Allison wzdycha.

– Wszystko w porządku?

– Jasne – powiedziała. Za szybko. Zwinięta w kłębek pod prześcieradłem, plecami do mnie.

Sięgnąłem i ponad jej ramieniem dotknąłem twarzy. Miała mokre policzki.

– Co się stało?

– Nic. – Zaczęła płakać. – Czy doszliśmy już do punktu, w którym mogę ci bezpiecznie powiedzieć wszystko? – spytała po chwili.

– Oczywiście.

– Mam nadzieję.

Ale nic nie powiedziała.

– Allison?

– Nieważne. Wszystko w porządku.

– Okej.

Chwilę później:

– Tak mi było dobrze, myślałam, co może być lepszego, i nagle zobaczyłam przed oczami twarz Granta. Wyglądał na szczęśliwego, jakby się cieszył moim szczęściem. Boże, muszę myśleć, że jest szczęśliwy.

– Oczywiście.

– A potem pojawiły się te myśli: wszystko, co stracił, co do niego czułam, jaki był młody. Alex, ja tak za nim tęsknię! I czasami to, jak mnie dotykasz, jaki jesteś czuły, kiedy tego potrzebuję, kojarzy mi się z nim. – Odwróciła się na plecy i zakryła twarz dłońmi. – Czuję się, jakbym was zdradzała. Jego, ciebie. Minęło tyle lat, dlaczego nie mogę o nim zapomnieć?

– Kochałaś go. Nigdy nie przestałaś go kochać.

– Nie przestałam – powtórzyła. – Może nigdy nie przestanę... dasz sobie z tym radę? Bo to nie ma nic wspólnego z tobą.

– Nie przeszkadza mi to.

– Naprawdę?

– Tak.

– Rozumiem, dlaczego nie potrafisz zmienić swoich uczuć do Robin.

– Moich uczuć – powtórzyłem.

– Nie mam racji?

Nie odpowiedziałem.

– Spędziliście razem tyle lat. Musiałbyś być strasznie płytki, żeby o tym zapomnieć.

– Wszystko wymaga czasu.

Odsłoniła twarz i wbiła wzrok w sufit.

– No, pewnie właśnie zrobiłam straszną głupotę.

– Nie.

– Chciałabym być tego pewna.

Przysunąłem się bliżej i objąłem ją.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem.

– Chcę w to wierzyć. Nie podoba mi się alternatywa.

Dziesięć dni później odezwał się Milo. Tymczasem dalej naciskałem na policję Cambridge i udało mi się porozmawiać z detektywem Ernestem Fiorellem. Zaczął od dokładnego wybadania, kim jestem. W końcu zaspokoiliem jego ciekawość, wysyłając mu faksem kopię mojego kontraktu konsultanta i kilka stron mojego oświadczenia w sprawie Ingalls. Mimo to jednak Fiorelle więcej pytał, niż opowiadał o Angeliaue Bernet.

Nie znaleziono żadnych znaczących tropów, a sprawa pozostała nierozwiązana.

– Jak dla mnie to jakiś czubek – powiedział Fiorelle. – Pan się na tym zna, niech pan mi powie.

– Seksualny psychopata? – spytałem. – Były jakieś dowody gwałtu?

– Tego nie powiedziałem.

Cisza.

– Dlaczego myśli pan, że to czubek?

– Trzeba być czubkiem, żeby pociąć piękną dziewczynę i zostawić ją w zaułku, doktorze. U was w L.A. to uchodzi za normalne?

– To zależy od dnia tygodnia.

Zaśmiał się krótko i ostro.

– A więc żaden z kolegów Bernet, tancerzy, nie był podejrzany? – spytałem.

– Nie, to same mięczaki, kobiety albo geje. Ciężko przerażeni. Wszyscy twierdzili, że kochali tę dziewczynę.

– Chociaż szła w górę.

– Co z tego?

– Zastanawiałem się nad zazdrością.

– Doktorze, gdyby był pan na miejscu zabójstwa, nie zastanawiałby się pan. To nie była jakaś... sprzeczka. To było naprawdę paskudne.

Cały czas chodziło mi po głowie, że China mogła się spotkać ze śledzącym ją fanem, więc spytałem go o wydarzenia muzyczne z okresu, kiedy popełniono morderstwo.

– Żartuje pan? – powiedział. – To miasto uniwersyteckie, Harvard i tak dalej. Cały czas mamy tu jakieś wydarzenia.



– Chodzi mi konkretnie o ludzi związanych z biznesem muzycznym. Jakiś zlot krytyków, dziennikarzy, fanów?

– Nie, nic takiego sobie nie przypominam. I szczerze mówiąc, doktorze, nie wiem, czemu to pana tak interesuje.

– Nie mam nic innego do roboty.

– No, może powinien pan coś sobie znaleźć. I szukać wariatów na Lewym Wybrzeżu. Nie, nie widzę żadnych podobieństw między tą dziewczyną a pana sprawami. Sam znalazłem coś lepszego w Baltimore i to też nie wypaliło.

– Kto był ofiarą w Baltimore?

– Jakaś sekretarka pocięta tak samo jak ta Bernet. To i tak nie ma znaczenia, powiedziałem panu przecież, że nic z tego nie wyszło. Złapali tamtego świra, a on się powiesił. Muszę lecieć, doktorze. Miłego, ciepłego dnia w L.A.

Poszukałem w sieci morderstw w Baltimore, ale nie znalazłem nic choćby trochę podobnego do sprawy Angelique Bernet czy innych. „Nic” wydawało się słowem kluczowym.

W ciągu tych dziesięciu dni zdarzyło się parę innych rzeczy. Któregoś wieczora zadzwonił do mnie Tim Plachette.

– Przepraszam za te popisy, wtedy.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Nie ty jeden się wygłupiłeś.

– Jeden czy niejeden, powinienem był zachować spokój... Naprawdę mi na niej zależy, Alex.

– Jestem tego pewien.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać.

Coś w jego głosie – desperacja, niepokój zrodzony z głębokiego uczucia – sprawiło, że nagle zmienił mi się nastrój.

– Doceniam to, że dzwonisz, Tim. Nie będę ci stawał na drodze.

– Nie próbuję was ograniczać, to wolny kraj. Jeśli chcesz wpaść, nie ma problemu.

Znów coś mną szarpnęło: rany, dzięki za pozwolenie, stary. Ale wiedziałem, że ma rację. Życie byłoby o wiele prostsze dla nas wszystkich, gdybym trzymał się od nich z dala.

– Musimy żyć dalej, Tim.

– Dobrze, że to mówisz... Robin... i do tego Spike... robię z siebie idiotę.

– Czasami tak to jest z kobietami.

– Właśnie.

Zarechotaliśmy obaj rechotem nosicieli chromosomu Y.

– No i tyle – powiedział.

– Trzymaj się, Tim.

– Ty też.

Dwa dni później zadzwoniła Robin.

– Nie chciałam ci zawracać głowy, ale nie chcę też, żebyś dowiedział się od kogoś innego. Napiszą o mnie w „Guitar Player” i muszę przyznać, że uważam, że to super. Wiem, że czasami go kupujesz, więc pomyślałam, że może przeczytasz.

– Lepiej niż super. Powiedz mi, który numer, na pewno kupię.

– Następny. Zrobili ze mną jakiś czas temu wywiad, tylko nie powiedzieli, że się ukáže. Zadzwonili dzisiaj, że jednak tak. To mi pewnie skomplikuje życie, będę miała więcej zleceń, niż dam radę zrobić, ale co tam: fajnie jest raz na jakiś czas się pokazać. Dzieciak ze mnie, co?

– Zasłużyłaś na to – powiedziałem. – Baw się dobrze.

– Dzięki, Alex. Jak leci?

– Powoli.

– Masz coś nowego w sprawie Baby Boya czy tej malarki?

– Nie.

Kiedy byliśmy razem, nigdy by o coś takiego nie spytała. Może zapytała, bo lubiła Baby Boya. A może dlatego, że to, co robiłem ze swoim życiem, już jej nie dotyczyło.

– Jestem pewna, że jeśli ktoś może rozwiązać tę zagadkę, to tylko ty.

– Och, wielkie dzięki, proszę pani.

– Cześć – powiedziała, a śmiech w jej głosie rozświetlił trochę mój ponury dzień.

Milo złapał mnie w domu, w następny czwartek trochę po dziewiątej wieczorem. Samotny koniec samotnego dnia. Skończyłem ostatni raport, zebrałem dane podatkowe od księgowego, porobiłem trochę przy domu. Kiedy zadzwonił telefon, wylegiwałem się na kanapie, w brudnym dresie,

pożerając zamówione na wynos żeberka, z kilkoma grolschami pod ręką. Wyłączyłem światło i podkręciłem głośność w telewizorze – oglądałem *Magnolię*, po raz kolejny dochodząc do wniosku, że to genialny film.

Poprzednie dwie noce spędziłem u Allison, budziłem się w jej przytulnej, kobiecej sypialni, czując zapach perfum i śniadania. Wtulałem szorstką nieogoloną twarz w słodko pachnącą miękką pościel i byłem jednakowo rozanielony i zdezorientowany.

Nie było więcej rozmów o Grancie i Robin i Allison wydawała się z tego zadowolona – chyba że udawała. Poprzesuwała umówione spotkania i wzięła dzień wolnego. Pojechaliśmy w górę wybrzeża, zjedliśmy obiad w Montecito, w Stone House. Potem ruszyliśmy dalej, do Santa Barbara, spacerowaliśmy po plaży i zwiedziliśmy Muzeum Sztuki, w którym była akurat wystawa portretów.

Oglądaliśmy czarnookie, zbyt mądre jak na swój wiek dzieci Roberta Henriego, smutne, zranione kobiety Raphaela Soyera, dandysów i lalki nowojorskiej gromady artystów Johna Kocha.

Blade, spokojne, ciemnowłose piękności Singera Sargenta sprawiły, że na nowo doceniłem urodę Allison.

Późna kolacja w Harbor na nabrzeżu przeciągnęła się do jedenastej i wróciliśmy do L.A. tuż przed pierwszą w nocy. Przez ostatnie trzydzieści kilometrów walczyłem z sennością. Kiedy zatrzymałem się przed domem Allison, miałem nadzieję, że nie zaprosi mnie do środka.

– Było cudownie, jesteś dla mnie taki dobry – powiedziała. – Napijesz się kawy, zanim pojedziesz?

– Dam radę.

Pocałowałem ją i odjechałem. Teraz noc była moja. Następnego dnia wypożyczyłem film.

– Przeszkadzam ci w czymś? – spytał Milo.

– W jedzeniu żeberek, picciu piwa i oglądaniu *Magnolii*.

– Znowu? Który to już raz, dziesiąty?

– Trzeci. Co słyhać?

– Jesteś sam?

– Aha.

– Więc jesteś świnią, że sam żresz te żeberka.

– Nie ma sprawy. Wpadaj i żryj ze mną.

– Nie kuś, szatanie. Nie, Rick kończy dzisiaj wcześniej dyżur i idziemy do Jazz Bakery. Przyjechał Lany Coyrell, a znasz Ricka. Poza tym CoCo Barnes przysłała rysunek tej rudej. Obawiam się, że miałeś rację. To jakaś abstrakcja. Te katarakty dyskwalifikują ją jako wiarygodnego świadka. Poza tym dowiedziałem się trochę o Everecie Kipperze. Mało popularny koleś.

– Wśród jakich ludzi?

– Wśród sąsiadów. Mieszka w lepszej części Pasadeny, niedaleko granicy z San Marino. Wielki dom na półhektarowej działce, sporo jak na jednego faceta. Reszta kwartału to rodziny i emeryci. Sąsiedzi Kipperera należą do tych drugich, spokojni starsi ludzie. Mówią, że jest nieprzyjemny, trzyma się na uboczu, chodził po nocach do garażu i tłukł młotkiem w marmur czy coś takiego. W końcu wezwali policję. Gliniarze pogadali z nim. Od tamtej pory jest cicho, ale Kipper zrobił się wręcz wrogi, nie odzywa się do sąsiadów. Gliniarze powiedzieli mu, że może hałasować do dziesiątej, więc złośliwie dzień w dzień tłucze coś w garażu równo do punkt dziesiątej. Zostawia otwarte drzwi, żeby przypadkiem nie było za cicho.

– Wrogi i mściwy – powiedziałem. – Rzeźbi, a potem to rozwała.

– Rozmawiałem z glinami z Pasadeny, ale przypominają sobie tylko to jedno wezwanie. Przysłali mi raport. Nic specjalnego. Sąsiedzi twierdzili, że Kipper rzadko, jeśli w ogóle, miewa gości, ale raz na jakiś czas pojawia się u niego jakaś blondynka. Pokazałem im zdjęcie Julie, powiedzieli, że to może być ona.

– Może?

– To ludzie po osiemdziesiątce, poza tym nie przyglądali się. Pamiętają tylko, że to była blondynka, bardzo jasna, taka jak Julie. Wygląda więc na to, że Kipper nie kłamał, kiedy mówił, że utrzymywali kontakty.

– Jak często się tam pojawiała?

– Nieregularnie. Czasami raz w miesiącu, czasami dwa. Jedna ze staruszek powiedziała, że zdarzało się, że blondynka zostawała na noc, bo widziała, jak rano wsiadała z Kipperem do jego ferrari.

– Sporadyczne kontakty – stwierdziłem.

– Może przychodziła odebrać alimenty osobiście i zapominali, dlaczego się rozstali. Zacząłem się zastanawiać nad tym, co mówiłeś o zależności Julie. A jeśli uznała, że ma tego dość, powiedziała to Kipperowi i zrobiło się nieprzyjemnie? Nie zabiłby jej u siebie w domu. Sąsiedzi cały czas mu się przyglądali, raz była już u niego policja. Mówiłeś o cwany, wyrachowanym gościu, a to bystrzak. Czy mogę to jakoś udowodnić? *Niet.* Ale nie mam innego tropu.

– Jak wyglądają finanse Kipperera?

– Na razie mogę najwyżej pomarzyć o nakazie rewizji jego kont, ale wygląda na to, że dobrze mu się wiedzie. Oprócz tej testarossy ma jeszcze stare porsche, stare mg i toyotę land cruisera. Dom jest

ładny i zadbane, ogród jest zachwycający. Sąsiedzi mówią, że Kipper dobrze się ubiera, nawet kiedy ma wolne. Jeden z nich powiedział, że wygląda „po hollywoodzku”. W Pasadenie to prawie zbrodnia. Inna starsza pani rozwodziła się na temat tego, że Kipper lubi ubierać się na czarno: „jak przedsiębiorca pogrzebowy”. Na to jej mąż: „raczej jak nieboszczyk”. Dziewięćdziesiąt jeden lat i proszę, jaki złośliwy. Może to przez dżin z tonikiem, zaprosili mnie na jednego. Byłem chyba największym wydarzeniem w tamtej okolicy od czasu ostatniego Turnieju Róż.

– Emeryci piją dżin z tonikiem, no, no. Nieźle.

– Królowa matka piła dżin z tonikiem i dożyła stu jeden lat. Ale ja poprosiłem o colę. Powiem ci, że mnie kusiło – mieli bombay, a ja ostatnio nie miałem za dużo rozrywek. Zwyciężyła cnota, niech ją cholera. W każdym razie póki co nie odpuszczam Kipperowi. Wrogi, agresywny samotnik. Poza tym popytałem o tę wysoką rudą bezdomną. Kilka możliwości pojawiło się na Westside w Pacific Division, ale żadna się nie sprawdziła. W jednym z przytułków w Hollywood pamiętają kobietę o imieniu Bernadine czy Ernadine, która pasuje do opisu. Wysoka, grubokoścista, stuknięta, trzydzieści parę lat. Wpada czasami, żeby się wysuszyć, ale nie widzieli jej już od dość dawna. Kierowniczka przytułku ma wrażenie, że ta ruda bardzo się stoczyła.

– Dlaczego?

– Kiedy rozjaśniało jej się w głowie, robiła wrażenie dość inteligentnej.

– Nazwisko?

– W przeciwieństwie do państwowych, prywatne noclegownie nie zawsze prowadzą akta. Tak akurat jest przy kościele, nazywa się Dom Gołębic. Czynimy dobro, nie zadajemy pytań.

– Kiedy Bernadine robiła wrażenie inteligentnej, o czym mówiła? – spytałem.

– Nie wiem. Czemu? Pytałem o nią z nudów, bo zabrnąłem w ślepią uliczkę z Kipperem.

– Zastanawiam się, czy nie była miłośniczką sztuki.

– Nagle doszedłeś do wniosku, że warto się tym zająć?

– Nie do końca.

– Co?

– Nieważne. Nie chcę ci zabierać czasu.

– Akurat nie jest specjalnie cenny. Dzwonił do mnie rano stryj Julie Kipper, wypytywał uprzejmie, jakie zrobiłem postępy. Musiałem mu powiedzieć, że żadnych. Co ci chodzi po głowie, Alex?

Opowiedziałem mu o pozostałych morderstwach, o których wzmianki znalazłem w Internecie, streściłem rozmowę z Paulem Brancusim.

– Wilfreda Reedy’ego pamiętam – stwierdził Milo. – To jeszcze jeden z ulubieńców Ricka. Chyba poszło o narkotyki. Reedy wkurwił dilera, czy coś takiego.

– Reedy był uzależniony?

– Jego dzieciak. Przedawkował i zmarł, Reedy dostał szału, zaczął robić szum dookoła dilowania w okolicach South Central. Mogę się mylić, ale coś takiego pamiętam.

– A więc to zamknięta sprawa?

– Nie wiem, powęszę – powiedział. – A zatem... teraz motywem jest zazdrość?

– To wszystko ma jeden punkt wspólny: artyści są zabijani akurat w chwili, kiedy ich kariera zaczyna nabierać rozpędu. Czwororo, jeśli doliczyć Angeliqne Bernet. Ale różnice zaprzeczają jakiemukolwiek powiązaniu.

– Wilfred Reedy nie zaczął kariery. Był podziwiany od lat.

– Właśnie, mówiłem, że to strata czasu.

Cisza.

– Na pierwszy rzut oka to niewiele – powiedział Milo. – Ale na razie jestem wolny. Wiesz co, zrobimy tak: podzwoń trochę i spróbuj obalić swoją teorię. To przecież naukowa metoda, prawda?

– Zgadza się.

– No widzisz. Dowiem się, kto się zajmował Reedym, pogadam z Cambridge, zobaczę, co tam się naprawdę stało. Mogę też sprawdzić, czy chłopak tej garncarki dalej siedzi. Jak oni się nazywali?

– Valerie Brusco i Tom Blascovitch – odparłem. – Skazali go trzy lata temu.

– Jeszcze jeden artysta?

– Rzeźbiarz.

– Tak samo jak Kipper, może to następny mściciel z dłutem. Ach, ten świat sztuki. Zawsze powtarzałem matce: nigdy nie wiadomo, kiedy praca zaprowadzi człowieka na wyżyny.

Następne kilka tygodni było równią pochyłą do zera. Nie pojawiły się żadne nowe dowody w sprawie morderstwa Kipper, Milo nie dowiedział się niczego na temat pozostałych zabójstw. Zadzwoił do Petry i usłyszał, że utknęła w martwym punkcie śledztwa Baby Boya.

Tom Blascovitch, rzeźbiarz morderca, został zwolniony z więzienia rok temu za dobre sprawowanie: zorganizował zajęcia plastyczne dla współwięźniów. Ale wyjechał do Idaho, zatrudnił się jako pomocnik na ranchu i według jego szefa był na nim, kiedy mordowano Kipper i Lee.

Detektyw Fiorelle z policji Cambridge zapamiętał mnie jako „napastliwego, takiego intelektualistę – znam ten typ, pełno tu u nas takich”. Po bliższym zapoznaniu się ze szczegółami morderstwa Angelique Bernet trzeba było obalić teorię o jego związku ze śmiercią Baby Boya i Julie – tancerka została pchnięta nożem sześć razy i porzucona w miejscu, w którym za dnia był spory ruch, ale w nocy spokój. Nikt jej nie dusił, nie ułożył w seksualnej pozycji – znaleziono ją ubraną.

Detektyw, który zajmował się sprawą Wilfreda Reedy’ego, nie żył. Milo zdobył kopię akt. Reedy został wypatroszony w zaułku, tak jak Baby Boy, ale sporo wskazywało na to, że morderstwo miało związek z narkotykami. Prawdopodobnym podejrzanym był drobny handlarz Celestino Hawkins, który zaopatrywał syna Reedy’ego. Hawkins siedział wcześniej za napaść z nożem. Nie żył od trzech lat.

Akta Chiny Marangi były cienkie i zakurzone.

Milo zadzwonił do stryja Julie Kipper i powiedział mu, żeby nie spodziewał się szybkich rezultatów. Stryj był mu i tak wdzięczny i Milo poczuł się przez to jeszcze gorzej.

Allison i ja spędzaliśmy coraz więcej czasu ze sobą.

Kupiłem „Guitar Player” i przeczytałem artykuł o Robin. Długo wpatrywałem się w zdjęcia.

Robin w swoim nowym warsztacie. Ani słowa, że kiedyś miała inny. Wspaniale profilowane gitary i mandoliny, sprzęt najślawniejszych, szerokie uśmiechy. Świetnie wychodziła na zdjęciach.

Wysłałem jej krótkie gratulacje, dostałem kartkę z podziękowaniem.

Dwa i pół miesiąca po zamordowaniu Julie Kipper pogoda się poprawiła, a akta sprawy pokryły grubą warstwą kurzu. Milo się wściekł, zostawił je i znów zajął się wygrzebywaniem starych, niedokończonych śledstw.

Kilka z nich dało się pociągnąć dalej, więc narzekał i był zajęty. Kiedy się spotykaliśmy, za każdym razem wspominał o Julie – czasami z wymuszoną beztroską, co oznaczało, że ta sprawa cały czas go męczy.

Niedługo potem Allison i ja pojechaliśmy do Malibu Canyon obejrzeć deszcz meteorów. Znaleźliśmy rzadko uczęszczaną drogę, zsunęliśmy dach jaguara, rozłożyliśmy fotele i patrzyliśmy, jak kosmiczny pył eksploduje w atmosferze. Ledwie wróciliśmy do domu, o pierwszej piętnaście w nocy zadzwonił telefon. Przerzuciałem papiery, a Allison czytała *Marionetki* V.S. Naipaula. Spięła włosy, na nosie miała okulary do czytania w czarnych oprawkach. Kiedy podniosłem słuchawkę, spojrzała wymownie na zegarek koło łóżka.

Większość takich nocnych telefonów była do niej. Pacjenci dzwonili w nagłej potrzebie.

Odebrałem.

– Następny – wyrzucił z siebie Milo.

Wymówiłem bezgłośnie jego imię, a Allison kiwnęła głową.

– Pianista – ciągnął. – Zadźgany i zaduszony po koncercie. Zaraz za budynkiem, w którym grał. I niespodzianka: facet robił karierę. Spodziewał się kontraktu. To nie była moja sprawa, ale usłyszałem o niej i ją przejąłem. Prerogatywa porucznika. Jestem na miejscu. Chcę, żebyś rzucił na to okiem.

– Teraz? – spytałem.

Allison odłożyła książkę.

– To jakiś problem? – zdziwił się. – Nie jesteś już nocnym markiem?

– Chwila. – Zakryłem słuchawkę, spojrzałem na Allison.

– Jedź – powiedziała.

– Gdzie? – spytałem Mila.

– Bristol Avenue, Brentwood. Północna strona.

– Robimy postępy – powiedziałem.

– Kto, my?

– Nasz poszukiwany.

Bristol – urocza, ocieniona starymi cedrami ulica, z rondem na każdym skrzyżowaniu. Większość stojących przy niej domów to oryginalne tudory i hiszpańskie koloniałe. Ten, w którym popełniono morderstwo, był nowy, stał po zachodniej stronie ulicy. Biały, dwa razy większy niż sąsiednie rezydencje, miał trzy kondygnacje, kolumnady i mniej więcej tyle samo ciepła, co szkoła prawnicza. Na środku płaskiego, zielonego trawnika przed frontem rósł samotny, piętnastometrowy ambrowiec. Dom skąpany był w ostrym, suchym świetle punktowych reflektorów. Niedaleko stąd biegła Rockingham Avenue, gdzie swego czasu na własnym podjeździe krwawił O.J. Simpson.



Przejazd ulicą na pół zablokował czarnobiały wóz patrolowy, migający wiśniowym kogutem. Milo podał moje nazwisko mundurowym i przepuszczono mnie z uśmiechem.

– Proszę, panie doktorze.

Pierwszy raz. Prerogatywa porucznika?

Przed domem stały jeszcze cztery patrolowce, obok dwie furgonetki policyjnych techników i wóz koronera. Noc była bezksiężycowa i nieprzenikniona. Spadające gwiazdy zniknęły.

Następny mundurowy, którego spotkałem, okazał typową nieufność policjanta i skonsultował się z kimś przez krótkofalówkę.

– Proszę – powiedział w końcu.

Olbrzymie drzwi ustąpiły pchnięte palcem – pewnie miały jakieś pneumatyczne wspomaganie. Kiedy wszedłem do środka, zobaczyłem Milo, który wybiegł mi naprzeciw. Wyglądał jak makler, któremu właśnie implodowało portfolio.

Szybko pokonał sto metrów kwadratowych marmurowego holu.

Dziesięć procent sklepienia – na wysokości siedmiu metrów – zajmowały rzeźbione motywy. W białą, marmurową podłogę wprawiono kwadraty czarnego granitu. Kryształowy żyrandol zużywał tyle prądu, ile średniej wielkości wioska w trzecim świecie. Ściany również były marmurowe, szare z morelowymi żyłami i podzielone na rzeźbione segmenty. Trzy bez zdobień, na jednej stary brązowy gobelin – myśliwi, Ogary i zmysłowe kobiety. Po prawej stronie wznosiły się schody o mosiężnych poręczach – prowadziły na galerię udekorowaną portretami pełnych godności, od dawna nieżyjących ludzi.

Milo miał na sobie workowate džinsy, za dużą szarą koszulę i przyciasną, sportową marynarkę. Pasował do otoczenia jak czyrak do superrnodelki.

Za holem znajdowało się o wiele większe pomieszczenie – drewniana podłoga i gładkie, białe ściany. Przed podwyższeniem, na którym stał czarny fortepian, ustawiono kilkanaście rzędów składanych krzeseł. W rogach łukowato sklepionego, drewnianego sufitu wisiały stożkowate, siatkowe konstrukcje, służące zapewne poprawie akustyki wnętrza. Nie było okien. Podwójne drzwi w głębi wtapiały się w ścianę.

W lewo od fortepianu stała na statywie tablica z napisem: P<sub>ROSIMY</sub> O CISZE. Ławeczkę dla pianisty wsunęto pod instrument. Na stojaku leżały rozłożone nuty.

Podwójne drzwi otworzyły się i wybiegł z nich pulchny mężczyzna koło sześćdziesiątki. Truchtał za Milem jak pisklę.

– Panie detektywie! Panie detektywie! – Machał ręką i ciężko sapał, próbując go dogonić.

Milo się odwrócił.

– Panie detektywie, czy mogę pozwolić obsłudze iść do domu? Jest strasznie późno.

– Jeszcze tylko chwila, panie Szabo.

Obwisłe policzki mężczyzny zadygotały.

– Tak, oczywiście. – Zerknął na mnie, a jego oczy zniknęły w labiryncie fałd i zmarszczek. Miał wilgotne, czerwone usta, a miedziany, plamisty kolor jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

Milo przedstawił mnie, ale pomiął mój tytuł.

– To pan Stefan Szabo, właściciel.

– Miło mi pana poznać – powiedziałem.

– Tak, tak. – Szabo mocował się chwilę z diamentową spinką mankietu, potem podał mi rękę. Dłoń miał miękką i gorącą, tak wilgotną, że prawie mokrą. Był łysy, miał tylko rudobrazowe kłaczki nad obwisłymi uszami. Na środku jego twarzy o kształcie bakłażana, sterczał nos – mniejsza wersja tego warzywa: zwisający, dorodny japoński bakłażan. Szabo miał na sobie spiętą półkaratowymi, diamentowymi spinkami białą jedwabną koszulę, rubinowy fular, czarne spodnie od smokingu i drogie pantofle.

– Biedny Wasilij, to takie okropne. Wszyscy mnie teraz znienawidzą.

– Znienawidzą? – spytał Milo.

– Przez rozgłos – powiedział Szabo. – Kiedy budowałem odeon, włożyłem tyle starań, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Wysłałem osobiste listy do sąsiadów, zapewniłem ich, że będziemy organizować wyłącznie prywatne koncerty, czasem tylko charytatywne. I zawsze dyskrecja. Zawsze trzymałem się pewnych zasad: uprzedzałem wszystkich w promieniu dwóch kwartałów, dbałem, żeby nigdy nie brakowało parkingowych. Tyle starań, panie detektywie. A teraz to. – Wykręcił rękę. – Muszę być ostrożny, zwłaszcza ze względu na sam pan wie kogo. Podczas procesu życie tutaj zamieniło się w piekło. Ale poza tym jestem lojalnym Brentwoodczykiem. A teraz to. – Spojrzał badawczo na Mila. – Zajmował się pan tamtym?

– Nie, proszę pana.

– To dobrze – powiedział Szabo. – Bo gdyby pan się zajmował, nie miałbym do pana wielkiego zaufania. – Pociągnął nosem. – Mój biedny odeon. Nie wiem, czy będę w stanie ciągnąć to dalej.

– Pan Szabo zbudował prywatną salę koncertową, Alex. Ofiarą jest dzisiejszy wykonawca.

– Ofiarą. – Szabo złapał się za serce. Zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi znów się otworzyły i stanął w nich młody, szczupły Azjata w dopasowanych, czarnych satynowych spodniach, czarnej jedwabnej koszuli i czerwonej muszce.

– Tom! – zawołał Szabo. – Pan detektyw mówi, że jeszcze chwilę. Młody mężczyzna kiwnął

głową. Wyglądał na najwyżej trzydzieści lat, miał gładką skórę, lśniąca jak kość słoniowa pod granatowoczną burzą włosów.

– Trudno, Stef. Wszystko w porządku?

– Wcale a wcale, Tom.

Młody mężczyzna odwrócił się do mnie.

– Tom Loh. – Dłoń miał chłodną, suchą i silną.

Szabo wziął go pod ramię.

– Tom zaprojektował odeon. Zaprojektował dom. Jesteśmy partnerami.

– Życiowymi – dodał Tom.

– Czy kobieta od cateringu coś robi, czy tylko stoi pod ścianą? Skoro nie może stąd wyjść, równie dobrze może posprzątać – powiedział Szabo.

– Panie Szabo, wstrzymajmy się z porządkami, dopóki nie zabezpieczymy miejsca zbrodni – powiedział Milo.

– Miejsce zbrodni. – W oczach Szabo zalśniły łzy. – W życiu nie myślałem, że tak będzie można nazwać nasz dom.

– Czy... Wasilij jeszcze tu jest? – spytał Tom Loh.

– Zabierzemy ciało, jak tylko skończymy.

– Jasne, oczywiście. Mogę wam coś jeszcze powiedzieć? O Wasiliju, o koncercie?

– Sprawdziliśmy już listę gości, proszę pana.

– Ale mówiłem panu – wtrącił się Szabo – że goście z listy to była tylko część publiczności. Osiemdziesiąt pięć na sto trzynaście osób. I musi mi pan uwierzyć na słowo: każda z tych osiemdziesięciu pięciu osób jest poza wszelkimi podejrzeniami. Dwadzieścia pięć z nich to posiadacze kart stałego wstępu, sąsiedzi, którzy mają darmowe wejściówki.

– Podlizujemy się sąsiadom – wyjaśnił Loh – żeby nie mieć problemów.

– Osiemdziesiąt pięć ze stu trzynastu – powiedział Milo. – To daje dwadzieścioro ośmiu nieznanym.

– Ale chyba pan nie sądzi, że ktoś, kto przychodzi posłuchać Chopina, byłby zdolny do... – zawołał Szabo.

– Oni wiedzą, co robią, Stef – przerwał mu Loh i położył dłoń na jego ramieniu.

– Och, wiem, że masz rację. Jestem tylko starym człowiekiem, który chciałby uczynić świat piękniejszym, co ja wiem o takich sprawach? – Szabo próbował się uśmiechnąć. – Tom czyta książki sensacyjne. Lubi takie rzeczy.

– Tylko jako fikcję – powiedział Loh. – To było ohydne.

Szabo potraktował to jako wyrzut.

– Tak, tak, oczywiście, gadam od rzeczy, sam nie wiem, co mówię. Nie przeszkadzajcie sobie, panowie. – Położył dłoń na piersi. – Muszę usiąść.

– Idź na górę – powiedział Loh. – Przyniosę ci wody. – Wziął Szabo pod rękę i odprowadził go na podest schodów. Tam zatrzymał się i patrzył, jak przyjaciel sam drepcze na piętro. Potem wrócił do nas.

– Jest w szoku.

– Od dawna macie panowie odeon? – spytał Milo.

– Tak długo, jak dom – odparł Loh. – Trzy lata. Ale projekt zajął ponad dziesięć. Zaczęliśmy zaraz po tym, jak ja i Stef sprowadziliśmy się tu z Nowego Jorku. Przyjaźniliśmy się już wtedy dwa lata. Stef pracował w pończosznictwie, ja w projektach, wykonywałem publiczne i prywatne zlecenia. Poznaliśmy się na przyjęciu powitalnym Zubina Mehty. Stef zawsze miał bzika na punkcie muzyki klasycznej, a ja byłem tam, bo robiłem parę rzeczy dla jednego z przyjaciół mistrza. – Ciemne, migdałowe oczy skupiły się na Milu. – Sądzi pan, że odeon będzie miał kłopoty?

– Nie umiem powiedzieć, proszę pana.

– Dla Stefa to bardzo ważne. – Loh skubnął brzeg swojej czerwonej muchy. – Nie wydaje mi się, żeby były jakieś podstawy prawne, żeby nas zamknąć. Sąsiedzi zawsze nas wspierali. Stef kupuje na pęczki losy szkolnych loterii fantowych, zawsze bierzemy udział we wszystkich sąsiedzkich projektach. Mamy dobre układy z komisją zagospodarowania przestrzeni, a niech mi pan wierzy, niełatwo było to osiągnąć.

– Losy loterii komisji zagospodarowania? – zdziwił się Milo.

Loh przewrócił oczami i uśmiechnął się.

– Proszę nie pytać, chodzi mi o to, że nie chciałbym, żeby to się skończyło. To wiele znaczy dla Stefa i dla mnie.

– Jak często robicie koncerty?

– Robimy koncerty – powtórzył Loh, rozbawiony. – Stef planuje cztery rocznie. W zeszłym roku dodaliśmy jeden na Boże Narodzenie, dla Szkoły Johna Roberta Prestona.

– Dziecko sąsiada?

Loh uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Rozumiem, dlaczego został pan detektywem.

– Sprawdziłem kasę i znalazłem trzynaście czeków od osób, których nie było na liście gości – powiedział Milo. – Zostaje piętnaście, które zapłaciły gotówką. Suma się zgadza. Wie pan, kim jest te piętnaście?

Loh pokręcił głową.

– Musiałby pan zapytać Anity. To dziewczyna, która stała przy drzwiach.

– Zapytałem. Nie pamięta.

– Przykro mi – odparł Loh. – Nie przyglądaliśmy się, nie mogliśmy tego przewidzieć.

– Co może mi pan powiedzieć o Wasiliju Lewiczu?

– Młody, wrażliwy. Jak oni wszyscy. Stefan będzie wiedział więcej. Muzyka to jego pasja.

– A pana?

– Ja zajmuję się organizacją.

– Może pan coś powiedzieć o sposobie bycia Lewicza?

– Był bardzo cichy, denerwował się występem. Prawie nie spał i nie jadł, słyszałem, jak chodził po swoim pokoju przed recitalem. Ale to normalne, detektywie. Ci ludzie mają talent i pracują ciężiej, niż można sobie wyobrazić. Wasilij przyjechał dwa dni temu i ćwiczył siedem godzin dziennie. Kiedy nie grał, zamykał się w swoim pokoju.

– Nie przyjmował gości?

– Nie, odebrał tylko dwa telefony. Od matki i agenta. Nigdy wcześniej nie był w L.A.

– Utalentowany – powtórzył Milo. – I piął się w górę.

– Stefan taki jest. Wyszukuje wschodzące gwiazdy i stara się im pomóc – powiedział Loh.

– Proponując koncert tutaj?

– I pieniądze. Nasza fundacja przyznaje granty. Niezbyt hojne, każdy artysta dostaje piętnaście tysięcy dolarów.

– Dla mnie to brzmi hojnie.

– Stefan to chodząca hojność.

– Jak pan Szabo znajduje artystów? Konkretnie, jak znalazł Wasilija Lewicza?

– Przez agenta Wasilija w Nowym Jorku. Teraz, kiedy nasze koncerty zyskały pewną renomę, bez przerwy ktoś się z nam i kontaktuje. Agent wysłał Stefanowi taśmę, Stefan ją przesłuchał i uznał, że Wasilij będzie idealny. Stefan lubi solistów i małe zespoły. Nie mamy tu warunków dla orkiestr.

– Na jak długo przed koncertem załatwiono formalności?

– Dość dawno. Kilka miesięcy temu. Potrzebujemy sporo czasu na przygotowania. Akustyka, oświetlenie, wybór firmy cateringowej. No i, oczywiście, reklama. Nawet skromna.

– To znaczy?

– Wzmianki w wybranych radiostacjach. KBAK, która nadaje muzykę klasyczną, przypomina o nas dwa razy dziennie na dwa tygodnie przed koncertem. To akurat na miarę naszych możliwości finansowych i aspiracji. Nie możemy przyjmować tłumów i nie chcemy.

– Osiemdziesiąt pięć osób na liście gości. Czemu nie wyznaczacie im miejsc? – spytał Milo.

– Stefan zostawił kilka wolnych, żeby zrobić dobre wrażenie. Dla studentów muzyki, nauczycieli, takich ludzi.

– Jakaś reklama, inna niż radio?

– Nie staramy się o to – odparł Loh. – Nawet odrobinę większy rozgłos sprawia, że przychodzi więcej ludzi, niż jesteśmy w stanie przyjąć.

– Czy tak było dziś wieczorem?

– Według mnie, tak – stwierdził Loh. – Trudno uwierzyć, że coś takiego zrobił ktoś z publiczności.

– Na tym etapie, proszę pana, każda teoria jest dobra.

– Oto moja: ktoś się wdarł. Prawda jest taka, że każdy mógł pójść za dom i zadźgać Wasilija. Bristol to otwarta ulica, nie lubimy mieszkać za ogrodzeniem czy murem.

– Co Lewicz mógł tam robić?

Loh wzruszył ramionami.

– Pewnie poszedł się przejść, żeby ochłonać po recitalu.

– Wie pan, kiedy mógł wyjść?

– Nie mam pojęcia. Wszędzie kłębił się tłum. Stefan prosi, żeby artyści zostawali na miejscu. Dla

ich własnego dobra. Mogą w ten sposób nawiązać jakieś znajomości. Zazwyczaj artyści się na to godzą. Wasilij musiał się wymknąć.

– Nieśmiały typ? – spytał Milo. – Zamykał się w pokoju.

– Tak. Ale lubił nocne, samotne spacery po ogrodzie. Kiedy kończył ćwiczenia.

– Goście kłębili się też na zewnątrz?

– Wolimy do tego nie dopuszczać, staramy się zatrzymać ich w środku. Depczą rośliny i tak dalej. Ale też nie wystawiamy uzbrojonych straży.

– Nie ma uzbrojonych straży – potwierdził Milo. – Tylko człowiek z ochrony.

– To dla sąsiadów, zależy im, żeby na Bristol nie było żadnego gestapo. Nigdy też nie trzeba było wystawiać strażników. To jedna z najspokojniejszych okolic w mieście. Mimo że mieszka tu sam pan wie kto.

– Ogrodzenie jest tylko z tyłu.

– Zgadza się, za kortem tenisowym.

– Jak duża jest posesja?

– Niecały hektar.

– Co konkretnie należało do obowiązków ochroniarza?

– Zapewnianie bezpieczeństwa, jakkolwiek to rozumieć. Jestem pewien, że nie był przygotowany na żadną... poważną sytuację. To nie był w końcu koncert rapowy. Średnia wieku wśród publiczności wahała się około sześćdziesięciu pięciu lat. Tacy ludzie zachowują się nienagannie.

– Ci z zewnątrz też?

– Kiedy chodzi o koncerty, Stefan jest trochę tyranem. Nalega na całkowitą ciszę. Upodobał sobie łagodną muzykę: Chopin, Debussy, wszystkie takie dobre rzeczy.

– Podziela pan upodobania pana Szabo?

Loh znów się uśmiechnął.

– Wolę technorock i Davida Bowiego.

– Planujecie panowie jakieś koncerty Davida Bowiego?

Loh parsknął śmiechem.

– Pan Bowie jest raczej poza naszym zasięgiem finansowym. Zresztą wrażliwość Stefana nie

przetrzymałaby takiej próby.

Podwinął czarny mankiet i zerknął na czarny zegarek.

– Obejrzymy pokój Lewicza – powiedział Milo.

– Duży dom – stwierdził, kiedy wchodziliśmy po schodach.

– Rodzina Stefana uciekła z Węgier w 1956. Był nastolatkiem, ale wcisnęli go do jakiejś skrzyni. Siedział tam wiele dni, bez jedzenia i toalety, tylko kilka otworów do oddychania. Powiedziałbym, że ma prawo do przestrzeni, nie sądzi pan?

Po prawej stronie galerii znajdowały się dwie olbrzymie sypialnie – Szabo i Loha. Drzwi były otwarte – w środku w delikatnym świetle lśnił brokat, adamaszek i meble na wysoki połysk. Lewą stronę zajmowały trzy pokoje dla gości, mniejsze i nie tak wystawne, ale również stylowo urządzone.

Wejście do pokoju, w którym ostatnie dwie noce spędził Wasilij Lewicz, zostało zaklejone taśmą. Milo zerwał ją i razem weszliśmy do środka. Tom Loh stanął w drzwiach.

– Co mam robić?

– Dziękujemy panu – odparł Milo. – Może się pan zająć swoimi sprawami.

Loh wrócił na dół.

– Zostań tam, gdzie stoisz, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział Milo. – Chodzi o dowody, sam rozumiesz.

– Ostrożności nigdy dość – zgodziłem się. – Zwłaszcza w świetle sam wiesz kogo.

Pokój gościnny był wyłożony czerwoną tapetą. Stało w nim podwójne łóżko z baldachimem, dwie szafki nocne i zdobiona włoska komoda. Garderoba i szuflady były puste. Wasilij Lewicz wszystkie rzeczy trzymał w czarnej, nylonowej walizie. Nie wyjął z niej nawet przyborów toaletowych.

Milo zbadał zawartość jego portfela, przeszukał kieszenie wszystkich ubrań. W kosmetyczce była woda po goleniu, maszynka do golenia, advil, valium i peptobismol, w zamykanej na suwak kieszeni walizki duża, szara koperta, a w niej fotokopie recenzji innych recitali Lewicza. Krytycy chwalili jego wrażliwość i zmysł frazowania. Wygrał konkurs Steinmetzu, konkurs Hurlbanku i Wielką Galę Barrington.

Nie miał prawa jazdy. Według bankowej karty identyfikacyjnej skończył dwadzieścia siedem lat.

– Zero – oznajmił Milo.



– Mogę zobaczyć ciało?

Patio z tyłu domu, wielkie jak odeon, wychodziło na trawnik. Rosły tu rzadko posadzone brzozy, a okalał je żywopłot z fikusów. Wycięty w nim gotycki łuk prowadził do basenu, kortu tenisowego, ogródka z kaktusami i płytkiego oczka bez ryb. W samym rogu w głębi stał garaż na cztery samochody.

Nie zauważyłem podjazdu ani innej bezpośredniej drogi na ulicę, więc zapytałem o to Mila.

– Trzymają tam różne graty: antyki, ubrania, lampy. Żałuj, że tego nie widziałeś, mógłbym żyć z tego, co wyrzucają.

– Zostawiają samochody przed domem?

– Dwa mercedesy 600. W czasie koncertów parkują na ulicy. Chcą, żeby dom był „estetycznie czysty”. Niezłe życie, co? Chodź.

Poprowadził mnie za garażem do miejsca, w którym policjantka pilnowała zwłok Wasilija Lewicza. Ciało leżało na wąskim pasie poplamionego betonu między ścianą i kolejnym żywopłotem obok czterech plastikowych kubłów na śmieci. W świetle policyjnego reflektora zasilanego z akumulatora wszystko nabrało obrzydliwego, zielonego koloru. Milo odesłał policjantkę. Podziękowała i oddaliła się w stronę ogródka z kaktusami.

Milo cofnął się i pozwolił mi się przyjrzeć.

Paskudne, brudne miejsce. Nawet na najwspanialszych posesjach są takie, ale tutaj trzeba było przejść hektar wspaniałości, żeby je znaleźć.

Najlepsze do popełnienia morderstwa. Ktoś był tu wcześniej i znał je?

Spytałem o to. Zastanowił się, ale nic nie powiedział.

Podszedłem bliżej zwłok i zatrzymałem się w kręgu zielonkawego światła.

Za życia Lewicz był przystojnym, młodym mężczyzną – złotowłosym cherubinem. Jego twarz o idealnie rzeźbionych rysach patrzyła martwo w noc, długie włosy spadały na ramiona. Miał zdecydowanie zarysowany nos, podbródek i kości policzkowe, agresywnie wypukłe czoło. Dłonie o długich palcach zamarły w proszącym geście, wnętrzem do góry. Poły surduta zawinęły się pod ciało. Wykrochmalona biała koszula, teraz niemal cała czerwona, była rozdarta i odsłaniała bezwłosą klatkę piersiową. Od pępka do mostka ziała dwudziestocentymetrowa rana o wywiniętych brzegach. Wystawało z niej coś bladego i robakowatego. Zwój jelita.

Biała mucha Lewicza również była zbryzgana krwią. Miał wytrzeszczone oczy, z kącika ust zwiślał mu język, a wokół szyi biegło zakrwawione rozcięcie.

– Sanitariusze rozdarli koszulę? – spytałem.

Milo kiwnął głową.

Popatrzyłem jeszcze chwilę na zwłoki, potem się wycofałem.

– I co?

– Baby Boy został zadźgany, Julie Kipper uduszona, a ten biedak jedno i drugie. Pchnięto go po czy przed śmiercią?

– Koroner twierdzi, że raczej przed, ze względu na ilość krwi. Potem zarzucono drut na szyję. Do czego zmierzasz? Seryjny morderca z eskalacją okrucieństwa?

– Albo lubi dusić, ale czasami musi z tego rezygnować. Sadyści i seksualni psychopaci lubią dusić ofiary, bo to intymne, powolne i daje im niesamowite poczucie siły, Julie była łatwym celem, drobna, uwięziona w toalecie, więc morderca mógł od razu ją zabić. Lewicz był silnym, młodym facetem, najpierw trzeba było go obezwładnić.

– A co z Baby Boyem? Z tego, co wiem, nie miał nic na szyi.

– Baby Boy był potężnym mężczyzną. Trudno byłoby go udusić. Poza tym zabito go w miejscu publicznym, w miejskim zaułku, ktoś mógł nadejść. Może morderca był ostrożny. A może coś go spłoszyło, zanim skończył.

– Ciekawe, jak bardzo rana Lewicza jest podobna do rany Baby Boya. Pogadam z Petrą. Do tej pory nie sądziliśmy, że nasze sprawy mają coś wspólnego.

Popatrzył na mnie i pokręcił głową. Jeszcze raz spojrzął na zwłoki.

– W każdej sytuacji muszę postępować według zasad, Alex. A w tym przypadku to oznacza poważną robotę: trzeba zidentyfikować gości, wypytać sąsiadów, czy nie widzieli podejrzanych obcych, sprawdzić, czy w aktach nie ma jakichś wezwań z ostatnich kilku dni. To za dużo na jednego żołnierza. Chłopcy, którzy dostali początkowo tę sprawę, to dwaj detektywi pierwszego stopnia, zieloni, nie mają doświadczenia, twierdzą, że chcą się czegoś nauczyć. Wydawali się zadowoleni, że z pomocą przyjechał im wujek Milo. Wyślę ich do brudnej roboty, a sam jutro zadzwonię do agenta Lewicza w Nowym Jorku i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Brawo, szefie – powiedziałem.

– To właśnie ja – odparł. – Prezes Masakry sp. z o. o. Napatrzyłeś się?

– Aż nadto.

Wróciliśmy do domu. Pomyślałem o Wasiliju Lewiczu, zamordowanym obok kubłów na śmieci. Baby Boy porzucony w zaułku, Juliet Kipper zabita w toalecie.

– Jemu chodzi o to, żeby ich poniżyć – powiedziałem głośno. – Sprowadzić sztukę do śmiecia.

Następnego dnia Milo zaprosił mnie na spotkanie. O piątej po południu, na zapleczu tej samej indyjskiej restauracji. – Będę. Coś nowego?

– Agent i matka Lewicza niczego nie wniesli do sprawy. Ona cały czas płakała. Wszystko, co mógł powiedzieć agent, to że Wasilij był pięknym chłopcem i miał niesamowity talent. Chcę się spotkać, bo Petra powiedziała, że rana Lewicza wygląda tak samo, jak rana Baby Boya. Poza tym koroner stwierdził, że drut, którym zaduszono Lewicza, jest takiej samej grubości i gęstości jak ten, którym zabito Julie. I zgadnij, co jeszcze... możliwe, że to, co powiedziałaś o zabójcy Baby Boya, że ktoś go spłoszył, to prawda. Okazuje się, że w zaułku był świadek, jakiś bezdomny. Nieźle naprany, było ciemno, więc jego zeznanie niewiele nam dało. Ale możliwe, że morderca go wycofał i zwiął.

– Jaki podał opis?

– Wysoki facet w długim płaszczu. Podszedł do Lee, pogadał i jakby go uściskał. Potem się odsunął, a Lee upadł. Morderca nie zaatakował bezdomnego, Linusa Brophy'ego, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Nie zaatakowałby go.

– Dlaczego nie?

– Brophy go nie interesował – powiedziałem. – Mówimy o kimś, kto ma bardzo jasno określony cel.

Zebrałem notatki i pojechałem do Cafe Moghul. Ta sama sympatyczna kobieta w sari zaprowadziła mnie do nieoznakowanych drzwi koło męskiej toalety.

– Jest tam! Pozbawione okien zielone pomieszczenie służyło kiedyś najwyraźniej jako magazyn. Milo siedział przy zastawionym dla trzech osób stole. Za nim pod ścianą stała kanapa. Leżał na niej zwinięty śpiwór, stos indyjskich pism i pudełko chusteczek. Z kratki wentylacyjnej zionęło curry.

Usiadłem, a Milo umoczył kawałek wafla w miseczce czerwonego sosu, od którego jego usta wyglądały jak umalowane.

– Wygląda na to, że cieszysz się dużym poważaniem u naszej gospodyni.

– Zostawiam spore napiwki. I myślą, że moja obecność oznacza ochronę.

– Mieli jakieś problemy?

– To, co zawsze: pijacy, akwizytorzy. Parę tygodni temu akurat tu byłem, kiedy jakiś sprzedający suszone kwiaty idiota zaczął rozrabiać. Podszedłem do sprawy dyplomatycznie.

– I chcę teraz twoje CV w ONZ.

– Tym pajacom akurat przydałaby się pomoc... proszę, oto i ona.

Wstał i przywitał Petrę Connor.

Rozejrzała się i uśmiechnęła.

– Naprawdę wiesz, jak traktować dziewczynę, Milo.

– Dla Hollywood Division zawsze staram się, jak mogę. Petra była ubrana w swój zwykły, czarny kostium. Usta pomalowała ciemną, prawie brązową szminką, na policzki nałożyła jasny, matowy puder. Miała błyszczące oczy i krótkie, lśniące, czarne włosy. Podobnie jak Milo przyniosła ze sobą wypchaną, miękką teczkę. Jego była popękana i szara, jej – czarna i lśniaca. Pomachała do mnie.

– Cześć, Alex. – Potem odwróciła się, kiedy do pomieszczenia wszedł niewysoki, przygarbiony mężczyzna.

– Panowie, to mój nowy partner Erie Stahl.

Był również ubrany na czarno – w workowaty, czarny garnitur, białą koszulę i cienki, szary krawat. Miał zapadnięte policzki, oczy osadzone głęboko jak u ślepego, a jego ostrzyżone na wojskowego jeża włosy były o pół tonu jaśniejsze od hebanowo-czarnych Petry. Był od niej o kilka lat starszy, ale tak samo szczupły i blady, tyle że bladość ta wyglądała niezdrowo. Gdyby nie wypieki na policzkach, można by go wziąć za woskową figurę.

Rozejrzał się. Miał poważne, nieruchome oczy.

– Cześć, Erie – powiedział Milo.

– Cześć – odparł cicho Stahl i spojrzał na stół. Trzy nakrycia.

– Zaraz przyniosę – powiedział Milo.

– Przynieś tylko krzesło, Erie nie będzie jadł – powiedziała Petra.

– Tak? – zdziwił się Milo. – Nie lubisz indyjskiej kuchni, Erie?

– Już jadłem – odparł Stahl.

Głos miał tak samo wyprany z emocji, jak oczy.

– Erie nie jada – dodała Petra. – Twierdzi, że je, ale ja tego nigdy jeszcze nie widziałam.

Uśmiechnięta kobieta przyniosła talerze zjedzeniem. Milo pochłaniał, Petra i ja skubaliśmy, Erie położył dłonie płasko na stole i wpatrywał się w swoje paznokcie.

Jego obecność zniechęcała do towarzyskich zagajeń. Sytuacja również, więc Milo od razu przeszedł do rzeczy. Rozdał kopie akt Julie Kipper i streścił wszystko, czego się dowiedział w sprawie Wasilija Lewicza.

Oboje detektywi z Hollywood przyjęli to bez komentarza.

– Mogłabyś opowiedzieć o Baby Boyu? – spytał Milo.

– Jasne – odparła Petra.

Jej sprawozdanie było zwięzłe, skupiało się na istotnych szczegółach. Uwidocznilo, jak niewiele odkryła, i kiedy skończyła, wydawała się zakłopotana.

Stahl milczał.

– Przynajmniej pasuje to do Lewicza – powiedział Milo. – Może ty nas trochę oświecisz, Alex?

Szybko streściłem sprawy, o których się dowiedziałem, nie wgłębiając się w morderstwo Wilfreda Reedy'ego – wyglądało na to, że wtedy akurat poszło o narkotyki – i przeszedłem do Chin Marangi. Kiedy zasugerowałem, że mogła być śledzona, nie wiedząc o tym, cała trójka wysłuchiwała mnie uważnie, ale nie zareagowała.

Trzy twarze bez wyrazu; jeśli miałem rację, postawiłem ich przed monumentalnym ogromem pracy.

– Wieczorem, kiedy zniknęła – ciągnąłem – wyszła ze studia w parszywym nastroju i przypuszczalnie naćpana. Miała paskudny charakter, była znana z tego, że rzuca się na ludzi bez ostrzeżenia. Przykład: odmówiła wywiadu fanzinowi, ale redaktor był uparty, więc i tak wydrukował artykuł. Pochlebny. China podziękowała mu w ten sposób, że zadzwoniła do niego i mu nawcisła. Według jej kolegi z zespołu, strasznie. Nie miała instynktu samozachowawczego, bez przerwy ryzykowała. To i wybuch złości w nieodpowiednim momencie mógł okazać się fatalny w skutkach.

– Jak nazywał się ten fanzin? – spytała Petra.

– „GrooveRat”. Szukałem go, ale nie...

Przerwała mi w pół zdania, łapiąc mnie za nadgarstek.

– „GrooveRat” pisał o Baby Boyu – powiedziała. Otworzyła swoją teczkę, wyjęła z niej niebieską książkę morderstwa i zaczęła ją kartkować. – Ich wydawca mnie też nagabywał. Strasznie namolny, wydzwaniał, wypytywał o szczegóły... proszę: Jurij Drummond. Nie potraktowałam go poważnie, bo robił wrażenie gówniarza. Powiedział, że nigdy nie spotkał się z Baby Boyem, ale pisał o nim artykuł...

– Tak samo jak z Chiną – przerwał jej Milo. – Baby Boy też mu odmówił?

– Nie pytałam. Twierdził, że magazyn nie zajmuje się wywiadami, że interesuje ich istota sztuki, a

nie sama osoba, czy coś w tym rodzaju. Po głosie dałabym mu dwanaście lat.

– Czego od ciebie chciał? – spytałem.

– Makabrycznych szczegółów. – Zmarszczyła czoło. – Potraktowałam go jak nastoletnią hienę, po prostu go spławiłam.

– Ciekawe, czy pisał o Julie – zastanowił się Milo.

– Ciekawe.

Próbowałem znaleźć „GrooveRat” na stoisku z prasą na Selma – powiedziałem. – Nie mieli. Właściciel zasugerował, żebym sprawdził w sklepie z komiksami obok, ale był zamknięty.

– Pewnie to był słomiany zapal – stwierdził Milo.

– Coś takiego właśnie powiedział kolega Chiny z zespołu. Też nie miał egzemplarza.

– Jurij Drummond... to brzmi jak wymyślone imię i nazwisko. Chce być kosmonautą czy co?

– Każdy się zmienia i tworzy na nowo – powiedziała Petra. – Tak to się robi w L.A. – dodała, zerkając na Stahla.

Nie zareagował.

– Zwłaszcza jeśli się przed czymś ucieka – stwierdziłem.

– „GrooveRat”... Więc co z tego wynika? Jakiś zwariowany fan?

– Ktoś za bardzo przejęty karierą ofiar. Może ktoś, kogo tożsamość spłotła się w jakiś sposób z kreatywnością innych. „Artystyczne pijawki”, tak były mąż Julie Kipper nazwał krytyków, agentów, właścicieli galerii, wszystkich funkcjonujących na obrzeżach świata sztuki. To samo można powiedzieć o fanach. Czasami ich przywiązanie znajduje wyraz w podejściu biznesowym: prezesi fanklubów sprzedają gadzety i tak dalej. Jednak zasada pozostaje ta sama: pragnienie zakosztowania czyjejś sławy. W przypadku większości ludzi to przejściowa pasja, z której się wyrasta. Ale niektóre osobowości nigdy nie dojrzewają i to, co zaczyna się jako nieszkodliwy substytut ego – na przykład chłopak udaje przed lustrem, że gra na gitarze i wyobraża sobie, że jest Hendriksem – może przekształcić się w psychologiczne uprowadzenie.

– Uprowadzenie czego? – spytał Milo.

– Tożsamości uwielbianej osoby. „Znam gwiazdę lepiej, niż ona sama siebie. Jak śmiała wyjść za mąż/sprzedać się/nie posłuchać mojej rady?”

– Jak śmiała odrzucić moją wspaniałomyślną propozycję wywiadu? – Petra wpadła mu w słowo. – Największymi fanatykami są nastolatki, prawda? A Jurij Drummond wygląda mi na nastolatka. To, że wydawał zina, oznacza, że był prawdziwym zapaleńcem.

– DTP jest dla zapaleńców – powiedziałem. – Kup komputer i drukarkę i świat mediów padnie ci do stóp. Wiem, że ofiary bardzo się różnią, ale cały czas chodzi mi po głowie, że łączy je kwestia kariery: wszystkie były o krok od przełomu. A jeśli morderca był ich fanem właśnie dlatego, że nie były gwiazdami? Wyobrażał sobie siebie jako ich ostatnią deskę ratunku: pisząc o nich, zostanie sławny jako ich twórca. Odrzucili jego pomoc, więc przerwał ich drogę w górę. Może wmówił sobie, że się sprzedali.

– Albo – dodała Petra – skoro mówimy o podpinaniu się pod cudze osiągnięcia, może sam miał artystyczne ambicje i po prostu zżerała go zazdrość.

– Ambitny gitarzysta, malarz, wokalista i pianista? – spytał Milo.

– Prawdziwy megalomaniak. Troje detektywów spojrzało na mnie.

– To możliwe – powiedziałem. – Dyletant, który skacze od zajęcia do zajęcia. Miałem wiele lat temu pacjenta, znanego pisarza. Przynajmniej raz w tygodniu spotykał kogoś, kto zamierzał napisać Wielką Amerykańską Powieść, jeśli tylko znajdzie czas. Facet napisał swoje cztery pierwsze książki, pracując na dwa etaty. Utkwiło mi w pamięci coś, co powiedział: „Jeśli ktoś mówi, że chce być pisarzem, nie uda mu się. Jeśli mówi, że chce pisać, ma szansę”. To by pasowało do naszego scenariusza o zgorzkniałym fanie: to by był ktoś, kto pragnie tylko powierzchownych elementów bycia twórcą.

Petra się uśmiechnęła.

– Artystyczne pijawki; – Wiele lat temu była zawodową malarką. – Podoba mi się to.

– Mamy więc dwie możliwości – stwierdził Milo. – Postawiona na głowie wyobraźnia lub patologiczna zazdrość.

– Lub jedno i drugie – powiedziałem. – Albo całkowicie się mylę.

Petra się zaśmiała.

– Nie mów tego jako świadek przed sądem. – Wzięła kromkę chleba, odgryzła kawałek i powoli go przeżuła. – Jurij Drummond powtarzał, że jego zin opisuje istotę sztuki. Kiedy zaczął mnie wypytywać o makabryczne szczegóły, mógł to być psychologiczny powrót na miejsce zbrodni.

– Jak podpalacz, który obserwuje płonący budynek – rzucił Milo.

– Czy to Drummond pisał o Baby Boyu? – spytałem.

– Chyba powiedział, że to jakiś inny autor – wyjaśniła Petra. – Zapisałam sobie tylko jego nazwisko. Wtedy wydawało mi się to nieważne. – Odłożyła serwetkę na stół. – Pora go sprawdzić i zarobić na swoją pensję. Dobrze to było, Milo. Dołożę się.

– Zapomnij. Mam tu otwarty rachunek.

– Na pewno?

– Jestem radzą – uśmiechnął się. – Do roboty. Informuj mnie na bieżąco.

Petra klepnęła go w ramię, mnie obdarzyła uśmiechem, odwróciła się i wyszła.

Stahl wstał i poszedł za nią. Przez całą rozmowę nie odezwał się ani słowem.



Milczący typ. Niektóre kobiety takich lubią. Petra też myślała, że lubi. Ale praca ze Stahlem okazała się trudnym wyzwaniem.

Facet nie odzywał się niepytany, a nawet wtedy odpowiadał monosylabami.

Jechali ze spotkania z Milem i Aleksem. Powinni prowadzić ożywioną dyskusję, ale Stahl wyglądał przez okno, nieruchomy jak głaz.

Czego wypatrywał? Następnego kradzionego wozu? W ciągu tygodnia zauważył dwa. W drugim siedział pasażer poszukiwany listem gończym za nieumyślne spowodowanie śmierci, więc oboje zyskali parę punktów. Ale jeśli Stahl zamierzał zajmować się tylko tym, powinien był postarać się o przydział do wydziału kradzieży.

Petra nie mogła zrozumieć, dlaczego zdecydował się na zabójstwa. To, że zrezygnował z bezpiecznej posadki w armii na rzecz ulicy, było jeszcze większą zagadką.

Zaryzykowała kilka uprzejmych pytań. Każda próba rozbicia skorupki Stahla odślaniała granitowe jajo.

Erie nie był stoickim macho, który musi dominować albo łaknie sławy. Wręcz przeciwnie, od razu postawił sprawę jasno – starszeństwo ma Petra.

I w przeciwieństwie do większości mężczyzn umiał przeproszać. Nawet kiedy to nie było konieczne.

Trzeciego dnia ich współpracy Petra przysłała do biura trochę wcześniej i zastała Stahla czytającego złożoną gazetę i popijającego ziołową herbatę – no właśnie – do tego nie pił kawy, a jeśli coś sprzeciwiało się kodeksowi etycznemu detektywa, to niechęć do kofeiny.

Kiedy ją zobaczył, podniósł wzrok, a Petra dostrzegła w jego matowych brązowych oczach cień niepokoju.

– Dobry wieczór, Erie.

– To nie był mój pomysł – tłumaczył się, podając jej gazetę. Dwa akapity artykułu na przedostatniej stronie były zakreślone czarnym flamastrem.

Podsumowanie sprawy Ormian. Nazwisko Petry jako detektywa. Obok nazwisko Stahla.

Śledztwo zostało zakończone na długo przed angażem Erica. Ktoś – może jakiś pajac z działu PR, a może sam Schoelkopf – złośliwie go dopisał.

– Nie przejmuj się – powiedziała Petra.

– Nie podoba mi się to.

– Nie podoba ci się co?

– To była twoja sprawa.

– Mam to gdzieś, Erie.

– Pomyślałem, że zadzwonię do „Timesa”.

– Nie bądź śmieszny.

Spojrzał na nią.

– Jak chcesz. Chciałem tylko to wyjaśnić.

– Wyjaśniłeś.

Zaczął więc znów popijać herbatę.

– I co o tym myślisz? – spytała Petra kilometr przed posterunkiem.

– O czym?

– O teorii doktora Delaware?

– To ty go znasz – odparł Stahl.

To było stwierdzenie faktu, nie pytanie.

– Jeśli pytasz, czy jest dobry, jest. Pracowałam już z nim i z Milem. Milo jest najlepszy, ma najwyższy wskaźnik rozwiązanych spraw w West L.A., może w całym departamencie.

Stahl postukał się w kolano.

– Jest gejem – dorzuciła Petra.

Brak odpowiedzi.

– Delaware jest bystry – powiedziała – Bardzo bystry. Nie mam za dużej wiary w psychologów, ale on się sprawdził.

– Więc jego teoria mi się podoba – oświadczył Stahl.

– Co dalej? Szukamy „GrooveRat” w sklepach z komiksami czy przez telefon?

– Jedno i drugie. Jest nas dwoje.

– Co wolisz?

– Ty zdecyduj.

– Powiedz, co wolisz, Erie.

– Podzwonię.

A to niespodzianka. Erie za biurkiem, unikający kontaktu w cztery oczy z prawdziwymi, żywymi ludźmi.

Wysadziła go i objechała Hollywood, szukając alternatywnych księgarni. Wypytywani o „GrooveRat” sprzedawcy patrzyli na nią tępo, ale większość z nich i tale wyglądała na naćpanych. W piątym miejscu przyszczaty chłopak wskazał kciukiem kartonowe pudło. Na wierzchu napisane było czerwonym flamastrem: *STARE ZINY, PO DOLARZE*.

– Na pewno masz tam „GrooveRat”? – spytała Petra.

– Chyba tak – odparł chłopak i wbił wzrok w przestrzeń.

Zacząła przeglądać zawartość pudła, wzbijając kłęby kurzu, od którego poszarzała jej czarna marynarka. Większość zinów była hobbystycznym śmieciem, niektóre wydrukowano na makulaturze. Muzyka, filmy, świńskie żarty.

Prawie na samym spodzie leżał egzemplarz „GrooveRat” bez okładki. Dziesięć stron kiepsko wydrukowanego tekstu i amatorskie komiksy. Według daty w stopce pismo wyszło latem ubiegłego roku. Nie było numeru wydania.

O redakcji też nie za wiele.

*Jurij Drummond, redaktor naczelny i wydawca*

*Współpracują: stała gromada lajdaków*

Druga linijka skojarzyła się Petrze z pismem „Mad”. Wszyscy jej czterej bracia je zbierali. Było tam coś o stałej gromadzie idiotów...

A więc pan Drummond był nieoryginalny i cały w pretensjach. Pasowało to do teorii Aleksa.

Na dole stopki podano adres, na który można było wysyłać zamówienia prenumeraty. Zin miał „ukazywać się nieregularnie” i kosztował czterdzieści dolarów rocznie.

A więc Drummond żył też złudzeniami. Petra zastanawiała się, czy ktoś na to poszedł. Stwierdziła, że skoro trafiają się idioci płacący po trzy dolary za minutę tarota przez telefon, wszystko jest możliwe.

Adres był na miejscu, w Hollywood – Sunset na wschód od Highland, kilka minut samochodem.

Petra przejrzała spis treści. Cztery artykuły o zespołach, o których nigdy nie słyszała, i felieton o rzeźbiarzu, który pracował w laminowanych psych kupach.

Autorowi felietonu, kryjącemu się pod pseudonimem Pan Brzoskwinia, bardzo spodobała się fekalna odmiana sztuki, określił ją jako „pierwotnie satysfakcjonującą i poruszającą do głębi (he he)”. Petra nabrała pewności, że ma do czynienia z niedojrzałym umysłem, a to nie dawało się pogodzić ze starannym planowaniem morderstw. Mimo to zin dwukrotnie pojawił się w śledztwie, więc nie można go było zignorować.

Przejrzała dokładnie pozostałe strony, ale nie znalazła nic o Baby Boyu Lee, Juliet Kipper ani Wasiliju Lewiczu. O tej sprawie z Bostonu, którą odkrył Alex – tancerce baletowej Bernet – też nie. Co do niej miała trochę wątpliwości, ale przeczuć Aleksa nie należało lekceważyć. Zapłaciła za zina i ruszyła do siedziby „GrooveRat”.

Pawilon przy Gower i Sunset. Skrytki Pocztowe i Inne. Szok.

Mieszkanie numer 248 okazało się skrytką 248, wynajętą obecnie firmie Verna Joy Hollywood Cosmetics. Petra wiedziała o tym, bo kiedy czekała, aż kobieta za ladą przestanie zajmować się paznokciami i zwróci na nią uwagę, spostrzegła dwie związane paczki listów. Verna Joy miała spory ruch w interesie – za duży na jedną skrzynkę.

Różowa koperta na wierzchu była opatrzona adresem zwrotnym w Des Moines. Pochyłe, równe pismo zapewniało, że *opłata jest w kopercie*.

Kobieta odłożyła w końcu pilniczek, zobaczyła, że Petra przygląda się plikom listów, złapała je i szybko wepchnęła pod ladę. Tleniona blondynka około sześćdziesiątki przesadziła z brązowym cieniem do powiek i czarną kredką. Resztę zmęczonej, pijackiej twarzy pozostawiła bez makijażu. Podkreśliła oczy i wyglądającą z nich desperację.

Petra pokazała odznakę. Na twarzy kobiety irytację zastąpiła otwarta pogarda.

– Czego pani chce?

– Magazyn o nazwie „GrooveRat” wynajmował skrytkę numer 248. Kiedy przestali, proszę pani?

– Nie wiem i nie powiedziałabym, nawet gdybym wiedziała. – Kobieta zacisnęła zęby.

– Dlaczego, proszę pani?

– Takie jest prawo. Musi pani mieć nakaz.

Petra rozluźniła się trochę i lekko uśmiechnęła.

– Ma pani absolutną rację, ale ja nie chcę zaglądać do skrytki. Chciałabym tylko się dowiedzieć,

kiedy ten magazyn przestał ją wynajmować.

– Nie wiem i nie powiedziałabym, nawet gdybym wiedziała – powtórzyła kobieta, uśmiechając się zaciśniętymi ustami, z tryumfem.

– Pracowała tu pani, kiedy „GrooveRat” wynajmował skrytkę?

Wzruszenie ramion.

– Kto odbierał pocztę?

Znów to samo.

– Proszę pani – powiedziała Petra. – Mogę wrócić z nakazem.

– Więc niech pani to zrobi – parsknęła kobieta z niespodziewaną wrogością.

– O co pani chodzi?

– O nic mi nie chodzi.

– To może mieć związek ze śledztwem w sprawie zabójstwa.

Rozmazane oczy pozostały niewzruszone. Petra wpatrzyła się w nie surowo.

– Nie robi pani na mnie wrażenia – burknęła kobieta.

– Zabójstwo nie robi na pani wrażenia?

– Zawsze zabójstwo. Wszystko to zabójstwo.

– Co?

Kobieta dźgnęła palcem powietrze.

– Jestem na swoim terenie i nie muszę z panią rozmawiać. – Ale nie umilkła: – Człowiek się broni, i to zabójstwo. Broni swoich praw, i to zabójstwo.

Walka spojrzeń.

– Jak się pani nazywa?

– Nie muszę pani...

– Musi pani albo zostanie pani aresztowana za utrudnianie śledztwa. – Petra sięgnęła po kajdanki.

– Olive Gilwhite – powiedziała kobieta.

Z oburzenia aż chodziły jej szczeki.

– Jest pani pewna, że nie ma zamiaru współpracować, pani Gilwhite?

– Nic nie powiem.

Petra wyszła i pojechała z powrotem na posterunek. Stahl siedział przy biurku, dzwonił i robił notatki. Zignorowała go, włączyła komputer, wpisała nazwisko Ohve Gilwhite oraz adres wypożyczalni skrytek i w końcu coś znalazła.

Dwa lata temu właściciel hollywoodzkiej agencji Skrytek Pocztowych i Innych, Henry Gilwhite, został aresztowany za zabójstwo.

Petra pogrzebała w aktach i znalazła streszczenie sprawy. Gilwhite, lat sześćdziesiąt trzy, zastrzelił za swoją agencją dziewiętnastoletniego transwestytę prostytutkę Gervazia Guzmana. Gilwhite twierdził, że zrobił to w obronie własnej, odpierając napad, ale przeczyło temu jego nasienie na sukience Guzmana. Przyznał się do winy, sprawę zakwalifikowano jako nieumyślne spowodowanie śmierci i Gilwhite odsiadywał teraz wyrok w Lompoc. Pięć do dziesięciu lat, ale w jego wieku równało się to dożywociu.

Zostawił panią Gilwhite, żeby prowadziła agencję i zapijała się na śmierć.

„Człowiek się broni, i to zabójstwo”.

Petra postanowiła znaleźć jakiś sposób na starą jędzę. Kiedy się nad tym zastanawiała, do jej biurka podszedł Stahl.

– Co jest, Erie?

– Mam kilka możliwych tożsamości Jurija Drummonda.

– Możliwych?

– W całym stanie nie ma nikogo takiego, więc sprawdziłem wszystkich Drummondów pod naszymi kodami pocztowymi.

– Dlaczego ograniczać się do Hollywood? – spytała Petra.

– To dobre na początek. Jeśli Drummond śledzi życie gwiazd, może chce mieszkać blisko nich.

– Erie, gwiazdy mieszkają w Bel Air i Malibu.

– To była przerośnia – Stahl wyciągnął z kieszeni marynarki złożoną kartkę. Ciągle miał na sobie swój czarny garnitur. Wszyscy pozostali detektywi nosili koszule z krótkim rękawem.

– Co znalazłeś? – spytała Petra.

– Wydział komunikacji ma dwunastu Drummondów, pięć kobiet, siedmiu mężczyzn, czterech ponad pięćdziesiątkę. To ci trzej pozostali.

To była najdłuższa mowa, jaką wygłosił, odkąd Petra go знаła. Jego matowe oczy zaczęły mgliście lśnić, a rumieńce na policzkach zrobiły się karmazynowe. Podał jej kartkę. Wypisał na niej zielonym długopisem listę nazwisk:

*1. Adrian Drummond, 16. (Petra rozpoznała adres w Los Feliz jako zamkniętą ulicę w Laughlin Park. Bogaty dzieciak? To by pasowało, ale szesnaście lat to trochę za mało, żeby coś wydawać, nawet kiepskiego zina).*

*2. Kevin Drummond, 24. (Mieszkanie na North Rossmore).*

*3. Randolph Drummond, 44. (Mieszkanie na Wilton Place).*

– Pierwsii dwaj są nienotowani – powiedział Stahl. – Randolphowi Drummondowi pięć lat temu odebrano prawo jazdy za jazdę po pijanemu i spowodowanie wypadku z ofiarami. Może zaczniemy od niego?

– Kraksa samochodowa? To raczej nie jest seryjne morderstwo.

– To antyspołeczne – oznajmił Stahl. W jego głosie pojawiło się coś nowego – zrobił się twardszy, bardziej napięty. Oczy zwęziły mu się w szparki.

– Mimo to stawiałabym na tego drugiego, Kevina – stwierdziła Petra. – Głos, który słyszałam, był młodszy niż czterdziestoczterolatka, a zina wygląda mi na dzieło kogoś raczej niedojrzałego. Oczywiście zakładając, że jeden z tych trzech to ten, o którego nam chodzi. Równie dobrze nasz Drummond może mieszkać w Valley. – Ale sama w to wątpiła. Skrytka pocztowa „GrooveRat” była wynajęta w Hollywood. Stahl dobrze kombinował.

– W porządku – powiedział.

– Może nawet nie nazywa się Drummond – ciągnęła. – Jurij to prawdopodobnie zmyślone imię, więc czemu nie nazwisko? – Spotkanie z Olive Gilwhite wprawiło ją w wojowniczy nastrój.

Stahl nie odpowiedział.

– Idziemy – Petra rzuciła mu kartkę i złapała torebkę.

– Gdzie?

– Szukać Drummonda.

Dom Kevina Drummonda na Rossmore okazał się osiemdziesięcioletnią, trzykondygnacyjną ceglana kamienicą tuż przy Melrose, w miejscu, gdzie ulica skręca w Vine i zaczyna się handlowa część Hollywood.

Posiadłości Hancock Park leżały kawałek drogi na piechotę na południe, a między tą elegancką dzielnicą i okolicami Drummonda stały Royale, Majestic i inne elitarne apartamentowce, których strzegli odźwierni – spuścizna po czasach, kiedy siła robocza była tania, a architektura oznaczała ozdoby. Petra słyszała, że w jednym z nich swoich ostatnich dni doczekała Mae West, do samego końca odziana w satynę i zabawiająca się w towarzystwie młodych mężczyzn. Bóg z nią.

Na ulicy nie pozostał już jednak żaden ślad po tej dawnej chwale. Większość budynków zbudowano w latach pięćdziesiątych i wyglądały jak ciasno upchnięte brzydkie pudełka, a starsze domy były zaniedbane. Z fasady kamienicy Drummonda odpadały cegły, okno na pierwszym piętrze zasłonięte było pogiętym kartonem. Okna na parterze i drzwi wejściowe zabezpieczały pordzewiałe kraty. Na wyschniętym, małym trawniku stał znak ostrzegawczy agencji ochrony, która od lat już nie istniała. Rzeczywiście, sam środek osiedla gwiazd, pomyślała Petra.

Z domofonu ktoś powyrywał większość plakietek z nazwiskami lokatorów. Dzwonek mieszkania Drummonda na pierwszym piętrze był niepodpisany. Wszystkie pozostałe nazwiska brzmiały latynosko albo azjatycko.

Petra zadzwoniła pod numer Drummonda. Nikt się nie odezwał. Jeszcze raz – znowu nic.

Pod jedyneką mieszkał gospodarz budynku, G. Santos. To samo.

– Sprawdźmy dwa pozostałe adresy – powiedziała.

Randolph Drummond mieszkał na Wilton, w sześćdziesięciomieszkaniowym monstrum z różowego stiuku, zbudowanym wokół mętnego basenu, na parterze, od strony ulicy. Nie było tu ochrony ani nawet symbolicznej furki na chodniku prowadzącym do kompleksu. Petra i Stahl weszli do budynku i znaleźli właściwe drzwi.

– Chwila! – krzyknął ktoś ze środka, kiedy Petra zapukała. Rozległ się szczeł zamka i w drzwiach stanął mężczyzna wspierający się na aluminiowych kulach.

– Czym mogę służyć?

– Randolph Drummond?

– We własnej, chociaż nieszczególnie sobie. – Drummond oparł się o framugę.

Miał na sobie brązowy sweter w serek, żółtą koszulę, do tego nieskazitelnie czyste i wyprasowane



spodnie koloru khaki oraz miękkie kapcie. Siwe włosy zaczesał starannie z przedziałkiem, okrągłą twarz okalała mu śnieżnobiała broda. Zmęczone oczy, zmarszczki, lekka opalenizna – Hemingway o kulach.

Petra dałaby mu raczej pięćdziesiąt cztery lata.

Od pasa w górę był mocno zbudowany, za to jego nogi były chude i słabe. Za nim widać było salon, w nim przykryte jedwabną narzutą, rozkładane łóżko. O ile Petra mogła się zorientować, w mieszkaniu panował idealny, wojskowy wręcz porządek. Drummond słuchał akurat muzyki klasycznej, delikatnej i nastrojowej.

Strata czasu. Kaleka czy nie kaleka, to nie mógł być człowiek od zina.

– Możemy wejść, proszę pana? – spytała jednak.

– Mogę spytać, po co? – odpowiedział pytaniem Drummond.

Uśmiechał się, ale nie odsunął.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa i szukamy człowieka, który przedstawia się jako Jurij Drummond.

Drummond przestał się uśmiechać i oparł się ciężko na kulach.

– Zabójstwo? Boże drogi, dlaczego?

Na widok jego reakcji serce Petry zabiło mocniej. Uśmiechnęła się.

– Czy moglibyśmy porozmawiać w środku, proszę pana?

Drummond zawahał się.

– Oczywiście, czemu nie? Nie miałem gości, odkąd przetoczyła się tędy ostatnia fala dobroczyńców.

Odkuśtykał do tyłu na swoich kulach, a Petra i Stahl weszli do mieszkania. Muzyka była tu głośniejsza. Na podłodze stała wieża stereo. Jeden pokój, tak jak Petra się spodziewała – w nim łóżko i dwa fotele, mała kuchenka. W głębi, za łukowato sklepionym przejściem, widać było niedużą łazienkę.

Spojrzała na dwa sklejkowe regały pełne książek w twardych okładkach. Powieści i podręczniki prawa. Drummond został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci – prawnik samouk?

– Dobroczyńców? – spytała Petra.

– Akwizytorów – wyjaśnił Drummond. – Granty stanowe, prywatne fundacje. Zapisują nazwisko na liście i człowiek staje się potencjalnym klientem. Proszę, siadajcie państwo.

Petra i Stahl usiedli w fotelach, a Drummond opuścił się na łóżko. Cały czas się uśmiechał, ale wyglądał, jakby siadając, cierpiał katusze.

– A teraz powiedzcie mi państwo, proszę, kogo zabili i dlaczego ja miałbym coś o tym wiedzieć?

– Słyszał pan o Juriju Drummondzie?

– To jakiś Rosjanin? Kto to?

– A o magazynie „GrooveRat”?

Potężne dłonie Drummonda zacisnęły się w pięści.

– Zna go pan – powiedziała Petra.

– Dlaczego się nim interesujecie?

– Panie Drummond, będzie lepiej, jeśli to my będziemy zadawać pytania.

– Tak. Znam go.

– To pan wydaje ten magazyn?

– Ja? – roześmiał się Drummond. – Nie, nie ja.

– A kto?

Drummond opadł na poduszki, przez dłuższą chwilę wygodnie się układał.

– Będę z przyjemnością współpracował, ale naprawdę musicie mi państwo powiedzieć, o co chodzi.

– Naprawdę nie musimy – powiedział Stahl.

Drummond chyba przestraszył się jego głosu. Zbladł i oblizał wargi. Potem jego oczy rozbłysły gniewem.

– To ja sam do tego doprowadziłem. Do tej sytuacji. – Postukał w kule. – Mały problem z prowadzeniem po pijanemu. Ale pewnie o tym wiecie.

Detektywi nie odpowiedzieli. Petra zerknęła na swojego partnera. Stahl wyglądał na wściekłego, choć jego twarz niczego nie wyrażała.

– Nieprzeniknione oblicza funkcjonariuszy publicznych – powiedział Drummond. – Złapano mnie, dzięki Bogu. Odsiedziałem swoje, chodziłem na terapię AA. – Znów stuknięcie. – Mówię to państwu, bo nauczono mnie mówić o takich rzeczach. Ale też po to, żebyście zrozumieli jedno: jestem głupcem, lecz nie idiotą. Jestem czysty od dziesięciu lat i wiem, że nie zrobiłem nic, co uchylałoby

moje prawa. Więc nie próbujcie mnie państwo straszyć.

– Uchyłałoby – powtórzył Stahl, wyciągając rękę i przesuując palcem po grzbiecie jednego z podręczników prawa. – Lubi pan prawniczą terminologię.

– Nie – powiedział Drummond. – Wręcz przeciwnie. Gardzę nią. Ale byłem kiedyś adwokatem.

– Czy Jurij Drummond to pana syn? – spytała Petra.

– Skądże. Powiedziałem pani, że nie znam nikogo o tym imieniu.

– Ale słyszał pan o „GrooveRat”. To pismo, które wydaje Jurij Drummond.

Nie odpowiedział.

– Panie Drummond, znaleźliśmy pana, znajdziemy i jego. Po co dodawać jeszcze jedną do listy pana błędnych decyzji? – spytała Petra.

– Hm... – mruknął Drummond, gładząc się po brodzie.

– Tak?

Zagryzł wargę.

– Nie wiedziałem, że mówi na siebie Jurij. Ale tak, słyszałem o tym tak zwanym piśmie. To syn mojego brata. Kevin Drummond. A więc teraz to Jurij? Co zrobił?

– Może nic. Chcemy z nim porozmawiać o „GrooveRat”.

– W takim razie źle państwo trafiliście.

– Dlaczego? – Nie widuję się z Kevinem – odparł Drummond. – Powiedzmy, że nasze więzy rodzinne nie są specjalnie mocne. – Domyśla się pan, dlaczego przybrał imię Jurij? – Nie mam pojęcia, może uważa się za wywrotowca.

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan ze swoim bratankiem?

– W ogóle z nim nie rozmawiam. – Drummond uśmiechnął się kwaśno. – Jego ojciec, mój brat, i ja byliśmy partnerami w firmie prawniczej, a moje wyczyny kosztowały Franka bardzo dużo. Kiedy wyszedłem z więzienia i skończyłem odwyk, Frank wypełnił swój braterski obowiązek, znajdując mi to mieszkanie, jedno z dziesięciu dla kalek ze stanową rentą... po czym zrobił wszystko, żeby całkowicie się ode mnie odciąć.

– Skąd dowiedział się pan o „GrooveRat”?

– Kevin przysłał mi egzemplarz.

– Jak dawno?

– Kilka lat temu. Gdy tylko skończył college, oznajmił, że jest wydawcą pisma.

– Dlaczego przysłał panu egzemplarz? – spytała Petra.

– Wtedy mnie jeszcze lubił. Pewnie dlatego, że nie lubiła mnie cała reszta rodziny... stryjek alkoholik, czarna owca i tak dalej. Mój brat Frank jest trochę sztywny. Kevin nie miał wesołego dzieciństwa, wychowując się w tamtym domu.

– A więc był pan jego mentorem.

Drummond parsknął śmiechem.

– W żadnym razie. Przysłał mi tę szmatę, a ja napisałem mu w liście, że jest straszna i że powinien pójść na ekonomię. Wredny, stary stryj. Nigdy nie lubiłem tego chłopaka.

– Bo? – spytała Petra.

– Nie był sympatyczny. Mamroczący typ chucherka, pięćdziesiąt kilo wagi, zamknięty w sobie, zawsze czymś zaabsorbowany.

– Wydawaniem?

– Tym, co akurat było na fali. Rybki, jaszczurki, króliki, karty, Bóg wie, co jeszcze. Były takie małe, japońskie robociki, oczywiście musiał mieć wszystkie. Zawsze zbierał jakieś badziewie: samochodziki, gry komputerowe, tandetne zegarki. Frank i jego żona go rozpieszczali. Mój brat i ja wychowaliśmy się w biednej rodzinie. Naszą szansą był sport, obaj graliśmy w piłkę w liceum i w college'u. Pozostali synowie Franka, Greg i Brian, to świetni sportowcy. Greg dostał stypendium sportowe na Uniwersytecie Stanowym Arizony, a Brian gra w drużynie uniwersyteckiej na Florydzie.

– Kevin nie jest sportowcem.

Drummond uśmiechnął się pod nosem.

– Powiedzmy, że to domator.

Kiedy mówił o bratanku, wychodziło z niego okrucieństwo. Po pijaku byłby nieprzyjemny, pomyślała Petra.

– Ma pan dzieci, panie Drummond?

– Nie. Miałem żonę. – Zacisnął mocno oczy. – Siedziała obok mnie, kiedy rąbnąłem w słup. Mój obrońca wykorzystał mój żal jako linię obrony i wywalczył dla mnie łagodniejszy wyrok. – Otworzył oczy. Były wilgotne.

Stahl patrzył na niego twardo.

– A więc kiedy ostatni raz widział pan Kevina? – spytała Petra.

– Jak powiedziałem, kilka lat temu. Nie powiem dokładnie, a nie chcę zgadywać. Kiedy powiedziałem mu, co myślę o jego tak zwanym piśmie, więcej do mnie nie zadzwonił. To nie było właściwie nawet pismo, tylko coś, co Kevin sklecił w swoim pokoju. Pewnie za pieniądze Franka.

– Pamięta pan treść?

– Nie czytałem tego – odparł Drummond. – Spojrzałem, zobaczyłem, że to gówno, i wyrzuciłem.

– W jakim sensie gówno?

– Kevin pisał o świecie sztuki. O ludziach, których uważał za geniuszy. Czemu pani pyta?

– Napisał wszystko sam?

– Tak pomyślałem... sądzi pani, że miał jakąś redakcję? To była amatorszczyzna, pani detektyw. I co to, do cholery, ma wspólnego z zabójstwem?

Petra się uśmiechnęła.

– A więc nie spotykał się pan z Kevinem. Mimo że mieszka niedaleko.

– Naprawdę? – Drummond wydawał się autentycznie zaskoczony.

– Tu w Hollywood.

– To ma sens – mruknął.

– Jak to?

– Kevin zawsze chciał pieprzyć gwiazdy.

Posiedzieli u Drummonda jeszcze trochę, zadając te same pytania. Zmieniali tylko ich formę, jak to robią detektywi, kiedy próbują kogoś przyłapać na niekonsekwencji. Podziękowali za zaproponowane drinki, ale przynieśli Drummondowi dietetyczną colę. Mówiła głównie Petra. Kiedy odzywał się Stahl, Drummond robił się niespokojny. Nie wykręcał się, tak uważała Petra. Pozbawiony intonacji głos Stahla wydawał się go płoszyć i Petra zaczęła mu współczuć.

Podczas przesłuchania zdobyli adresy mecenasa Franklina Drummonda, domowy i służbowy, oba w Encino, i dowiedzieli się, że dwa lata temu Kevin Drummond ukończył Charter College, elitarną drogą szkołę niedaleko Eagle Rock.

– Przesłali mi zaproszenie – powiedział Drummond. – Nie poszedłem. To była nieszczerza propozycja.

– Co pan ma na myśli? – spytała Petra.

– Nie zaproponowali, że mnie tam zawiozą. Nie miałem zamiaru jechać pieprzonym autobusem.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy znów znaleźli się pod kamienicą Kevina Drummonda. Wciąż nie było go w domu. Pora na Encino.

– Zastanawiasz się nad Randolphem D.? – spytała Petra, kiedy jechali na północ Laurel Canyon.

– Nie znosi swojego bratanka – powiedział Stahl.

– Jest wściekły. Odcięła się od niego cała rodzina. Ale nie widzę żadnego związku z naszą sprawą. Nie wyobrażam go sobie, jak biega po mieście o kulach i wykańcza artystów.

– Zabił swoją żonę.

– Uważasz, że to ma znaczenie?

Stahl splótł blade palce. Po jego twarzy przemknął grymas bólu. Zniknął tak szybko, że Petra nie była pewna, czy naprawdę go widziała.

– Erie?

Pokręcił głową.

– Nie, on nie ma nic wspólnego z naszą sprawą.

– Więc wracamy do Kevina. Ten komentarz, że chciałby pieprzyć gwiazdy, pasowałby do teorii Delaware. Tak samo te wszystkie porzucone zainteresowania i fascynacja modą. Możliwe, że to żalosna mała ofiara losu, która nie mogła się pogodzić z tym, że nie ma talentu, i postanowiła odegrać się na tych, co go mają.

Stahl nie odpowiedział.

– Erie?

– Nie wiem.

– Co ci podpowiada intuicja?

– Nie polegam na intuicji.

– Naprawdę? – zdziwiła się Petra. – Nieźle ci poszło z tymi kradzionymi samochodami.

Stahl potraktował to chyba jako sugestię: odwrócił głowę do okna i zaczął obserwować ruch uliczny. Siedział tak przez całą podróż do Valley.

Najpierw odwiedzili biuro Franklina Drummonda przy Ventura Boulevard. „Firma” okazała się jednoosobową kancelarią na dziesiątym piętrze obłożonego brązowym szkłem wieżowca. Poczekalnia była przytulna, skąpana w dźwiękach takiej samej, romantycznej muzyki, jakiej słuchał Randolph Drummond. Dość sympatyczna młoda recepcjonistka z plakietką D<sub>ANITA</sub> T<sub>YLER</sub> poinformowała ich, że pan Drummond jest w sądzie. Sprawiała wrażenie zajętej.

– Jakiego rodzaju prawo praktykuje pan Drummond? – spytała Petra.

– Ogólne, nieruchomości, spory. Mogę spytać, o co chodzi?

– Chcielibyśmy porozmawiać z nim o jego synu Kevinie.

– Och. – Tyler zrobiła zdziwioną minę. – Kevin tu nie pracuje.

– Zna go pani?

– Z widzenia.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Ma kłopoty?

– Nie – powiedziała Petra. – Musimy z nim porozmawiać o jego wydawnictwie.

– Wydawnictwie? Myślałam, że studiuje.

– Skończył college kilka lat temu.

– Chodziło mi o wyższe studia. Takie przynajmniej miałam wrażenie. – Młoda kobieta zaczęła bawić się długopisem. – Raczej nie powinnam o tym mówić.

– Dlaczego?

– Szef ceni sobie prywatność.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– To skryty człowiek. Dobry szef. Nie będę miała przez państwa kłopotów?

Petra się uśmiechnęła.

– Obiecuję. Może mi pani powiedzieć, gdzie studiuje Kevin?

– Nie wiem, naprawdę. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle studiuje. Mało wiem o rodzinie szefa. Jak powiedziałam, pan Drummond ceni sobie prywatność.

– Kiedy Kevin był tutaj po raz ostatni, panno Tyler?

– Och... Nie umiem powiedzieć. Rodzina prawie nigdy tu nie przychodzi.

– Dawno pani tu pracuje, panno Tyler?

– Dwa lata.

– Czy w tym czasie spotkała pani Randolpha Drummonda?

– Kto to?

– Krewny – wyjaśniła Petra.

– Wydawnictwo, co? – powiedziała Tyler. – Policja... chodzi o jakieś porno, nie, proszę nie mówić. – Zaśmiała się, przesunęła palcem po ustach. – Nie chcę wiedzieć.

Poprosili ją, żeby zadzwoniła na komórkę Franklina Drummonda, ale adwokat nie odbierał.

– Czasami – powiedziała Tyler – wyłączają, kiedy jedzie do domu.

– Lubi swoją prywatność.

– On naprawdę ciężko pracuje.

Wyjechali na Ventura Boulevard. Petra była głodna i rozglądała się za jakimś tanim, w miarę przyjemnym lokalem. Dwie przecznice na zachód wypatrzyła budkę z tureckim jedzeniem, obok niej dwa stoliki. Zostawiła samochód pod zakazem parkowania, kupiła ostro przyprawioną, jagnięcą szalormę w miękkim chlebie pita i colę. Usiadła, żeby zjeść, Stahl czekał w wozie. Kiedy była w połowie kanapki, przyszedł i usiadł naprzeciw niej.

Obok przejeżdżały z rykiem silników samochody. Petra jadła.

Stahl po prostu siedział. Jego zainteresowanie jedzeniem było takie samo jak rozmową. Kiedy już jadł, zawsze było to coś bez wyrazu, na białym chlebie, przyniesione z domu w czystej, brązowej torebce.

Co dla Erica znaczyło słowo „dom”?

Petra zignorowała go, spokojnie zjadła, wytarła usta i wstała.

– Jedziemy.

Dziesięć minut później zatrzymali się przed domem, w którym Kevin Drummond poświęcał się swoim coraz to nowym zainteresowaniom.

Dom w stylu ranczo był zadbane i wielki, stał na najwyższej położonej działce przy ulicy na północ



od Ventura Boulevard. Chodniki ocieniały drzewa jacaranda. Podobnie jak w większości lepszych dzielnic L.A. nigdzie nie było żywego ducha.

Za to dużo samochodów. Trzy albo cztery pod każdym domem. Na kolistym podjeździe u Franklina Drummonda stał srebrny baby benz, obok forda explorera, czerwonej hondy accord i czegoś na niskim zawieszaniu pod beżową plandeką.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, poluzowywał właśnie krawat. Około czterdziestu paru lat, dobrze zbudowany, szeroka, mięsista twarz, szpakowate włosy i nos, który wyglądał jak nos byłego boksera, a na nim okulary w złotej oprawce. Przyjrzał się zza nich uważnie obojgu detektywom.

Mając trzech dorosłych synów, Franklin Drummond musiał być starszy niż jego czterdziestoczteroletni brat. Mimo to wyglądał młodziej od Randolpha.

– Tak? – powiedział.

Jego granatowy jedwabny krawat rozwiązał się łatwo, a Drummond zawiesił go sobie na szyi. Petra zauważyła złoty łańcuszek po wewnętrznej stronie i metkę Brioni. Drummond miał na sobie szytą na miarę koszulę, błękitną z białym wykrochmalonym kołnierzykiem, i szare spodnie od garnituru.

Petra powiedziała mu, że szukają jego syna.

Oczy Franka Drummonda zwęziły się do szerokości skaleczeń kartką papieru. Wypiął pierś.

– O co chodzi?

– Czy rozmawiał pan ostatnio z Kevinem?

Drummond wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi.

– O co chodzi?

Zaalarmowany, ale nie spanikowany. Był prawnikiem, jednoosobową firmą, przywykł sam załatwiać własne sprawy. Żaden podstęp nie miałby w jego przypadku sensu, więc Petra postawiła sprawę jasno.

– Interesuje nas pismo Kevina – wyjaśniła. – „GrooveRat”. Kilka osób, o których pisał, zostało zamordowanych.

Kiedy to powiedziała, zrozumiała, jak naciąganie to brzmi. Poświęcili tyle czasu, szukając jakiegoś nieudacznika, i pewnie okaże się, że niepotrzebnie.

– Więc? – spytał Frank Drummond.

– Więc chcielibyśmy z nim porozmawiać – odparł Stahl.

Drummond spojrział na niego. Zachowanie Stahla nie robiło na nim żadnego wrażenia, inaczej niż na jego bracie.

– O czym?

– Chcemy mu zadać kilka bardzo ogólnych pytań, proszę pana – powiedziała Petra.

– A więc znajdźcie go i pytajcie. Już tu nie mieszka.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Dlaczego mam o tym mówić?

– Dlaczego nie?

– To kwestia zasad – stwierdził Frank Drummond. – W zamknięte usta nie wleci mucha.

– Nie jesteśmy muchami – obruszyła się Petra. – Robimy tylko to, co do nas należy, i naprawdę by nam pomogło, gdyby mógł nas pan skierować do Kevina.

– Kevin mieszka sam.

– Przy Rossmore?

Drummond spojrział na nią wilkiem.

– Skoro to wiecie, po co tu przyjechaliście?

– Czy Kevin sam opłaca czynsz?

Drummond wyduł wargi, mlasnął językiem.

– Nie rozumiem, jak kwestia finansów Kevina może być powiązana z waszym śledztwem. Jeśli chcecie przeczytać jego pismo, poproście go, jestem pewien, że z przyjemnością je wam pokaże. Jest z niego bardzo dumny.

Zaakcentował słowa „pismo” i „dumny”.

– Nie było go w domu – powiedziała Petra.

– Więc spróbujcie jeszcze raz.

– Proszę pana, jeśli płaci pan za niego czynsz, pomyśleliśmy, że będzie pan wiedział, gdzie Kevin bywa.

– Płacę. I to wszystko.

Petra uśmiechnęła się.

– Radości rodzicielstwa?

Drummond nie złapał przynęty. Położył dłoń na klamce.

– Dlaczego Kevin mówi na siebie „Jurij”?

– Jego o to pytajcie.

– A pan nie wie?

– Pewnie uważa, że to fajnie brzmi. Kogo to obchodzi?

– A więc nie widuje się pan z synem? – drążyła Petra.

Drummond cofnął rękę, skrzyżował ramiona na piersi, po czym je rozłożył.

– Kevin skończył dwadzieścia cztery lata. Nie wtrącam się w jego życie.

– Nie ma pan przypadkiem żadnych egzemplarzy „GrooveRat”?

– W żadnym razie. – Te trzy słowa były wręcz nabrzmiałe pogardą, taką jaką Petra słyszała w głosie Randolpha.

Wielki macho zniesmaczony wygłupami Kevina. Ojciec, stryj, dwaj bracia. Dorastanie jako cherlawy ekscentryk musiało być dla Kevina trudne. Na tyle, by wypaczyć jego psychikę?

– W żadnym razie? – powtórzyła Petra.

– Kevin zabrał ze sobą wszystkie swoje rzeczy, kiedy się wyprowadził.

– To było?...

– Po skończeniu szkoły.

Randolph Drummond dostał od Kevina egzemplarz „GrooveRat” w tym mniej więcej czasie. Drogi ojca i syna rozeszły się w wigilię powstania pierwszego numeru. Różnice twórcze czy tata miał dość nieróbstwa juniora?

– Kevin się uczy?

– Nie. – Frank Drummond zacisnął usta.

– Czy jest jakiś powód, dla którego te pytania pana niepokoją?

– Wy mnie niepokoić. Bo uważam, że wciskacie mi jakiś kit. Jeśli chodzi wam o pismo, po co te pytania o Kevina? Jeśli jest o coś podejrzany... bzdura. Kevin to spokojny dzieciak.

Powiedział to tak, jakby to była wada. Dwadzieścia cztery lata – dzieciak.

– Wie pan, kto oprócz Kevina pisał do „GrooveRat”? – spytała Petra.

Drummond pokręcił głową, starał się wyglądać na znudzonego.

– Skąd Kevin miał pieniądze na swoje pismo?

Prawa ręka Drummonda uniosła się do krawata, zmięła go, puściła.

– Jeśli chcecie je zobaczyć, Kevin na pewno ma jakieś egzemplarze u siebie w mieszkaniu. Jak go spotkacie, powiedzcie mu, żeby zadzwonił do matki. Tęskni za nim.

– W przeciwieństwie – powiedział Stahl, kiedy odjeżdżali.

– Co masz na myśli?

– Matka za nim tęskni. Ojciec nie.

– Dysfunkcyjna rodzina – stwierdziła Petra. – Kevin był dyżurnym mięczakiem. Co z tego wynika?

– Frank nie chciał mówić.

– A może jako prawnik woli zadawać pytania, niż na nie odpowiadać. Daliśmy jasno do zrozumienia, że chodzi nam o coś więcej niż tylko o pismo. I bardzo dobrze. Trochę zamieszamy, zobaczymy, co się stanie.

– A co może się stać? – spytał Stahl.

– Nie wiem. Martwi mnie, że tracimy tyle czasu na szukanie tego dzieciaka i jego głupiego zina.

– Powiedziałaś, że to hiena.

– Powiedziałam?

– Na spotkaniu – przypomniał Stahl. – Powiedziałaś, że Jurij wypytywał o makabryczne szczegóły. Jak hiena.

– Faktycznie. Więc?

Długa cisza.

– Podjedźmy jeszcze raz do jego mieszkania – odparł wreszcie Stahl.

Zbliżała się szósta po południu. Petra, przyzwyczajona do pracy w nocy, o tej porze często brała prysznic i jadła miskę płatków kukurydzianych. Wszystkie te papiery, zebrania w sprawie Ormian, wdrażanie Stahla, obiad z Milem i Aleksem i bezowocne popołudnie rozregulowały jej biologiczny zegar. Czowała się zmęczona i było jej niedobrze.

– Jasne – powiedziała. – Czemu nie?

Kevina Drummonda ciągle nie było w domu, ale kiedy tym razem nacisnęli dzwonek mieszkania gospodarza kamienicy, wysoki głos zapytał:

– Tak?

Petra przedstawiła się. Drzwi się otworzyły i detektywi, stanęli twarzą w twarz z niską, przysadzistą kobietą koło pięćdziesiątki, ubraną w białą bluzkę, czarne legginsy i adidas. Na jej szyi wisiały na łańcuszku okulary. Czarne, farbowane włosy na czubku głowy nawinęła na ogromny watek, świeżo ufryzowane loki opadały jej na ramiona.

– Coś nie w porządku? – spytała.

– Pani Santos?

– Guadalupe Santos. – Szeroki uśmiech.

Nareszcie ktoś sympatyczny.

– Szukamy jednego z pani lokatorów, pani Santos. Numer czternaście, Kevin Drummond.

– Jurij? – spytała Santos.

– Tak na siebie mówi?

– Tak. Coś się stało?

– Jakim lokatorem jest Jurij?

– Miły chłopak. Spokojny. Czemu go szukacie?

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać, prowadzimy śledztwo.

– Chyba go nie ma. Widziałam go... hm... może dwa, trzy dni temu. Spotkałam go za domem, jak wynosiłam śmieci. Wsiadał do swojego samochodu. Hondy.

W wydziale komunikacji na Kevina Drummonda zarejestrowana była pięcioletnia honda civic.

– Jakiego koloru? – spytała Petra, pamiętając o czerwonej hondzie accord na podjeździe Franka Drummonda.

– Biała.

– A więc pana Drummonda nie ma od trzech dni.

– Może wychodzi i wraca, kiedy śpię, ale ja go nie widziałam.

– Nie ma z nim problemów.

– To spokojny lokator – powiedziała Santos. – Jego ojciec płaci czynsz za sześć miesięcy z góry, Jurij nie hałasuje. Szkoda, że nie wszyscy są tacy.

– Ma jakichś przyjaciół? Powtarzają się te same twarze?

– Nie ma dziewczyny, jeśli o to państwo pytacie. Ani chłopaka. – Santos uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Jurij jest gejem?

Zaśmiała się.

– Nie, żartuję. To Hollywood, sami państwo wiecie.

– Nie było w ogóle żadnych gości? – spytał Stahl.

Santos spoważniała. Uprzejmość Stahla była zaraźliwa.

– Jak się nad tym zastanowić, właśnie tak. Nikogo. Sam też za często nie wychodzi. Nie jest za porządny, ale to jego sprawa.

– Była pani u niego – powiedziała Petra.

– Dwa razy. Przeciekała mu toaleta. I musiałam mu pokazać, jak obsługiwać grzejnik. Nie radził sobie z takimi rzeczami.

– Flejtuch? – spytała Petra.

– Nie jest brudasem – odparła Santos. – Tylko, jak to się mówi... jak ktoś wszystko zbiera?

– Chomikuje.

– Właśnie. Ma kawalerkę i cała jest zawalona pudłami. Nie wiem, co w nich jest, ale wygląda to tak, jakby nigdy niczego nie wyrzucił... przepraszam, widziałam, co jest w jednym. Takie małe samochodziki, matchboksy. Mój syn kiedyś je zbierał, lecz nie miał ich aż tyle, co Jurij. Ale Tony z tego wyrósł. Służy w marines w Camp Pendleton. Jest sierżantem szkoleniowym, był w Afganistanie.

Petra pogratulowała jej skinięciem głowy i milczała chwilę w wyrazie szacunku dla sierżanta Tony'ego Santosa.

– A więc Jurij zbiera różne rzeczy.

– Mnóstwo. Ale jak powiedziałam, nie jest brudasem.

– Czym się zajmuje?

– Chyba niczym. Jego ojciec płaci czynsz i tak dalej, doszłam do wniosku, że jest... no, wiecie państwo.

– Kim?

– Kimś z... nie chcę powiedzieć: problemami. Kimś, kto nie może normalnie pracować.

– Jakimi problemami? – spytała Petra.

– No nie wiem... jest po prostu bardzo cichy. Chodzi ze spuszczoną głową. Jakby nie chciał z nikim rozmawiać.

Była spora różnica między tym opisem a napastliwym szczeniakiem, który naprzykrzał się Petrze. Kevin umiał być inny, kiedy chciał.

Petra pokazała Santos zdjęcie Kevina Drummonda, które zdobyła w wydziale komunikacji. Trochę niewyraźne, sprzed pięciu lat. Na nim chudy chłopak o przeciętnej twarzy. Włosy ciemnoblonde, oczy piwne, wzrost metr osiemdziesiąt osiem, waga siedemdziesiąt pięć kilo, używa szkieł korekcyjnych.

– To on – powiedziała Santos. – Wysoki, nosi okulary. Ma kiepską cerę, pryszcze tu i tu – wskazała podbródek i skroń. – Jakby miał ich dużo, kiedy był młodszy, i nie do końca się wyleczyły, rozumiecie państwo?

Metr osiemdziesiąt osiem pasowało do opisu mordercy Baby Boya, podanego przez Linusa Brophy'ego. Czy chudy dzieciak byłby w stanie obezwładnić Wasilija Lewicza? Oczywiście, biorąc pod uwagę element zaskoczenia.

– Nieśmiały – powiedziała Petra. – Co jeszcze?

– Jest jak ci... ktoś, kto lubi komputery, lubi być sam, rozumie pani? Ma tam na górze mnóstwo sprzętu komputerowego. Nie znam się na tym, ale wygląda na drogi. Jego ojciec płaci czynsz, więc pomyślałam... Ale to dobry lokator. Nie sprawia problemów. Mam nadzieję, że nie ma żadnych kłopotów.

– Nie chciałyby go pani stracić jako lokatora – stwierdził Stahl.

– Pewnie, że nie – odparła Santos. – W tym interesie nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi.

W drodze powrotnej na posterunek, kiedy już zaczęło się ściemniać, Petra zauważyła parę starszków, idących wolno Fountain Avenue. Za nimi dreptała duża, biała, żółtodzioba kaczka.

Petra zamrugała, żeby upewnić się, że nie ma halucynacji, zatrzymała się i cofnęła. Starsi państwo szli dalej, a ona zaczęła jechać równo z nimi. Oboje mieli grube płaszcze i wełniane czapki, wyglądali jak bezpłciowe bliźniaki, jak to czasem bywa z bardzo starymi ludźmi. Musieli mieć pod dziewięćdziesiątkę. Każdy krok był dla nich sporym wysiłkiem. Kaczka, nie na smyczy, szła tuż za nimi. Kołysała się, jakby z trudem utrzymywała równowagę.

Mężczyzna odwrócił się, wziął kobietę za rękę i oboje stanęli. Uśmiechnęli się nerwowo. Pewnie złamali jakieś przepisy dotyczące posiadania zwierząt, ale kogo to obchodziło.

– Ładna kaczka – zagadnęła Petra.

– To Horacy – odparła kobieta. – Mamy go już od bardzo dawna. Kaczka podniosła łapę i poczochnęła się po brzuchu. Maleńkie, czarne ślepia jak świdry wpatrywały się w oczy Petry. Ptak chronił swoich właścicieli.

– Cześć, Horacy – przywitała się Petra.

Kaczka nastroszyła pióra.

– Miłego dnia – powiedziała Petra i pojechała dalej.

– Co to było? – spytał Stahl.

– Rzeczywistość.



Dwa dni po spotkaniu z Petrą i Stahlem Milo poprosił, żebym pojechał z nim na drugą rozmowę z Everettem Kipperem.

– Tym razem wpadam z zaskoczenia – powiedział. – Dzwoniłem, ale Kipper cały dzień ma jakieś spotkania.

– Skąd znów to zainteresowanie? – spytałem.

– Chcę z nim porozmawiać o „GrooveRat”, dowiedzieć się, czy Jurij Drummond chciał przeprowadzić kiedyś wywiad z Julie. Petrze i Stahlowi nie udało się zdobyć żadnych egzemplarzy, ale ten Drummond jest coraz bardziej interesujący. To dwudziestoczteroletni samotnik, naprawdę ma na imię Kevin, mieszka w kawalerce przy gorszej Rossmore. Nie było go w domu od kilku dni, intrygujące, prawda? Z jego zina bije próżność, oderwany od rzeczywistości. Ojciec jest prawnikiem, płaci czynsz i przypuszczalnie pokrywa koszty druku. Nie chciał nawet z Petrą rozmawiać. W ogóle.

– W końcu to prawnik – powiedziałem.

– Petra mówi, że według niej to nie jest idealny dom. Kevin to dziwak, a tata z całą pewnością nie lubi o nim mówić.

– Samotnik.

– Szok, co? Zmieniał co dwa tygodnie hobby, miał coraz to nowe obsesje. Dokładnie taka fanatyczna osobowość, jaką opisałeś. Do tego zbiera różne rzeczy. Jego gospodyni mówi, że mieszkanie ma zawalone jakimiś pudłami. I zabawkami. Więc może trofea morderstw też gdzieś tam są. Zaczął drukować zina na początku ostatniego roku college’u. Petra znalazła część jednego numeru, Drummond podpisuje się jako cała redakcja. Zażądał bezwstydney ceny za prenumeratę, ale nic nie wskazuje na to, że ktoś mu zapłacił.

– Gdzie chodził do szkoły?

– Do Charter College. Nie przyjmują tam każdego, więc musi być bystry, dokładnie tak, jak mówiłeś. I jest wysoki, metr osiemdziesiąt osiem, co pasuje do tego, co widział świadek. Warto mu się przyjrzeć. Stahl zasadził się pod jego mieszkaniem, a Petra cały czas próbuje dowiedzieć się czegoś więcej o „GrooveRat”, sprawdzić, czy ktoś to dystrybuował. Jeśli znajdziemy jakieś stare numery, a w nich artykuły o Baby Boyu, Chinie i, miejmy nadzieję, Julie, wystąpimy o nakaz przeszukania i oczywiście go nie dostaniemy. Ale to zawsze już coś.

Ze względu na sposób, w jaki popełniono te morderstwa, cały czas myślałem o kimś w wieku trzydziestu-czterdziestu paru lat. Dwudziestoczterolatek wydał mi się za młody. Ale może Kevin Drummond był nad wiek rozwinięty. Poza tym po raz pierwszy, odkąd otwarto sprawę Kipper, z głosu Mila zniknęło przygnębienie. Zamknąłem jadaczkę na kłódkę i pojechałem do Century City.

Ta sama owalna poczekalnia, ta sama wyszczerzona kobieta za biurkiem. Tym razem nie zaniepokoiła się, tylko chłodno uśmiechnęła.

– Pan Kipper wyszedł na lunch.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Nie robiła pani rezerwacji? – spytał Milo.

– Nie rezerwował – odparła. – Pan Kipper lubi zwyczajne miejsca.

– Biznesowe lunche w zwyczajnych miejscach?

– Pan Kipper lubi jadać samotnie.

– A co z tymi ludźmi, z którymi spotykał się całe przedpołudnie?

Recepcjonistka przygryzła wargę.

– W porządku – powiedział Milo. – Płaci pani pensję, więc musi pani robić, co on każe. Mnie opłaca miasto i jestem tak samo zdeterminowany.

– Przykro mi. Po prostu...

– Nie chce z nami rozmawiać. Dlaczego?

– Nie powiedział. Już taki jest.

– Jaki?

– Mało mówi. – Znów przygryzła wargę. – Proszę...

– Rozumiem – powiedział Milo takim tonem, jakby naprawdę rozumiał.

Wyszliśmy z biura i zjechaliśmy windą na parter. Przez wejście przepływał równy strumień ubranych na ciemno mężczyzn i kobiet.

– Jeśli ona nie kłamie z tym zwyczajnym miejscem, stawiałbym na jedną z budek w galerii handlowej przecnicę dalej. Co znaczy, że pewnie poszedł na piechotę i będzie tędy wracał – dedukował Milo.

Plac przed budynkiem Kipperera zdobiły trzy potężne, granitowe kwietniki. Wybraliśmy jeden i przysiedliśmy na brzegu.

Dwadzieścia minut później pojawił się Everett Kipper. Był sam. Tym razem miał na sobie stalowoszary garnitur szyty na miarę, również zapinany na cztery guziki. Biała koszula, różowy

krawat, błysk złota przy mankietach, sprężysty krok. Tłum przed wejściem zgęstniał i Kipper przeszedł obok, nie zauważając nas.

Wstaliśmy z kwietnika i podbiegliśmy do niego.

– Panie Kipper? – zawołał Milo.

Kipper odwrócił się, napinając mięśnie jak ktoś, kto trenuje sztuki walki.

– Co znowu?

– Jeszcze kilka pytań, proszę pana.

– Na jaki temat?

– Czy możemy porozmawiać w pana biurze?

– Nie sądzę – odparł Kipper. – Policja w biurze nie wpływa dobrze na interesy. Ile to potrwa?

– Kilka chwil.

– Przejdźmy tutaj. – Zaprowadził nas za jedno z drzew. Liście rzucały podłużne cienie na jego okrągłą, gładką twarz. – Co jest?

– Słyszał pan o magazynie „GrooveRat”? – spytał Milo.

– Nie. Czemu pan pyta?

– Próbujemy dotrzeć do artykułów o Julie.

– A w tym magazynie taki był? – Kipper pokręcił głową. – Julie nigdy mi o tym nie wspominała. Czemu to takie ważne?

– Prowadzimy skrupulatne śledztwo – powiedział Milo.

– Odpowiedź w dalszym ciągu brzmi „nie”. Nigdy o tym nie słyszałem.

– Wie pan coś o rozgłosie, który Julie mogła zyskać w ostatnim okresie?

– Nie zyskała żadnego i to ją męczyło. W Nowym Jorku, kiedy miała wystawę u Anthony’ego, wszyscy o niej pisali. „New York Times” wspominał o wystawie w dziale kulturalnym, kilka innych gazet chyba też. Zapamiętała to. Brak zainteresowania był jedną z rzeczy, które ją bolały.

– Co jeszcze ją bolało?

– Porażka.

– Wystawa w Świetle i Przestrzeni nie była w ogóle nagłośniona?

Kipper pokręcił głową.

– Powiedziała mi, że galeria wysłała informację o wystawie do „L.A. Timesa”, ale gazeta nie zniżyła się do tego, żeby ją wydrukować... chwileczkę, jeden magazyn prosił o wywiad... nie ten, o którym pan wspominał. Nic z „Rat” w tytule... jak to było... cholera. Zresztą to i tak nieważne. Julie była tym strasznie podekscytowana, ale w końcu nic z tego nie wyszło.

– Odwołali wywiad?

– Julie czekała, ale dziennikarz ją wystawił. Rozczarowana, zadzwoniła do redakcji i poskarżyła się. W końcu coś napisali, jakiś krótki artykułek, pewnie po to, żeby ją ułagodzić.

– Recenzję z wystawy? – spytałem.

– Nie, to było przed wystawą, może z miesiąc. Z tego, co wiem, Julie sama do nich zadzwoniła. Próbowwała sama zorganizować sobie reklamę.

Przygotować ludzi na swój powrót. – Kipper potarł nos. – Naprawdę wierzyła, że ma szansę.

– A nie miała?

Kipper skrzywił się, jakby było mu niedobrze.

– Świat sztuki. Jak to pismo się nazywało... „Scenę” coś tam, taki niby fajny tytuł... pokazała mi egzemplarz. Dla mnie to wyglądało na jakiś szmatławiec, ale nic nie powiedziałem, bo Julie była tak podekscytowana... „Scenę”... „SeldomScene” coś tam. Dobra, muszę lecieć.

Odwrócił się i poszedł. Poły jego marynarki wydeły się na wietrze. Tworzył swoje własne turbulencje.

„SeldomSceneAtolP\* [Nieprzetłumaczalna gra słów. *SeldomSceneAtoll* dosłownie znaczy „atol rząd kich scen”, fonetycznie jednak brzmi tak samo jak *Seldom Seen At All*, czyli „rzadko widywane” (przyp. tłum.)]

miało swoją siedzibę w West Hollywood, na Santa Monica niedaleko La Cienega – w biurowcu, piętrowym budynku z brązowej cegły, wciśniętym między kwaciarnię i pasaż handlowy, pełen samochodów i wybuchowych temperamentów. Milo zostawił wóz w strefie wyładunku na parkingu pasażu i weszliśmy do biurowca przez drzwi z tabliczką ZAKAZ AKWIZYCJI.

W spisie firm figurowały agencje teatralne, dietetycy, szkoła jogi, menedżerzy i KOREPETYCJE JAGUAR/SSA na piętrze.

– Dzielą lokal. Imperium medialne to nie jest – stwierdziłem.

– „Korepetycje Jaguar” – powiedział Milo. – Że niby co, uczą, jak być drapieźnikiem?

Wnętrze budynku świadczyło wyraźnie o tym, że żaden z wynajmujących nie zdobył sławy, bogactwa ani dobrego zdrowia: szare, brudne korytarze, poplamione wykładziny, rozeschnięte drzwi ze sklejk, smród nieszczelnej kanalizacji i zepsuta winda.

Poszliśmy schodami, wdychając środek owadobójczy i wymijając zdechłe karaluchy.

Zapukaliśmy do drzwi J<sub>AGUAR</sub>SSA i nie czekając na odpowiedź, weszliśmy do środka, do niedużego, pojedynczego pomieszczenia. Stały tam cztery biurka z komputerami, laptopy w kolorowych pudełkach, skanery, drukarki, kopiarki i inne maszyny. Wykładzinę z PCV zaścielały – jak makaron – zwoje kabli.

Ściany pokryte były powiększonymi i oprawionymi w ramki okładkami „SSA”. Wszystkie wyglądały podobnie: ostro oświetleni młodzi, niedożywieni, piękni ludzie w obcisłych ubraniach, ostentacyjnie demonstrujący pogardę dla świata. Dużo gumy i lateksu: ciuchy wyglądały tandetnie, ale pewnie trzeba by zastawić dom, żeby je kupić.

Modele i modelki, wszyscy nosili jednakowy, egipski makijaż. Chude kobiety miały lekko uróżowane policzki, mężczyźni czterodniowy zarost.

Przy najbliższym komputerze siedział ciemnoskóry mężczyzna około trzydziestki. Miał dredy, pasiastą, żółto-czarną koszulkę i żółte bojówki. Bez przerwy stukał w klawiaturę. Zerknąłem na monitor. Grafika: Escher w wydaniu Tinkertoys. Mężczyzna zignorował nas albo nie zauważył pochłonięty dźwiękami dobywającymi się z małych słuchawek.

Dwa środkowe komputery były wolne. Na samym końcu siedziała młoda kobieta, na oko dwadzieścia kilka lat, również ze słuchawkami na uszach. Czytała „People”. Pulchna, o dziecięcej twarzy, miała na sobie czarny, skajowy kombinezon i czerwone buty. Kiwała głową do rytmu trzy czwarte. Ciemnoblonde włosy ułożyła we fryzurę z lat pięćdziesiątych. Odwróciła się do nas i uniosła brew – tatuaż brwi – a gruby stalowy kolczyk w samym jej środku skoczył w górę. Kółko w górnej wardze pozostało nieruchome, podobnie jak kilka kolczyków w uszach i, wyglądający na bolesny, mały ćwiek w podbródku.

– Co jest?! – krzyknęła.

Potem wyrwała słuchawki z uszu, nie przestając kiwać głową. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Walc młodych i metalicznych.

– Co jest? – powtórzyła.

Na widok odznaki Mila uniosła obie brwi. Miała też wytatuowany zarys ust.

– Tak? – spytała.

– Szukam wydawcy „Seldom Scene Atoli”. Kobieta stuknęła się w pierś i zahukała jak małpa.

– Znalazł pan ją.

– Szukamy informacji na temat artystki Juliet Kipper.

– Co z nią?

– Zna ją pani?

– Tego nie powiedziałam.

– Już nic z nią. Została zamordowana.

Kolczyk w łuku brwiowym opadł, ale twarz pozostała nieruchoma.

– Hola, hola – kobieta wstała, podeszła do grafika i szturchnęła go w ramię. Z żalem zdjął słuchawki, – Juliet Kipper. Pisaliśmy o niej?

– Kto?

– Kipper. Martwa artystka. Zamordowali ją.

– Hm. Jaka artystka?

Kobieta spojrzała na nas.

– Była malarką – wyjaśnił Milo. – Powiedziano nam, że o niej pisaliście, panno...

– Patti Padgett. – Szeroki uśmiech. W lewym górnym siekaczu miała wprawiony spory brylant.

Milo odpowiedział uśmiechem i wyjął notatnik.

– No i proszę – powiedziała Patti Padgett. – Zawsze chciałam trafić do policyjnych akt. Kiedy to mieliśmy napisać o świętej pamięci pannie Kipper?

– W ciągu ostatnich paru miesięcy.

– To ułatwia sprawę. Przez ostatnie pół roku wydaliśmy tylko dwa numery.

– Jesteście kwartalnikiem?

– Jesteśmy bankrutem. – Patti Padgett wróciła do swojego biurka, otworzyła szufladę i zaczęła w niej grzebać. – Zobaczmy, czy ta Julie Jakaśtam zostawiła... jak zginęła?

– Udużona.

– Och. Wiecie, kto to mógł zrobić?

– Jeszcze nie.

– Jeszcze – powtórzyła Padgett. – Podoba mi się pana optymizm... najwspanialsze pokolenie i tak dalej.

– To była II wojna światowa, Patricia – odezwał się grafik. – On jest z Wietnamu. – Zerknął na nas, jakby spodziewał się potwierdzenia. Rozczarowany, założył z powrotem słuchawki i znów

zaczął kiwać głową do rytmu, kołysząc dreadami.

– Wszystko jedno. Proszę. Trzy miesiące temu. – Padgett położyła pismo na kolanach, pośliniła palec i zaczęła przewracać strony. Nie było ich za wiele.

– Jest! – zawołała po chwili. – W naszym dziale *Mama/Dada...* chyba ktoś ją lubił.

Pokazała nam artykuł.

W *Mama/Dada*, zbiorze krótkich artykułów o miejscowych artystach, Juliet Kipper dzieliła stronę z chorwackim emigrantem – fotografem mody i trenerem psów, który dorabiał na boku jako artysta wideo.

Tekst o Julie Kipper miał dwa akapity. Wspomniano w nim o jej obiecującym nowojorskim debiucie, dekadzie „osobistych i artystycznych rozczarowań” i „nadchodzącym odrodzeniu w roli nihilistycznego zwiastuna kalifornijskiego snu i ekologicznej intrygi”. Nie zauważyłem w krajobrazach Kipper żadnego nihilizmu – najwyraźniej się nie znałem.

„Dziela Kipper”, zakończył autor, „świadczą wyraźnie o tym, że jej wizja jest bardziej peanem na cześć paradoksalnego holizmu myślenia życzeniowego niż poważną próbą skonkretyzowania i zmapowania fotosyntetycznego dysonansu i chaosu, które opanowały innych malarzy Zachodniego Wybrzeża”.

Podpis: WS.

– Paradoksalny holizm myślenia życzeniowego – mruknął Milo, zerkając na mnie.

Pokręciłem głową.

– Totalny bełkot, prawda? – Zaśmiała się Patti Padgett. – Większość rzeczy o sztuce, które drukujemy, jest właśnie taka. niespełnione ambicje tych, co nie zdążyli na pociąg z talentem.

– Artystyczne pijawki – powiedział Milo.

Padgett popatrzyła na niego z nieskrywanym uwielbieniem.

– Chce pan pracę?

– Nie w tym wcieleniu.

– Hindu?

– Nie, własne przemyślenia.

– Bój się, Todd – Padgett uśmiechnęła się do grafika. – Zakochałam się.

– Jeśli to się pani nie podoba, dlaczego to pani drukuje?

– Bo to mam, *mon gendarme*. I lubią to niektórzy z naszych czytelników. – Znów się roześmiała i rozdzwoniły się jej kolczyki. – Przy naszym budzecie nie jesteśmy „New Yorkerem”, słonko. Nasze tematy, moje tematy, bo ukazuje się to, co ja chcę, to sporo mody, trochę dekoracji wewnątrz, odrobina filmu, szczypta muzyki. Dorzucamy do tego pierdółki o sztuce, bo niektórzy uważają, że to *cool*, a w naszej’ niszy rynkowej *cool* jest wszystkim.

– Kim jest WS? – spytał Milo.

– Hm. – Padgett odwróciła się do Todda. – Todd, kto to jest WS?

– Kto?

– Autor tekstu o Kipper. Podpisano „WS”.

– Skąd mam wiedzieć? Nawet nie pamiętam tej Kipper.

Padgett odwróciła się z powrotem do nas.

– Todd też nie wie.

– Nie macie listy współpracowników?

– Ojej, widzę, że to poważne śledztwo. Kogo szukacie, seryjnego mordercy-wampira?

Milo parsknął śmiechem.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Lubię *Z archiwum X*. Nie bądź taki, powiedz Patti.

– Przykro mi, Patti. To nic egzotycznego, zbieramy informacje. – Milo uśmiechnął się do niej. – Proszę pani.

– Proszę pani – powtórzyła, kładąc dłoń z czarnymi paznokciami na obfitym biuście. – Spokojnie, serce me drżące. Hej, a może pozwolicie mi z wami pojeździć i opisać, co robicie: dzień z życia i tak dalej. Zajebicie piszę, mam magistra z Yale. Todd tak samo. Jesteśmy najbardziej dynamicznym duetem, na jaki można trafić.

– Pewnie kiedyś... – odparł Milo. – Macie listę współpracowników?

– Mamy, Todd?

Todd znów zdjął słuchawki. Padgett powtórzyła pytanie.

– Nie do końca.

– Nie do końca? – powtórzył Milo.



– Mam taką niby-listę, ale przypadkową, wrzucam tam dane, kiedy je dostaję, bez porządku alfabetycznego.

– W komputerze?

– A gdzieżby indziej? – odpowiedziało spojrzenie Todda.

– Może ją pan pokazać?

Todd spojrział na Padgett.

– Czy to nie podpada pod pierwszą poprawkę?

– Daj spokój – powiedziała Patti. – Ci goście pozwolą nam ze sobą pojeździć, wydamy czadowy numer o stróżach prawa, z tą chudą kambodżańską modelką na okładce, no z tą, co ma imię na szesnaście sylab, ubierzemy ją w obcisły niebieski mundur, damy szpicrutę, spluwę i sprzęt. Będzie zajebiście.

Todd zamknął program graficzny.

Trwało to tylko chwilę.

– Jest. WS: Wierny Skryba.

Milo pochylił się i spojrział na ekran.

– Tylko tyle? A nazwisko?

– Mam to, co widać – odparł Todd. – Tak było na zgłoszeniu, tak zapisałem.

– Kiedy mu płaciliście, jakie nazwisko napisaliście na czeku?

– Zaraz...

– Cha, cha, cha – zaśmiała się Padgett.

– Nie płacicie.

– Płacimy modelom z okładki i fotografom, najmniej, jak się da. Czasami, jak trafi się nam ktoś lepszy, dajemy mu na przykład dziesięć centów za słowo. Zasadniczo nie płacimy, bo nikt nie płaci nam. Dystrybutorzy nie chcą płacić za cały nakład, dopóki nie podliczą zwrotów. Dostajemy pieniądze tylko za sprzedane egzemplarze, a to trwa całe miesiące. – Wzruszyła ramionami. – To ciężkie czasy dla prywatnej inicjatywy.

– Skończyła ekonomię w Brown – wtrącił Todd.

– Na odczepnego – wyjaśniła Padgett. – Tata kieruje korporacjami.

– Od dawna wydajecie? – spytałem.

– Cztery lata – odparł Todd i dodał z dumą: – Mamy czterysta tysięcy w plecy.

– Zadłużyliśmy się u mojego taty – powiedziała Padgett. – Żeby się nie ciskał, oboje pracujemy.

– „Korepetycje Jaguar”. To znaczy?

– Przygotowania do egzaminów wstępnych na uczelnie – Padgett wzięła z biurka wizytówkę i pokazała ją nam.

P<sub>ATRICIA</sub> S. P<sub>ADGETT, MGR</sub> (B<sub>BROWN, Y</sub> A<sub>LE</sub>)

S<sub>TARSZY</sub> D<sub>DORADCA, K</sub> O<sub>REPETYCJE</sub> J<sub>JAGUAR</sub>

– Naszym zadaniem – wyjaśniła – jest przybliżyć zawilosci egzaminów wstępnych potomstwu niepewnych jutra, którzy pną się po drabinie społecznej.

– Jaguar ma oznaczać...

– Kojarzy się z mistrzostwem i zręcznością – oznajmił Todd.

– Poza tym – dodała Padgett – z luksusem. Z samochodami marki Jaguar. Nie stać nas na czynsz w Beverly Hills, ale chcemy przyciągnąć dzieciaki stamtąd.

– Bluszczowa Liga w tym pomaga – stwierdził Todd.

– Todd studiował w Princeton – wyjaśniła Padgett.

– A więc... – Milo odwrócił się do ekranu. – Ten Wiemy Skryba przysłał wam tekst podpisany pseudonimem, a wy go wydrukowaliście, nie płacąc.

– Na to wygląda – przyznał Todd. – Nie prosiliśmy go o ten artykuł, ani go przysłał.

– Sporo takich dostajecie?

– Mnóstwo. Głównie śmieci. Naprawdę żalodne, od ludzi, którzy nie potrafią pisać.

– Czy WS napisał dla was coś jeszcze?

– Zobaczmy – Todd przewinął obraz na ekranie. – Raz. Na samym początku. – Do Padgett: – Wracamy do numeru drugiego.

Milo przeczytał datę.

– Trzy i pół roku temu.

– Cudowne lata... Spójrzcie na to: dowody, wskazówki, fałszywe tropy, nieźli byliśmy, Todd...  
Panie władzo, a dostaniemy też jakieś odjazdowe odznaki?

Przyniosła egzemplarz drugiego numeru. Tekst Wiernego Skryby zamieszczony był w rubryce pod tytułem *Rodzynki i Rozpacz* – zawierała recenzję: miażdżącą krytykę i bezmyślne zachwyty.

Ten tekst był akurat „rodzynkiem”. Dwa akapity wychwalające pod niebiosa obiecującą młodą tancerkę Angelique Bemet.

Recenzja występu w Mark Taper, w L.A. – eksperymentalnego baletu autorstwa chińskiego kompozytora, zatytułowanego *Łabędzie Tienanmen*.

Dwa miesiące przed tym, jak Bernet została zamordowana w Bostonie.

Zespół był najpierw w L.A.

Angelique należała do tria balerin, które występowały w ostatnim akcie. WS zwrócił na nią uwagę ze względu na jej „oszałamiający, łabędzi wdzięk, tak niesłychanie współgrający z wymową kompozycji, że ściskają się jądra. To TANIEC, paleo-instynkto-bioenergetyczny, tak słuszny, tak oryginalny, tak bezwstydnie erotyczny. Jej artyzm wyróżniają spośród rzeszy sztucznych miernot, które tworzą *la compagnie allégement*”

– Au – jęknęła Padgett. – Naprawdę, musimy być bardziej wybredni. „Ściskają się jądra” – dodała. – Był na nią napalony. Kogo szukacie, jakiegoś seksualnego psychola?

– Moglibyście wydrukować kopie obu tych tekstów? – spytał Milo. – A skoro już o tym mowa, drukowaliście coś autorstwa niejakiego Drummonda?

Padgett wydeła usta.

– Ja pytam, on nie odpowiada.

– Proszę? – Milo znów się do niej uśmiechnął, tym razem jednak w jego głosie pojawiły się niskie, złowróżbne tony, jak pomruk wychodzącego z gawry niedźwiedzia.

– Jasne, jasne, pewnie – powiedziała Padgett.

– Imię? – spytał Todd.

– Sprawdź wszystkich Drummondów.

Na liście współpracowników „SSA” nie pojawił się Kevin, Jurij ani żaden inny Drummond. Nie było też artykułów o Baby Boyu Lee ani Chinie Marandze, za to Todd znalazł recenzję recitalu Wasilija Lewicza. Znów w rubryce *Rodzynki i Rozpacz*, z zeszłego roku. Lewicz zagrał jeden utwór na grupowym koncercie w Santa Barbara.

Podpis: E. Murphy.

Pełna przenośni, naładowana erotyzmem proza kojarzyła się z Wiernym Skrybą: Lewicz był „smukły niczym hurysa z haremu”, kiedy „pieścił etiudę Bartoka” i „wlewał między nury soki wyciśniętych do ostatniej kropli czasu/przestrzeni/nieskończoności”.

Padgett obróciła ćwiek w podbródku.

– Rany, niezłe badziewie drukujemy. Nie jestem specjalnie dumna z siebie po tej wycieczce w przeszłość.

– Nie łam się. Pamiętaj, twój stary handluje toksycznymi chemikaliami – pocieszył ją Todd.

Patti Padgett skserowała oba artykuły i odprowadziła nas do drzwi. Trzymała się blisko Mila.

– Słyszała pani o „GrooveRat”? – spytał.

– Nie. To jakiś zespół?

– Zin.

– Są ich setki – powiedziała. – Każdy, kto ma skaner i drukarkę, może to robić. – Uśmiechnęła się.

– Każdy, kto ma bogatego tatę, może to robić trochę lepiej.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, komórka Milo wybrzęczała pierwsze siedem dźwięków *Dla Elizy*. Milo przyłożył ją do ucha i chrząknął.

– Tak, zaraz tam będę, bądźcie dla niej mili – powiedział i odwrócił się do mnie. – Matka Wasilija Lewicza przyleciała wczoraj wieczorem z Nowego Jorku i czeka na mnie na posterunku. Może będzie wiedziała coś, co powiąże Lewicza z Drummondem bardziej niż E. Murphy... A swoją drogą, co to? Drummond używał pseudonimów? A jeśli ma własnego zina, po co wysyłał teksty Patti i Toddowi?

– Recenzja o Bernet została napisana, zanim ruszył „GrooveRat”. Jeśli to Kevin był autorem, musiał być wtedy na drugim roku. Może przysłał pozostałe, bo Patti i Todd mieli załatwioną dystrybucję, a on nie.

– Potrzeba pokazania się – mruknął Milo. – W jego stylu było sporo nawiązań do seksu. Chce ich pieprzyć.

– Chce ich mieć na własność – powiedziałem. – Sporo podróżował, żeby to osiągnąć. Lewicz miał recital w Santa Barbara. Angeliqe Bernet występowała w L.A., ale zginęła w Bostonie. Jeśli zdołałbyś udowodnić, że był wtedy w Bostonie, miałbyś podstawę, by wystąpić o nakaz.

– Tak, ale jak to udowodnić bez nakazu? Linie lotnicze nie są już takie chętne do współpracy, rodzina Kevina też nie będzie się wyrywać z informacjami.

Jechaliśmy na zachód Santa Monica.

– Jeśli Drummond pisywał do „SeldomScene” – powiedziałem na wysokości Doheny – równie dobrze mógł pisać do innych magazynów.

Milo zacisnął dłonie na kierownicy.

– A jeśli drań ma tuzin pseudonimów? Co mam zrobić: znaleźć eksperta, który przeprowadzi analizę lingwistyczną wszystkich podziemnych zinów w kraju?

– Na początek Wierny Skryba i E. Murphy, potem zobaczyłbym, co to da.

– Dodatkową porcję czytania. Póki co, czeka na nas pogrążona w żalu matka. – Kilka przecnic dalej spytał: – Masz jeszcze jakieś pomysły? Co wynika z tych tekstów?

– To napuszona proza, jaką spotyka się w gazetkach studenckich. Ma zrobić wrażenie. Jeśli to naprawdę Kevin, w domu się z nim nie pieścili, więc skierował swoją energię w różne projekty, zaczął postrzegać siebie jako wyrocznie świata sztuki. Sprawdziłbym recenzje w jego uczelnianej gazetce, zobaczyłbym, czy styl pisania się zgadza, czy nie.

– Cały czas powtarzasz: jeśli to Kevin”.

– Coś mi nie pasuje – przyznałem. – Nawet mając dwadzieścia cztery lata, Kevin wydaje się za młody na takiego mordercę. Jeśli zabił Angelique Bernet, zrobił to ledwie po dwudziestce. Pewne aspekty tego morderstwa pasują do nowicjusza: liczne rany po ostrym narzędziu, które mogą oznaczać nagłą napaść, to, że ciało leżało na widoku. Ale pokonać cztery i pół tysiąca kilometrów... to świadczy o jakimś planie.

– A może to było tak: widzi Bernet, tańczącą w L.A., napala się, opisuje ją, sprawdza trasę zespołu, jedzie do Bostonu. Może nawet nie wie, po co. W głowie kłębią mu się różne myśli i uczucia. Zaczają się na nią i śledzi do Cambridge, nawiązuje kontakt... może nawet próbował ją poderwać, a ona odmówiła. Dostaje świra, załatwiają. Leci do domu. Siedzi i myśli, zdaje sobie sprawę, co zrobił. I że uszło mu to na sucho. Wreszcie coś mu się udało. Trzydzieści miesięcy później znika China.

Morderca ukrywa jej ciało i przez wiele miesięcy nikt jej nie znajduje. Bo teraz jest ostrożny. Planuje. I jest blisko domu. Ma to jakiś sens?

– Jeśli to zdolny chłopak.

– Nadpobudliwy chłopak. Jak w piosence.

– Ostatnie morderstwa pasują do wzorca rosnącej pewności siebie – stwierdziłem. – Wszystkie trzy popełniono w miejscu prezentacji. W przypadku Baby Boya i Lewicza publiczność była ciągle obecna, w przypadku Julie w sąsiednim pomieszczeniu była CoCo Barnes. To zuchwałość. Możliwe, że ćwiczył, teraz uważa się za wirtuoza.

– Ćwiczył... czyli były jakieś inne morderstwa, o których nie wiemy.

– Angelique i Chinę dzieli trzydzieści miesięcy, potem nic przez prawie dwa lata, aż do Baby Boya. Potem sześć tygodni do Julie i dziewięć do Lewicza.

– No, no.

– Jest też inna możliwość: jakoś udało mu się stłumić na kilka lat swoje popędy, a teraz traci nad nimi kontrolę.

– Jak mógłby je stłumić?

– Poświęcając się czemuś innemu.

– „GrooveRat”.

– Być wydawcą... to mogło wywołać w nim złudzenie władzy. Może w końcu uświadomił sobie, że zin to porażka. Kolejna.

– Tata zakręcił kurek?

– Z tego, co mówi Petra, wynika, że tata nigdy nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony.

– Świat sztuki go zawodzi, więc mści się na artystach. Wróćmy do aspektu seksualnego. Ofiarami są mężczyźni i kobiety. Co z tego wynika? Biseksualny morderca?

– Albo seksualnie zagubiony – powiedziałem. – Na pewno seksualnie nieodpowiedni. W żadnym przypadku nie nastąpiła penetracja. Przeraza go starcie genitaliów, zastępuje to sobie erotyzmem talentu. Biorąc na cel pnących się w górę utalentowanych, może uchwycić ich istotę w całej pełni. Jak ci się podoba ten tani, freudowski wywód?

– Mówisz o artystycznym kanibalu – powiedział Milo.

– Mówię o krytyku ostatecznym.

Wróciłem do domu; byłem sam.

Allison pojechała do Boulder w Kolorado na konferencję. Potem zamierzała odwiedzić swojego byłego ojczyma – miał urodziny.

Spędziła noc u mnie. Odwiozłem ją na lotnisko. Kiedy upchnąłem jej walizki w samochodzie, wyjęła coś z torebki i podała mi.

Mały, chromowany pistolet.

– Tu masz magazynek – powiedziała, kiedy go wzięłem. – Zapomniałam zostawić go w domu – wyjaśniła. – Nie mogę z nim wsiąść do samolotu. Możesz mi go przechować?

– Jasne. – Schowałem pistolet do kieszeni.

– Jest zarejestrowany, ale nie mam pozwolenia na noszenie go przy sobie. Jeśli to dla ciebie jakiś problem, możesz zostawić go w domu.

– Zaryzykuję. Gotowa?

– Aha.

Kiedy zbliżaliśmy się do 405 South, powiedziała:

– Nie zapytasz?

– Pewnie masz jakiś powód.

– Powód jest taki, że po tym, co przeżyłam, kiedy wreszcie doszłam do siebie, powiedziałam sobie, że nie chcę już nigdy czuć się taka bezradna. Zaczęłam od normalnych rzeczy: kursy samoobrony, podręczniki. Potem, kilka lat później, leczyłam kobietę, która została dwa razy zgwałcona, od jednego gwałtu do drugiego minęło kilka lat. Za pierwszym razem winiła samą siebie. Była pijana, dała się poderwać jakiejś łajdzie w barze. Za drugim jakiś potwór sforsował zamknięte okno w sypialni. Zrobiłam dla niej wszystko, co mogłam, potem poszukałam sklepów z bronią w

książce telefonicznej i kupiłam sobie małego, chromowanego przyjaciela.

– To ma sens.

– Ma?

– Bo nosisz go przy sobie.

– Lubię go – powiedziała. – I uważam za swojego przyjaciela, naprawdę. Całkiem nieźle strzelam. Zaliczyłam kurs podstawowy i dla średnio zaawansowanych. Nadal raz w miesiącu chodzę na strzelnicę. Chociaż ostatnio tam nie byłam, bo spędzaliśmy czas razem.

– Przepraszam.

Pogłaskała mnie po twarzy.

– Źle ci z tym?

– Nie.

– Na pewno?

W ciągu dziesięciu lat zastrzeliłem dwóch ludzi. Obaj chcieli zabić mnie. To byli źli ludzie, działałem w obronie własnej, nie miałem wyboru. Czasami mi się śnili i budziłem się wtedy zlany potem.

– Każdy z nas musi sam dbać o siebie – powiedziałem.

– Właśnie. Tak naprawdę wcale nie zapomniałam go zostawić. Chciałam, żebyś wiedział.



Erie Stahl siedział i popijał wodę. Wodę z kranu, z dwulitrowej butelki po spricie. Przywiózł ją z domu.

Obserwował mieszkanie Kevina Drummonda przy Rossmore.

Przyjechał przed zachodem słońca, zajrzał za dom. Stąpał cicho jak kot. Na nogach miał stare adidas – wiedział, że nie skrzypią.

Ani śladu samochodu Kevina Drummonda.

Spodziewał się tego.

Znalazł sobie dobre miejsce, na ukos od brudnego, ceglanego budynku. Widział drzwi wejściowe, nie wykręcając głowy, a żaden z przechodniów nie domyśliłby się, na co patrzy.

Ale i tak raczej nikt by go nie zauważył. Na ulicy stało mnóstwo samochodów, Stahl też przyjechał swoim własnym – beżowym chevym furgonetką z szybami przyciemnionymi znacznie bardziej, niż dopuszczają przepisy.

Wszelkie wygody... W ciągu pierwszej godziny nad kamienicą przeleciała sójka. Jej cień przemknął po ścianie. Potem nie było już żadnych śladów życia.

Siedem godzin i dwadzieścia dwie minuty obserwacji.

Dla kogoś innego byłaby to tortura. Stahl czuł się wspaniale.

Siedział. Pił wodę z butelki. Siedział. Patrzył.

Wyrzucił obrazy z głowy.

Myśli muszą być jasne, wszystko musi być jasne.

Zgłosiłem się na ochotnika. Charter College – miałem spróbować zdobyć tam próbkę stylu Kevina Drummonda.

– Dzięki – powiedział Milo. – Dobry pomysł, jesteś profesorem i tak dalej.

– Jestem profesorem?

– Mógłbyś być, to komplement. Mam wiele szacunku dla instytucji akademickich.

Zanim pojechałem, zająłem się pewną niedokończoną sprawą: zadzwoniłem po raz drugi do Christiana Bangsleya, znanego dawniej jako Syf, teraz członka zarządu sieci restauracji Domowe Ognisko. Od pierwszego telefonu minęło kilka miesięcy. Tym razem recepcjonistka o młodym głosie od razu przełączyła mnie do niego. Ledwie zdążyłem się przedstawić, a Bangsley już mi przerwał.

– Dostałem pana pierwszą wiadomość – powiedział. – Nie oddzwoniłem, bo nie mam panu nic do powiedzenia.

– Czy ktoś śledził Chinę?

Cisza.

– Dlaczego? Po tylu latach? – spytał.

– To wciąż otwarta sprawa. Co pan wie?

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś zaczepiał Chinę.

Napięcie w jego głosie sprawiło, że nie odpuściłem.

– Ale coś panu powiedziała.

– Cholera – zaklął. – Proszę posłuchać, odciąłem się od tego wszystkiego. Ale są dupki, które nie chcą, żeby tak zostało.

Przypomniałem sobie teksty z Internetu: „Były członek China Whiteboy się sprzedaje ... świniiaaaa!!!”

– Ktoś pana śledzi? – spytałem.

– Co jakiś czas dostaję listy. Od ludzi, którzy twierdzą, że są naszymi fanami i nie podoba im się to, co robię. Ludzi żyjących przeszłością.

– Kontaktował się pan z policją?

– Moi prawnicy powiedzieli, że nie warto. Że jak ktoś mi mówi, że nie podoba mu się mój sposób na życie, to jeszcze nie znaczy, że popełniłem zbrodnię. Wolny kraj i tak dalej. Ale nie chcę rozgłosu. Rozmawiam z panem teraz tylko dlatego, że moi prawnicy tak mi doradzili. Że gdybym nie chciał, pomyślałby pan, że coś ukrywam. A nie ukrywam. Po prostu nie mogę panu pomóc. Rozumie pan?

– Przykro mi, że pana niepokoję. Obiecuję, że zatrzymam dla siebie wszystko, co mi pan powie.

Cisza.

– W przypadku Chiny to nie było zwykłe nękanie.

– Wiem, wiem. Jezu... Dobra: China narzekała, że ktoś ją zaczepia. Łazi za nią. Nie potraktowałem tego poważnie, bo zawsze miała jakieś paranoje. Żartowaliśmy w zespole, że jak była mała, karmili ją ostrą papryką.

– Kiedy zaczęła się skarżyć?

– Na miesiąc czy dwa przed tym, jak zniknęła. Powiedziałem o tym glinom. Spławili mnie, powiedzieli, że muszą znać więcej szczegółów.

– Na co dokładnie narzekała China?

– Była pewna, że ktoś ją podgląda, śledzi, coś takiego. Ale nigdy nikogo nie widziała, nie umiała opisać. Więc może gliniarze mieli rację. Mówiła, że ma takie uczucie, jakby ktoś ją śledził, ale China miała dużo uczuć. Zwłaszcza kiedy była na haju, czyli prawie zawsze. Dostawała paranoi od niczego, rozdmuchiwała problemy.

– Nigdy nie poszła na policję.

– Też coś – odparł Bangsley. – China i policja. Ona się nie bała, ona była wściekła. Powtarzała, że jeśli ten dupek się pokaże, wydrapie mu oczy i nasra do oczodołów. Taka była China. Agresja non stop.

– Tak było naprawdę? – spytałem.

– To znaczy?

– Naprawdę się nie bała, czy tylko przybrała taką maskę?

– Nie wiem. Słowo daję, nie wiem. Trudno było ją przejrzeć. Zbudowała dookoła siebie mur. Narkotyki były cementem.

Paul Brancusi nie wspominał, że ktoś śledził Chinę.

– Czy China powiedziała o tym komuś jeszcze? – spytałem. – Innym członkom zespołu?

– Wątpię.

– Dlaczego?

Zawahał się.

– China i ja byliśmy... bliżej. Oficjalnie była lesbijką, ale przez jakiś czas coś tam między nami iskrzyło... cholera, tego właśnie chciałem uniknąć. Jestem żonaty, wkrótce urodzi mi się drugie dziecko...

– Nikogo nie interesuje pana życie prywatne – zapewniłem. – Tylko to, co wie pan o tym kimś, kto śledził Chinę.

– Nie wiem nawet, czy naprawdę ktoś ją śledził. Mówiłem panu, nigdy nikogo nie widziała.

– Miała uczucie.

– Właśnie. China miała żywą wyobraźnię. Żyjąc z nią, trzeba było pamiętać, żeby patrzeć na wszystko z dystansu.

– Wierzył jej pan wtedy?

– Raz tak, raz nie. Umiała być przekonująca. Raz poszliśmy na wzgórza, późno w nocy, paliliśmy trawkę, robiliśmy inne fajne rzeczy i nagle zeszywniała, zrobiła wielkie oczy i złapała mnie za ramiona... mocno, aż zabolalo. Potem wstała i mówi: „Kurwa, on tu jest! Czuję go!” Zaczęła kręcić się w kółko, jak wieżyczka czołgu, jakby w coś celowała. I zaczyna krzyczeć w ciemność: „Pierdol się, złamany chuju, wylaż i pokaż swój pierdolony ryj!” Boksowała, przykuciała jak karateka. Wtedy jej uwierzyłem: ciemność, cisza, to, jaka była pewna, to wszystko mnie przekonało. Dopiero później zastanawiałem się, co to było.

– Co się stało, kiedy przestała krzyczeć?

– Nic. Przestraszyłem się, że ktoś mógł ją usłyszeć, próbowałem ściągnąć ją na dół, do samochodu. Kazała mi czekać, aż się upewniła, że nikogo już tam nie ma. Pojechaliśmy do mnie. Następnego dnia rano już jej nie było. Wyjadła mi wszystko z lodówki i prysnęła. Miesiąc czy dwa później zniknęła, a kiedy ją w końcu znaleźli, byłem naprawdę przerażony. Bo została pochowana niedaleko miejsca, w którym siedzieliśmy tamtej nocy.

– Powiedział pan o tym policji?

– Po tym, jak mnie potraktowali?

– China została znaleziona blisko napisu „Hollywood”.

– Otóż to. Tam właśnie byliśmy. Pod napisem. China go uwielbiała, podobała jej się historia aktorki, która się z niego rzuciła. Było tam wtedy ranczo z końmi, można było przyjść, zapłacić i pojeździć sobie. China powiedziała mi, że lubiła się tam zakradać w nocy, rozmawiać z końmi, czuć zapach nawozu, po prostu łązić. Mówiła, że to takie podniecające łązić w nocy po czyimś terenie. Czowała się jak dziewczyna Mansona. Przechodziła fazę fascynacji rodziną Mansonów, mówiła, że

chciałyby napisać piosenkę i zadedykować ją Charliemu, ale powiedzieliśmy, że nie będziemy jej grać. Nawet my mieliśmy zasady.

– Była zakochana w seryjnych mordercach.

– Nie, tylko w Mansonie. I nie mówiła tego poważnie. Właśnie, jeszcze jedno, była impulsywna: coś jej wpadało do głowy, od razu to mówiła. Zrobiłaby wszystko, żeby przyciągnąć czyjaś uwagę, uwielbiała być zauważana. Tak było z Mansonem, prawda? Pamiętam, że myślałem: jakie to dziwne, że może zamordował ją jakiś typ pokroju Mansona. Ironia losu, rozumie pan?

Charter College – sześćdziesiąt hektarów północno-wschodniego skraju Eagle Rock, teren odgradzony od tej latynoskiej sypialni rzędem wysokich drzew i porośniętymi bluszczem, stiukowymi murami.

Szkoła została założona sto dwanaście lat temu, kiedy położenie Eagle Rock – trzysta metrów nad poziomem morza – i czyste powietrze skłoniło developerów do nazwania go Szwajcarią Zachodu. Ponad wiek później otaczające go wzgórza wyglądały ładnie, jeśli dzień był wyjątkowo jasny, ale zamiast sieci ośrodków wypoczynkowych powstała tam tylko sieć moteli.

Pojechałem szerokim, skąpanym w słońcu Eagle Rock Boulevard, wzdłuż którego rozbudowały się warsztaty samochodowe i sklepy z częściami, skręciłem w College Road i wjechałem w dzielnicę willową, pełną małych, rzemieślniczych bungalów i masywnych stiukowych domków. Łuk ozdobiony herbem szkoły wznosi się nad Emeritus Lane, szerokim, równym pasie asfaltu. Wzdłuż drogi na klombie rosły czerwone i białe petunie, układające się w nazwę college'u.

Wszystkie domy kampusu pomalowane były na szaro i tkwiły niczym klejnoty w szkatułce zielonych, starych drzew. Leczyłem kilku uczniów tej szkoły i wiedziałem, jaka jest: wybiórcza, droga, założona przez kongregacjonistów, ale teraz zdecydowanie świecka, skłaniająca się ku polityce i społecznemu aktywizmowi.

Parking dla gości był pusty. Wziąłem mapkę kampusu ze stojaka i poszedłem do Biblioteki im. Anny Loring Slater. Chłopcy i dziewczęta, których mijałem, uśmiechali się. Jakby życie wspaniale smakowało, a oni nie mogli się już doczekać następnego dania.

Biblioteka była piętrowym dziełem sztuki z lat dwudziestych, zeszeconym przyklejoną do południowego skrzydła trzypiętrową dobudówką z lat osiemdziesiątych. Parter rozbrzmiewał szelestem kartek i szumem komputerów. Przed monitorami siedziało około stu studentów. Spytałem bibliotekarkę o tytuł szkolnej gazetki i gdzie mogę znaleźć stare numery.

– „Daily Bobcat” – powiedziała. – Wszystko jest w sieci.

Znalazłem wolny komputer i zalogowałem się. Plik „Bobcata” zawierał sześćdziesiąt dwa lata starych numerów. Przez pierwsze czterdzieści gazeta wychodziła jako tygodnik.

Kevin Drummond miał dwadzieścia cztery lata, co znaczyło, że prawdopodobnie przyjęto go do

szkoły sześć lat temu. Cofnąłem się jeszcze o rok dla pewności i zacząłem przewijać tysiące stron, przypatrując się podpisom. Przez pierwsze trzy lata nigdzie nie pojawiło się nazwisko Drummond, żadnego tekstu nie podpisał też Wierny Skryba ani E. Murphy. Potem, w marcu, który okazał się samym środkiem wiosennego semestru trzeciego roku Drummonda, coś znalazłem, Kevin Drummond, Wydział Komunikacji Społecznej napisał recenzję koncertu w Roxy na Sunset. Grało siedem młodych zespołów, każdy został bardzo pobieżnie opisany. Kevinowi Drummondowi podobały się trzy, cztery uznał za nic niewarte. Jego styl pisania był prosty, bez nadęcia i seksualnych porównań tekstów z „SeldomScene”.

Znalazłem jeszcze jedenaście artykułów na półtora roku, dziesięć recenzji z rockowych koncertów, podobnie nijakich.

Ale był jeden wyjątek.

Maj ostatniego roku Drummonda. Podpisano: Wierny Skryba. Retrospektywne spojrzenie na karierę Baby Boya Lee.

Artykuł, dłuższy od pozostałych i bardziej kwiecisty, określał Baby Boya jako „ikonę, której słoniowe barki mogą uginać się na podobieństwo atlasowych pod brzemieniem spuścizny Roberta Johnsona, Blind Lemon Jacksona i całego panteonu królów Delt i Chicago, ale której dusza jest całością i nigdy nie zostanie zaprzędana. Baby Boy zasługuje na ciężar i ból druzgoczącego brzemienia geniuszu. Jest artystą o zbyt wielkiej emocjonalnej prawości, zbyt psychopatologicznym, by kiedykolwiek zyskać długotrwałą popularność”.

Esej kończył się słowami „totemicznego, szarpiącego aorty lamentu *Zimne serce*” i wnioskiem, że „dla bluesmana świat zawsze będzie zimnym, nieprzyjaznym, zdradzieckim miejscem. Maksyma *per aspera ad astra* nigdzie nie jest tak prawdziwa jak w mrocznym uniwersum zadymionych barów, łatwych kobiet i smutnych zakończeń, od niepamiętnych czasów pożywki geniuszu każdego uzależnionego i schorowanego barda. Baby Boy sam może nigdy nie będzie szczęśliwy, ale jego muzyka, surowa, pełna witalności i świadomie niekomercyjna, wciąż ogrzewać będzie wiele serc”.

Rok później Lee zadał kłam tej tezie, biorąc udział w sesjach nagraniowych, których efektem był popowy hit z Tic 439.

Spory dysonans, ale, prawdę mówiąc, raczej nie powód do morderstwa.

Musiałem dowiedzieć się więcej o Kevinie Drummondzie.

Wydział Komunikacji Społecznej Charter College mieścił się we Frampton Hol, majestatycznej budowli otoczonej dorycką kolumnadą, położonej o pięć minut drogi spacerkiem od biblioteki. W środku mahoniowe ściany, wysoko sklepiony sufit i podłoga wyłożona tłumiącym odgłos kroków korkiem. Swoje siedziby miały tu również Wydziały Anglistyki, Historii, Nauk Humanistycznych. Komunikacja dzieliła drugie piętro ze Studiami Kobięcymi i Romanistyką.

Na liście wykładowców były trzy nazwiska: profesor E. G. Martin, dyrektor instytutu, profesor S. Santorini, profesor A. Gordon Shull.

Zacznijmy od góry.

Sekretariat przy gabinecie dyrektor Martin był pusty, a wewnętrzne drzwi uchylone. Dobiegało z nich solo klawiszy komputera, w tej samej tonacji, co ścieżka dźwiękowa biblioteki. Na ścianach wisiały fotografie w kolorze sepii, przedstawiające Charter College za jego niemowlęcych dni – wielkie, czyste budynki górujące nad chudymi patykami drzewek, ponurzy mężczyźni w celuloidowych kołnierzykach i zapięte pod szyję kobiety o stanowczym spojrzeniu zesłanek niebios. Nad szafką na akta wisiała tabliczka z pełnym imieniem i tytułem dyrektora. DR ELIZABETH GALA MARTIN.

Podszedłem do drzwi.

– Pani profesor Martin?

Klawisze wystukały jeszcze jedno zdanie, potem ucichły.

– Tak?

Przedstawiłem się i podałem swoje stanowisko z akademii medycznej w centrum, po czym szerzej uchyliłem drzwi.

Profesor.

Zza biurka wyszła bardzo ciemna, czarnoskóra kobieta w topazowej, jedwabnej sukience do pół łydki i pasujących do niej czółenkach. Miała lekko falujące, farbowane henną włosy, na szyi sznur pereł i do kompletu kolczyki. Około czterdziestki, pulchna, ładna, zdziwiona. Bystre, lukrecjowe oczy przyjrzały mi się uważnie znad złotych okularów do czytania.

– Profesor pediatrii? – Alt, który w innych okolicznościach mógłby zabrzmieć melodyjnie, teraz dokładnie dzielił każde słowo na poszczególne sylaby. – Nie przypominam sobie, żebyśmy byli umówieni.

– Nie jesteśmy – powiedziałem, pokazując jej swoją odznakę policyjnego konsultanta.

Podeszła bliżej, przeczytała to, co było na niej napisane drobnym drukiem, i zmarszczyła czoło.

– Policja? O co chodzi?

– O nic nagłego, ale czy byłaby pani uprzejma poświęcić mi chwilkę?

Cofnęła się i jeszcze raz mi się przyjrzała.

– To niestosowność, delikatnie rzecz ujmując.

– Proszę mi wybaczyć. Szukałem informacji w państwa bibliotece i trafiłem na pani nazwisko. Jeśli wolałaby pani się umówić?

– Jak to trafił pan na moje nazwisko?

– Jako przewodniczącej kadry wydziału. Szukam informacji na temat jednego z państwa absolwentów, niejakiego Kevina Drummonda.

– Szuka pan informacji na jego temat – powtórzyła. – To znaczy, że policja ich szuka.

– Tak.

– O co konkretnie podejrzany jest pan Drummond?

– Zna go pani?

– Znam to nazwisko. To mały wydział. Co zrobił pan Drummond?

– Może nic – powiedziałem. – A może popełnił morderstwo.

Elizabeth G. Martin zdjęła okulary. Na korytarzu rozległ się głuchy odgłos kroków – buty na korku. Gwar młodych głosów zbliżył się do drzwi i ucichł, kiedy je minął.

– Nie stójmy tak tutaj – powiedziała.

Podłogę jej gabinetu wyścielał perski dywan. Dwie ściany niknęły za regałami pełnymi książek, z okien na pozostałych dwóch rozciągał się widok na wspaniałe trawniki uczelni. Na wszystkich wolnych miejscach wisiały obrazy kalifornijskich impresjonistów, pewnie cenne i pewnie też będące własnością college'u. Nad dużym, rzeźbionym biurkiem zobaczyłem oprawiony w ramki dyplom doktorski Elizabeth Martin z Berkeley i dziesięcioletnią kolekcję akademickich wyróżnień. Na biurku stał szary laptop i trochę kryształowych, biurowych ozdóbek. W zielonym marmurowym kominku leżał stos ostygniętych, wypalonych bierwion.

Martin usiadła i gestem wskazała mi krzesło.

– O co konkretnie chodzi?

Próbowałem powiedzieć jak najwięcej, jednocześnie zdradzając jak najmniej szczegółów.

– Cóż, wszystko dobrze, profesorze Delaware, ale tu wchodzi w grę pierwsza poprawka, nie wspominając już o uczelnianej autonomii i zwykłej uprzejmości. Nie spodziewa się pan chyba, że wpadnie tu, a my otworzymy dla pana nasze akta tylko dlatego, że to pomogłoby panu w śledztwie. Czegokolwiek ono dotyczy.

– Nie chodzi mi o poufne informacje o Kevinie Drummondzie. Szukam tylko czegoś, co mogłoby mieć związek z dochodzeniem, na przykład problemy dyscyplinarne.

Elizabeth Martin pozostała niewzruszona.

– Chodzi o seryjne morderstwa – podkreśliłem. – Jeśli Drummond okaże się zamieszany w jakieś przestępstwo, to wyjdzie na jaw. Jeśli sprawiał jakieś problemy tutaj, w całą sprawę zostanie wciągnięty college.



– Czy to groźba?

– Nie. Tylko stwierdzenie faktu. Tak się kończą takie sprawy.

– Policyjny konsultant... Pana uczelnia nie ma nic przeciwko temu, co pan robi? Informuje ich pan o wszystkim?

Uśmiechnąłem się.

– Czy to groźba?

Martin potarła dłonie. Stojące na gzymsie kominka zdjęcie w srebrnej ramce ukazywało ją w oficjalnej, czerwonej sukni, obok siwowłosego mężczyzny w smokingu, dziesięć lat starszego. Na innym była w codziennym ubraniu obok tego samego człowieka. Za nimi w tle widać było budynki o dachach pokrytych złotordzawą dachówką, ukośny brzeg kanału i wygięty dziób gondoli. Wenecja.

– Niezależnie od okoliczności nie mogę z panem współpracować – powiedziała.

– Dobrze. Ale jeśli jest coś, co powinienem wiedzieć, co policja powinna wiedzieć, a pani znajdzie jakiś sposób, żeby nam pomóc, ułatwi to życie wielu ludziom.

Martin wyjęła złote pióro ze skórzanego etui i postukała nim w blat biurka.

– Mogę panu powiedzieć tylko tyle: nie przypominam sobie, żeby Kevin Drummond sprawiał jakieś problemy na wydziale. Nie było w nim nic... z zabójcy. – Stuknęła w pudełko na papiery. – Prawdę mówiąc, profesorze Delaware, to wszystko wydaje mi się dość dziwaczne.

– Uczyła pani Kevina?

– Kiedy skończył szkołę?

– Dwa lata temu.

– W takim razie tak. Dwa lata temu prowadziłam jeszcze seminarium z mass mediów, a ono było obowiązkowe dla wszystkich studentów Komunikacji.

– Ale nie przypomina go pani sobie?

– To popularne zajęcia – powiedziała bez fałszywej skromności. – Komunikacja to część Międzywydziałowych Studiów Humanistycznych college'u. Nasi studenci korzystają z wykładów na innych wydziałach i vice versa.

– Zakładam, że Kevin Drummond miał swojego opiekuna.

– To nie byłam ja. Biorę tylko wyróżniających się studentów.

– Kevin się nie wyróżniał.

– Gdyby tak było, pamiętałabym go. – Zaczęła stukać w klawiaturę laptopa.

Może pan odejść.

Zauważyłaby, gdybym zszedł na dół, by odszukać profesorów Santorini i Shulla. Musiałem znaleźć jakiś inny sposób, żeby się z nimi skontaktować, albo zostawić to Milowi.

Wstałem.

– Jego opiekunem był Gordon Shull – powiedziała Martin. – Ma pan szczęście, bo profesor Santorini pojechała do Francji prowadzić badania.

– Czy mogę porozmawiać z profesorem Shullem? – spytałem, zdumiony tą nagłą zmianą jej nastawienia.

– Proszę uprzejmie – odparła. – Jeśli jest. Jego gabinet to drugie drzwi po lewej.

W mahoniowym korytarzu siedziało kilkoro studentów. Spory kawałek dalej, przy Romanistyce. Nikt nie kręcił się przy Komunikacji.

Drzwi gabinetu A. Gordona Shulla były zamknięte, a na moje pukanie nikt nie odpowiedział. Pisałem właśnie wiadomość na kartce, kiedy usłyszałem miły głos:

– Mogę panu w czymś pomóc?

Tylnymi schodami szedł mężczyzna z zielonym, wojskowym plecakiem. Miał trzydzieści parę lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, solidną budowę ciała i rude, krótko przycięte włosy. Twarz wysmagana wiatrem, gęste brwi. Był ubrany w kraciatą, czerwono-czarną koszulę, czarny krawat, czarne dżinsy i brązowe buty turystyczne. Jasnoniebieskie oczy, ostre rysy, pięciodniowy zarost – choć szorstki, był przystojny. Wyglądał jak fotograf „National Geographic” albo przyrodnik, wprawiony w zdobywaniu grantów na badania rzadkich gatunków.

– Profesor Shull?

– Gordie Shull. O co chodzi?

Powtórzyłem to, co powiedziałem Elizabeth Martin.

– Kevin? – zastanowił się A. Gordon Shull. – To będzie... już parę lat. W czym problem?

– Może w niczym. Jego nazwisko pojawiło się w dochodzeniu.

– Jakim dochodzeniu?

– W sprawie zabójstwa.

Shull cofnął się o krok, zdjął plecak i podrapał się po masywnym podbródku.

– Żartuje pan, Kevin? – Zdziwił się. – To niemożliwe.

– Czy kiedy Kevin był pana studentem, sprawiał jakieś problemy?

– Problemy?

– Dyscyplinarne.

– Nie. Był trochę... jak to ująć... ekscentryczny?

Wyjął z kieszeni dzinsów duży, chromowany klucz i otworzył drzwi.

– Pewnie nie powinienem z panem rozmawiać. Prywatność... i tak dalej. Ale zabójstwo... Chyba zapytam szefową, zanim coś więcej powiem. – Spojrzał w stronę drzwi gabinetu Elizabeth Martin.

– Profesor Martin skierowała mnie do pana. To od niej wiem, że był pan opiekunem Kevina Drummonda.

– Tak? Hm... w takim razie w porządku... chyba.

Jego gabinet był o dwie trzecie mniejszy niż jego szefowej. Ciemne ściany sprawiały, że było w nim ponuro. Shull podniósł żaluzję zasłaniającą pojedyncze, wąskie okno. Rosło za nim jednak grube, sękatte drzewo i trzeba było zapalić światło.

W Charter College status wykładowcy został wyraźnie określony. Biurko i regały Shulla były z imitacji drewna, krzesła z szarego metalu. Ścian jego gabinetu nie zdobili kalifornijscy impresjoniści, tylko dwa plakaty z wystaw sztuki współczesnej w Nowym Jorku i Chicago.

Za biurkiem wisiały krzywo dwa dyplomy w czarnych ramkach. Licencjat z Charter College, sprzed piętnastu lat, i dyplom magistra Uniwersytetu Waszyngtońskiego, zdobyty cztery lata później.

Shull cisnął plecak w kąt i usiadł.

– Kevin Drummond... no nie...

– W jaki sposób był ekscentryczny?

Oparł stopy na biurku i założył ręce za głowę. Fryzura rekruta nie zakrywała jego guzowatej czaszki.

– Nie twierdzi pan chyba, że ten chłopak jest mordercą?

– Oczywiście, że nie. Jego nazwisko pojawiło się po prostu w toku śledztwa.

– Jak to?

– Żałuję, ale nie mogę powiedzieć.

Shull wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To nie fair.

– Może mi pan jakoś go przybliżyć?

– Jest pan psychologiem? Przysłali pana, bo ktoś uważa, że Kevin jest niespełna rozumu?

– Czasami policja uważa, że nadaję się do określonych zadań.

– Niewiarygodne... Pana nazwisko wydaje mi się znajome. Uśmiechnąłem się, on też odpowiedział uśmiechem.

– Dobra, co do ekscentryczności Kevina Drummonda... na początek, był zamknięty w sobie, przynajmniej tak go postrzegałem. Nie miał przyjaciół, nie uczestniczył w życiu kampusu. Ale nie był spłoszony. Cichy. Zamyślony. Średnio bystry, niezbyt towarzyski.

– Jakie utrzymywał pan z nim kontakty?

– Spotykaliśmy się od czasu do czasu w sprawach pracy dyplomowej. Wydawał się zagubiony... Sprawiał wrażenie, jakby studia go nie cieszyły. To akurat nic dziwnego, sporo młodych ludzi wpada w dołki.

– W depresję? – spytałem.

– To pan jest psychologiem. Ale tak, tak bym to nazwał. Teraz, kiedy o tym pomyślę, faktycznie: nie widziałem nigdy, żeby się uśmiechał. Próbowałem go jakoś rozruszać. Nie umiał prowadzić towarzyskiej rozmowy.

– Wrażliwy.

Shull kiwnął głową.

– Zdecydowanie wrażliwy. Poważny, raczej bez poczucia humoru.

– Czym się interesował?

– Hm – mruknął Shull. – Popkulturą. Ale to można powiedzieć o połowie naszych studentów. Są produktami swojego wychowania.

– Co pan ma na myśli?

– Ducha czasów – odparł Shull. – Jeśli pana rodzice byli choć trochę podobni do moich, jest pan

obeznany w książkach, teatrze, sztuce. Dzisiejsza młodzież najczęściej pochodzi z domów, w których ulubioną rozrywką jest oglądanie telewizji. Trudno ich przekonać, co to jest prawdziwa jakość.

Moje dzieciństwo upłynęło pod znakiem ciszy i dżinu.

– Jakimi aspektami popkultury interesował się Kevin?

– Wszystkimi. Muzyką, sztuką. W tym sensie idealnie pasował do wydziału. Elizabeth Martin narzuciła nam podejście holistyczne. Sztuka jako ogólna wykładnia, wpływ świata sztuki na inne aspekty kultury...

– Średnio bystry – powtórzyłem.

– Proszę mnie nie pytać o jego stopnie. Tego na pewno nie powiem.

– A tak orientacyjnie?

Shull odwrócił się do okna, potarł głowę i rozluźnił krawat.

– Weszliśmy na delikatny grunt, przyjacielu. Uczelnia jest niewzruszona, jeśli chodzi o ochronę poufności stopni.

– Czy byłoby w porządku nazwać go średnim studentem?

Shull zaśmiał się cicho.

– Okej, tak może być.

– Czy w czasie toku studiów wystąpiła jakaś ogólna zmiana stopni?

Shull się zawahał.

– Być może jego średnia trochę spadała.

– Kiedy?

– Przez ostatnie dwa lata.

Zaraz po morderstwie Angelique Bernet. Niedługo przed skończeniem studiów Kevin Drummond zaangażował się w „GrooveRat”.

– Wie pan, że Kevin próbował swoich sił w branży wydawniczej?

– Ach, to – powiedział Shull. – Jego zin.

– Widział go pan?

– Rozmawiał ze mną o nim. To był jedyny raz, kiedy widziałem go czymś poruszonego.

– Nie pokazał panu zina?

– Pokazał mi kilka artykułów, które napisał. – Shull uśmiechnął się krzywo, smutno. – Potrzebował pochwały. Starałem się podtrzymać go na duchu.

– Ale jego pisanie nie zasługiwało na pochwałę – dokończyłem.

Shull wzruszył ramionami.

– Był dzieciakiem. Pisał jak dzieciak.

– To znaczy?

– Jak typowy drugorocznik. Dostaję tego sporo. I bardzo dobrze. Trzeba czasu, żeby do czegoś dojść. Jedyna różnica między Kevinem i setkami innych studentów polegała na tym, że miał się za takiego, co wypłynie na szerokie wody.

– Wyprowadził go pan z błędu?

– Boże drogi, nie. Po co miałbym niszczyć jego pewność siebie? I tak miał problemy. Wiedziałem, że sam się o tym przekona.

– Miał problemy.

– Twierdzi pan, że Kevin jest zamieszany w morderstwo. – Shull wyprostował się na krześle. – Naprawdę nie chciałbym go oczerniać. Był cichy, trochę dziwny, miał złudzenia co do swojego talentu. To wszystko. Nie chcę, żeby wyszedł na wariata. Nie różnił się wcale tak bardzo od innych chłopaków. – Oparł łokcie na biurku i spojrzał na mnie poważnie. – Nie może mi pan zdradzić żadnych szczegółów, prawda? Odezwały się we mnie stare instynkty dziennikarskie.

– Przykro mi – powiedziałem. – A więc zamienił pan dziennikarstwo na wyższą uczelnię.

– Uczelnie mają swoje dobre strony.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Kevinie?

– To naprawdę wszystko. Za parę minut zaczyna się mój dyżur.

– Zajmę panu już tylko chwilę, profesorze. Co może mi pan powiedzieć o wydawniczych marzeniach Kevina?

Shull poskubał podbródek.

– Kiedy dostał hyzia na punkcie wydawania, na ostatnim roku, mówił tylko o tym. Dzieciaki takie są.

– Jakie?

– Łatwo wpadają w obsesje. Przyjmujemy je do college’u, nazywamy dorosłymi, ale tak naprawdę to ciągle dzieci, a dzieci właśnie łatwo wpadają w obsesje. Niejedna firma zbiła na tym majątek.

– Co było obsesją Kevina?

– Chyba sukces.

– Miał jakiś szczególny punkt widzenia?

– Na co?

– Na sztukę.

– Sztukę – powtórzył Shull. – Znow wracamy do niedojrzałych postaw. Kevin hołdował typowo niedojrzałemu przekonaniu.

– Jakie to było przekonanie?

– Antykomercyjność. Jeśli coś się sprzedaje, jest nic niewarte. To popularny temat studenckich dyskusji.

– Powiedział to panu.

– Nieraz.

– Ma pan o tym inne zdanie?

– Moja praca polega na karmieniu małych kaczuszek, a nie faszercowaniu ich śrutem krytyki.

– Czy kiedy Kevin pokazał panu swoje artykuły, wprowadził pan w nich jakieś poprawki?

– Nie w jego artykułach. Sugerowałem drobne zmiany w pracach pisemnych, które mu zadawałem.

– Jak przyjmował krytykę?

– Dobrze. – Shull pokręcił swoją guzowatą głową. – Nawet bardzo dobrze. Czasami sam prosił o więcej. Chyba mu imponowałem. Miałem wrażenie, że poza mną nie miał nikogo, kto by go wspierał.

– Wie pan, że Kevin pisał recenzje do „Daily Bobcata”?

– Tak – odparł Shull. – Był z nich bardzo dumny.

– Pokazał je panu.

– Pochwalił się nimi. Chyba nabrał do mnie zaufania. To nie oznacza wspólnych wypadów na pizzę i piwo, spotykaliśmy się tylko na moich dyżurach. Kevin nie był takim typem człowieka.

– Jakim?

– Takim, z którym poszłoby się chętnie na piwo.

– Wspominał panu o swoich pseudonimach? – spytałem.

Shull uniósł brwi.

– Jakich pseudonimach?

– Wierny Skryba – powiedziałem. – E. Murphy. Podpisywał nimi swoje teksty, zamieszczane w zinie i wysyłane do innych pism o sztuce.

– Naprawdę? Ciekawe. Dlaczego?

– Miałem nadzieję, że pan mi to wyjaśni, profesorze.

– Skończmy z tymi tytułami. Proszę mi mówić Gordie... Pseudonimy... Sugeruje pan, że Kevin miał coś do ukrycia?

– Motywy Kevina wciąż pozostają tajemnicą.

– Cóż, nic mi nie wiadomo o żadnych pseudonimach.

– Powiedział pan, że Kevin zaczął dostawać coraz gorsze stopnie. Zauważył pan jakąś zmianę w jego stylu pisania?

– Jaką?

– Najpierw pisał prosto i bezpośrednio, potem jego teksty zrobiły się przeładowane i pretensjonalne.

– Au. To pan jest krytykiem, nie ja. – Shull ściągnął krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. – Pretensjonalne? Nie, wręcz przeciwnie. Kevin robił niewielkie postępy, lecz to akurat wychodziło mu coraz lepiej. Jego styl nabrał elegancji. Ale to by się chyba zgadzało. Jeśli nie myli się pan co do tego, że Kevin ma problemy z psychiką. Jeżeli jego umysł się degenerował, odbiłoby się to na jego pisaniu, prawda? Muszę pana już przeprosić, jestem umówiony.

Kiedy doszliśmy do drzwi, dodał:

– Nie wiem, co według pana zrobił Kevin, i pewnie nawet nie chcę wiedzieć. Ale muszę przyznać, że mi go żal.

– Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, otworzył drzwi i wyszliśmy na korytarz. Niedaleko na podłodze siedziała ładna, młoda Azjatka. Kiedy zobaczyła Shulla, uśmiechnęła się i wstała.

– Wejdz, Amy – powiedział. – Zaraz do ciebie przyjdę.



– Dlaczego żal panu Kevina? – powtórzyłem, kiedy weszła do gabinetu.

– Smutny chłopak – odparł. – Marny pisarz. A pan mówi, że do tego psychopatyczny morderca. Jak dla mnie to dość, żeby kogoś żałować.

Z college'u wyjechałem na Wschodnią 134 i wracałem do L.A., kiedy zadzwoniła moja komórka.

– Przydałbyś mi się przez ostatnie parę godzin – powiedział Milo. – Trzeba było pocieszyć mamę Lewicza. Wasilij był cudownym synem, totalnym geniuszem, oczkiem w głowie mamusi, kto mógłby chcieć go skrzywdzić. Potem dostałem wstępny raport od moich ludzi. Nikt na Bristol Street nie zauważył niczego dziwnego, publiczność koncertu też nie. Tak samo ochrona i parkingowi. Ten, kto załatwił Wasilija, musiał albo wtopić się w tłum, albo wślizgnąć niezauważenie.

– Powiedziałeś wcześniejsze publiczność składała się ze starszych ludzi. Czy młody chłopak, taki jak Kevin Drummond, by się nie wyróżniał?

– Może był w przebraniu. Może usiadł w tylnym rzędzie, w ciemności. Poza tym, jak idziesz na recital pianisty, nie wypatrujesz podejrzanych typów. Trzeba jeszcze sprawdzić kilka osób. Skończyłeś już w college'u?

– Skończyłem. Keviri Drummond napisał kilka recenzji do studenckiej gazetki, w większości nic interesującego. Ale na ostatnim roku, niedługo przed tym, jak założył „GrooveRat”, jego styl nagle się zmienił. Z prostego pisania na takie coś, jakie widzieliśmy w tekstach z „SeldomScene”. Może zaszyły jakieś zmiany w jego psychice.

– Schizol?

– Nie, jeśli to on za tym wszystkim stoi. Te morderstwa są za dobrze zaplanowane i przeprowadzone jak na schizofrenika. Ale zaburzenia nastroju, mania, to by pasowało do przeładowanego stylu i złudzeń co do własnej wielkości. A tak właśnie opiekun Drummonda opisał jego plany wydawnicze. Mania może oznaczać osłabienie hamulców. I chwilowe odchylenia od normalnego sposobu bycia. Opiekun opisał Kevina jako cichego, spokojnego. Nie miał przyjaciół, był bardzo poważny, kiepski student z wygórowanymi aspiracjami. Raczej niesympatyczny. To mogło być depresyjne stadium zaburzenia dwubiegunowego. Do manii pasuje też to zbieranie różnych rzeczy, o którym mówiła jego gospodyni. Ciągłe przeskoki z jednego hobby na drugie mogły być wstępem do maniakalnego przełomu. Mania rzadko łączy się z przemocą, ale kiedy już do tego dochodzi, to taki ktoś może być naprawdę niebezpieczny.

– A więc jest diagnoza, tylko nie ma pacjenta – stwierdził Milo.

– Ostrożna diagnoza. Opiekun powiedział też, że Kevin był przekonany, że jakość i komercyjny sukces nie idą w parze. Samo w sobie to niewiele znaczy, określił to jako doktrynę akademika i miał rację. Ale większość studentów wychodzi z etapu akademika i rozwija niezależne myślenie. Natomiast Kevin raczej nie zrobił dużych postępów.

– Opóźnienie rozwoju... sukces śmierdzi. Na razie Kevina ani śladu i coraz bardziej wygląda na to, że gdzieś prysnął. Petra mówi, że Stahl czaił się przy jego mieszkaniu jak hycel i nic. Każę szukać hondy Drummonda, ale dopóki nie jest oficjalnie podejrzany, nikt się za to poważnie nie weźmie.

– Mimo że jego samochód zniknął, całkiem możliwe, że Kevin siedzi u siebie w domu – powiedziałem. – Takiemu samotnikowi do przeżycia wystarczy zupa w puszkach i laserowa drukarka. Stahl to sprawdził?

– Kazał gospodyni zapukać. Nikt nie odpowiedział, cisza, żadnego ruchu. Stahl wpadł na pomysł, żeby użyła swoich kluczy pod pretekstem, że ulatnia się gaz czy coś takiego. Ale przemyślał to, zadzwonił do Petry, ona do mnie i razem uznaliśmy, że się wstrzymamy. Na wszelki wypadek, jakby przeszukanie ujawniło coś ważnego. Ojciec Kevina jest prawnikiem. Jeśli przyskrzynimy chłopaka, będzie go bronił prawdziwy rekin, nie ma sensu się spieszyć i wszystko popsuć. Żeby się upewnić, pogadałem z zastępcą prokuratora generalnego, która raczej nie robi problemów przy wystawianiu nakazów. Wysłuchała mnie i spytała, czy nie przyszło mi do głowy, żeby występować w kabarecie.

– Więc jaki masz plan?

– Stahl dalej się czai, Petra sprawdza kluby i alternatywne księgarnie w Hollywood, wypytuje, czy ktoś nie zna Kevina. Ja przeglądam jeszcze raz akta sprawy Julie Kipper, zobaczę, czy coś nam nie umknęło. Zadzwoniłem też do Cambridge i zasugerowałem, żeby Fiorelle poszukał Drummonda w rejestrach hoteli. Powiedział, że spróbuje, ale nie wiem, czy nie poprosiłem go o zbyt wiele.

– Jeszcze jedno – wtrąciłem. – Rozmawiałem z Christianem Bangsleyem. Drugim żyjącym członkiem zespołu Chiny Marangi. Twierdzi, że China była pewna, że ktoś ją śledzi. – Opowiedziałem o zdarzeniu pod hollywoodzkim napisem. – Rozzłościło ją to, ale się nie bała. Tej nocy, kiedy zniknęła, była wściekła na swój zespół. Dodać do tego narkotyki i jej agresywną osobowość i kto wie, czy nie wyszło z tego coś niedobrego.

– Z Kevinem.

– Z kimkolwiek. To, że zwłoki Chiny były ukryte niedaleko napisu, pasuje do jej teorii. Lubiła tam chodzić. Ktoś ją obserwował, dowiedział się o tym. Może nie spotkali się na ulicy. Może postanowiła się tam przejść, ktoś za nią poszedł i napadł ją. Bangsley mówił, że nawet jeżeli krzyczała, nikt jej nie słyszał. Na wzgórzach nie słychać odgłosów szarpaniny.

– Co ją tak pociągało w napisie?

– Historia tej gwiazdki, która się z niego rzuciła.

– Niespełnione marzenia – mruknął Milo. – Wygląda na to, że ją i Drummonda sporo łączyło.

– Tak – odparłem. – Ale tylko do pewnego momentu.

Po bezowocnej podwójnej zmianie, spędzonej na przeczesywaniu Hollywood w poszukiwaniu kogoś, kto znalazłby Kevina Drummonda, Petra położyła się spać o trzeciej rano. Obudziła się o dziewiątej i zaczęła dzwonić, wciąż leżąc w łóżku, z upiętymi włosami, w koszulce i majtkach.

Milo opowiedział jej o efektach wizyty Aleksa w college'u Drummonda i przytoczył opis, podany przez jego profesora.

Typowy samotnik.

Faktycznie – żaden właściciel klubu, bramkarz, klient ani sprzedawca z księgarni nie pamiętał jego twarzy.

Jedynymi osobami, które poznały Drummonda na zdjęciu z Wydziału Komunikacji Społecznej, byli właściciel samoobsługowej pralni dwie przecznice od jego mieszkania i sprzedawca w pobliskim całodobowym sklepie, który po zastanowieniu się stwierdził, że tak, możliwe, że ten gość od czasu do czasu przychodził i coś kupował.

– Co?

– Może batoniki? – Sprzedawca był skinheadem o delikatnej twarzy, który reagował na pytania ze zdenerwowaniem i podnieceniem uczestnika teleturnieju.

– Może?

– Może kotlety?

Właściciel pralni był Chińczykiem, ledwie mówił po angielsku, za to bez przerwy się uśmiechał. Petra zdołała od niego wydobyć tylko tyle: „tia, mozie plać”. Zwalczyła chęć, by spytać, czy Drummond nie prał jakichś zakrwawionych ubrań, wróciła do samochodu i pojechała na posterunek. Tam postanowiła rozpracować pseudonimy Drummonda.

W systemie nie było żadnych Wiernych Skrybów, za to znalazła całe mnóstwo notowanych E. Murphych. Nie było sensu brać się za to o tej godzinie, więc odłożyła sprawę na jutro.

Teraz leżała wygodnie, jeszcze zaspana, i wydzwaniała.

Dwie godziny później, kiedy sprawdziła wszystkich E. Murphych, była rozczarowana.

Zlokalizowała Henry'ego Gilwhite'a, mordercę transseksualistów i męża okropnej Olive od skrzytek pocztowych, i o dwunastej trzydzieści pięć wiedziała już, że Gilwhite zaczął odsiadywać wyrok w więzieniu stanowym w San Quentin, po czym po roku został przeniesiony do Chino. Trzyminutowa rozmowa z zastępcą dyrektora zakładu wyjaśniła dlaczego.

Podziękowała mu, zaparzyła kawę, zjadła wydrażoną bułkę, wzięła prysznic, ubrała się i

pojechała do Hollywood.

Znalazła miejsce na parkingu przed pasażem handlowym, skąd mogła obserwować agencję. Podejrzane typy wchodziły i wychodziły, potem nic przez dziesięć minut, Petra wmaszerowała więc do środka z szerokim uśmiechem i napotkała złe spojrzenie Olive.

– Dzień dobry, pani Gilwhite. Ma pani jakieś wieści od Henry’ego?

Olive spurpurowiała.

– Ty!...

Petra nie wiedziała, że w zwykłym zaimku można zawrzeć tyle wrogości.

– Ma pani? – powtórzyła.

Olive mruknęła coś obelżywego pod nosem.

Petra wsunęła ręce do kieszeni i podeszła do lady. Koło łokcia Olive leżały ruloniki znaczków pocztowych. Kobieta złapała je i odwróciła się tyłem do Petry.

– Dzięki pani Henry został przeniesiony. Chino jest o wiele bliżej niż San Quentin, łatwiej go tam odwiedzać. A pani jeździ do niego regularnie, co dwa tygodnie, jak w zegarku. A więc, jak się miewa? Nadciśnienie pod kontrolą?

Olive odwróciła się bokiem, ukazując obwisły profil. Wydęła wargi, jakby chciała splunąć.

– Co to panią obchodzi?

– W Chino jest też o wiele bezpieczniej – ciągnęła Petra. – Taki Armando Guzman, na przykład, kuzyn ofiary Henry’ego, siedzi w Quentin i jest szychą wgangu Vatos Locos. Okazuje się, że sporo ich tam zamknęli, ale w Chino tylko kilku, więc łatwiej odseparować od nich kogoś takiego, jak Henry. Ale powiedzieli mi, że w Chino robi się tłoczno. W związku z tym nigdy nie wiadomo, kiedy sytuacja może się zmienić.

Olive odwróciła się gwałtownie. Błada jak ściana.

– Nie może pani. – Z jej głosu zniknęła wrogość, teraz to było irytujące skomlenie.

Petra się uśmiechnęła.

Policzki Olive Gilwhite zadrżały. Tleniona szopa włosów zadygotała. Życie z nią musiało być dla Henry’ego pasmem nieustających uciech. Z drugiej strony, zawsze mógł odreagować na jakimś transwestycie.

– Nie może pani – powtórzyła Olive Gilwhite.

– Rzecz w tym – odparła Petra – że Henry jest skazanym mordercą i nawet w jego wieku, nawet z jego nadciśnieniem nie wzbudzi specjalnego współczucia więziennej administracji. To, że odmówił wszelkich psychologicznych konsultacji, też nie stawia go w najlepszym świetle. Uparty facet z tego pani Henry’ego.

Olive skubnęła swoje platynowe ptasie gniazdo na głowie.

– Czego pani chce?

– Skrzynka 248. Co pani pamięta?

– To była jakaś żałosna ofiara losu – powiedziała Olive. – Rozumie pani? Jak oni wszyscy. Jak pani myśli, jakich ja mam tu klientów? Gwiazdy filmowe?

– Poproszę o szczegóły. Jak wyglądał? Jak płacił za skrzynkę?

– Wyglądał jak... młody, chudy, wysoki. Duże okulary. Kiepska cera. Pedał.

– Gej? – spytała Petra.

– Przecież mówię.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Ja nie sądzę, ja wiem. Dostawał różne pedałstwa – prychnęła Olive.

– Gejowskie pisma?

– Nie, zaproszenia od papieża. Tak, pisma. A jak pani sądzi, po co to wszystko? – Wskazała szerokim gestem skrytki. – Nie przychodzi tu za wiele Biblii. – Zaśmiała się. Nawet z tej odległości Petra wyczuła w jej oddechu owoc jałowca. Popołudniowy dzin.

– Podał nazwisko?

– Nie pamiętam.

– Podał nazwisko.

– Musiał wypełnić formularz.

– Gdzie on jest?

– Nie ma. Kiedy skrytka zmienia właściciela, wyrzucam papiery. Myśli pani, że mam gdzie to wszystko trzymać?

– Wygodnicka.

– To moje drugie imię. Może mnie pani straszyć do woli, ale to nie zmieni faktów. – Olive zaklęła

pod nosem i Petra usłyszała, jebana suka”. – Powinna się pani wstydzić, tak zwany stróżu tak zwanego prawa, tych pogroźek. Chyba złożę na panią skargę. Tak, tak właśnie zrobię. – Olive skrzyżowała ręce na piersi, ale cofnęła się o krok, jakby szykując się na cios.

– O jakich pogroźkach pani mówi?

– „Robi się tłoczno”. „Sytuacja może się zmienić” – parsknęła Olive.

– Ja nie słyszę w tym żadnych pogroźek, proszę pani, ale może się pani na mnie skarżyć, komu pani chce. – Petra pokazała jej swoją odznakę. – Proszę, oto mój numer.

Olive zerknęła na długopis, ale się nie poruszyła.

– Jakie nazwisko podał pani ten chłopak? – spytała Petra.

– Nie pamiętam.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć.

– Nie pamiętam! Brzmiało to jakoś rosyjsko, ale nie był Rosjaninem. Uznałam, że to świr.

– Zachowywał się jak wariat?

– Jasne. Wszedł tu zaśliniony, cały się trząsał i widział zielone ludziki.

Petra zaczęła.

– Był dziwny – powiedziała Olive. – Rozumie pani? Przecież nie jestem psychiatrą. To był pedał, mało mówił, nie podnosił głowy. I bardzo dobrze. Płacisz, zabierasz swoje brudne małe sekreciki, wynocha.

– Jak płacił?

– Gotówką. Jak większość.

– Za miesiąc?

– Skądże. Mam za mało miejsca. Chcesz skrytkę, płacisz za przynajmniej trzy miesiące. Więc wzięłam od niego co najmniej tyle.

– Co najmniej?

– Od niektórych biorę więcej.

– Od kogo?

– Od tych, od których się da.

– Od niego się dało?

– Możliwe.

– Jak długo wynajmował skrytkę?

– Długo. Parę lat.

– Jak często przychodził?

– Prawie go nie widywałam. Można tu wchodzić całą dobę. Przychodził w nocy.

– Nie boi się pani złodziei?

– Zabieram gotówkę z kasy, zamykam wszystko na klucz. Kogo obchodzi, jak ukradną kilka długopisów? Za dużo ginie, podnoszę opłatę za skrytkę, oni o tym wiedzą. Więc się zachowują. Tak działa kapitalizm.

Transseksualna przygoda Henry'ego Gilwhite'a w nocy. Petra wyobraziła sobie Olive, śpiącą na podwójnym łóżku w domu w Paimdale. Jaką historyjkę wymyślił Henry? Wypad do baru na parę piw?

Nagle zrobiło się jej żal tej kobiety.

– Nie będę pani więcej niepokoić...

– Już i tak narobiła mi pani kłopotów.

– Czy to rosyjskie imię brzmiało Jurij?

– Tak, właśnie tak – odparła Olive. – Jurij. Brzmi jak „szczury”. Co takiego zrobił, gdzieś myszkował, czy coś zachomikował? – Zachichotała, uderzyła dłońmi w ladę i wybuchła zaflegmionym śmiechem, który szybko przeszedł w atak kaszlu.

Petra wyszła z agencji, ścigana odrażającym, dyszącym charkotem.



O czwartej rano, drugiego dnia obserwacji mieszkania Kevina Dranimonda, Erie Stahl wysiadł ze swojej furgonetki i przekradł się na tył kamienicy. Noc była jasna, wiał przejmujący wiatr ze wschodu. Neonowa poświata na północy – łuna Hollywood – była zamglona i przyblakła.

Od jakiegoś czasu w całym kwartale panowała cisza. Do świtu pozostały dwie godziny.

Stahl długo się zastanawiał, zanim zdecydował, że tak należy zrobić. Siedział i myślał przez blisko pięćdziesiąt godzin. Trzy razy rozmawiał przez komórkę z Connor. Niczego się nie dowiedziała.

W ciągu tych pięćdziesięciu godzin widział wielu ludzi, w tym człowieka, który bił swojego psa i którego z przyjemnością ustawiliby do pionu, złodzieja o rozbieganych oczkach, który krążył dookoła zaparkowanej pół przecznicy dalej nowej toyoty – miał już wezwać patrol, ale gość rozmyślił się i zniknął – oraz kilku dilerów, spotykających się z klientami.

Najaktywniejszy z nich mieszkał w budynku na północ od kamienicy Drummonda. Stahl zanotował jego adres – poda go wydziałowi narkotyków. Anonimowo, żeby nie komplikować sprawy.

Większość sąsiadów Drummonda, Latynosi, robiła wrażenie praworządnych.

Spokój. Ostatnim przejeżdżającym samochodem była żółta taksówka dwanaście minut temu.

Stahl zapiął suwak czarnej wiatrówki i wepchnął swój przyborek do zapinanej kieszeni na udzie. Wysiadł z samochodu, rozejrzał się, przeciągnął i przebiegł ukośnie na drugą stronę ulicy. Jego stare, czarne adidas nie wydawały żadnych odgłosów – przestały skrzypieć po którymś z dwudziestokilometrowych biegów, jakie trzy razy w tygodniu przewidywał jego plan dnia.

Jego nowy plan dnia...

Przestrzeń między kamienicą Drummonda a sąsiadującym z nią od południa budynkiem porastał gąszcz chwastów – były miękkie i nie szeleściły pod stopami. W żadnym oknie nie paliło się światło.

Miasto spało...

Stahl przekradł się dalej, zajrzał na parking. Sprawdzał go już kilka razy, ale tak na wszelki wypadek... Białej hondy ani śladu, miejsce Drummonda puste.

Przemknął do tylnego wejścia kamienicy.

Zamknięte, pojedyncza zasuwka. Na drzwiach przyklejona była tabliczka ostrzegająca o alarmie, ale Stahl sprawdził to i wiedział, że alarmu nie ma. Nie znalazł kabli, dom nie miał też rachunku w żadnej agencji ochrony. Stahl wyjął przyborek, wyciągnął z niego wąską, małą latarkę, przejrzał wytrychy, zajrzał w dziurkę od klucza. Dwa mogły pasować. Pasował pierwszy.

W wojsku nauczył się otwierać zamki. Nauczył się też wielu innych rzeczy.

Z tej konkretnej umiejętności korzystał dotąd tylko raz. W Rijadzie, gdzie upał i piach były nie do zniesienia, a ostre słońce wypalało siatkówkę oczu. Mimo wieżowców i rozbuchanej konsumpcji, mimo powszechnej dostępności amerykańskiego jedzenia, Rijad zawsze pozostał dla Stahla jedynie wypaloną pustynną dziurą.

Otworzył zamek wytrychem – to była tylko część większego planu: włamania się do luksusowego apartamentu saudyjskiego księcia, który uwiódł osiemnastoletnią córkę jednego z wojskowych attache amerykańskiej ambasady.

Ghuda, pospolicie wyglądająca dziewczyna, przerażająco niski iloraz inteligencji, jeszcze niższa samoocena. Książę, przystojny, bogaty i ujmujący, zdobył ją bez trudu. Posuwał ją, kiedy chciał w swoim mieszkaniu i faszzerował prochami. Zaczęły się stroszyć piórka. Piórka rodziny królewskiej: zadawanie się z dziewczyną o tak oczywistym braku klasy mogło okazać się szkodliwe dla image'u księcia, ale Saudyjczycy w żadnym wypadku nie zamierzali sami interweniować. Brudną robotę zawsze zostawiali cudzoziemcom.

– Pomyśl o tym w ten sposób – powiedział Stahlowi jego dowódca. – Jako Amerykanka łatwo z tego wyjdzie. Gdyby była Saudyjką, zaćpaliby ją na śmierć.

Oficjalnie książę mieszkał ze swoją rodziną w pałacu. Pieprzył się w oazie z białego marmuru, na szczycie jednego z najwyższych wieżowców w mieście, którego tylne wejście zupełnie przypadkiem zostało na noc otwarte i było niestrzeżone.

Tego samego wieczora książę był umówiony na kolację z kilkoma powszechnie pogardzanymi urzędasami z Departamentu Stanu. Towarzyszyły mu jego trzy żony, ale po południu przywiózł Amerykankę do apartamentu, nafaszzerował pigułkami i zostawił pod opieką filipińskiej służącej, żeby była do dyspozycji, kiedy wpadnie na szybki numerek przed snem.

Stahl zaczął się w pobliżu wieżowca i widział, jak książę ją przywiózł; pod tylnym wejściem zaparkował żółty bentley azure. Książę, ubrany w białą jedwabną koszulę i kremowe spodnie, wysiadł z samochodu, zostawiając otwarte drzwi od strony kierowcy. Jego służący podbiegł i szybko je zamknął, ale bentley nie ruszył. Pięć minut później otworzyły się tylne drzwi po lewej stronie i wysiadło z nich dwóch mężczyzn w garniturach. Pospiesznie zanieśli szczelnie zapakowany tobołek do budynku. Przy wejściu czekał na nich ten sam służący.

Godzinę później książę, w długiej białej arabskiej szacie i keffi ze złotą opaską, wsiadł za kierownicę bentleya i odjechał.

Minęło dwadzieścia minut; z wieżowca wyszli dwaj mężczyźni w garniturach. Odjechali zaparkowanym niedaleko czarnym mercedesem.

Niedługo po zapadnięciu zmroku Stahl był już w środku. Podkasawszy szatę, pokonał dwadzieścia osiem pięter schodów, prowadzących do apartamentu księcia.

Na górze, za drzwiami klatki schodowej stał zaspany strażnik. Stahl podszedł do niego, wymamrotał kilka zapamiętanych arabskich zdań, szarpnął go i przydusił. Szybko zawlókł

nieprzytomnego na schody i związał mu ręce i nogi kawałkiem kabla. Potem wyciągnął zestaw wytrychów i włamał się do apartamentu. Apartament był ekskluzywny, ale zamki tandetne – Talal nie miał powodu spodziewać się włamania.

Dziewczyny nie trzeba było szukać: leżała na purpurowej, brokatowej kanapie, naga i naćpana, wpatrzona w ekran telewizora. Oglądała MTV z satelity.

– Cześć, Cathy.

Pogładziła piersi i oblizwała wargi.

Pojawiła się filipińska pokojówka. Stahl psiknął jej w twarz czymś, co zawierało niebieski inhalator, w który wyposażył go oficer medyczny. Kiedy kobieta zemdląła, posadził ją w fotelu. Zrzucił arabskie szaty i dalej pracował w swojej czarnej koszulce i dżinsach. Owinął Cathy w ten sam koc, w którym przynieśli ją tu ludzie księcia, i zarzucił ją sobie na ramię.

Zniósł dziewczynę dwadzieścia osiem pięter w dół. Za budynkiem czekał na niego samochód. Nie Bentley, nawet nie Mercedes – zwykły stary nierzucający się w oczy Ford. Gdyby Cathy była przytomna, uznałaby to za obrazę. Talal lubił ją posuwać w Bentleyu. Powiedziała swojej siostrze, że to uwielbia.

Rijad był jednym wielkim oszustwem... skup się na zadaniu, nie rozpraszaaj się.

Zestaw wytrychów był jedną z niewielu rzeczy, które Stahl zabrał ze sobą, rozpoczynając życie cywila.

Bez względu na to, jakie by było.

Dostał się na parter. Kawalerka Drummonda znajdowała się na drugim piętrze w głębi, ale schody zaczynały się od frontu. Stahl ruszył bezgłośnie wyłożonym wykładziną korytarzem.

W budynku czuć było środkiem owadobójczym i ostrym sosem. Stara drewniana podłoga skrzypiała pod wykładziną, więc Stahl musiał ostrożnie stawiać kroki. Korytarz powinny oświetlać dwie lampy; świeciła tylko jedna, od frontu. Po betonowych, wyłożonych płytkami schodach można było wspiąć się bezgłośnie.

W kilka sekund Stahl znalazł się niezauważony pod drzwiami mieszkania Drummonda. Wyjął wytrychy, zaświecił w dziurkę od klucza. Zamek był taki sam, jak ten w tylnych drzwiach, otworzył go więc tym samym wytrychem.

Zamknął za sobą drzwi, z czarnej, nylonowej kabury na biodrze wyjął Glocka i stanął bez ruchu w ciemnościach, wyczekując, czy ciszy nie zakłóci jakiś odgłos.

Nic.

Postąpił krok do przodu.

– Kevin? – szepnął.

Cisza.

Rozejrzał się po pokoju. Pojedynczym, niedużym. Dwa małe okna, oba zasłonięte, wychodziły na sąsiedni budynek. Ktoś mógłby zauważyć światło, więc Stahl użył drugiej latarki, czarnego maglite'a o szerszym snopie.

Oświetlił pomieszczenie, omijając okna.

Nieposłane, jednoosobowe łóżko, tandetna szafka nocna i składane krzesło przed niskim, szerokim biurkiem. Kiedy przyjrzał się bliżej, zauważył, że biurko stanowiły zwykłe drzwi oparte na dwóch koźlach. Sporo przestrzeni do pracy. Po prawej stronie przy łóżku elektryczna kuchenka. Zapasy jedzenia: trzy puszki chili, torba chipsów, słoik łagodnej salsy, dwa sześciopakiki pepsi. Szczoteczka do zębów w kubku.

Po lewej stronie trzy komputery z dziewiętnastocalowymi, płaskimi monitorami, dwie kolorowe drukarki, skaner, cyfrowy aparat fotograficzny, pudełko tuszy do drukarek i tuzin ryz białego papieru.

Za sprzętem zauważył drzwi do łazienki. Żeby się tam dostać, musiał wyminąć stosy pism. Niemal każdy centymetr podłogi zajmowały jakieś pudła.

Najpierw zajrzał do łazienki. Prysznic, umywalka, sedes; nic nie świadczyło o tym, że ktoś ich niedawno używał, na dodatek w pomieszczeniu unosił się smród stęchlizny. Pod prysznicem pleśń, czarna obwódka wokół odpływu umywalki, poczerniały sedes, z którego Stahl nie skorzystałby, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Zamiast apteczki tylko szklana półka nad umywalką. Na niej wyciśnięta tubka pasty do zębów, lekarstwo na zatoki, krem do rąk – przypuszczalnie akcesorium do masturbacji – aspiryna, peptobismol, pigułki na opryszczkę, kupione na receptę trzy lata temu w aptece przy Encino. W opakowaniu zostały trzy sztuki. Kevin przestał zwracać uwagę na swoją cerę.

Pod prysznicem nie było mydła ani szamponu i Stahl zaczął się zastanawiać, kiedy Kevin ostatni raz tu był.

Czyżby miał jakieś inne lokum?

Wrócił do pokoju. Wszystko, co mógłby odkryć, było bezwartościowe – nawet gorzej, gdyby włamanie wyszło na jaw, spieprzyłoby całe śledztwo.

Stahl zaczął sprawdzać zawartość pudeł.

Spodziewał się, że znajdzie w nich stare numery „GrooveRat”.

Błąd. W całym mieszkaniu nie było ani jednego. Kevin zbierał tylko twórczość innych.

Po pobieżnym przeszukaniu okazało się, że wszystkie te śmieci dzieliły się z grubsza na dwie kategorie: zabawki i pisma. Zabawkami były małe samochodziki, niektóre jeszcze w pudełkach, figurki z *Gwiezdných Wojen* i jakieś inne dziwne rzeczy. W stosach pism leżały numery „Vanity

Fair”, „The New Yorker”, „InStyle”, „People”, „Talk”, „Interview”. I gejowska pornografia. Sporo, w tym sadomaso.

Kobieta z wynajmu skrytek powiedziała Petrze, że Drummond jest gejem. Stahl zastanawiał się, czy Petra powtórzyła to Sturgisowi. Ciekawe, jak Milo przyjąłby wiadomość o skłonnościach Kevina.

Petra powiedziała za to Stahlowi o skłonnościach Sturgisa. Pewnie żeby sprawdzić, czy nie rzucił jakiejś homofobskiej uwagi.

Co było niedorzeczne, bo Stahl nigdy nie robił uwag na żaden temat: nawet po tak krótkim czasie Petra powinna była, to zauważyć.

Drażnił ją. Kiedy jeździli razem, była bardziej nerwowa niż zapchlony pies.

Praca nad tą sprawą szła im dobrze. Oboje byli zadowoleni, że mogą działać w pojedynkę.

Connor nie była zła. Kobieta sukcesu. Bez powiązań rodzinnych.

Z pozoru twarda, ale w nowych sytuacjach niespokojna.

Niespokojna przy nim.

Stahl wiedział, że ludzie często tak się przy nim czują.

Miał to gdzieś.

Przeszukał dokładnie mieszkanie Kevina Drummonda. Nie znalazł żadnych osobistych zapisków ani pamiątek, nic nielegalnego albo świadczącego o jakiejś przestępczej działalności. Zebrane w pudłach czasopisma potwierdzały teorię tego psychologa: Drummond miał obsesję. Pisma, jakie zbierał, świadczyły o tym, że była to obsesja na punkcie sławy i wielkich osobowości.

Co dało włamanie? Po pierwsze Stahl wiedział już, że brak nakazu przeszukania w niczym im nie przeszkadza. Przetrzyśnięcie mieszkania potwierdziłoby jedynie, że Drummond jest homoseksualistą, a to do niczego nie prowadziło... no, może to sadomaso? Drummond był sado, inni jego maso?

Po drugie czas spędzony w jego kawalerce i wrażenie panującej w niej zimnej samotności kazały Stahlowi przypuszczać, że Drummond zniknął dość dawno i nie miał zamiaru wracać, mimo że zostawił taki sprzęt.

Forsa taty; łatwo przyszło, łatwo poszło.

Brak numerów „GrooveRat” oznaczał, że Kevin trzymał je gdzieś indziej. Albo nie interesowało go już wydawanie.

Przerzucił się na nowe hobby?

Stahl wyłączył maglite'a i stanął bez ruchu w żaloznym pokoiku Drummonda, upewniając się, że nikt nie zauważył jego obecności. Na wszelki wypadek zakrył twarz maską. Wojskową, z czarnej lycry, z otworami na oczy. Gdyby ktoś go zobaczył, wziąłby go za zwykłego, nocnego włamywacza.

Maska przestraszyłaby każdego racjonalnie myślącego człowieka i zmniejszyłaby szanse konfrontacji.

Stahl zrobiłby wszystko, by się obronić. Wolał jednak nie robić nikomu krzywdy, nawet przymuszony.

Wezwanie nadeszło, kiedy jedliśmy z Milem śniadanie na promenadzie Trzeciej ulicy w Santa Monica. Niebo miało kolor płótna i zapowiadało się na deszcz, więc nasz stolik na dworze mijało niewielu pieszych. Pogoda nie zraziła natomiast chudego mężczyzny, grającego na gitarze za drobne. Milo dał mu dziesiątaka i kazał znaleźć sobie inne miejsce. Facet przeszedł dziesięć metrów dalej i znów zaczął wyć. Milo zabrał się znów do omleta.

Minęły dwa dni od mojej wizyty w Charter College, Kevin Drummond wciąż nie pojawił się w swoim mieszkaniu, a Erie Stahl miał przeczucie, że prędko tam nie wróci.

– Dlaczego nie? – spytałem.

– Intuicja Stahla, tak mi powiedziała Petra – odparł Milo.

– To coś warte?

– Kto wie? Jak na razie dowiedzieliśmy się jedynie, że Drummond jest gejem. Petra dowiedziała się, że używał swojej skrytki głównie do odbierania gejowskiego porno. – Odłożył widelec. – Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Mówiliśmy o kimś seksualnie zagubionym...

– Więc może się seksualnie odnalazł. A Szabo i Loh? Bogaci geje prowadzący dostatnie życie. Była mowa o zazdrości.

– Szabo i Loh nie byli celami, w ich domu dokonano tylko jednego morderstwa. Temu, kto zabił Lewicza, chodziło o coś, co miał Lewicz.

– Talent. – Milo zerknął na wyjącego gitarzystę. – Temu tam na pewno nic nie grozi.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego na temat Kipperera? – spytałem.

– Ma dziewczynę. Sporo młodszą, przed trzydziestką, bardzo ładną, ma na imię Stephanie. Pracuje jako sekretarka w kancelarii prawniczej w jego budynku. Przez ostatnie kilka dni Kipperer pokazywał się z nią publicznie. To też blondynka, więc sąsiedzi Kipperera mogli się mylić co do odwiedzin Julie. Gdybym nie miał artykułów z „SeldomScene”, które łączą Julie z pozostałymi ofiarami, i gdyby nie nikłe podobieństwo narzędzia, którym zabito ją i Lewicza, zastanawiałbym się, czy Kipperer nie rozmyślał o powtórnym małżeństwie. Byłe żony potrafią niezłe skomplikować życie, finansowo i uczuciowo. A wiemy od sąsiadów Kipperera, że umie być mściwy.

– Julie rozrabia, on ją ucisza.

– Tak – powiedział Milo. – Szkoda. Nie lubię tego faceta, jest w nim coś takiego...

Zjadł kawałek omleta, popił kawą.

– Stephanie – powiedziałem. – Rozmawiałaś z nią?

– Słyszałem, jak wołała ją koleżanka, kiedy poszły do toalety.

– Czaiłeś się tam?

– Wtedy wydawało mi się to rozsądne. – Wzruszył ramionami. Zadzwoiła jego komórka. –

Sturgis... cześć... naprawdę... tak, jasne, jest tu ze mną Alex, równie dobrze mogę go zabrać ze sobą...

– Spojrzał na swojego timeksa. – Stąd, gdzie jesteśmy, czterdzieści pięć minut. No. Dzięki. Na razie.

Wyłączył telefon, schował go do kieszeni i spojrzał na moją niedojedzoną grzanekę.

– Petra. Może weź to na wynos? – Wsunął pieniądze pod talerz, pomachał na kelnera i odsunął się od stolika.

– Co jest? – spytałem, wychodząc za nim na promenadę.

– Martwa kobieta. Martwa ruda kobieta.

Sala autopsji była królestwem nieskazitelnie białych płytek i nierdzewnej stali, cichym i przyjemnie chłodnym. Petra, Milo i ja staliśmy obok przykrytych całunem zwłok na stole sekcyjnym, podczas gdy małomówna pracowniczka kostnicy, Rhonda Reese, sprawdzała papiery. Miała trzydzieści parę lat, kasztanowe włosy, ładną figurę i szczerą twarz przewodnika wycieczek.

Dojechałem do Boyle Heights Dziesiątą, ale Piąta Międzystanowa okazała się zakorkowana i jazda do kostnicy zamieniła się w godzinną mordęgę. Milo drzemał, a ja myślałem o kobietach. Petrę spotkaliśmy w poczekalni.

– Już nas wpisałam – powiedziała. – Chodźcie.

Rhonda Reese uniosła całun i złożyła go równo w nogach stołu. Zwłoki były długie, kościste i kobiece, woskowata skóra nabrała już tego specyficznego, zielonoszarego zabarwienia. Oczy i usta zamknięte. Spokojny wyraz twarzy, brak wyraźnych śladów przemocy. Między płaskimi, obwisłymi piersiami pryszczę i włókniste guzki. Pofałdowane sutki, wystające biodra, szeroka miednica, chude nogi porośnięte rudymi, kręconymi włoskami. Skóra na kostkach zaczerwieniona, zrogowaciała i popękana jak u krokodyła.

Uliczne kostki.

Podeszwy stóp kobiety były czarne, tak samo jak brudne, połamane paznokcie. Między palcami rósł grzyb. W rozczochranej kępcie włosów łonowych pełno było łupieżu, przeblyskiwały pasemka siwizny.

Włosy na głowie były również rude, ale o wiele jaśniejsze, przy skórze bordo, na końcach purpurowe. Długie, skołtunione, brudne i tłuste, otaczały spuchniętą twarz, która kiedyś mogła być ładna.



Nie było śladów po igłach.

– Coś podejrzewasz? – spytał Milo.

– Nie mogę mówić za doktora Silvera – odparła Rhonda Reese – ale kiedy podniesiecie jej powieki, zobaczycie mikrowylewy.

– Uduszenie. – Nachylił się nad zwłokami, zajrzał im w oczy i skrzywił się. – Szyja też jest trochę zaczerwieniona, ale nie ma otarć. – Zerknął na Petrę, która skinęła głową. Inaczej niż u tamtych.

– Miękkie uduszenie? – spytałem.

Petra wytrzeszczyła na mnie oczy. Milo wzruszył ramionami. Określenie było makabryczne, ale na stałe weszło do policyjnego żargonu: oznaczało użycie szerokiego, miękkiego narzędzia, by ukryć zewnętrzne oznaki uduszenia. Niektórzy podduszali się w ten sposób, by spotęgować doznania seksualne, i czasami przypadkowo umierali.

Milo i ja pracowaliśmy nad sprawą miękkiego uduszenia kilka lat temu. To nie był wypadek, dziecko...

– Kiedy będzie autopsja, Rhonda? – spytał Milo.

– Musiałbyś zapytać doktora Silvera. Mamy sporo roboty.

– Dave’a Silvera? – wtrąciła się Petra.

Reese kiwnęła głową.

– Znam go – powiedziała Petra. – Sympatyczny gość, porozmawiam z nim.

Milo jeszcze raz przyjrzał się zwłokom.

– Kiedy to się stało? – zapytał Petrę.

– Wczoraj, nad ranem. Dwaj nasi mundurowi znaleźli ją niedaleko bulwaru, po południowej stronie. W zaułku za kościołem, w którym kiedyś był teatr.

– Salwadorscy zielonoświątkowcy?

– Tak, właśnie. Siedziała oparta o ścianę, przyjechali śmieciarze, blokowała im podjazd do kontenera i myśleli, że śpi, więc próbowali ją obudzić. – Do Reese: – Powiedz im o jej ubraniu.

– Zdjęliśmy z niej kilka warstw – poinformowała Reese. – Stare szmaty, strasznie brudne. – Zmarszczyła nos. – Ta wysypka na jej nogach, wiecie, co to jest, prawda? Problemy z krążeniem. Rosło na niej i w niej mnóstwo różnych świstów. Pobraliśmy próbki Bóg wie czego z jej stóp, nosa i gardła. Oprócz smrodu potu czuło się od niej alkohol, cała sala tym przesiąkła. Wyniki badania krwi będą dopiero po południu, ale założy się, że miała co najmniej trzy promile.

Powiedziała to nie bez współczucia, ale fakty i tak były okrutne. Milo niewzruszenie wciąż przyglądał się ciału.

– Nie widzę żadnych śladów.

– Bo ich nie ma – powiedziała Reese. – Wygląda na to, że głównie piła, ale zobaczymy, co wykażą analizy.

– Spisaliście jej ubrania?

– Mam tu listę. – Reese przewróciła kilka kartek raportu koronera. – Dwie pary damskich majtek, dwie pary męskich bokserów, trzy podkoszulki, na to stanik, niebieska bluza UCLA.

– Czy w napisie brakowało połowy C? – spytał Milo.

– Nie zanotowaliśmy. Zaraz sprawdzę.

Na stalowym blacie stało kartonowe pudło. Reese włożyła gumowe rękawiczki, nachyliła się nad nim i wyjęła ze środka dużą, papierową torbę.

Znów marszcząc nos, wyciągnęła niebieską bluzę, utyłaną błotem i zaschniętymi liśćmi.

– Zgadza się, pół C brakuje.

Milo odwrócił się do Petry.

– Starsza pani ze Światła i Przestrzeni powiedziała, że jej śmietnikowy nurek miał na sobie coś takiego. Jej rysunek był do luftu, więc pomyślałem, że to przez katarakty. Wychodzi na to, że dobrze widzi, tylko nie umie rysować. To oficjalnie twoja sprawa?

– Nie – odparła Petra. – Dostali ją Digmond i Battista, słyszałam tylko ich rozmowę i przypomniałam sobie, co mówiłeś o wysokiej, rudej bezdomnej, węszącej przy galerii. Jeszcze jej nie zidentyfikowano, w tej chwili sprawdzają odciski palców.

– Mogę to schować? – spytała Rhonda Reese.

– Jasne, dzięki – powiedział Milo. – Gdzie są fotki z miejsca przestępstwa?

– Dig i Harry je mają – wyjaśniła Petra. – Jest też kopia tutaj.

– Rhonda, jeśli to nie problem, przydałyby się nam.

– Nie ma sprawy – Reese wyszła z sali i wróciła chwilę później z białą kopertą. – Powodzenia – powiedziała, kiedy Milo jej podziękował.

– Masz ochotę rozwiązać dla nas kilka paragrafów jeden-osiem-siedem, Rhonda?

Reese się roześmiała.

– Jasne, czemu nie. A będę mogła porozmawiać z kimś żywym?

Zebraliśmy się na naradę na parkingu kostnicy.

– Digmond i Battista dopuszczają cię do tego? – spytał Milo.

– Są zarobieni, będą skakać z radości, jak to od nich wezmę. Ale chcę poczekać i zobaczyć, czy to ma związek z poprzednimi sprawami. Równie dobrze to może wcale nie być zabójstwo.

– A mikrowylewy?

– Mogła się udławić albo miała jakiś atak i wymiotowała. Wiesz, jak łatwo giną ludzie z ulicy. Jeśli chrząstki podstawy języka albo krtani są naruszone, to inna historia. Bluza świadczy o tym, że ta kobieta była w galerii, ale jeśli jest jakiś związek z innymi ofiarami, dlaczego na zwłokach nie ma śladów agresji? Zacięć, nawet żadnego zadrapania? A jeśli to uduszenie, to nie pasuje do tego, co widzieliśmy u Lewicza i Kipper. Tam była głęboka rana, drut przeciął skórę, ktoś był naprawdę wściekły. Seryjni mordercy robią się coraz bardziej brutalni, nie coraz mniej, prawda, Alex?

– To morderstwo może mieć związek z pozostałymi, ale wynikać z innej motywacji – powiedziałem. – Ofiara mogła być dla mordercy kimś innym.

– Na przykład? – spytał Milo.

– Była za galerią, sprawdzała dla niego teren.

– Zwiadowca? – zdziwił się Milo. – Drummond wybiera sobie bezdomną na współnika? A teraz się jej pozbywa?

– Zrobiłby to, gdyby zaczęła mu zawadzać. Bezdomna kobieta, alkoholiczka, przypuszczalnie umyślowo chora, mogła być przydatna, kiedy nic mu nie groziło. Ale jeśli dowiedział się, że jest obiektem śledztwa, mógł postanowić zatrzeć ślady.

– Może bardzo dobrze wiedzieć, że jest obiektem – powiedziała Petra. – Rozmawialiśmy z jego rodziną i gospodynią. Nikt nie widział go od kilku dni, wszystko wskazuje na to, że prysnął.

– Szerokie narzędzie jest często używane przez morderców, którzy w jakimś stopniu współczują swoim ofiarom – powiedziałem. – Poza tym to była potężna kobieta. Jeśli spiła się do nieprzytomności, ułatwiło mu to zadanie, nie musiał się z nią szarpać. To, że siedziała oparta o ścianę, świadczy chyba o szacunku. Czy miała rozsunięte nogi?

Milo otworzył kopertę, wyjął zdjęcia i znalazł wśród nich ujęcie całego ciała.

– Nogi ciasno razem – stwierdziła Petra.

– Nie ma seksualnego ułożenia, ale to i tak może być poza – powiedziałem. – Duszenie, nawet bez szarpaniny, może wywołać spazmy. To wygląda za porządnie na naturalną pozycję.

Oboje przyjrzeni się zdjęciu.

– Dla mnie wygląda na pozę – poparł mnie Milo.

Petra pokiwała głową.

– Nie ma tu próby poniżenia – ciągnąłem. – Wręcz przeciwnie, on chroni jej seksualność.

– Kevin jest gejem – przypomniał Milo. – Może kobiety nie są dla niego obiektami seksualnymi.

– Julie została ułożona w seksualnej pozycji. Kevin może skłaniać się ku gejostwu, ale jeśli to jego szukamy, wciąż jest jeszcze zagubiony.

– To ma sens – powiedziała Petra. – Tata i bracia macho, cały ten nacisk na sport i męskość. Musiało mu być niełatwo.

Zerknęła na Mila. Zauważyłem w jej oczach błysk niepokoju. Zastanawiała się, czy go nie uraziła. Kiwnął głową, jakby chciał ją uspokoić.

– Jakikolwiek był motyw – zauważyłem – morderca zadbał, żeby jego ofiara leżała wygodnie. W porównaniu do innych przypadków to wskazuje na szacunek.

– Wspólnik, ale nie dziewczyna? – spytał Milo.

– Nawet jeśli Kevin interesuje się dziewczynami – powiedziała Petra – nawet jeśli nie zdajemy sobie sprawy z jego dziwactw, nie wyobrażam sobie młodego chłopaka, zadającego się ze schorowaną bezdomną. Jaki miałby powód, żeby się z nią spotykać?

– Kevin jest odludkiem. Prawdopodobnie już od dawna postrzega siebie jako wyrzutka. Pomijając kwestie seksualne robi z siebie rycerza na białym koniu, walczącego samotnie w imię sztuki w czystej postaci. Przy takim wyalienowaniu jestem w stanie wyobrazić sobie, że pociągają go inni outsiderzy – dedukowałem.

– Co oznacza, że powinnam wypytywać na ulicach, nie w księgarniach.

– Trzyma z bezdomnymi, wykańcza utalentowanych – stwierdził Milo.

– To jak wojna przeciwko jasnym stronom życia.

– Zaintrygowało mnie coś jeszcze – powiedziałem. – Te zwłoki leżały za dawnym teatrem. A jeśli to aluzja do śmierci artystów, występujących na scenie?

– Cały czas ktoś tam występuje. To kościół. Kazania to przecież występy, prawda? A może to jakiś świętokradca? – zastanawiał się Milo.

– Nie wiem, czy trochę was nie poniosło – Petra zagryzła wargę. – Dobra, co teraz?

– Mamy dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że to ta ruda, którą widziała CoCo Barnes – powiedział Milo. – Zobaczymy, czy ją zidentyfikuje. Najważniejsze to dowiedzieć się, kto to był, taka kobieta na pewno jest gdzieś w systemie. Kiedy będą odciski palców?

– Wiesz, jak to jest. Mogą być dzisiaj, mogą być w przyszłym tygodniu. Pogadam z Digiem i Harrym, zobaczę, czy nie uda mi się ich trochę pogonić.

– Kiedy będziemy wiedzieli, kim była, dowiemy się, co robiła. A może nie musimy czekać na odciski. Po tym, jak Barnes powiedziała mi, co widziała, popytałem trochę i znalazłem przytułek w twoim rewirze: Dom Gołębic. Znają tam wysoką rudą która od czasu do czasu do nich wpada. Bernadine Jakaś tam. Powiedzieli też, że według nich kiedyś musiało się jej lepiej powodzić, bo gdy przejaśniało się jej w głowie, mówiła jak ktoś inteligentny.

– Może tę jej stronę widział morderca – zastanawiałem się. – Wiedział, że musi ją spić, żeby była bezbronna.

– Znam Dom Gołębic – powiedziała Petra – przywiozłam im parę dzieciaków z ulicy. Mają całkiem niezłe wyniki.

Milo spojrział na zdjęcie.

– Nikt nie jest doskonały.

Zastaliśmy CoCo Barnes w jej garażu. Lepiła tam z gliny jakieś bezkształtne naczynie. Przy jej nogach chrapał Lance. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na zdjęcie.

– To ona, zupełnie jak na moim rysunku. Biedactwo, co się jej stało?

– Jeszcze nie wiemy, proszę pani – powiedział Milo.

– Ale nie żyje.

– Tak, proszę pani.

– Mój Boże – Barnes otarła dłonie z gliny. – Niech mi pan zrobi przysługę, jeśli się jeszcze spotkamy, proszę mi mówić CoCo, nie „proszę pani”. Czuję się przez to jak skamielina.

Milo zadzwonił do Petry i złapał ją w Valley. Zapytał, czy możemy odwiedzić przytułek bez niej – zgodziła się.

– Co ona robi? – spytałem.

– Ma oko na dom rodziców Kevina. Stahl dalej pilnuje mieszkania, ale to chyba na nic.

Zawróciłem samochód i zauważyłem, że prawie już nie mam benzyny.

– Sporo nakrążyliśmy – powiedział Milo. – Zatankuj do pełna, zapłać.

– Nie, postawisz kolację.

– Gdzie?

– W jakimś drogim lokalu.

– Podwójna randka? – zaproponował.

– Jasne.

Podjechałem na stację benzynową na Lincoln.

Milo wyskoczył, uruchomił kartą kredytową dystrybutor i wsunął końcówkę węża do wlewu paliwa. Cały czas rozglądał się dookoła. Zawsze detektyw. Miałem ochotę się trochę rozruszać, więc przetarłem szyby.

– Co u Allison? – spytał.

– Jest w Boulder.

– Na nartach?

– Na zjeździe psychologów.

– Aha... dobra, pełny bak. – Odwiesił wąż. – Kiedy wraca?

– Za parę dni. Czemu pytasz?

– Musimy na nią poczekać. Żeby umówić się na podwójną randkę.

Przytułek mieścił się w zapuszczonej, burej kamienicy przy Cherokee, kawałek na północ od Hollywood Boulevard. Nad otwartymi drzwiami frontowymi nie było żadnego szyldu ani napisu. W środku, na pierwszych drzwiach po lewej wisiała tabliczka BIURO.

Kierownikiem był Daryl Witherspoon, młody, gładko ogolony czarny mężczyzna. Pracował samotnie przy poobijanym biurku. Włosy miał zaplecione w warkoczyki, na szyi srebrny krzyżyk. Kiedy nas zobaczył, wstał i podszedł się przywitać. Jego szary dres pachniał świeżością.

Milo pokazał mu zdjęcie. Witherspoon potarł policzek.

– O, Boże. Biedna Erna.

– Erna jaka?

– Ernadine. Ernadine Murphy.

– E. Murphy – powiedziałem. Witherspoon spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Co się jej stało?

– Dzwoniłem tu jakiś tydzień temu – wyjaśnił Milo. – Rozmawiałem z kobietą, która sądziła, że zna pannę Murphy.

– To była pewnie Dianę Petrello, moja asystentka. Czy Erna... czy to się stało tydzień temu?

– Wczoraj w nocy. Co może pan nam o niej powiedzieć?

– Proszę usiąść.

Milo i ja usiedliśmy na starej, cuchnącej papierosami kanapie. Witherspoon zaproponował nam kawę z automatu, ale podziękowaliśmy. Nad nami słychać było kroki. Jedyne ozdoby w jasnożółtym pomieszczeniu były porozklejane na ścianach, dodające otuchy hasła.

Witherspoon przysunął sobie krzesło.

– Możecie mi panowie powiedzieć, co się stało?

– To wciąż niejasna sprawa – odparł Milo. – Znaleziono ją w zaułku kilka przecznic stąd. Za kościołem zielonoświątkowców.

– Kościół... nie była religijna – zastanowił się Witherspoon. – To mogę panom powiedzieć z całą pewnością.

– Oporna? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Bardzo. Nie, żebyśmy ich szczególnie naciskali. Ale staramy się do nich dotrzeć. Ernie nie miała ochoty zbliżyć się do Pana. Naprawdę nie była jednym z naszych regularnych gości, wpadała tylko od czasu do czasu, kiedy robiło się jej ciężko. Nigdy nikogo nie odtrącamy, chyba że są agresywni.

– Była agresywna?

– Nie, nigdy.

– Dlaczego bywało jej ciężko? – spytał Milo.

– Wszystko sprowadzało się do alkoholu. Zapijała się na śmierć. W ciągu ostatnich paru lat rzucała to i znów wracała, a ostatnio było coraz gorzej.

– To znaczy?

– Miała problemy ze zdrowiem: kaszel, kłopoty ze skórą, z żołądkiem. Raz spała u nas i rano pościel była zakrwawiona. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że to... no, te dni. Nie brakuje nam tamponów, ale niektóre kobiety zapominają. Okazało się, że Erna krwawiła z... – Witherspoon się wzdygnął – z odbytu. Wewnętrznie. Wezwaliśmy jednego z naszych lekarzy wolontariuszy i w końcu przekonaliśmy ją, żeby dała się zbadać. Lekarka powiedziała, że to nic poważnego, ale trzeba się tym zająć. Chcieliśmy wysłać Ernę do specjalisty, ale uciekła i nie wracała przez kilka miesięcy. Tak zawsze robiła. Wpadała i znikła. Dla wielu z nich jesteśmy tylko przechowalnią.

– A co z problemami umysłowymi? – spytał Milo.

– To na pewno – odparł Witherspoon. – Większość naszych podopiecznych je ma.

– Jak konkretnie miała Ernadine Murphy?

– Jak mówiłem, wszystko sprowadzało się do alkoholu. Chyba w końcu posunęła się za daleko, nazywa się to zespołem psychoorganicznym. Człowiek tępieje. A kiedy tu spała, czasami budziła się i miała halucynacje. Zespół Korsakowa, brak witaminy B. – Zmarszczył czoło. – Ludzie żartują o różowych słoniach, ale to wcale nie jest śmieszne.

– Jaka była, zanim się jej pogorszyło? – spytałem.

– Hm... Nie mogę powiedzieć, że kiedykolwiek była... normalna. Nie mówię, że była głupia. Nie



była. Raz na jakiś czas, kiedy udawało nam się odstawić ją od alkoholu na wystarczająco długo i zaczynała rozmawiać, widać było, że ma duży zasób słów. Robiła wrażenie wykształconej. Ale kiedy próbowaliśmy ją o to pytać, zamykała się w sobie. Później te okresy bez picia były coraz rzadsze. Przez ostatni rok prawie cały czas była dysfunkcyjna.

– Agresywna? – spytał Milo.

– Wręcz przeciwnie: bierna, nieprzytomna, bełkotała, nie mogła się skupić. Osłabły też jej zdolności motoryczne. Potykała się, przewracała... to właśnie się jej stało? Upadła i uderzyła się w głowę?

– Raczej nie – odparł Milo.

– Ktoś jej to zrobił.

– Jeszcze nie wiemy, proszę pana.

– O, Boże.

Milo wyjął notes.

– Kto ją badał, kiedy zakrwawiła pościel?

– Mamy kilku lekarzy, wszyscy to wolontariusze. Wtedy to była chyba Hannah Gold. Ma gabinet na Highland. To był pojedynczy przypadek, nie zaprzyjaźniła się z Erną. Nikt się nie zaprzyjaźnił. Nie mogliśmy do niej dotrzeć. – Witherspoon wzruszył ramionami. – Pan Bóg daje i Pan Bóg zabiera, ale my, ludzie, możemy też sporo zdziałać.

– Co pan wie o rodzinie panny Murphy?

– Nic. Nigdy się nie zwierzała.

– Miała jakichś przyjaciół? – zapytałem. – Kogoś wśród państwa podopiecznych?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Szczerze mówiąc, większość kobiet się jej bała. Była duża, mogła wydawać się niebezpieczna, jeśli się jej nie znało.

– Jak to?

– Zataczała się – wyjaśnił Witherspoon. – Mamrotała do siebie. Miała zwidy.

– Jakie zwidy?

– Nigdy o tym nie mówiła, ale po tym, jak się zachowywała – stała, pokazywała coś palcem i poruszała ustami – widać było, że się bała. Widziała coś, co ją przerażało. Ale nie chciała pociechy.

– A więc inne kobiety się jej bały.

– Może to za dużo powiedziane. Były raczej zaniepokojone. Nigdy nie sprawiała żadnych problemów. Czasami siadała w kącie, zaczynała bełkotać i wygrażać pięścią. Kiedy tak robiła, wszyscy się od niej odsuwali. Ale nigdy nikogo nie zaatakowała. Czasami biła się w pierś, stukała w głowę pięściami. Nic poważnego, ale można było się przestraszyć. Była duża.

– Te okresy przytomności... Dlaczego sądziliście państwo, że była wykształcona? – spytałem.

– To, jak się wyrażała, jakie miała słownictwo... Szkoda, że nie pamiętam żadnego konkretnego przykładu. Dawno jej już tu nie było.

– Jak dawno? – spytał Milo.

– Trzy, może cztery miesiące.

– Mógłby pan sprawdzić i określić dokładniej?

– Przykro mi. Jedyne dokumenty, jakie mamy, to zaświadczenia o zwolnieniu z podatku i tak dalej. Papierkowa robota i tak zajmuje dużo czasu.

– Dobre słownictwo – zastanowiłem się.

– Nawet więcej, dobra dykcja. Czasami wysławiała się... wyszukanie.

– O czym mówiła w chwilach przytomności?

Witherspoon skubnął swój warkoczek.

– Poproszę Dianę. – Podeszedł do biurka, wykręcił wewnętrzny numer i powiedział coś cicho. – Zaraz do nas zejdzie.

Dianę Petrello miała sześćdziesiąt parę lat, była niska i przysadzista. Nosiła szersze niż jej twarz okulary w szylkretowych oprawkach, różową bluzę z napisem W<sup>SPÓŁCZUCIE</sup>, długą, dzinsową spódnicę i adidasy.

Milo powiedział jej o Ernie Murphy.

– O, Boże – szepnęła.

Po jej policzkach spłynęły łzy, kiedy Milo dodał kilka szczegółów. Usiadła naprzeciwko nas i otarła oczy, a Daryl Witherspoon zaparzył jej herbatę.

Petrello ogrzała dłonie od kubka.

– Mam nadzieję, że to biedactwo znalazło wreszcie spokój.

– Udręczona dusza – powiedział Milo.

– O, tak. Czy nie jesteśmy nimi wszyscy?

Wypytał ją o to samo, co Witherspoona, potem powtórzył moje pytanie o okresy jasnego myślenia Erny Murphy.

– O czym mówiła... Hm, głównie o sztuce. Potrafiła całymi godzinami oglądać zdjęcia obrazów w albumach. Raz kupiłam jej kilka takich starych albumów w sklepie ze starociami, ale kiedy je przyniosłam, już jej nie było. Cała Erna. Niespokojna, nie mogła usiedzieć w miejscu. Wtedy ostatni raz ją widziałam. Nigdy nie zobaczyła tych książek.

– Jaki rodzaj sztuki lubiła? – spytał Milo.

– Hm... Nie umiem powiedzieć. Chyba ładne obrazy.

– Pejzaże?

Ładne, obrazy Julie Kipper.

– Wszystkie ładne obrazy – odparła Dianę Petrello. – Wydawały się ją uspokajać. Ale nie zawsze. Nic nie działało, kiedy była naprawdę nakręcona.

– Czasami nawet bardzo – powiedział Milo.

– Ale nigdy nie sprawiała problemów.

– Miała tu jakichś przyjaciół?

– Nie, właściwie nie.

– Kogoś na zewnątrz?

– Nikogo takiego nie widziałam.

– Mówiła o jakichś przyjaciółkach?

Petrello pokręciła głową.

– Konkretnie, proszę pani, interesuje mnie młody, dwudziestoparoletni mężczyzna – wyjaśnił Milo.  
– Wysoki, chudy, ciemne włosy, brzydka cera, okulary.

Petrello spojrzała na Witherspoona. Oboje pokręcili głowami.

– To on to zrobił? – spytał Witherspoon.

– Nie wiemy jeszcze, co kto zrobił i czy zrobił, proszę pana. Co jeszcze możecie nam państwo powiedzieć o pannie Murphy?

– To chyba wszystko – zastanowiła się Petrello. – Była taka samotna. Jak wielu z nich. To tak

naprawdę największy problem. Samotność. Bez łaski Pana wszyscy jesteśmy samotni.

Milo zapytał, czy moglibyśmy pokazać zdjęcie Erny Murphy innym bezdomnym, przebywającym w przytułku. Dary i Witherspoon zmarszczył czoło.

– W tym tygodniu jest u nas tylko sześć kobiet – powiedziała Dianę Petrello.

– A mężczyźni? – spytał Milo.

– Ośmiu.

– Ostatnie tygodnie były trudne, wszyscy są trochę zdenerwowani – powiedział Witherspoon. – Te zdjęcia, które mi pan pokazał, to dla nich za wiele.

– To może tak. Żadnych zdjęć, tylko porozmawiamy. A państwo pójdziecie z nami, żeby wszystko było jak trzeba – zaproponował Milo.

Petrello i Witherspoon znów wymienili spojrzenia.

– Możemy spróbować – zgodził się Witherspoon. – Ale jak tylko coś będzie nie tak, damy sobie spokój, dobrze?

Witherspoon wrócił za biurko, a Milo i ja poszliśmy za Dianę Petrello skrzypiącymi schodami na górę. Były tam pojedyncze pokoje, przyległe do długiego, jasnego, turkusowego korytarza. Kobiety mieszkały na pierwszym piętrze, mężczyźni na drugim. W każdym pokoju dwie prycze. Biblie na poduszkach, maleńkie, przenośne szafki, religijne plakaty.

Połowa mieszkańców przytułku była zaspana. Na nazwisko Erny Murphy reagowali pustym spojrzeniem, aż wreszcie młoda, ciemnowłosa kobieta, Lynnette, z twarzą modelki i starych śladach nakłuć na rękach powiedziała:

– O, Wielka Ruda.

– Zna ją pani?

– Parę razy mieszkałam z nią w pokoju.

Oczy Lynnette były wielkie, czarne i zranione. Miała długie, ciemne, przetłuszczone włosy. Lewą stronę jej szyi zdobiła wytatuowana gwiazda wielkości odznaki szeryfa. Przez jej środek biegła żyła, pulsująca na niebiesko, spokojnie i powoli. Lynnette siedziała na dolnej pryczy, w jednym ręku trzymała Biblię, w drugim paczkę chipsów. Garbiła się jak staruszka. Wyraz rezygnacji na jej twarzy zdradzał, że przestała się już martwić o własne bezpieczeństwo.

– Co się z nią stało?

– Obawiam się, że nie żyje, proszę pani.

Tętno Lynnette pozostało ślimaczo powolne. Potem w jej oczach zabłysło rozbawienie.

– Powiedziałem coś śmiesznego, proszę pani? – spytał Milo.

Lynnette uśmiechnęła się do niego krzywo.

– Tylko to: „proszę pani”. Więc jak, ktoś ją załatwił?

– Nie wiemy.

– Może jej chłopak.

– Co to za chłopak?

– Nie wiem. Powiedziała mi, że ma chłopaka i że jest bardzo mądry.

– Kiedy to pani powiedziała? – dociekał Milo.

Lynnette podrapała się w rękę.

– To musiało być dawno. – Spojrzała na Petrello. – Nie wtedy, kiedy ostatnio tu byłam, może kilka tygodni wcześniej?

– Kilka miesięcy – powiedziała Petrello.

– Jeździłam. Tak. To musiało być kilka miesięcy temu.

– Jeździła pani? – powtórzył Milo.

Lynnette się uśmiechnęła.

– Zwiedzałam Stany. Tak, to musiało być kilka miesięcy... sześć, siedem, nie wiem. Zapamiętałam to, bo pomyślałam, że to jakaś bzdura. Bo kto by ją chciał? Takiego śmierdziela.

– Nie lubiła jej pani.

– A co miałam lubić? – zachnęła się Lynnette. – Była stuknięta, zaczynała z człowiekiem rozmawiać, a potem jej odwalało, zaczynała chodzić w kółko, gadać do siebie.

– Co jeszcze mówiła o swoim chłopaku? – spytał Milo.

– Tylko tyle.

– Mądry.

– Aha.

– Nie powiedziała, jak się nazywa?

– Nie.

Milo podszedł bliżej do pryczy. Dianę Petrello wsunęła się między niego i Lynnette, więc się cofnął.

– Jeśli może nam pani powiedzieć coś o jej chłopaku, byłbym bardzo wdzięczny.

– Nic nie wiem – odparła Lynnette. – Powiedziała, że był mądry – dodała sekundę później. – Chwaliła się. Że niby on jest mądry, więc ja też. Powiedziała, że ją stąd zabierze. – Wydeła wargi. – Jasne.

– Z Domu Gołębicy?

– Stąd. Od tego życia. Z ulicy. Więc może to zrobił. I proszę, co jej to dało.

Wróciliśmy do samochodu.

– I co myślisz? – spytał Milo.

– Ema Murphy lubiła ładną sztukę – powiedziałem. – To mogłoby ją powiązać z kimś takim, jak Kevin, samozwańczy krytyk. Obrazy Julie Kipper z całą pewnością można nazwać ładnymi. Ernę by do nich ciągnęło. Może wysłał ją na wystawę. Wykorzystał do odwrócenia uwagi.

– CoCo Barnes otwiera tylne drzwi i może zapomina je zamknąć. – Milo potarł twarz. – Wariatka zwiadowca. Myślisz, że mógł wykorzystać Ernę do czegoś więcej? A jeśli kazał jej wykończyć Julie? Ema była dość potężna, żeby ją obezwładnić, zwłaszcza w ciasnej toalecie. To by też tłumaczyło brak nasienia i śladów gwałtu. A przed chwilą się dowiedzieliśmy, że miała przebłyski jasnego myślenia.

– Stosunkowo jasnego – powiedziałem. – Morderstwo Julie było za dobrze zaplanowane i przemyślane, żeby być dziełem wariata. Na miejscu nie został nawet ślad żadnego dowodu. Erna nie mogła być aż tak dokładna. Nie, nie sądzę, żeby to było możliwe. Myślę, że chodzi o coś więcej: E. Murphy, recenzja koncertu Wasilija Lewicza rok temu. Styl kwiecisty, ale nie aż tak zagmatwany, żeby to mogła być Erna. Ktoś przywłaszczył sobie jej imię i nazwisko.

– Mądry chłopak – powiedział Milo. – Lynnette była pewna, że Erna bredzi.

– W sensie romantycznego związku na pewno. Ale jakiś związek był. Zainteresowanie Emy sztuką, to, że była wykształcona i co jakiś czas umiała się ładnie wysłowić, to wszystko mogło pociągać kogoś takiego jak Kevin. Tragiczna postać, która stoczyła się na samo dno, wyrzutek ostateczny. Zdarzają się jeszcze idioci, którzy zazdroszczą wariatom. Ale cokolwiek ich łączyło, Kevin cały czas zachowywał dystans. Jego gospodyni nigdy nie widziała Erny, nie skojarzył ich też nikt z ludzi, z którymi rozmawiała Petra.

– Idealizuje ją, a potem zabija.

– Przestała pasować do jego wizji świata, stała się zagrożeniem.

– Cynizm – stwierdził Milo. – To tylko łączy te wszystkie sprawy. Chłód serca. Jak w tej piosence Baby Boya. Kupiłem jedną jego płytę, posłuchałem, próbowałem coś wymyślić.

– Udało się?

– Był cholernie dobry, nawet taki przygłuchy filistyn jak ja usłyszał, ile duszy wkładał w swoją gitarę. Ale nic nie wymyśliłem. Wiedziałaś, że jesteś wymieniony na wkładce płyty?

– O czym ty mówisz?

– Małym drukiem, na samym dole, gdzie Lee dziękuje wszystkim od Jezusa począwszy na Robercie Johnsonie skończywszy. Robin też tam jest. Nazwał ją piękną panią od gitar”, podziękował za to, że jego instrumenty są dzięki niej szczęśliwe. A potem dopisał ciebie. Coś w stylu: „Dzięki doktorowi Aleksowi Delaware za to, że uszczęśliwia panią od gitar”.

– Minęło trochę czasu, odkąd to była prawda.

– Przepraszam – powiedział Milo. – Myślałem, że cię to rozbawi. Ruszyłem na zachód Hollywood Boulevard. Zatrzymały nas roboty drogowe. Drogowcy w kaskach biegali jak w amoku. Ojcowie miasta odmładzali Hollywood. Może któregoś dnia takie Hollywood, jakiego sobie życzyli, powstanie – lśniące, sterylne, sfranszyzowane. Na razie jednak splendor i blask sąsiadowały tu z ruiną i niespokojnym rozchwianiem.

Kilka kilometrów dalej na północ, na wzgórzach, stał znak Hollywood, pod którym kilkadziesiąt lat temu pewna gwiazdka zakończyła swój żywot i pod którym zostawiono zwłoki Chiny Marangi. Nie zaproponowałem, żebyśmy tam pojechali, Milo też nie. To wszystko zdarzyło się zbyt dawno, by miało jakieś znaczenie.

Dowleliśmy się do Vine Street.

– Erna – powiedział Milo. – Kolejna wywłaszczona dusza.

– Wykorzystuje ich – powiedziałem. – O to właśnie w tym wszystkim chodzi.

Encino. Petra przetrawiała szczegóły telefonu od Mila. Identyfikacja E. Murphy oznaczała, że morderstwo rudej też spadnie na nią. Zadzwoiła do Erica Stahla i streściła mu sytuację.

– W porządku – powiedział swoim doprowadzającym do furii, bezbarwnym tonem: nic nie robi na mnie wrażenia.

– Dalej zamierzasz wypatrywać Kevina? – spytała Petra.

– To chyba strata czasu.

–Dlaczego?

– Nie sądzę, żeby miał zamiar szybko się tu pojawić. Zresztą jak chcesz.

– Ciągłe obserwuję dom jego rodziców. Jak na razie nic się nie dzieje, ale chcę jeszcze zaczekać. Powinniśmy jednak zacząć sprawdzać Ernę Murphy. Jeśli naprawdę uważasz, że z miejscówki Kevina nic nie będzie, możesz się tym zająć.

– Jasne.

Cisza.

Petra zaczęła.

– Od czego mam zacząć? – spytał.

– Jak zwykle, bazy danych... czekaj, właśnie podjechała pod dom jakaś kobieta, to może być matka Kevina... Nie wygląda na najszcześliwszą... Rób to, co zwykle, Erie, zadzwonię później.

Petra została w swojej hondzie i patrzyła, jak kobieta wysiada z błękitnej corvette'y. To był ten niski, przykryty plandeką samochód, który ona i Stahl widzieli podczas pierwszej wizyty w domu Franklina Drummonda.

Czerwona honda była zarejestrowana na Annę Martinez – latynoską służącą, najwyraźniej mieszkającą z Drummondami, pozostałe trzy samochody na Franklina Drummonda. Na co dzień jeździł szarym baby benzem, corvette była wozem pani Drummond, a białym explorerem nikt chyba nie zawracał sobie głowy. Może jeździli nim dwaj młodszy synowie, kiedy przyjeżdżali w odwiedziny.

Kevin miał tani samochód. Nie był ulubieńcem rodziców.

Kobieta poprawiła włosy, zakręciła tyłkiem i włączyła alarm w corvecie. Była w średnim wieku, wysoka, szczupła i długonoga. Miała twarz o grubych rysach – prostą, ale niepozbawioną uroku – włosy ufarbowane na jasnopomarańczowo. Taki sam kolor włosów miała Erna Murphy, czy to nie



interesujące, doktorze Freud? Ubrana była w luźny, biały, wyszywany górskimi kryształami sweter, podkreślający biust, czarne legginsy z paskami pod stopę i sandały bez pięty na przezroczystych obcasach.

*Fuck-me* buty. Podstarzała puszczańska?

Czyżby mama Kevina bzykała się z kimś innym niż jego tata?

Petra patrzyła, jak kobieta podchodzi do frontowych drzwi, grzebie przez chwilę w torebce od Gucciego i wyciąga z niej klucze.

To na pewno matka Kevina. Nie odziedziczył przecież swojej postury po zbudowanym jak hydrant ojcu.

Samochód, obcasy i cała reszta mówiły, że mama lubi się bawić. Była kobietą świadomą swojej seksualności. Jeszcze jeden składnik wybuchowej, rodzinnej mieszanki – Petra mogła sobie tylko wyobrazić, jak wyglądało dzieciństwo Kevina.

Tego popołudnia mama wyglądała żałośnie. Spięta. Sztywny kark, skrzywione usta. Upuściła klucze, nachyliła się i je podniosła.

Petra wysiadła z samochodu, kiedy kobieta wycelowała kluczem w zamek. Podeszła do niej, zanim zdążyła go włożyć i przekręcić.

Kobieta się odwróciła. Petra błysnęła swoją odznaką.

– Nie mam wam nic do powiedzenia. – Głos palaczki. Z ubrania rudej bił zapach papierosów zmieszany z Chanel 19.

– Pani Drummond? – spytała Petra.

– Terry Drummond. – Strach w głosie.

– Czy możemy porozmawiać o Kevinie?

– Nie ma mowy – odburknęła pani Drummond. – Mąż mnie uprzedził, że będziecie się tu kręcić. – Nie muszę z panią rozmawiać.

Petra się uśmiechnęła. Kryształy na swetrze Terry układały się w zarys sylwetek dwóch całujących się terrierów. Jakże to słodkie.

– Oczywiście, że nie, pani Drummond. Ale nie przyjechałam pani przesłuchiwać.

Ręka Terry Drummond, trzymająca klucz, zeszywniała.

– Może to pani nazywać, jak pani chce. Wchodzę do środka.

– Proszę pani, nikt nie widział Kevina od prawie tygodnia. Jako jego matka chyba się pani niepokoi.

Petra przyjrzała się jej dokładnie, szukając czegoś, co zdradziłoby, że Kevin się z nią kontaktował.

W oczach Terry Drummond błysnęły łzy. Piuwne oczy ze złotymi plamkami. Piękne, mimo agresywnego makijażu. Petra zweryfikowała swoją pierwszą opinię. Grube rysy twarzy – ale i tak Terry była bardziej niż atrakcyjna; nawet zmartwiona, emanowała zmysłowością. Jako młoda kobieta musiała być powalająco seksowna.

Jak to jest, mieć taką matkę?

Petra nic nie wiedziała o matkach: jej własna umarła przy jej porodzie.

Rozluźniła się, dała Terry Drummond czas na zastanowienie. Terry miała na sobie sporo biżuterii, na serdecznym palcu pierścionek z trzykaratowym kamieniem. Z bliska torebka od Gucciego wyglądała na autentyk.

Petra wyobraziła sobie Terry jako kogoś, kto na ponętne ciało i powłóczyście spojrzenia złapał w swe sidła robiącego karierę prawnika. Kogoś, kto wspiał się kilka szczebli w górę podrabianie towarzyskiej, pewnie porzucił jakąś kiepsko płatną pracę, wychował trzech synów i pogрузił się w spokojnym i nieco nudnym macierzyństwie tylko po to, by widzieć, jak najstarszy syn okazuje się... inny.

A teraz była przerażona. Kevin nie zadzwonił do domu.

– Na pewno się pani martwi – powiedziała Petra. – Nikt nie mówi, że Kevin jest o coś oskarżony, po prostu musimy z nim porozmawiać. Może grozi mu niebezpieczeństwo. Proszę pomyśleć: czy wcześniej tak znikał? Nie uważa pani, że to ważne, żebyśmy go odnaleźli?

Terry Drummond powstrzymała łzy.

– Jeśli ja nie wiem, gdzie jest, jak wy chcecie go znaleźć?

– Od jak dawna go nie ma, proszę pani?

Terry pokręciła głową.

– Więcej nic nie powiem.

– Wie pani, dlaczego się nim interesujemy?

– Chodzi o morderstwo. To niedorzeczne. Kevin jest łagodny. – Głos Terry uniósł się przy ostatnim słowie. Wzdrygnęła się. Petra miała wrażenie, że ktoś użył go kiedyś jako obelgi w stosunku do Kevina.

Ten łagodny.

– Jestem pewna, że tak, pani Drummond.

– Więc dlaczego nas dręczycie?

– Wcale nie chcemy. Na pewno zna pani Kevina lepiej niż ktokolwiek inny. Troszczy się pani o niego. Więc jeśli się z panią skontaktuje, da mu pani dobrą radę.

Terry się rozplakała.

– Dlaczego to trafiło na mnie? Dlaczego? Gdyby mój szwagier idiota nie poszczuł was na Kevina, nie spotkałoby mnie to. Dlaczego jemu się nie przyjrzyście?! Już zabił dwie osoby!

– Randolph?

– Żonę i dziecko, wstrętny pijaczyna – prychnęła Terry. – Frank zawsze powtarzał Randy'emu, żeby przestał pić. Prawie nas zrujnował przez pozwy. Tylko dlatego, że Frank jest taki bystry, udało nam się wybrnąć z kłopotów. Teraz pani widzi, dlaczego Randy się na nas wziął.

– Randy potwierdził tylko, że jest wujem Kevina – odparła Petra. – Zresztą i tak byśmy się tego dowiedzieli.

– Dlaczego? Dlaczego dręczycie moje dziecko? Kevin jest dobry, jest mądry, jest łagodny, nigdy by nikogo nie skrzywdził.

Terry cała zeszywniała, więc Petra zmieniła temat.

– Czy Kevin miał przyjaciółkę Emę Murphy?

– Kogo?

Petra powtórzyła.

– Nigdy o niej nie słyszałam. Kevin nie miał żadnych... nie znam jego żadnych przyjaciół.

Aspołeczny Kevin. To wyznanie sprawiło, że Terry zbladła. Próbowwała jakoś z tego wybrnąć.

– Dzieci się wyprowadzają, idą własną drogą. Zwłaszcza twórcze jednostki potrzebują swobody.

Zabrzmiało to jak wielokrotnie powtarzane usprawiedliwienie. .

– Tak, to prawda – przyznała Petra.

– Ja maluję – oznajmiła Terry. – Zaczęłam brać lekcje i właśnie potrzebuję swobody.

Petra skinęła głową.

– Proszę. Niech mnie pani zostawi w spokoju – jęknęła Terry.

– To moja wizytówka. Niech pani przemyśli to, co powiedziałam. Dla dobra Kevina.

Terry zawahała się, ale wzięła wizytówkę.

– Jeszcze jedno. Może mi pani powiedzieć, dlaczego Kevin mówił na siebie Jurij?

Terry uśmiechnęła się niespodziewanie, olśniewająco i zrobiła się piękna. Dotknęła piersi, jakby przypominając sobie, kogo nią wykarmiła.

– Jest taki słodki. Taki mądry. Powiem pani i sama pani wtedy zrozumie, jak bardzo się co do niego mylicie. Kiedy Kevin był mały... nawet malutki był bystry... Frank opowiadał mu o kosmicznym wyścigu. O Sputniku, który był wielkim wydarzeniem, kiedy on sam był małym chłopcem. Rosjanie polecili pierwsi w kosmos, pokazali nam, Amerykanom, że zrobiliśmy się miękcy i leniwi. Frank bez przerwy opowiadał Kevinowi takie rzeczy. Kevin jest jego pierworodnym i spędzali ze sobą dużo czasu: Frank zabierał go do muzeów, parków, nawet do kancelarii, wszyscy nazywali Kevina małym prawnikiem, bo tak świetnie mówił. W każdym razie Frank opowiadał Kevinowi o Rosjanach, Sputniku i rosyjskim astronautcie... jak oni ich tam nazywają? Kostno coś tam...

– Kosmonautami.

– Kosmonauci pokonali astronautów, pierwszy w kosmosie był Jurij Jakiśtam. A Kevin, chociaż taki malutki, słuchał Franka, a kiedy Frank skończył, zapiszczał: „Tato, ja też chcę być pierwszy. Chcę być Jurij”. Terry znów zalała się łzami. Palce o długich paznokciach zaczęły szarpać kryształowego teriera. – Potem za każdym razem, kiedy zrobił coś dobrze, na przykład dostał dobry stopień w szkole, nazywałam go Jurijem. Bardzo to lubił. Znaczyło, że dobrze się spisał.

Dwie wiadomości na sekretarce.

Allison, dwie godziny temu. Robin, kilka minut później. Obie prosiły, żebym oddzwonił, kiedy tylko będę mógł. Zatelefonowałem do hotelu Allison. Odebrała po czwartym dzwonku, zdyszana.

– To ty, wspaniale. Byłam już za drzwiami.

– Zły moment?

– Nie, nie, świetny moment. Szłam na następne seminarium.

– Jak konferencja?

– W Boulder jest ładnie – powiedziała. – Rzadkie powietrze.

– Rzadkie, gorące powietrze?

Zaśmiała się.

– Było kilka dobrych wykładów, spodobałyby ci się. Zaburzenie stresowe potraumatyczne u ofiar terroryzmu, badania nad depresją u dzieci... Jak wasza sprawa?

– Bez wielkich postępów.

– Przykro mi... Szkoda, że cię tu nie ma. Moglibyśmy poszaleć na stokach.

– Ciągle śnieg?

– Ani spłachetka. Odwołałam Filadelfię, wracam jutro wieczorem. Chcesz się spotkać?

– Pewnie.

– Rodzice Granta nie byli urażeni. Prawdę mówiąc, sprawiali wrażenie, jakby im ulżyło. Wszyscy wiedzą że czas już zerwać pewne więzy. Mam wziąć taksówkę prosto z lotniska?

– Mogę po ciebie wyjechać.

– Nie, pracuj nad sprawą. Powinnam zdążyć na ósmą.

– Coś ugotować?

– Jeśli chcesz, ale niekoniecznie. Tak czy inaczej coś przekąsimy.

Odwlekałem telefon do Robin. Kiedy w końcu się zdecydowałem i usłyszałem napięcie w jej głosie, pożałowałem, że nie zadzwoniłem od razu.

– Dzięki, że oddzwoniłeś.

– Co się stało?

– Nie chciałam cię niepokoić, ale pomyślałam, że powinieneś wiedzieć... i tak byś się dowiedział. Ktoś włamał się do mnie do domu, zdemolował warsztat i ukradł kilka instrumentów.

– Boże, tak mi przykro. Kiedy to się stało?

– Wczoraj w nocy. Nie było nas, wróciliśmy po jedenastej, zobaczyliśmy, że palą się światła, a drzwi do warsztatu są otwarte na oścież. Policja przyjechała po trzech godzinach. Spisali raport, wezwali detektywów, ci spisali następny. Potem wezwali techników, wszędzie sprawdzali odciski palców. Obcy w moim domu... te wszystkie procedury, o których ty i Milo zawsze mówicie.

– Włamali się siłą?

– Tylne drzwi są zakratowane i zaryglowane, ale wyważyli je z zawiasów. Wygląda na to, że były przerdzewiałe. Alarm był włączony, ale detektywi powiedzieli, że kable musiały sparcieć, nie kontaktowały. To stary dom... Powinnam się tym zająć, ale właściciel mieszka w Lake Havasu, to wszystko trwa.

– Dużo poniszczyli?

– Zabrali trochę rzeczy, ale najgorsze jest to, że rozwalili wszystko, co leżało na wierzchu. Piękne, stare rzeczy, martina z mostkiem z kości słoniowej, mandolinę Lyon & Healy Clyde'a Buffuma, dwunastostrunową Stellę. Ubezpieczenie to pokryje, ale moi biedni klienci... te instrumenty znaczą więcej niż pieniądze... nie musisz tego wysłuchiwać, nie wiem, dlaczego zadzwoniłam. Tim założył nowe drzwi, potem musiał lecieć do San Francisco.

– Jesteś sama?

– Tylko na kilka dni.

– Zaraz u ciebie będę.

– Alex, nie... tak, przyjedź.

Czekała na mnie. Siedziała na białym, plastikowym krześle na swoim małym trawniku przed domem. Miała na sobie zielony sweter i dżinsy. Rzuciła mi się na szyję, zanim zdążyłem się przywitać.

– Zabrali gitary Baby Boya – aż drżała. – Rozmawiałam z Jackiem True, chciałam je kupić i dać tobie. Sprawdził w Christie's i powiedzieli mu, że nie są wiele warte. Zamierzał się zgodzić. – Spojrzała mi w oczy. – Wiedziałam, że byś się ucieszył. To miał być prezent ode mnie na twoje urodziny.

Jej urodziny wypadły w przyszłym miesiącu. Ja o nich nie pomyślałem. Poglądziłem ją po głowie.

– To słodkie, że pamiętałaś.

– To się najbardziej liczy, prawda? – Uśmiechnęła się i pociągnęła nosem. – Wejźmy do środka.

Jej salon wyglądał tak samo, brakowało w nim tylko kilku sztuk chińskiej porcelany.

– Detektywi mają ją jakieś pomysły? – spytałem.

– Gang. To nie mogli być zawodowcy. Zostawili sporo drogich rzeczy, cudownego d'angelico excela i F5 z lat czterdziestych... dzięki Bogu, że miałam je w szafce. Nie licząc gibsona Baby'ego, zabrali elektryki. Kilka fenderów z lat siedemdziesiątych, bas standella, les paula goldtop reissue.

– To, co ładnie wygląda. Gówniarze.

– To, co ukradli, i całe to bezmyślne zniszczenie świadczy o niedojrzałości, według detektywów. Tak robią dzieciaki, kiedy włamują się do szkół.

Na południe od Rose gangi działają dość aktywnie. Aż do teraz tego nie odczuwaliśmy.

„Na południe od Rose” oznaczało dwie przecznice stąd. Jeszcze jedna umowna granica L.A., równie prawdziwa jak film.

Możliwe, że Robin właśnie to sobie uświadomiła, bo znów zadrżała, przywarła do mnie mocniej i wtuliła twarz w moją koszulę.

– Tim wyjechał do jakiegoś nagłego wypadku? – spytałem.

– Nie chciał jechać, ale nalegałam. Ma kontrakt na pracę z dziećmi przy *Nędznikach*. Dwa tygodnie przygotowań przed premierą. Z dziećmi trzeba uważać, żeby nie nadwerężyły strun głosowych.

– Myślałem, że będziesz sama tylko przez kilka dni.

– Pojadę do niego, kiedy tylko się uporam z tym wszystkim.

Nic nie powiedziałem.

– Dzięki, że przyjechałeś, Alex.

– Pomóc ci przy sprzątnięciu?

– Nawet nie chcę tam wchodzić.

– To chodźmy gdzieś odetchnąć. Na kawę.

– Nie mogę wyjść z domu. Ma przyjść ślusarz.

– Kiedy?

– Powinien być godzinę temu. Po prostu ze mną posiedź. Proszę.

Przyniosła dwie cole. Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

– Ciasteczko?

– Nie, dziękuję.

– Samolub ze mnie. Na pewno jesteś zajęty.

– Gdzie będziesz dzisiaj spać?

– Tutaj.

– Dasz sobie radę?

– Chyba. Nie wiem.

– Zróbmy tak; kiedy założą już nowe zamki, posprzątam, przewieziemy instrumenty do mnie na przechowanie, a ty polecisz do San Francisco jeszcze dziś wieczorem.

Złożyła ręce na kolanach.

– Mogłabym tak zrobić – szepnęła.

A potem się rozplakała.

Kiedy była już gotowa stawić czoło zniszczeniom, weszliśmy do studia.

Idealny porządek Robin został zamieniony w totalny rozgardiasz. Oboje zaczęliśmy zamiatać i ustawiać, zbierać szczątki połamanych instrumentów, kołki i mostki. Ratowaliśmy, co się dało, a reszty się pozbyliśmy.

Rozwijałem i wyrzucałem porwane struny. Skaleczyłem się kilka razy o ich ostre końce, bo pracowałem szybko, na oślep.

Robin była zdyszana. Odkurzyła stół i usiadła na blacie.

– Wystarczy, zostaw – wyciągnęła rękę.

Stałem z miotłą w dłoniach.



– Chodź – powiedziała.

Odłożyłem miotłę i podszedłem do niej. Kiedy byłem już blisko, złapała mnie za szyję, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Odwróciłem głowę i jej usta otarły się o mój policzek. Jej śmiech zabrzmiał sucho.

– Tyle razy byłeś we mnie – powiedziała. – A teraz tak już nie wolno.

– Granice – odparłem. – Bez nich nie istniałaby cywilizacja.

– Czujesz się cywilizowany?

– Niespecjalnie.

Objęła mnie i pocałowała, mocniej. Tym razem pozwoliłem, żeby jej język wślizgnął się do moich ust. Poczulem, jak twardnieję. Uczucia zostały gdzieś daleko.

Wiedziała o tym. Dotknęła mojego policzka otwartą dłonią i przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Ale ona po prostu się odsunęła.

– W głębi ducha – powiedziała – zawsze byłeś grzecznym chłopcem.

– Dlaczego to nie brzmi jak komplement?

– Bo jestem przerażona, sama i niepotrzebne mi są granice. Skuliła się. W jej spojrzeniu mieszały się dziwnie chłód i ból.

– Tim mówi, że mnie kocha – szepnęła. – Gdyby tylko wiedział... Alex, poniosło mnie. Proszę, uwierz mi: kiedy do ciebie dzwoniłam, naprawdę chciałam tylko, żebyś mnie pocieszył. I powiedzieć ci o gitarach Baby Boya. Boże, to chyba najbardziej mnie martwi w tym całym włamaniu. Naprawdę chciałam, żebyś je miał, chciałam coś dla ciebie zrobić. – Roześmiała się. – A najzabawniejsze jest to, że sama nie wiem dlaczego.

– To, co nas łączyło, nie zniknie tak po prostu.

– Myślisz o mnie czasem?

– Oczywiście.

– Ona wie?

– Allison nie jest głupia.

– Ja bardzo się staram o tobie nie myśleć – wyznała. – Zwykle mi się udaje. Jestem szczęśliwa częściej, niż ci się wydaje. Ale czasami nie mogę się ciebie pozbyć. Zwykle sobie radzę. Tim jest dla mnie dobry. Rozejrzała się po zdemolowanym studiu. – Duma, upadek. Naprawdę nie obudziłam się wczoraj z myślą: „Hej, dziewczyno, co powiesz na odrobinę rozpaczki?” – Znów się roześmiała,

tym razem żywiej. Delikatnie pogładziła mnie po twarzy. – Wciąż jesteś moim przyjacielem.

– Jestem.

– Powiesz jej? O tym, że tu byłeś?

– Nie wiem.

– Chyba nie powinieneś. Czego oczy nie widzą... Nie, żebyś zrobił coś złego. *Au contraire*. Więc nie ma o czym opowiadać. Taka jest moja rada. Rada dziewczyny.

Gang. Teoria dobra jak każda inna. Tak czy inaczej chciałem, żeby Robin poleciała do San Francisco.

Wciąż byłem podniecony. Ustawiając się tak, żeby tego nie zauważyła, podszedłem do szafki, w której trzymała swoje najdroższe instrumenty.

– Załadujmy wszystko na twoją ciężarówkę.

Struna gitarowa – powiedziałem.

Milo, Petra i Erie Stahl spojrzeli na mnie, nie rozumiejąc. Urządziliśmy drugą naradę. Nie w indyjskiej restauracji, tylko w małej salce konferencyjnej na posterunku West L.A. Była siódma rano i dzwoniły telefony.

Przyszło mi to do głowy, kiedy sprzątałem studio Robin i zbierałem struny.

– Cholera – zaklął Milo, kiedy powiedziałem mu o włamaniu. – Pogadam z Pacific, dopilnuję, żeby się tym zajęli na poważnie.

– Rozmiar, faktura – ciągnąłem. – Sprawdźcie, czy niska struna E albo A nie pasuje do śladów na szyjach Juliet Kipper i Wasilija Lewicza. Poza tym to by potwierdzało teorię, że facet, którego szukamy, jest niespełnionym artystą.

– Gra na nich – szepnęła Petra.

Milo mruknął coś pod nosem, otworzył akta sprawy, znalazł zdjęcia i rozdał je wszystkim. Stahl przyjrzał się im bez komentarza.

– Ciężko coś powiedzieć na podstawie tych zdjęć. – Kupię jakieś struny, zawiozę je do koronera. Jakies konkretne? – spytała Petra.

Pokręciłem głową.

– Artysta. Ciekaw jestem, czy Kevin miał u siebie jakieś struny – zastanawiał się Milo.

Stahl wbił wzrok w podłogę.

– Rozmawiałam z jego matką – oznajmiła Petra. – Była bardzo spięta, ale nic nowego nie powiedziała. Kevin jest łagodny i tak dalej. To, jak bardzo była zmartwiona, może świadczyć, że nie ma pojęcia, gdzie jest jej syn. Albo że ma. Jedna rzecz zwróciła moją uwagę: ma ogniście rude włosy.

– Jak Erna Murphy – powiedział Milo. – Interesujące. Co o tym myślisz, Alex? Kompleks Edypa?

– Jaka jest matka Kevina? – spytałem.

– Cycata, seksowna, krzykliwie się ubiera. Raczej bez klasy. Musiała być ładna, kiedy była młoda. Za bardzo nie przytyła – opisała ją Petra.

– Uwodzicielska?

– Na pewno mogłaby taka być. Nie wychwyciłam żadnych dziwnych wibracji między nią a

Kevinem, ale rozmawialiśmy może ze trzy minuty. Ta pani zdecydowanie nie chciała ze mną rozmawiać.

– Możliwe, że włosy Erny coś Kevinowi przypominały.

– Struna – powiedział Milo. – Co jeszcze, okaże się, że dźgał ich smyczkiem od skrzypiec? Kevin ma za sobą sporo falstartów. Ciekawe, czy próbował zostać herosem gitary.

– Wejźmy do jego mieszkania – zaproponowała Petra. – Pod pretekstem, że ulatnia się gaz czy coś takiego, poprosimy, żeby jego gospodyni poszła to sprawdzić. A my pójdziemy z nią, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Zajmę się tym – odezwał się Stahl.

– Co do włamania – wtrącił Milo. – Imię i nazwisko Robin pojawiło się we wkładce jednej z płyt Baby Boya, a ukradli jego gitary.

Ujął w słowa to, co mnie gnębiło.

– Ty też tam byłeś, Alex.

– To była długa lista. A nawet, jeśli coś w tym jest, nie mam się czego obawiać. Nie jestem artystą. Zamierzasz zadzwonić do Robin?

– Nie chciałbym jej niepotrzebnie straszyć, ale powinna być ostrożna. Dobrze, że pojechała do San Francisco... Tak, zadzwonię do niej. Gdzie się zatrzymała?

– Nie wiem. Jej facet pracuje z jakimiś dziećmiaki przy *Nędznikach*, chyba bez problemu ich znajdziemy.

Milo się skrzywił i spojrzał na okładkę swojego notesu.

Jej facet.

Zegar na ścianie wskazywał dziesięć po siódmej. Jeśli samolot Allison się nie spóźnił, powinna lądować za dwadzieścia minut.

– Co nowego na temat Erny Murphy? – spytał Milo.

– Nie była karana, nie przebywała w żadnym szpitalu stanowym – odparł Stahl.

– Nie udało nam się znaleźć jej rodziny, żeby ją powiadomić – dodała Petra.

– Większość stanowych szpitali psychiatrycznych została zamknięta dawno temu – powiedziałem. – Możliwe, że w którymś była, ale nie mamy jak tego sprawdzić.

– Jestem otwarty na sugestie, doktorze – oświadczył Stahl.

– Nawet jeśli była w Camarillo albo innym takim miejscu, to nam nic nie mówi. I tak wiemy, że była umyślowo chora – stwierdził Milo. – Potrzeba nam czegoś świeższego, co łączyłoby ją z Drummondem. Nie była nigdy notowana?

Stahl pokręcił głową.

– Nie ma nawet mandatu. Nigdy nie zrobiła prawa jazdy.

– To pewnie oznacza, że była chora od dość dawna – stwierdziłem.

– Chora, ale bystra i wykształcona? – zdziwił się Milo.

– Chorzy umyślowo często boją się prowadzić samochód.

– Sama się czasami boję – wyznała Petra.

– A jakie dokumenty, dla odmiany, ma? – spytał Milo.

– Numer ubezpieczenia społecznego – odparł Stahl. – Stanowa opieka społeczna twierdzi, że Erna trafiła do nich osiem lat temu, ale nie zgłaszała się po zasiłek. Jedyne świadectwo jej zatrudnienia, jakie znalazłem, pochodzi z wakacji jeszcze osiem lat wcześniej. Pracowała w McDonalddie od czerwca do sierpnia.

– Szesnaście lat temu – powiedział Milo. – Miała siedemnaście lat. To była wakacyjna praca w liceum. Gdzie?

– W San Diego. Chodziła tam do Mission High. Szkoła ma w archiwum nazwiska jej rodziców: Donald i Colette Murphy, ale nic poza tym. Wydział Geodezji hrabstwa powiedział, że Donald i Colette mieszkali w tym samym domu przez dwadzieścia jeden lat, potem go sprzedali, dziesięć lat temu. Nie wiadomo, dokąd się przeprowadzili. Nigdzie nie ma nic, co by wskazywało, że kupili inny dom. Pojechałem tam. Mieszkają tam cywilni pracownicy wojskowi. Emerytowani podoficerowie. Nikt nie pamięta Murphych.

– Może kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, wynieśli się ze stanu – zastanawiał się Milo. – Byłoby dobrze ich znaleźć, dla ich własnego dobra. – Skrzywił się lekko: wyobraził sobie kolejny telefon ze złymi wieściami. – Ale z tego wszystkiego wynika, że Erna już od dawna była chora i bezdomna, więc wątpię, żeby mogli nam powiedzieć coś istotnego. – Spojrzał na mnie, oczekując potwierdzenia.

– Brak więzów społecznych – powiedziałem – czynił z Erny idealną towarzyszkę dla naszego Kevina. To był ktoś, komu mógłby się zwierzać bez obaw, że przekaże to innym. Ktoś, kogo mógłby zdominować, czyją tożsamość mógłby pożyczać.

– Brak więzów czynił ją również łatwą ofiarą. – Petra strzepnęła nieistniejący pyłek z kłapy swojej czarnej garsonki. – Co teraz? – spytała Mila.

– Może znów odwiedzimy rodziców Kevina? – odparł. – Potrząśniemy rodzinnym drzewkiem i zobaczymy, co spadnie.

– Nie w tej chwili – powiedziała. – Tata Drummond jest wrogo nastawiony, dał bardzo jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nami nic wspólnego. Możliwe, że udałoby się dotrzeć do mamy Drummond, ale mąż jej pilnuje. A to, że jest adwokatem, sprawia, że cała sprawa jest trudniejsza, niż zwykle. Jeden fałszywy ruch i narobi hałasu, i szlag trafi cały łańcuch dowodowy. Gdybyśmy mieli więcej ludzi, zaproponowałabym obserwację jego domu. W zamian poszukam jeszcze trochę na ulicach. Może znajdę kogoś, kto pamięta Emę albo Kevina. – Zerknęła na Stahla. – Nie zaszkodzi spróbować znaleźć jej rodziców.

– Donald i Coiette – powiedział. – Poszukam w całym kraju.

– Struna – powtórzył Milo. – Jak na razie fałszujemy.

– Jak na razie nie wiemy nawet, jaka to piosenka.

Allison przyjechała taksówką, spóźniona półtorej godziny, świeżo umalowana, ale widocznie zmęczona. Na grillu przypiekałem właśnie kilka steków, zrobiłem spaghetti z oliwą z oliwek i czosnkiem saute i mieszałem sałatkę.

– Nie miałam racji – powiedziała Allison. – Jedzenie domowe to świetny pomysł.

– Nie dawali orzeszków w samolocie?

– Mieliśmy szczęście, że w ogóle wylądowaliśmy. Jakiś facet się upił i zaczął rozrabiać. Przez chwilę zdawało się już, że będzie nieprzyjemnie. W kilka osób go obezwładniliśmy i w końcu zasnął.

– My?

– Trzymałam go za nogę.

– Sheena, Królowa Dżungli.

Allison napięła biceps.

– Byłam przerażająca.

– Dzielna dziewczynka – powiedziałem, obejmując ją.

– Kiedy przychodzi co do czego, nawet nie myślisz. Po prostu działasz... Muszę usiąść. Czy w menu mamy wino?

Długo jedliśmy, rozmawialiśmy i zaczynało nam powoli szumieć w głowach. Później nago, w łóżku, objęliśmy się i nie kochając się, zasnęliśmy. Obudziłem się o czwartej rano, zobaczyłem, że miejsce Allison jest puste, zacząłem jej szukać.

Siedziała w półmroku kuchni, ubrana w jedną z moich koszulek. Piła rozpuszczalną, bezkofeinową kawę. Niedbale związane włosy, twarz bez makijażu, gołe nogi – gładkie i białe na tle ciemnej dębowej podłogi.

– Przetawiły mi się biorytmy – powiedziała.

– Po Kolorado?

Wzruszyła ramionami. Usiadłem.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale chodziłam po domu, próbowałam się zmęczyć, żeby zasnąć... Skąd się wzięły te wszystkie gitary w gościnnym pokoju?

Powiedziałem jej.

– Biedna Robin, co za szok. To było miłe z twojej strony.

– Uważałem, że tak należało zrobić.

Kosmyk jej czarnych włosów wysunął się z kucyka. Założyła go za ucho. Miała przekrwione oczy. Bez makijażu wyglądała na trochę zmęczoną, za to młodziej.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w usta. Oboje mieliśmy kwaśny oddech.

– Więc poleciała do San Francisco?

– Aha.

– Dobrze zrobiłeś, że jej pomogłeś. Teraz zrób coś dla mnie. Wstała, skrzyżowała ramiona i zdjęła koszulkę, odsłaniając swe szczupłe białe ciało.

Wstałem o siódmej, obudzony jej delikatnym chrapaniem. Patrzyłem, jak jej pierś unosi się i opada, przyglądałem się bladej, ślicznej twarzy wciśniętej między poduszki. Usta miała otwarte w grymasie, który mógłby być śmieszny. Dłonie o długich palcach zacisnęła na prześcieradle.

Mocno. Oczy poruszały się gwałtownie pod powiekami. Sny. Sądząc po napiętych mięśniach, chyba nie za dobre.

Zamknąłem oczy. Przestała chrapać. Znow zaczęła. Kiedy przebudziła się i mnie zobaczyła, jej błękitne tęczęwki zamgliło zaskoczenie.

Uśmiechnąłem się.

– Och – powiedziała, patrząc na mnie jak na nieznanego. A potem:

– Dzień dobry, kochanie. – Przetarła oczy. – Chrapałam?

– Ani trochę.

Od samego rana miała poumawianych pacjentów, więc wyszła o ósmej. Ogarnąłem się trochę, pomyślałem o Robin w San Francisco, o zaginionych instrumentach Baby Boya i o tym, co to wszystko może znaczyć, jeśli w ogóle coś znaczy.

Trzy przecznice na południe gangi wciąż działają...

Ale gibbon Baby'ego był jedyną akustyczną gitarą którą ukradziono.

Zadzwonił telefon.

– Ślady otarć na szyjach Julie i Lewicza pasują idealnie do cienkiej, niskiej struny E – powiedział



Milo. – Co to oznacza?

– Że w tych morderstwach nic nie było przypadkowe – odparłem. – I to mnie martwi. Rozmawiałeś z detektywami z Pacific o włamaniu do Robin?

– Uważają to za rutynowy włam.

– Są dobrzy?

– Średni. Ale nie ma powodu twierdzić, że nie mają racji. W okolicy Robin to się zdarza dość często.

Pomyślałem o tym, że Robin mieszkała ze mną w Glen. Droższa okolica. Bezpieczniejsza. Tyle o ile. Kilka lat temu psychopatyczny morderca spalił nasz dom.

Nasz dom...

– Poprosiłem, żeby przez następne kilka tygodni wysyłali tam patrole – powiedział Milo.

– Jak zwykle przejadą obok dwa razy dziennie?

– Tak, wiem, ale to lepsze niż nic. Podąłem im też numery wozu Kevina Drummondą poprosiłem, żeby go wypatrywali. Na razie Robin jest w San Francisco, więc się nie martw. Stahl i gospodyni weszli wczoraj wieczorem do mieszkania Kevina. Zbiera zabawki i pisma, ma sporo sprzętu komputerowego. Żadnych gitar, żadnych strun, żadnych makabrycznych trofeów, nic podejrzanego. I ani jednego numeru „GrooveRat”. To akurat intrygujące.

– Zacierają ślady – powiedziałem. – Albo trzyma swoje rzeczy gdzie indziej.

– Stahl obdzwaniania wszystkie przechował.

– Ciekaw jestem, czy nie był tam już drugi raz.

– To znaczy?

– Normalnie zachowuje się jak posąg, nic go nie wzrusza. Wczoraj, kiedy wspomniałeś o wejściu do mieszkania, wbił wzrok w podłogę.

– Naprawdę? To dziwny facet... W pismach była gejowska pornografia. Ostra. Stahl mówi, że Kevin mieszkał w spartańskich warunkach, miał niewiele ubrań, żadnych osobistych rzeczy. Albo zmył się na dobre, albo ma jakieś inne miejsce.

– Albo w grę wchodzi psychologiczny rozkład – myślałem na głos. – Zamyka się w sobie. Pluje na wartości swoich rodziców.

– Petra postanowiła, że jeszcze raz spróbuje z nimi pogadać, konkretnie z ojcem. Jadę do biurowca Eva Kipperera, zobaczę, czy nie dowiem się czegoś więcej o jego dziewczynie. Zadzwoił do mnie

jeden z jego sąsiadów. Twierdzi, że stary Ev wyglądał ostatnio na bardzo złego. Tłukł się do późna w nocy. Sąsiedzi boją się wezwać policję. Dziewczyna też wyglądała nieszczególnie przez ostatnie kilka dni, jadała sama. Nie widzę w tym żadnego powiązania z naszą sprawą ale nie mam też żadnych innych tropów. Im dłużej myślę o Ernie Murphy, tym więcej chcę o niej wiedzieć, ale jak dotąd Petra dowiedziała się tylko tego, że kilku sprzedawców pamięta ją z ulicy. Nie miała kolegów ani chłopaka, zawsze była sama.

– A ta lekarka, którą ludzie z Domu Gołębiczy wezwali, kiedy zakrwawiła pościel? Możliwe, że Erna się przed nią otworzyła.

– Ludzie z Domu Gołębiczy powiedzieli, że widziały się tylko raz.

– Ludzie z Domu Gołębiczy przyznali, że nie mają kontaktu z kobietami, które opuszczają przytułek. A Erny częściej w nim nie było, niż była. Jeśli znów się rozchorowała, może wróciła do lekarki, która się nią wtedy zajęła.

– Mamy tak mało poszlak... – powiedział Milo. – Równie dobrze można to sprawdzić... Zajmiesz się tym? Jadę właśnie do Century City.

– Jasne. Jak się nazywa ta lekarka?

– Sprawdzę w notatkach... jest... Hannah Gold.

– Zadzwońię do niej.

Zadzwońię do doktor Gold. Odebrał recepcjonista. Przedstawiłem się z tytułem.

– Ma pacjenta, panie doktorze – powiedział.

– Ja też chciałbym porozmawiać o pacjencie. Ernadine Murphy.

– Czy to nagły wypadek?

– To ważne.

– Chwileczkę. – Chwilę później: – Doktor Gold chce wiedzieć, o co chodzi.

– Ernadine Murphy została zamordowana.

– Och. Proszę poczekać.

Tym razem trwało to dłużej. W końcu odezwał się ten sam mężczyzna.

– Doktor Gold będzie wolna w południe. Może pan wtedy przyjechać.

Gabinet mieścił się w piaskowym bungalowie obok serwisu Fiata. Na prawo od drzwi wisiała

czarna, plastikowa tabliczka.

DR.MED. V<sub>R</sub>INDA S<sub>R</sub>INIVASAN

DR.MED. H<sub>A</sub>NNAH R. G<sub>O</sub>L D

DR.MED. A<sub>N</sub>GELA B. B<sub>O</sub>RELLI

M<sub>E</sub>DYCYNA WEWNĘTRZNA, P<sub>O</sub>ŁOŻNICTWO-GINEKOLOGIA

Z<sub>D</sub>ROWIE KOBIETY

Przyjechałem w południe, ale doktor Gold była zajęta. W poczekalni siedziały trzy pacjentki – dwie starsze kobiety i zagłodzona dziewczynka w wieku około piętnastu lat. Wszystkie podniosły wzrok, kiedy wszedłem. Dziewczynka gapiała się na mnie, dopóki się nie uśmiechnąłem. Wtedy skrzywiła się z obrzydzeniem i dalej skubała skórki przy paznokciach.

Poczekalnia była mała i duszna, czyste, lecz wyblakłe, używane meble, na ścianach oprawione w ramki zdjęcia Maccu Picchu, Nepalu i Angkor Wat. Z głośników leciała Enya.

Do biurka recepcjonisty przyklejona była karteczka:

*Leczymy cię w ramach ubezpieczenia –  
czasami nawet rząd oddaje nam pieniądze.  
Nie odmówimy gotówki – zapłać, ile możesz,  
albo nie zawracaj sobie tym głowy.*

Recepcji nie odgradzała szyba. Siedział w niej młody, przedwcześnie posiwiwały dwudziestoparoletni mężczyzna, zaczytany w *Podstawach księgowości*, jakby to był trzymający w napięciu dreszczowiec. Według plakietki przypiętej do kraciatej koszuli z krótkim rękawem na imię miał Eli.

Kiedy podszedłem, z ociąganiem odłożył książkę.

– Doktor Delaware.

– Spóźni się. – Ściszył głos. – Bardzo ją zdenerwowało to, co jej przekazałem. Może nie będzie tego po niej widać, ale tak jest. Proszę mi wierzyć. To moja siostra.

Dwadzieścia pięć minut później wszystkie trzy pacjentki zniknęły, a Eli oznajmił, że idzie na obiad.

– Zaraz pana przyjmie – powiedział i wyszedł z książką pod pachą. Nie minęło pięć minut, gdy do poczekalni weszła kobieta w zapiętym pod szyję, białym fartuchu. W ręku trzymała czyjaś kartę. Miała młodą, pogodną, lisią twarz o ciemnej karnacji. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści parę lat, ale jej długie do ramion, gęste włosy były białe jak śnieg. Geny – Eli też wkrótce całkiem osiwieje. W jasnych, zielonych oczach widać było zmęczenie.

– Doktor Gold. – Wyciągnęła rękę i uścisnęła ostrożnie moją dłoń, jak to mają w zwyczaju kruche kobiety. Miała suchą i zimną skórę.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać.

Jej oczy koloru morskiej wody patrzyły z zaciekawieniem. Miała szerokie usta, mocny, kwadratowy podbródek. Była bardzo ładna.

Zamknęła na klucz drzwi poczekalni, usiadła na wytartym, oliwkowozielonym krześle, które do niczego tu nie pasowało, i założyła nogę na nogę. Spod kitla wystawały czarne dżinsy i szare buty. W tle po gaelicku zawodziła Enya.

– Co z Erną? – spytała.

Streściłem jej to.

– Och... A pan przyjechał tu, bo?...

– Jestem policyjnym konsultantem. Poproszono mnie, żebym z panią porozmawiał.

– Co znaczy, że morderstwo miało jakiś psychologiczny aspekt i nie była to zwykła, uliczna zbrodnia.

– Na tym etapie ciężko coś powiedzieć. Jak dobrze ją pani znała?

– Kogoś takiego jak Erna nie da się naprawdę poznać. Widziałam ją kilka razy.

– Tutaj czy w Domu Gołębiczy?

– Raz tam, dwa razy tutaj.

– Wróciła po tym, jak wezwano panią do niej do przytułku.

– Dałam jej moją wizytówkę. Byłam w szoku, kiedy się okazało, że ją zatrzymała. – Rozłożyła kartę. W środku był pojedynczy skrawek papieru. Zobaczyłem tylko drobne, zgrabne, odręczne pismo do góry nogami.

– Tylko wpadała. Pierwszy raz trochę ponad dwa tygodnie po tym, jak widziałam ją w przytułku.

Znów zaczęła krwawić z odbytu i skarżyła się na ból. Nie zaskoczyło mnie to. Wcześniej zbadałam ją tylko pobieżnie. W przypadku kogoś takiego można sobie tylko wyobrażać, co się dzieje w środku. Nalegałam, żeby poszła na kolonoskopię, zaproponowałam, że załatwię jej to za darmo. Odmówiła, więc dałam jej maść, środki przeciwbólowe, udzieliłam kilku porad co do higieny. Nie za dużo, trzeba znać swoich pacjentów.

– Wiem, co pani ma na myśli. Odbywałem staż na pediatrii w Western.

– Naprawdę? Ja w szpitalu hrabstwa, ale przewinęłam się przez Western. Zna pan Rubena Eagle'a?

– Nawet dobrze.

Padły nazwiska, miejsca i inne banały. Nagle Hannah Gold spoważniała.

– Drugim razem, kiedy widziałam Ernę, byłam bardziej zaniepokojona. To było w nocy. Wpadła tutaj, kiedy zamykałam. Wszyscy poszli już do domu, wyłączałam światła i nagle drzwi się otworzyły i wbiegła Erna, machała rękami jak oszalała. Miała takie przerażone spojrzenie... wyciągnęła do mnie ręce – zadrżała. – Chciała, żeby ją pocieszyć. Niestety, chyba się przed nią cofnęłam. Była potężną kobietą, przestraszyłam się. Spojrzała na mnie żałośnie i padła na kolana zalana łzami. Pomogłam jej wstać i zaprowadziłam do gabinetu. Była cała sztywna i coś nieskładnie bełkotała. Nie jestem psychiatrą, nie chciałam ryzykować z torazyną czy czymś takim. Wezwanie karetki byłoby zdradą... nie czułam się już zagrożona. Erna była żalosna, a nie niebezpieczna. – Odłożyła kartę. – Dałam jej zastrzyk valium i zaparzyłam herbatę ziołową, siedziałam z nią co najmniej godzinę. W końcu się uspokoiła. W przeciwnym razie wezwałabym jednak karetkę.

– Domyśla się pani, co ją tak przeraziło?

– Nie chciała powiedzieć. W ogóle przestała mówić, jakby oniemiała. Potem przeprosiła, że zawraca mi głowę, i chciała iść.

– Oniemiała?

– Odpowiadała „tak” i „nie” na neutralne pytania. Nie chciała jednak powiedzieć ani słowa, dlaczego przybiegła do gabinetu, ani jakie ma problemy ze zdrowiem. Chciałam ją zbadać, ale mi nie pozwoliła. Cały czas przeproszała... była dość przytomna, by wiedzieć, że zachowuje się dziwnie. Zaproponowałam, żeby wróciła do Domu Gołębicy. Stwierdziła, że to doskonały pomysł. Użyła dokładnie tych słów. „To doskonały pomysł, doktor Gold!” Kiedy to powiedziała, jakby... poweselała. Taka była, nagle zmienił jej się nastrój. Ale to była niepokojąca wesołość, na skraju załamania. Erna wyrażała się... zbyt wytwornie jak na kontekst.

– Ludzie w Domu Gołębicy odnieśli wrażenie, że była wykształcona.

Hannah Gold zastanowiła się.

– Albo udawała.

– To znaczy?

– Nie widział pan, jak coś takiego robią chorzy psychicznie? Zapamiętują całe zdania i powtarzają je potem jak autystyczne dzieci.

– I takie miała pani wrażenie w przypadku Erny?

Ściągnęła usta.

– Nie mogę powiedzieć, że ją wyczułam. – Zmrużyła oczy. – Domyśla się pan, kto to zrobił?

– To mógł być ktoś, komu ufała. Ktoś, kto ją wykorzystał.

– Seksualnie?

– Była seksualnie aktywna?

– Nie w klasycznym tego słowa znaczeniu.

– Co pani przez to rozumie?

Oblizwała wargi.

– Kiedy ją badałam, jej pochwa była jedną wielką obtartą raną stare blizny, włókniste narośle, no i wszy. To normalne u kogoś, kto żyje na ulicy. Ale potem zajrzałam głębiej i nie mogłam uwierzyć, jej błona dziewicza była nietknięta. Erna była dziewicą. Kobiety z ulicy są często wykorzystywane w najgorszy sposób, jaki można sobie wyobrazić. Erna była duża, ale brutalny mężczyzna – albo kilku mężczyzn – mógłby ją obezwładnić. To niesamowite, że nigdy nie doszło do penetracji.

Chyba że jej towarzysz nie był zainteresowany stosunkiem heteroseksualnym.

– Miała obtarte genitalia – powiedziałem. – Mogła być zaatakowana bez penetracji.

– Nie, to był raczej efekt braku higieny. Żadnych ran, żadnych śladów. I nie zdenerwowała się, kiedy ją badałam. Wręcz przeciwnie. Była zupełnie spokojna. Jakby to nie była jej część ciała.

– Kiedy była przytomna... „wytworna”, o czym mówiła?

– Za pierwszym razem nakłoniłam ją żeby opowiedziała, co lubi, i zaczęła mówić o sztuce. O tym, że to najlepsza rzecz na świecie. Że artyści to bogowie. Wymieniała malarzy, francuskich i flamandzkich, o większości nigdy nie słyszałam. Bardzo możliwe, że ich wymyśliła, ale nazwiska brzmiały autentycznie.

– Wspominała o przyjaciółach lub rodzinie?

– Próbowałam pytać ją o rodziców, skąd pochodzi, gdzie się uczyła. Nie chciała o tym rozmawiać. Przyznała się tylko, że ma kuzyna. Bardzo mądrego. Też lubi sztukę. Wydawała się z tego dumna. Ale

nie powiedziała o nim nic więcej.

– Kuzyn – powtórzyłem.

– Tak mi się wydaje. – Pokręciła głową. – To było dość dawno. Powiedział pan, że mógł ją skrzywdzić ktoś, komu ufała. Naprawdę miała kuzyna? Myślałam, że to jej wymysły.

– Nie wiem. Policja uważa, że mógł ją zwabić ktoś, kogo znała. Kiedy była tu u pani?

Doktor Gold zajrzała w kartę. Erna Murphy przyszła do niej po raz pierwszy pięć miesięcy temu. Drugi raz w czwartek, dwa dni przed zamordowaniem Baby Boya.

– Kuzyn. Mówiła o nim, jakby bardzo jej imponował. Gdybym wiedziała...

– A skąd miała pani wiedzieć.

– Mówi pan jak prawdziwy psycholog. Na akademii medycznej spotykałam się z psychologiem.

– Fajnym?

– Okropnym. – Stłumiła ziewnięcie. – Przepraszam. Jestem wykończona. I naprawdę nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

– Kochający kuzyn – mruknął Milo przez komórkę.

– Kochający platonicznie. – Opowiedziałem mu o wynikach ginekologicznego badania Erny.

– Ostatnia dziewica w Hollywood. Gdyby to nie było takie żałosne... – Rozmawiał z samochodu, co chwila tracił zasięg.

– To jak ofiara z dziewicy. Została wykorzystana i odrzucona.

– Wykorzystana do czego?

– Dobre pytanie.

– Wymyśl coś.

– Do adoracji, uległości, wysłuchiwania jego fantazji. Może załatwiała różne sprawy, była w miejscach zbrodni. Aseksualność związku jest logiczna, skoro Kevin jest gejem. Zbliżyło ich do siebie zainteresowanie sztuką. Może nazywała go kuzynem, bo był dla niej rodziną zastępczą. Nie chciała powiedzieć ani słowa o prawdziwej.

– Albo... – zamyślił się Milo – Kevin naprawdę jest jej kuzynem.

– To też możliwe. Była ruda, tak jak jego matka. – Zaśmiałem się.

– No wiesz, czasami nie warto przesadzać z kombinowaniem.

– A skąd ty akurat możesz to wiedzieć?

– Phi. Jak na razie nie znaleźliśmy rodziców Erny. Stahl współpracuje z wojskiem. Ale zgadnij, co się stało: znalazła się honda Kevina. Na policyjnym parkingu w Inglewood. Stała w niedozwolonym miejscu, odnotowali ją dwa dni temu.

– Inglewood... Niedaleko lotniska?

– Niedaleko. Właśnie tam jadę. Pokażę zdjęcie Kevina przy stanowiskach odpraw, może ktoś go zapamiętał.

– Zamierzasz to robić sam?

– Nie, razem z moimi niemowlakami detektywami, ale to ciągle igła w przysłowiowym.. sam wiesz czym. Honda trafiła do naszego laboratorium, cała jest wymacana, wszędzie pełno odcisków palców. Potwierdziło się przynajmniej to, że Kev to nasz zły chłopiec. Zrobił parę brzydkich rzeczy, zorientował się, że o niego pytamy, i prysnął z miasta. W mieszkaniu nie było żadnych trofeów, bo zabrał je ze sobą. – Głos Mila zniknął w trzasku zakłóceń. – ... jakieś pomysły, od której linii lotniczej zacząć?

– Sprawdź kontrolę paszportową i wyeliminuj loty zagraniczne.

– Taki miał być mój pierwszy krok, chociaż nie za łatwy, ci goście przepadają za papierkową robotą. Ale zostawmy to, skupmy się na razie na krajowych. Od czego byś zaczął?

– Może od Bostonu? Kevin raz już tam był. Na balecie.



Erie Stahl przez dwa dni kontaktował się z różnymi formacjami wojska. W archiwach ubezpieczenia społecznego figurowały tysiące Donaldów Murphych. Wojskowy filtr zmniejszał tę liczbę, ale biurokraci na służbie Pentagonu nie byli skłonni udzielać żadnych informacji bez zastosowania wszystkich odpowiednich procedur.

Fakt, że Stahl znał ich sekretny język, trochę ułatwiał mu zadanie.

To, co myślał o wojsku, to zupełnie inna sprawa.

Zaczął od matki Erny, bo Colette było mniej popularnym imieniem. W archiwach ubezpieczenia figurowało ich sto osiemdziesiąt, z czego czterdzieści trzy były w odpowiednim wieku. Stahl zaczął od zachodnich stanów, nic nie znalazł. Cały czas zastanawiał się, czy sprawdzanie przeszłości Erny cokolwiek da, nawet jeśli znajdzie jej rodziców.

Mimo to robił, co mu kazano.

Przesuwał się stopniowo na wschód, znalazł Colette Murphy w Saint Louis. Zastanowiły go jej wykrętne odpowiedzi i wypieranie się wszystkiego. Jej akcent świadczył, że jest czarna. Nie zapytał. Teraz już się tego nie robi.

Wojsko nauczyło go rasowej wrażliwości. Czyli traktuj Saudyjczyków jak bogów i uśmiechaj się szeroko, kiedy na ciebie srają.

Namierzył Colette z Saint Louis dzięki tamtejszej policji, dowiedział się, że była notowana za drobną kradzież – co wyjaśniało jej zdenerwowanie – i że nigdy nie była żoną żadnego Donalda.

O dwudziestej trzydzieści dodzwonił się do Colette Murphy na Brooklynie.

U niej było wpół do dwunastej w nocy.

– Obudził mnie pan – powiedziała.

– Przepraszam panią. – Nie spodziewając się wiele uzyskać, poczęstował ją oklepaną już historyjką o tym, że szuka Donalda. Nie wspominał o Ernie.

– Chryste, o tej porze? To nie ja, to moja szwagierka. Ożenił się z nią brat mojego męża i mieli stukniętego dzieciaka. Ja jestem Colette, Donald też znalazł sobie Colette. Dziwne, co? Ale być członkiem tej rodziny to nic przyjemnego. Obaj to łajzy. Mój Ed i jego brat.

– Donald?

– A któż by inny?

– Gdzie jest pani szwagierka?

– Dwa metry pod ziemią – powiedziała brooklyńska Colette.

– A Donald?

– Kto wie, kogo to obchodzi?

– Nie lubi go pani.

– To łajza – powtórzyła. – Taka sama jak Ed.

– Mógłbym porozmawiać z Edem?

– Mógłby pan, gdyby wykopał pan dwumetrowy dół.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Nie byliśmy blisko.

– Pani i pani mąż?

– Ja i oni wszyscy. Kiedy Ed żył, bił mnie, czym popadło. Wreszcie mam trochę spokoju. A pan mnie budzi.

– Wie pani, gdzie mogę znaleźć Donalda?

– Dziękuję za przeprosiny.

– Przepraszam, że panią obudziłem.

– Chyba wyjechał do Kalifornii. Co zrobił?

– Chodzi o jego córkę Ernę.

– Tę stukniętą – powiedziała brooklyńska Colette. – Co zrobiła?

– Została zamordowana.

– Och. Szkoda. No, powodzenia w szukaniu. Sprawdźcie spelunki. Pił bez przerwy. Tak samo Ed. Marynarki to nie interesowało. Zrobili go sierżantem, czy jak oni tam to nazywają... jakąś płótką. Żadnym bohaterem, przerzucał papierki. Ale robił z siebie bohatera. Lubił nosić ten swój mundur, chodził do barów, próbował podrywać dziewczyny.

– Jak to wojskowy.

– I komu pan to mówi? – zakpiła brooklyńska Colette. – Byłam żoną takiego przez trzydzieści cztery lata. Ed był w straży przybrzeżnej. Potem dostał się do kapitanatu portu, siedział za biurkiem i udawał admirała. – Zachichotała. – W końcu jego statek przyplynał, a ja zostałam na suchym lądzie. Idę spać...

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział Stahl.

– Proszę. – Jest późno – warknęła. – Co?

– Czy nie przypomina sobie pani, w jakich bazach marynarki stacjonował pani szwagier?

– Gdzieś w Kalifornii. San Diego czy jakoś tak. Pamiętam, że byliśmy u nich kiedyś w wakacje. Też mi gospodarze, tylko siedzieli i nic nie robili. Potem wyjechali na Hawaje. Marynarka wysłała ich na Hawaje, uwierzyłby pan? Jak na płatne wakacje.

– Jak długo byli na Hawajach?

– Chyba z rok, potem Donald przeszedł na emeryturę, dostał rentę i wrócili do Kalifornii.

– Do San Diego?

– Nie, gdzieś pod L.A. Straciliśmy kontakt. Ja tam zostałam na Hawajach.

– Dlaczego oni nie zostali?

– Skąd mam wiedzieć? Byli głupi. Nie chcę rozmawiać o tej stronie rodziny, budzi to we mnie złe wspomnienia. Dobranoc...

– Na pewno pani nie wie, gdzie pod L.A. ? – spytał Stahl.

– Czy pan nie słyszał, co powiedziałam? Skąd pan się urwał? Zadaje pan takie pytania o tej porze, jakby miał pan do tego prawo. Mówi pan jak wojskowy... był pan w wojsku, mam rację?

– Byłem, proszę pani.

– No, to wyszło ci na zdrowie. Idę spać.

San Diego i Hawaje uprościły sprawę. Stahl wrócił do archiwów ubezpieczenia społecznego. Donald Arthur Murphy, lat sześćdziesiąt dziewięć.

Gdzieś pod L.A. Mimo swoich problemów Erna nie oddaliła się bardzo od domu.

Było za późno, żeby dostać się do archiwów własności marynarki czy hrabstwa, więc Stahl pojechał do swojej kawalerki na Franklin, zdjął ubranie, złożył je równo w kostkę, wyciągnął się na kocu i poonanizował chwilę, nie myśląc o niczym konkretnym. Potem wziął prysznic, szorując się mocno i dokładnie. Kiedy skończył, ułożył wcześniej umyte i pokrojone liście sałaty na papierowym talerzu, dodał do tego tuńczyka z puszki, bo potrzebował białka, zjadł to wszystko szybko, nie czując smaku, i poszedł spać.

Następnego ranka skorzystał z domowego telefonu.

Donald Arthur Murphy nie posiadał żadnych nieruchomości w hrabstwie Los Angeles. Tak samo w Orange, Riverside, San Bernardino i we wszystkich okręgach na południu aż do meksykańskiej granicy. Stahl sprawdził północne, doszedł do Oregonu. Nic.

Najemca.

Zadzwoił do biura marynarki w Port Hueneme i wyciągnął od nich adres, pod który co miesiąc wysyłano emeryturę Murphy'ego.

Dom spokojnej starości Słoneczny Ogród. Palms Avenue, Mar Vista.

Pół godziny samochodem. Connor nie dzwoniła już od dość dawna, ale Stahl chciał, żeby wszystko było jak trzeba, więc zatelefonował na posterunek, wiedząc, że jej tam nie zastanie. Zostawił wiadomość – na wszystko musi być podkładka. Zadzwoił do niej do domu, nikt nie odebrał.

Spała? Albo już wyszła, pracowała w terenie? Może ani jedno, ani drugie, tylko wypoczywała – poszła gdzieś na randkę, w końcu była ładna. Miała życie towarzyskie.

Stahl rozumiał potrzebę rozrywki.

I zupełnie jej nie odczuwał.

Petra wstała wcześniej, żeby pokręcić się po ulicach. Całą poprzednią zmianę spędziła, spotykając się z ludźmi nocy: klubowiczami, bramkarzami, parkingowymi, ulicznymi kaznodziejami, ćpunami, dziwkami i innym ludzkim śmieciem. Z wariatami też. Hollywood nocą przypominało dom wariatów na otwartym powietrzu.

Patrzyła w błędne oczy, czuła smród niemytych ciał – to było obrzydliwe i beznadziejne. Żałowała tych pobratymców Erny Murphy, ale żaden z tych, którzy mogli jeszcze mówić, nie przyznawał się do znajomości z wysoką, rudą kobietą.

Dzisiejszy dzień będzie bardziej prozaiczny: Petra zamierzała porozmawiać z ulicznymi handlarzami, których ominęła za pierwszym razem. Miała nadzieję, że jakiś dobry obywatel przypomni sobie Ernę.

Dobrym obywatelem okazał się kolejny śmieć. Chorobliwie blady, dwudziestodwuletni amfiarz i drobny diler Strobe, o długich, matowych, jasnych włosach. Naprawdę nazywał się Duncan Bradley Beemish. Był ze wsi – przyjechał stopem – skądś z południa. Petra nie pamiętała skąd. Uciekł stamtąd wiele lat temu, przyjechał do Hollywood i zgnił w nim jak wielu innych.

Petra skorzystała z jego usług jako drobnego informatora. Właściwie bardzo drobnego i tylko raz. Spotkała Beemisha, kiedy rozpracowywała strzelaninę w barze, a amfiarz podał jej niejasne informacje, dzięki którym trafiła do kogoś, kto znał kogoś, kto mógł słyszeć coś o czymś, co mogło się wydarzyć, ale się nie wydarzyło.

Niestety kosztowało ją to siedemdziesiąt dolarów i zniechęciła się do Strobe'a. Ale znalazł ją, kiedy rozmawiała z właścicielem baru na Western, specjalizującego się, według napisu na szyldzie, w kuchni śródziemnomorskiej. Na Western oznaczało to kebaby, falafele i poczerniały od pyłu z węgla drzewnego chodnik.

Właściciel pochodził z Bliskiego Wschodu. Miał złoty ząb i był nieszczerze przyjacielski, z rodzaju tych, którzy w każdej chwili mogą człowieka wystawić. Wydział sanitarny ocenił jego budkę na B, co oznaczało, że ilość odchodów gryzoni przekroczyła dopuszczalny poziom. Złoty Ząb stwierdził, że nigdy nie widział Erny Murphy, i zaproponował Petrze, żeby spróbowała za darmo jego jedzenia. Jakoś udało się jej od tego wykręcić.

– Ja wezmę tę kanapkę, tektyw Connor – odezwał się jakiś piskliwy głos.

Odwróciła się i zobaczyła Strobe'a. Chłopak nigdy nie potrafił ustać bez ruchu, a jego długie włosy stroszyły się jak naelektryzowane. Smagły właściciel budki poczerwieniał.

– Ty! – Do Petry: – Pani go zabierze z mojej własności, on zawsze je papryka.

– Pierdol się, Osama – powiedział Strobe.

– Zachowuj się, Duncan – upomniała go Petra.

Strobe kaszlnął, zionął jej w twarz przesiąkniętym papierosami oddechem i klepnął się w kolano.

– Tektyw Connor! Co tam... Co to? – Wyciągnął ruchliwe, drżące palce do zdjęcia, które trzymała w ręku.

– Martwa kobieta.

– Super. Pani pokaże.

– Wy. Policja. Pani go zabierze z mojej własności! – rozkazał król kebabów.

Strobe ugiął kolana. Jego brudne włosy zakołysały się jak liany, kiedy cały sprężył się, by zsalutować jednym palcem. Zanim jednak zdążył to wykonać, Petra odciągnęła go od budki i wykrzykującego coś Złotego Zęba.

– Jebany szmatogłowiec – zaklął Strobe. Tonu jego głosu można się było przestraszyć. – Jak tam wrócę i go porznę, będzie się pani chciało tym zająć?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, spojrzął swoim kojocim wzrokiem znów na zdjęcie Erny Murphy. Uzależniony od amfetaminy nie potrafił na niczym skupić uwagi. W jego oczach błyszczało rozbawienie – był złośliwy. Jego gorsza strona czaiła się tuż pod powierzchnią.

– Hej, znam ją.

– Naprawdę?

– Tak, tak, tak, tak, tak, tak, widziałem ją... zaraz... niech pomyślę, musiało być parę dni temu.

– Gdzie, Duncan?

– A ile to warte?

– Kanapkę.

– Cha, cha, cha, cha, cha. Bądźmy poważni, tektyw Connor.

– Skąd mam wiedzieć, ile to warte, dopóki mi nie powiesz, co wiesz, Duncan?

– Jak mam pani powiedzieć, co wiem, dopóki mi pani nie zapłaci, tektyw Connor?

– Ech, Duncan, Duncan. – Petra sięgnęła do torebki i wyjęła z niej dwudziestkę.

Strobe złapał ją jak zwierzę w zoo orzeszka. Schował banknot do kieszeni, spojrzął na zdjęcie.

– Musiało być parę dni temu.

– To już mówiłeś. Kiedy dokładnie? I gdzie?

– Kiedy dokładnie... trzy dni temu. Może trzy... może dwa... może trzy.

– Zdecyduj się, Duncan.

– Rany. Czas... no, wie pani. Czasami czas... – Zachichotał. Dokończył zdanie w myślach i uznał je za dowcipne.

Różnica między dwoma i trzema dniami była bardzo istotna. Erna Murphy została zamordowana trzy dni temu. Dwa oznaczałyby, że Strobe'owi nie można wierzyć.

– Dwa albo trzy, zdecyduj się – powtórzyła z naciskiem Petra.

– Raczej trzy.

– Gdzie ją widziałeś, Duncan?

– Przy Bronson, Ridgeway, tutaj, wie pani.

Niedaleko miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Erny. Petra przyjrzała się Strobe'owi. Chudy, podwójne wory pod oczami, pierwsze zmarszczki. Ile mógł mieć przed sobą, jeszcze z pięć lat?

Zaczął się niespokojnie wiercić pod jej spojrzeniem, kiwał się na piętach, okręcał wokół palca kosmyk włosów. To był dziewczęcy gest, ale w chłopaku nie było nic kobiecego. Z ofiary stał się drapieżnikiem. W ciemnym, odludnym zaułku Petra bała się podejść do niego bez wsparcia.

– Która była godzina? – spytała.

– Tak jak mówiłem... późno. – Znow się zaśmiał. – Albo wcześniej, to zależy.

– Która godzina?

– Druga, trzecia, czwarta.

– Rano.

Strobe spojrział na nią zaskoczony tak idiotycznym pytaniem.

– Aha.

– Co tam robiłeś, Duncan?

– Nic.

– Z kim nic nie robiłeś?

– Z nikim.

– Nic nie robiłeś całkiem sam.

– Przynajmniej miałem dobre towarzystwo.

Okolice Bronson leżały kawałek drogi od szpitali przy Sunset. Było to idealne miejsce, żeby kupić trochę pigulek od jakiegoś skorumpowanego lekarza, pielęgniarki czy farmaceuty, a potem wrócić na ulicę, żeby je puścić dalej. To nie była tylko teoria. Petra wiedziała, że wydział narkotyków przyskrzynił chirurga, który bawił się w hurtownika. Idiota tak się uczył, tak daleko zaszedł... i zmarnował wszystko na własną prośbę.

– Domyślam się, że odstawiałeś mały handelek – powiedziała.

Strobe wiedział dobrze, co miała na myśli, i wyszczerzył w uśmiechu szczerbate zęby. Na jego dziąsłach rosło coś zielonego. Boże.

– Powiedz dokładnie, co widziałeś.

– To wariatka, nie?

– Była.

– No, no, no. To właśnie widziałem, wariatkę, zachowywała się jak wariatka, chodziła jak wariatka w tę i z powrotem, gadała do siebie. Jak każdy wariat. A potem zabrał ją jakiś samochód.

– Twierdzisz, że była dziwką?

– A co innego może robić suka, która chodzi w nocy w tę i z powrotem. – Strobe się zaśmiał. – I co, pociął ją? Mamy Kubę Rozpruwacza?

– Strasznie cię to wszystko bawi, Duncan.

– Śmieję się, kiedy mogę, nie?

– Wiesz na pewno, że była dziwką?

– No... jasne. Czemu nie?

– Albo „jasne” albo „czemu nie”.

– Znów mam wybierać?

– Opuść sobie, Duncan. Powiedz mi, co wiesz na pewno, i dostaniesz następną dwudziestkę. Będziesz się tak dalej zachowywał, to zabiorę ci pierwszą i przymknę cię za byle gównem.

– Hej! – warknął Strobe tym samym niebezpiecznym tonem.

Petra pomyślała, że chyba zapobiegła porachunkom między nim a porywczym sprzedawcą falafeli.



Na razie.

Strobe rozglądał się dookoła, cały się sprężył. Szukał dróg ucieczki.

Albo coś planował. Był agresywny.

Potem zerknął na torebkę Petry.

Na samym wierzchu leżał jej pistolet. Kajdanki miała przy pasku, z tyłu.

Nie byłby aż tak głupi, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Duncan, Duncan... – Złapała go, obróciła, wykręciła mu rękę i zapięła na niej kajdanki. Potem na drugiej.

– Au, pani tektyw!

Przeszukała go szybko – znalazła zmiętą, do połowy pustą paczkę salemów, torebkę pigułek i kapsułek i zardzewiały scyzoryk.

– Au! – Strobe zaczął ryczeć jak dziecko.

Petra wepchnęła go na tylne siedzenie swojego samochodu, włożyła mu papierosy do kieszeni koszuli, a torebkę z proszkami wrzuciła do kratki ściekowej – wybaczyć, Pacyfiku. Schowała nóż do kieszeni, usiadła za kierownicą i położyła dłoń na pistolecie.

Z oczu chłopaka płynęły łzy.

– Przepraszam, tektyw Connor – wydukał głosem dwunastolatka. – Nie chciałem pani wykiwać, jestem tylko głodny, muszę zjeść kanapkę.

– Zastój w interesie?

Strobe zerknął na kratkę ściekową.

– Już nie.

– Słuchaj, nie mam czasu na gierki. Powiedz mi dokładnie, co wiesz o Ernie Murphy i co widziałeś trzy noce temu.

– Nic o niej nie wiem, nie wiem nawet, jak się nazywa – wyjąkał Strobe. – Widziałem ją tylko, tak jak mówiłem, wiem, że to wariatka...

– Trzymała się z innymi wariatami?

– Aresztuje mnie pani?

– Nie, jeśli będziesz współpracował.

– Zdejmie mi to pani? – Poruszył rękami. – To boli.

Miał chude nadgarstki, a Petra mocno zacisnęła kajdanki, ale na pewno nic go nie bolało. Była ostrożna jak zawsze. Każdy grał...

– Zdejme, jak skończymy.

– Czy to legalne?

– Duncan.

– Przepraszam, przepraszam, dobra, dobra, dobra, co wiem... jakie było pytanie?

– Czy trzymała się z innymi wariatami.

– Nie widziałem. To nie tak, że ona tam była cały czas, jak jakaś część ulicy. Raz była, raz jej nie było. Rozumie pani? Nie rozmawiałem z nią nikt z nią nie rozmawiał, ona z nikim nie rozmawiała. Była wariatką.

– Wiesz na pewno, że była dziwką?

Język Strobe'a przesunął się po wąskiej, wyschniętej szarej tkance – jego dolnej wardze.

– Nie. Nie mogę tak powiedzieć. Tak tylko założyłem. Bo wsiadła do samochodu.

– Jakiego samochodu?

– Samochodu – mruknął. – Nic specjalnego, nie beemki ani porsche.

– Kolor?

– Jasny.

– Duży czy mały?

– Chyba mały.

Kevin Drummond jeździł białą hondą. Telefon Mila o jego samochodzie znalezionym niedaleko lotniska upewnił Petrę, że chodzi im właśnie o Kevina. Plan był taki: chciała poczekać, aż samochód będzie sprawdzony, a potem zamierzała jeszcze raz zaatakować państwa Drummondów.

Historia Strobe'a pchnęła sprawę do przodu. Czas i miejsce idealnie się zgadzały.

Kevin uznaje, że czas pozbyć się Erny, zabiera ją do samochodu, wywozi parę przecznic dalej, upija, załatwia. Potem porzuca samochód w Inglewood, idzie na lotnisko i odlatuje.

Milo zadzwonił rano do Petry. Jak na razie nikt na lotnisku nie widział Kevina.

– Samochód – powiedziała. – Jaka marka, Duncan?

– Nie wiem, tektyw Connor.

– Nissan, toyota, honda, chevy, ford?

– Nie wiem – powtórzył Strobe. – To prawda, nie chcę wcisnąć pani jakiegoś kitu, a potem się pani dowie, jak było naprawdę, i pomyśli, że kłamię, i wróci po mnie... proszę, pani to zdejmie, nienawidzę być związany.

Coś w jego głosie – autentyczna żalność, zdradzająca dawne upokorzenia – wzruszyło Petrę. Uciekinierzy z domu przyjeżdżali do Hollywood z jakiegoś powodu. Przez krótką straszną chwilę Petra wyobraziła sobie małego Duncana Beemisha związanego w domu jakiegoś zbrojnego.

Jakby wyczuwając jej niepokój, Strobe załamał się i rozplakał jeszcze głośniej.

Petra wzięła się w garść.

– Nie furgonetka? Na pewno zwykły samochód?

– Samochód.

– Nie terenowy?

– Samochód.

– Kolor?

– Jasny.

– Szary, biały?

– Nie wiem, nie kłamię...

– Dlaczego założyłeś, że to dziwka, Duncan?

– Bo stała na ulicy, a samochód się zatrzymał i ona wsiadła.

– Ile osób w samochodzie?

– Nie wiem.

– Jak wyglądał kierowca?

– Nie widziałem go.

– Jak daleko byłeś od samochodu?

– Uhm, uhm, może pół kwartału.

– To się stało na samym bulwarze?

– Nie, w bocznej uliczce.

– Której?

– Ee... Ridgeway, chyba Ridgeway, tak, tak, Ridgeway. Tam jest ciemno, może pani pojechać i zobaczyć sama, wszystkie latarnie są potłuczone.

Ridgeway ciągnęła się o przecznice od miejsca, gdzie złapano chirurga. Administracja pewnie naprawiła latarnie, ale natychmiast poniszczyli je ulicznicy „farmaceuci”.

– Zanim wsiadła do samochodu, czy rozmawiała z kierowcą? – spytała Petra.

– Nie, od razu wsiadła.

– Nie targowała się? Nie rozglądała, czy nie ma nigdzie obyczajówki? Dziwki tak nie robią, Duncan.

Strobe szeroko otworzył oczy. Olśniło go.

– Tak, racja! – Znow zaczął się wiercić. – Może pani to zdjąć? Proszę?!

Petra przycisnęła go jeszcze trochę, ale niczego nowego się nie dowiedziała. Wyszła z samochodu, wróciła do Złotego Zęba i zamówiła u niego jumbo kebab z podwójną papryką i dużą colą. Znow nie chciał przyjąć pieniędzy, a ona znow się przy tym upierała. Nachmurzył się.

Bez wątpienia jakoś go obraziła.

– Dam ekstra papryki dla pani.

Petra wróciła do hondy, położyła jedzenie na tylnej kłapie, wyciągnęła Strobe'a i posadziła go na krawężniku parę metrów dalej. Nie opierał się, więc przyniosła mu jedzenie i drugą dwudziestkę.

Złoty Ząb przyglądał się im spode łba.

Strobe rzucił się na kanapkę i zaczął ją pożerać, głośno chrząkając i mlaszcząc jak zwierzę.

– Dzięki, pani tektyw – powiedział z ustami pełnymi mięsa, chleba i spływającego po brodzie sosu.

– *Bon appétit*, Duncan.

Milo poszedł za blondynką. Obserwował budynek, w którym pracowała od godziny. Śledził ją, kiedy wyszła razem z grupą koleżanek i poszła z nimi przecnicę na zachód, do galerii handlowej Century City Mall. Wszystkie ubrane były tak samo jak ona, w ciemne kostiumy, wszystkie starsze od niej. Wyglądała na dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat.

Kochanka Everetta Kipperera, Stephanie.

Była ładnie zbudowana, średnio wysoka i miała niezłe nogi. Nie próbowała się nimi chwalić, nosiła spódnicę do kolan, ale nic nie mogła poradzić na to, jak się poruszała.

Jasne włosy, długie i proste, platynowe z odcieniem złota. Z tyłu wyglądała jak marzenie każdego heteroseksualnego faceta.

Milo podziwiał jej figurę tak, jak podziwiałby dobry obraz.

Poszedł za czterema kobietami do Food Court, gdzie koleżanki Stephanie zniknęły w labiryncie budek z fast foodem. Przedtem jedna z nich zapytała:

– Jesteś pewna, Steph?

Stephanie kiwnęła głową.

– To na razie – pożegnała się koleżanka.

Stephanie poszła dalej. Minęła księgarnię Brentano i kino, zatrzymała się na chwilę przy wystawach Bloomingdale'a i kilku butików, aż w końcu wyszła na skwer na południowym końcu galerii. Dookoła kamiennego, skąpanego w słońcu placyku stały ławki i budki zjedzeniem.

Dzień był śliczny. Idealny na spotkanie z ukochanym.

Wszędzie pełno było kupujących, turystów i pracowników pobliskich biur, którzy przyszli tu na obiad. Milo kupił sobie dużą mrożoną herbatę, wmieszał się w tłum i zaczął spacerować, nie spuszczać oka z blondynki.

Stephanie zatrzymała się na środku skweru i przez chwilę się nie ruszała. Milo schował się za rogiem, potem wyszedł i stanął plecami do niej, popijając herbatę przez słomkę. Obserwował Stephanie, której sylwetka odbijała się w szybie sklepowej wystawy.

Potrząsnęła głową, założyła włosy za uszy. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i znów je włożyła.

Czekała na chłopaka? Milo był ciekaw, dlaczego Kipper wyglądał na tak rozwścieczonego.

Cały czas zerkał na pasaż.

Stephanie kupiła sobie gorącą bułeczkę z musztardą i kubek czegoś do picia od pchającego wózek sprzedawcy, usiadła na ławce i zaczęła jeść.

Chrupała spokojnie, rzucała okruchy gołębiom.

Skrzyżowała swoje długie nogi.

Skończyła bułeczkę, wypita napój, wstała i kupiła rozek lodów. Znow usiadła na tym samym miejscu.

Ani razu nie spojrzała na zegarek.

Minęło piętnaście minut, ale nie robiła wrażenia zniecierpliwionej.

Następne pięć. Ziewnęła, przeciągnęła się, spojrzała w słońce.

Znow zdjęła okulary. Zaczęła opalać twarz.

Miała zamknięte oczy. Odpoczywała.

Na nikogo nie czekała.

Milo przeszedł przez plac, zatoczył szerokie koło i podszedł do niej od tyłu. Nie chciał, żeby go za wcześnie zobaczyła.

W rękę trzymał ukrytą w dłoni odznakę. Stephanie na pewno przestraszyłaby się podchodzącego do niej wielkiego mężczyzny. Milo miał nadzieję, że kiedy zobaczy odznakę, nie narobi hałasu.

Nie słyszała, jak podchodził, nie otworzyła oczu, dopóki nie obszedł ławki i nie stanął tuż przed nią.

Miała ciemne oczy, zaskoczone. Milo popatrzył na siniaka na jej lewej kości policzkowej. Dobrze go zamaskowała makijażem, prawie ukryła purpurowy wylew, ale mimo to trochę przebijał na tle jej gładkiej, opalonej skóry. Cała lewa strona twarzy była opuchnięta. Kosmetyki niewiele pomogły.

Przestraszyła się odznaki, więc Milo schował ją do kieszeni.

– Przykro mi, że panią niepokoję. Zwłaszcza dzisiaj.

– Nie rozumiem – powiedziała cicho. – Dzisiaj?

Usiadł obok niej, przedstawił się, podkreślając najważniejsze słowa. Porucznik. Policja. Zabójstwo. To nie rozwiało obaw Stephanie, a jedynie je sprecyzowało.

– Chodzi o Julie, prawda? – spytała. Usta jej drżały. – Pan nie może mówić poważnie.

– Mówić o czym, panno?...

– Cranner. Stephanie Cranner. Ev powiedział mi, że zadawał mu pan mnóstwo pytań o Julie. Że prawdopodobnie podejrzewa go pan, bo był jej byłym. – Podniosła rękę do spuchniętego policzka, zawahała się, opuściła ją. – To niedorzeczne.

– Powiedział pani, że go podejrzewamy.

– To prawda? – Miała przyjemny głos: młody, dźwięczny, ale teraz zduszony strachem. Cała promieniowała młodością i zdrowiem. Tylko ten siniak.

– Czy to pan Kipper pani to zrobił? Spuściła wzrok.

– To nic takiego. Nie ma nic wspólnego z Julie, przynajmniej nie z jej morderstwem.

Milo pochylił się, skurczył, ile mógł, żeby wydawać się mniej groźnym. Stephanie Cranner się wyprostowała.

– Muszę wracać do biura.

– Przyszła tu pani dopiero przed chwilą. Zazwyczaj przeznaczają pani na obiad czterdzieści minut.

Otworzyła usta.

– Śledził mnie pan?

Milo wzruszył ramionami.

– To oburzające – powiedziała. – Nic nie zrobiłam. Tak się tylko złożyło, że zakochałam się w Evie. – Pauza. – A on kocha mnie.

Milo spojrzał na jej spuchnięty policzek.

– Pierwszy raz to zrobił?

– Tak. Oczywiście.

– Aha.

– To był – powtórzyła – pierwszy, pierwszy raz. Dlatego nie chcę robić z tego problemu. Proszę.

– Jasne.

– Dziękuję panu, poruczniku.

Nie ruszył się.

– Mogę już iść, poruczniku? – spytała. – Proszę.

Milo pochylił się ku niej, przysunął odrobinę bliżej, spojrzał jej w oczy.

– Panno Cranner, nie mam absolutnie zamiaru utrudniać pani życia. Pracuję w wydziale zabójstw, nie przemocy w rodzinie, chociaż muszę pani powiedzieć, że jedno z drugim często idzie w parze.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– To niewiarygodne. Pan twierdzi...

– Nie martwiłbym się tak o panią, gdybym wiedział, co się stało.

– Stało się to, że Ev i ja... pokłóciliśmy się. To była moja wina, poniosło mnie. Zaczęłam go popychać, coraz mocniej. Przez chwilę to znosił, potem mnie odepchnął.

– Pięścią?

– Ręką – odparła, pokazując Milowi otwartą dłoń. Na obu nosiła po dwa pierścionki. Tanie, z cienkiego złota i z półszlachetnymi kamieniami. Ani jednego brylantu.

– Zrobił to otwartą ręką?

– Tak, panie poruczniku. Bo rzuciłam się na niego i się zderzyliśmy. Proszę mi uwierzyć, przestraszył się bardziej niż ja. Na kolanach błagał o wybaczenie.

– I wybaczyła mu pani?

– Oczywiście. Zresztą nie było czego. – Uderzyła się w pierś. – Ja zaczęłam. On się tylko bronił.

Milo napił się herbaty i przez chwilę nic nie mówił.

– A dziś zjadła pani obiad sama – zauważył.

– Jest na spotkaniu.

– Aha. – Znow użył ulubionego słowa psychologów. Czepiał się o nie Aleksa przez kilka lat, aż w końcu sam uznał je za przydatne.

– Naprawdę – powiedziała Stephanie. – Jeśli mi pan nie wierzy, może pan sprawdzić.

– A pani miała ochotę pobyć sama.

– Czy to przestępstwo?

– Co panią tak zdenerwowało, że go pani popchnęła, panno Cranner?

– Nie rozumiem, dlaczego muszę o tym mówić.

– Nie musi pani.

– Więc nie będę.



Milo się uśmiechnął.

– Nie odpuści pan.

– Muszę robić to, co do mnie należy.

– Proszę posłuchać. Skoro już pan musi wiedzieć, pokłóciliśmy się o Julie. Dlatego właśnie marnuje pan czas, podejrzewając Eva.

Skrzyżowała ręce na piersi, spoglądając na niego z tryumfem. Jakby to wszystko wyjaśniało.

– Zgubiłem się, panno Cranner.

– Och, proszę. Nie rozumie pan? Ev kochał Julie. Nadal ją kocha. To mnie tak zdenerwowało. Kocha mnie, ale też... nie może wyrzucić z głowy Julie. Nawet kiedy ona nie... Odkąd nie żyje, Ev nie może... – Zaczzerwieniła się od szyi po linię włosów, tak nagle i tak gwałtownie, jakby była postacią z kreskówki.

– Odkąd ona nie żyje, Ev nie może czego? – spytał Milo.

Coś wymamrotała.

– Słucham?

– No, wie pan...

Milo nic nie powiedział.

– Cholera – zaklęła Stephanie. – Za dużo gadam. – Skubnęła rękaw marynarki, zatrzepotała rękami i odrzuciła włosy z czoła. Uśmiechnęła się do Milla z niesmakiem. – Proszę, panie poruczniku, niech mu pan nie mówi, że panu powiedziałam... Proszę, niech mu pan nie mówi, on by mnie...

Zamilkła.

Milo nie odpowiedział uśmiechem, domyślił się, co zamierzała powiedzieć. „On by mnie zabił”.

– Byłby niezadowolony – oświadczyła. Zbyt stanowczo. – Nie miałam prawa panu tego mówić, wyciąga pan ze mnie rzeczy, o których nie chcę mówić.

– Ujmijmy to w ten sposób: odkąd Julie nie żyje, pan Kipper się zmienił.

– Nie. Tak. Głównie emocjonalnie. On... bardzo się oddalił. To wszystko się łączy.

– Emocjonalnie – powtórzył Milo.

To była kolejna sztuczka Aleksa: powtarzanie.

– Tak! Evowi zależało na Julie tak bardzo, że nie może jej wyrzucić z głowy i... oddać się mnie.

Zamachnęła się i rzuciła ostatni kawałek bułeczki na drugą stronę placu. Był to bardziej atak niż chęć dokarmienia ptaków – przerażone gołębie odleciały. Obtoczona w musztardzie bułka upadła i poturlała się.

– Wiedziałam o Julie, kiedy zaczęłam się z nim umawiać – wyznała Stephanie.

– Wiedziała pani co?

– Że ciągle się raz na jakiś czas spotykają. Nie przeszkadzało mi to. Myślałam, że samo przejdzie. A Ev próbował. Chciał się cały oddać mnie, ale...

Zamrugła, powstrzymując łzy, włożyła okulary i odwróciła się bokiem do Mila.

– Dalej się spotykali – dokończył.

– To nie była żadna tajemnica, poruczniku. Ev zawsze mówił mi o tym otwarciu. Tak uzgodniliśmy. – Odwróciła się raptownie twarzą do niego. – Ev kochał Julie tak bardzo, że nie mógł o niej zapomnieć. To niemożliwe, żeby ją skrzywdził, a co dopiero zabił.

Milowi udało się zatrzymać ją jeszcze przez piętnaście minut. Zmienił temat, zapytał o pracę i dowiedział się, że studiowała na uniwersytecie, pracowała jako sekretarka, a wieczorami pisała magisterkę. Była bystra, miała wielkie plany.

Wyobrażała sobie siebie i Kipperera jako przyszłych potentatów świata finansów.

Nie powiedziała Milowi nic więcej o Kipperze i Julie. Dał jej swoją wizytówkę.

– Naprawdę nie mogę panu nic więcej powiedzieć.

Milo pomyślał, że Stephanie wyrzuci wizytówkę, kiedy tylko zniknie jej z oczu. Odszedł, zdumiony, że ktoś tak młody, atrakcyjny i inteligentny przystał na warunki, które postawił Kipper.

Pewnie miało to coś wspólnego z jej wychowaniem, ale to już była działka Aleksa. Milo wrócił do swojego wozu i zadzwonił do niego.

– Jestem skłonny się z nią zgodzić – powiedział Alex, kiedy Milo streścił mu rozmowę.

– Aż taka namiętność? Julie i Kipper rozwiedli się, a Kipper dziewięć lat później nie może o niej zapomnieć? Jego uczucia są tak mocne, że kiedy Julie ginie, Kipperowi przestaje stawać? To chyba jakaś niezdrowa emocjonalnie sytuacja, Alex? Do tego temperament Kipperera, a teraz już wiemy, że potrafi uderzyć... i wszystko razem grozi eksplozją. Tak jak powiedziałem Craner, przemoc w rodzinie i zabójstwo czasami idą w parze.

– Nie mówię, że Kipper nie mógł dać się ponieść i zaatakować Julie. Ale nie tak wyglądała scena

zbrodni. Morderstwo Julie było zaplanowane, zimne i wyrachowane jak wszystkie pozostałe. Śledzenie, wybór miejsca na atak, użycie wcześniej przygotowanej broni, pseudoseksualna pozycja. Gdyby to zrobił Kipper, nie poniżyłby Julie. Wręcz przeciwnie, ułożyłby godnie jej ciało. Zmienię zdanie tylko wtedy, kiedy okaże się, że coś łączy Kipperera z Erną Murphy. Poza tym do zabójstwa Julie i Lewicza użyto takiej samej struny. To by oznaczało, że Kipper zamordował Lewicza, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. A to już brzmi jak kiepski scenariusz filmowy.

– Życie czasami naśladuje kiepskie filmy – mruknął Milo. – Dlaczego nie? Dobrze ubrany mężczyzna, taki jak Kipper, wtopiłby się w tłum gości na koncercie u Szabo i Loha. A struny użyto tylko w przypadku Julie i Lewicza.

– Nie podoba ci się teoria psychicznego kanibala? A co z Wiernym Skrybą? Co z recenzjami ofiar?

– Artyści bywają recenzowani... Nie chodzi o to, że mam wątpliwości, zastanawiam się nad alternatywami.

– W porządku – powiedział Alex.

– Na pewno rozumiesz logicznie. Ale nie daje mi spokoju to, że Kipper miał aż takiego świra na punkcie Julie. Nie chodzi mi tylko o impotencję, ale też o stawianie się policji i rozróby w nocy. Dla mnie to znaczy jedno: puszczają mu hamulce. Nie chciałbym być na miejscu Stephanie. Ona chyba nie widzi niebezpieczeństwa.

– Intuicja zazwyczaj cię nie myli. Jeśli uważasz, że coś jej grozi, ostrzeż ją.

– Właściwie już ostrzegłem... Dobra, skontaktuję się z Petrą, a potem sprawdzę, jak laboratorium radzi sobie z hondą Kevina Drummonda. Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Robin wciąż w San Francisco?

– Z tego co wiem, tak.

Głos mu nawet nie drgnął, ale Milo wiedział, że niepotrzebnie zadał to pytanie. Trzeba trzymać się kursu. Gdyby tylko wiedział, jaki to kurs.

Nie przeprosił, nie było sensu.

– Jak tylko coś się wyjaśni, dam ci znać – powiedział.

– Byłoby miło – odparł Alex, znów swoim przyjacielskim tonem. – Niezła zagadka, co?

Zawsze terapeuta.

Erie Stahl zrobił pięćdziesiąt pompek na jednej ręce, potem jeszcze czterysta normalnych. Rzadko pocił się po takim wysiłku, ale tym razem był cały mokry. Niepokój przed wizytą u Donalda Murphy'ego?

Głupie, powinien nad tym zapanować. Ale ciało nie kłamie.

Wziął prysznic, ubrał się w jeden ze swoich czterech zestawów – czarny garnitur, biała koszula, szary krawat – i pojechał do domu spokojnej starości Słoneczny Ogród w Mar Vista.

Był to piętrowy budynek koloni jasnej kawy, z ciemnobrązowymi narożnikami. W środku hol, wyłożony zieloną tapetą. Starzy ludzie na wózkach.

A potem szpitalny zapach.

Stahlowi zakręciło się w głowie. Zwalczył chęć ucieczki, wyprostował się sztywno, poprawił klapy marynarki i podszedł do recepcji.

Siedziała tam Filipinka w średnim wieku. Na sukienkę w kwiaty narzuciła biały fartuch. W Arabii Saudyjskiej sporo służących pochodziło z Filipin. Były jak niewolnice. Na pewno miały o wiele gorzej niż ona.

Na piersi plakietka: CORAZON DIAZ, ASYSTENT ODDZIAŁU.

W szpitalnym dialekcie – recepcjonistka.

Stahl uśmiechnął się do niej, postarał się wyglądać zwyczajnie, powiedział, o co mu chodzi.

– Policja?

– To nic poważnego, proszę pani. Muszę tylko porozmawiać z jednym z państwa pacjentów.

– Nazywamy ich gośćmi.

– Gość, o którego mi chodzi, to Donald A. Murphy.

– Chwileczkę, sprawdzę. – Postukała w klawisze komputera. – Pierwsze piętro.

Stahl pojechał na górę bardzo wolną windą. Ściany były tu też oklejone zieloną tapetą, ale od razu było widać, że to oddział szpitalny. Na środku biurko pielęgniarek, obok kilka rozmawiających kobiet w czerwonych mundurkach. Dalej pojedynczy długi korytarz z pokojami po obu stronach. Dwa wózki noszowe. Na jednym zmięta pościel.

Stahl z trudem panował nad sobą.

Kiedy podszedł do pielęgniarek, nie przestały rozmawiać. Już miał je zapytać o pokój Donalda Murphy'ego, kiedy zauważył nad biurkiem białą tablicę, a na niej wypisane niebieskim markerem nazwiska. Wyglądała tak samo, jak lista przydziału spraw na posterunku.

Dwieście czternaście.

Stahl poszedł korytarzem, mijając pokoje starych ludzi, jednych na wózkach, innych przykutych do łóżek. Słyszał grające telewizory i odgłosy aparatury medycznej.

Zapach był tu jeszcze mocniejszy. Specyficzny, chemiczny smród, zmieszany z odorem wymiocin, stolca, potu gorączki i mnóstwem innych, których nie rozpoznawał.

Fala potu, kolejny atak zawrotów głowy – omal nie upadł. Zatrzymał się w połowie korytarza i oparł ręką o ścianę. Zaczął głęboko oddychać. Kiedy poczuł się trochę lepiej, ruszył dalej do dwieścieczternastki.

Otwarte drzwi. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. Mężczyzna na łóżku miał rurki podłączone do nosa i ramion. Wyświetlacze nad jego poduszką wskazywały, że jeszcze żyje. Spod pościeli zwiślał przewód cewnika, odprowadzający bursztynowy płyn do stojącej na podłodze butelki.

Marynarka twierdziła, że emerytowany podoficer Donald Arthur Murphy ma sześćdziesiąt dziewięć lat, ale ten tu wyglądał na setkę.

Stahl sprawdził bransoletkę pacjenta. D. A. MURPHY, data urodzenia też się zgadzała.

Z bijącym sercem pokonał lęk i przyjrzał się leżącemu na łóżku mężczyźnie. Ojciec Erny miał pomarszczoną, trójkątną twarz, na głowie wiecheć rozczochranych, siwych włosów. Kilka z nich zachowało jeszcze resztkę dawnego koloru: były lekko rudawe przy samych cebulkach. Murphy miał duże, szerokie dłonie, poznaczone plamami wątrobowymi. Popękane naczynka na nosie świadczyły o tym, że kiedyś nie stronił od alkoholu. Bezzębne usta były zapadnięte.

Zamknięte oczy. Jak mumia. Stahl nie widział, żeby Murphy oddychał, ale monitory mówiły co innego.

– Panie Murphy? – powiedział.

Ciało ani sprzęt nie zareagowały.

Cały wysiłek na nic. Stał tak, zastanawiając się, z kim teraz porozmawiać, kiedy zalała go kolejna fala potu i zawrotów głowy – za silna, by nad nią zapanować, cholera, tym razem nie da rady.

Zobaczył krzesło. Zdażył w ostatniej chwili. Zamknął oczy...

Ocknął się, słysząc syrenę przeciwmgielną.

– Kim pan jest i co pan tutaj robi?!

Stahl otworzył oczy, spojrzął na zegar nad wyświetlaczami sprzętu medycznego. Stracił przytomność na kilka minut.

– Proszę odpowiadać – zażądał ten sam głos.

Potężny, damski, ryczący jak tuba.

Stahl odwrócił twarz w kierunku, skąd dolatywał.

Starsza kobieta, sześćdziesiąt parę do siedemdziesięciu lat. Wielka, silna, przysadzista, jak futbolowy obrońca. Jej twarz była niemal idealnie okrągła. Nad nią wznosiła się puchata, usztywniona lakierem góra włosów koloru szampana. Gruba warstwa makijażu, zdecydowanie za dużo różu i cienia do powiek. Burgundowa szminka nie upiększała gumniastych ust. Kobieta miała na sobie zielony wełniany kostium, na pewno drogi, z wielkimi kryształowymi guzikami i białym obszyciem klap. Za ciasny na nią, wydawało się, że lada chwila trzaśnie. Do tego dopasowane buty i torebka z krokodylej skóry, z potężnym zatrzaskiem ozdobionym kryształem górskim. Kamień w pierścieniu na kiełbaskowatym palcu na pewno jednak nie był kryształem górskim – oślepiająco biały i olbrzymi. Kolczyki z brylantami, w każdym po dwa. Czerwoną jak u indyka szyję opasywał naszyjnik z wielkich czarnych pereł.

– No?! – ryknęła kobieta, oparła ręce na biodrach i popatrzyła groźnie na Stahla. Na jej prawej dłoni lśnił drugi wielki pierścień z ogromnym szmaragdem. Miała na sobie dość biżuterii, by sfinansować emeryturę kilku Stahlów.

– Wzywam ochronę. – Trzęsły się jej policzki, a biust falował. Stahla bolała głowa. Krzyki kobiety drażniły go jak szkło w otwartej ranie. Pogrzebał w kieszeni, błysnął odznaką.

– Pan z policji? – zdziwiła się kobieta. – Więc dlaczego, u diabła, śpi pan w pokoju Donalda?

– Przepraszam. Źle się poczułem, usiadłem, żeby złapać oddech, musiałem na chwilę zemdleć...

– Jeśli coś panu jest, nie powinien pan tu przebywać. Donald jest bardzo ciężko chory. Lepiej, żeby go pan nie zaraził. To niedopuszczalne!

Stahl wstał. Przestało mu się kręcić w głowie. Irytacja była silniejsza niż lęk.

Ciekawe...

– Co łączy panią z panem Murphym? – spytał.

– Nie, nie, nie. – Pogroziła upierścienionym palcem. – Najpierw pan mi powie, co pan tu robi.

– Córka pana Murphy’ego została zamordowana.

– Erna?

– Znała ją pani?

– Czy znałam? Jestem jej ciotką, młodszą siostrą Donalda. Co się z nią stało? – Irytacja, rozkazujący ton, ani śladu współczucia czy szoku.

– Nie jest pani zaskoczona? – spytał Stahl.

– Młody człowieku, Ernadine była psychicznie chora od wielu lat. Donald nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów, ja też nie. Nikt w całej rodzinie. – Spojrzała na mężczyznę na łóżku. – Jak pan widzi, nie ma sensu niepokoić Donalda.

– Od jak dawna jest w takim stanie?

Co to pana obchodzi? – mówiła jej twarz.

– Wiele miesięcy, młody człowieku, wiele miesięcy.

– Śpiączka?

Kobieta się roześmiała.

– Musi pan być detektywem.

– Co mu jest, panno...

– Pani Trueblood. Alma F, Trueblood.

Młodsza siostra Murphy'ego. Stahl nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedyś była mała.

– Proszę pani, jeśli może mi pani coś powiedzieć...

– Nie – warknęła Alma Trueblood.

– Nawet nie słyszała pani pytania.

– I co z tego. Nie mogę panu powiedzieć o Ernadine zupełnie nic. Powtarzam: była chora od wielu lat. Jej śmierć była tylko kwestią czasu, jeśli chce pan znać moje zdanie. Mieszkała na ulicy. Donald nie widział jej od lat. Musi mi pan uwierzyć na słowo.

– Od ilu lat?

– Od wielu. Stracili ze sobą kontakt.

– Powiedziała pani, że jej śmierć była kwestią czasu.

– Oczywiście. Ernadine nie chciała pomocy, chadzała zawsze własnymi drogami. Żyła na ulicach. Zawsze była dziwna, już od małego. Dzika, ponura, miała dziwne zwyczaje: jadła kredę, ziemię, jakieś zepsute ochłapy. Skubała włosy, chodziła w kółko i gadała do siebie. Całymi dniami rysowała obrazki, ale nie miała za grosz talentu. – Alma Trueblood przysunęła się bliżej. – Nie lubiłam jej.

Miała zły wpływ na moje dzieci i muszę panu powiedzieć, że nie pozwolę wciągnąć swojej rodziny w nic paskudnego.

– O jej!

– Co to miało znaczyć, młody człowieku?

– Chyba się pani strasznie rozzłościła.

– Nie jestem zła! Bronię swojej rodziny. Mój brat potrzebuje ochrony, niech pan sam na niego popatrzy. Najpierw serce, potem wątroba i nerki. Wszystko wysiada. Płacę za pobyt tutaj i niech mi pan wierzy, to niemałe pieniądze. Gdyby nie to, Donald wylądowałby w jakimś szpitalu dla weteranów. Nie, nie chcę o tym nawet słyszeć. Dobry Bóg był dla mnie łaskawy i mój starszy brat będzie tu leżał tyle, ile będzie trzeba. Niech pan nie myśli, że jestem okrutna. Żałuję Ernadine. Ale ona porzuciła rodzinę wiele lat temu i nie pozwolę, żeby nas zrujnowała.

– Zrujnowała, umierając?

– Zrujnowała... wciągając nas w swoje ohydne życie. My, ja i mój mąż William T. Trueblood, jesteśmy szanowanymi obywatelami. Wspieramy finansowo wiele wartościowych przedsięwzięć i nie dopuszczę, żeby nazwisko Trueblood było zamieszane w jakieś brudy. Czy to jasne?

– Bardzo.

– W takim razie będę wdzięczna, jeśli pan sobie pójdzie. – Alma Trueblood otworzyła swoją zieloną torebkę. Było tam sporo rzeczy, ale wszystko poukładane i zawinięte w cienkie, papierowe chusteczki. Stahl pierwszy raz w życiu widział coś takiego.

– Służyła pani w wojsku, pani Trueblood?

– Co to za pytanie? Nonsens. – Grube palce sięgnęły dna torebki, znalazły i otworzyły małe złote etui. W środku znajdowały się kremowe wizytówki. – Niech ktoś skontaktuje się ze mną w kwestii pogrzebu Ernadine. Pokryję kosztą, oczywiście. Do widzenia, młody człowieku.

Stahl schował wizytówkę do kieszeni marynarki. Piękny papier, graby, jedwabisty w dotyku. Młodsza siostra wspięła się po drabinie społecznej. Ruszył do drzwi.

– I niech pan lepiej coś zrobi z tą swoją narkolepsją – zawołała za nim Alma Trueblood. – Jestem pewna, że pana przełożeni nie byłiby zadowoleni, gdyby się o niej dowiedzieli.



Milo zadzwonił późnym popołudniem.

– Doszedłem z Petrą do wniosku, że czas spróbować jeszcze raz z rodzicami Drummonda. W hondzie były tylko odciski palców Kevina na kierownicy i klamce drzwi od strony kierowcy, trochę rozmazanych śladów po ludziach z parkingu w Inglewood. Nie ma krwi, żadnych płynów ustrojowych, żadnej broni. Nie ma też nic, co prowadziłoby bezpośrednio do Erny Murphy, ale Petra znalazła kogoś, kto widział, jak wsiadała do małego, jasnego samochodu w noc, kiedy została zamordowana. Niedaleko miejsca zbrodni. Samochód Kevina odholowali dopiero następnego dnia.

– Kto jest świadkiem? – spytałem.

– Uzależniony od amfetaminy diler – powiedział Milo. – Kiepski świadek, ale potwierdził granice czasowe: Kevin zabrał ją, wykończył i uciekł z miasta.

– Najpierw zatarł odciski palców Erny. Czy samochód był niedawno myty?

– Trudno powiedzieć, długo stał na parkingu. Goście z laboratorium twierdzą, że drzwi pasażera wyglądały na czyszczone, jakby ktoś je wycierał. To oznaka przestępczych zamiarów, dlatego właśnie chcemy przycisnąć mamę i tatę. Twoje sugestie i twoja obecność bardzo by się przydały. Psychologiczna strategia i tak dalej.

– Kiedy? – spytałem.

– Po zmroku. Za parę godzin. Wpadnę po ciebie. Petra spotka się z nami na miejscu.

– A Stahl nie?

– Petra posadziła go do komputera. Do zobaczenia za dwie godziny. Zacznij rozgrzewać intelekt.

Czy można przeciwiczyć postępowanie z ludźmi? Trudna sprawa. Mimo to spróbowaliśmy, siedząc w hondzie Petry w cichej uliczce w Encino. Zatrzymaliśmy się dwie przecznice na zachód od domu Franklina i Teresy Drummondów, w cieniu gęstego, człekokształtnego korzennika. Księżyc świecił słabo, mimo to w jego blasku gałęzie wyglądały jak wyciągnięte ręce. Od czasu do czasu mijał nas jakiś samochód, ale nikt nas nie zauważył.

Petra opowiedziała nam o Drummondach.

– Czy to wygląda jak dom psychopatycznego mordercy, Alex?

– Jak na razie to wygląda jak mieszkająca na przedmieściu rodzina z wyższej klasy średniej – odparłem.

Petra z żalem pokiwała głową.

– Chyba powinniśmy skupić się na Franku. Jest dominujący. Jeśli go zignorujemy, ryzykujemy, że od razu na starcie się do nas zrazi.

– Podejdzie do drzwi już zrażony – stwierdziłem. – Możecie zacząć od uprzejmych gestów i słów, ale w pewnym momencie będziecie musieli wykazać trochę asertywności.

– Groźby? – spytał Milo.

– Jeśli wiedzą, gdzie jest Kevin, można ich oskarżyć o współudział – powiedziałem. – Frank jest adwokatem. Może próbować nas zakrzyczeć, ale będę na niego uważał, wypatrywał oznak niepokoju. I nadmiernej wrogości... to też może być kamuflaż.

– Więc co, każemy im wydać syna, żeby ocalili własne tyłki?

– Cokolwiek czują do Kevina, mogą nie chcieć ryzykować współudziału w przestępstwie. W którymś momencie wspomniałbym też o pieniądzach. Sfinansowali pismo Kevina, więc są pośrednio odpowiedzialni za wszystko, co z tego wynikło. W najlepszym przypadku nie pomoże to kancelarii Franka. Matka też może być celem. Jej poczucie winy wzrośnie, kiedy pokażecie jej zdjęcia Erny.

– Która może być kuzynką Erną – powiedział Milo.

Do Petry:

– Stahl jeszcze nie znalazł żadnego powiązania?

– Nie – odparła. – Jak mówiłam, zlokalizował ojca Erny, ale facet jest w śpiączce, jedną nogą na tamtym świecie. Kiedy Stahl był w domu starców, wpadł na jego krewną, siostrę Donalda Murphy’ego, Almę Traeblood, straszną cholere. Chociaż bardziej to ona wpadła na niego. Powiedziała, że Erna całe życie była dziwna, że odrzucała pomoc rodziny. – Odwróciła się do mnie. – Więc będziemy obserwować ich reakcje. Nas troje, ich dwoje, mamy przewagę. Powiemy im, że Alex jest psychologiem?

– Po co? – spytał Milo.

– Żeby dać do zrozumienia, że sprawa jest poważna, a Kevin jest uważany za psychopatę.

Oboje czekali, co powiem.

– Nie, ja będę się trzymał z tyłu. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wtrączę się, kiedy uznam za stosowne.

– Może być – zgodziła się Petra.

Milo kiwnął głową.

– Gotowi?

Drzwi otworzył przysadzisty mężczyzna w przyciasnej, czerwonej koszuli, workowatych spodniach khaki, czarnych skarpetkach i kapciach. Miał mięsistą twarz, szeroki nos, faliste, siwiejące włosy i przenikliwe, gniewne spojrzenie. Był spięty, gotów do ataku.

– Dobry wieczór, panie Drummond – powiedziała Petra.

Mięśnie szczęki Franka Drummonda napięły się na ułamek sekundy. Spojrzał na Mila i na mnie.

– Cały batalion? Co znowu?

– Znaleźliśmy samochód Kevina – poinformowała go Petra.

Drummond zamrugał oczami. Trzymałem się z tyłu, prawie całkiem schowany za Milem, ale uważnie mu się przyglądałem. Musiał to wyczuć, bo spojrzał mi w oczy i poruszył ustami.

– Gdzie? – spytał.

– Był porzucony, proszę pana – wyjaśniła Petra. – Zaparkowany nielegalnie niedaleko lotniska. Sprawdzamy teraz linie lotnicze, żeby dowiedzieć się, gdzie Kevin poleciał. Jeśli pan wie...

– Lotnisko – powtórzył Drummond. Na czole pojawił mu się pot. Píwne oczy bez przerwy mrugały. – Niech to szlag.

– Możemy wejść?

Drummond poruszył ramionami i wyprostował się. Znow przyjął pozę adwokata.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest Kevin.

– Musi to pana martwić – powiedziała Petra.

Drummond milczał.

– W tej chwili zniknięcie Kevina jest traktowane jako przestępstwo.

– Jesteście śmieszni.

Petra przysunęła się do niego bliżej. Milo i ja też.

– Jeśli pan wie, gdzie jest syn, powinien nam pan to powiedzieć w swoim i jego interesie.

Drummond zacisnął zęby.

– Frank? – zawołał ktoś z domu.

Szybkie kroki. Stłumione, a jednocześnie wyraźne.

– Wszystko w porządku! – odkrzyknął.

Ale kroki nie ucichły i zza pleców męża wyrzała Terry Drummond. Była o kilka centymetrów wyższa od niego, do tego w sandałach bez pięt na wysokich obcasach. Dziesięciocentymetrowych, niewiele grubszych niż igła do cerowania.

Spojrzałem na nie jeszcze raz. Męczyła się w nich we własnym domu.

– Wracaj do środka – polecił jej Frank.

– Co się stało?

Petra powiedziała jej o hondzie.

– O, nie!

– Terry – naciskał Frank.

– Frank, proszę...

– Pani Drummond, Kevin może być w niebezpieczeństwie – powiedziała Petra.

Frank pogroził jej palcem.

– Niech pani posłucha...

– Frank! – Terry Drummond złapała go za rękę i przytrzymała.

– Na coś takiego nie ma usprawiedliwienia – warknął Frank.

– Możemy wejść? – spytała Petra. – W tym momencie macie państwo do wyboru albo to, albo posterunek.

Drummond zacisnął pięści i skrzywił się.

– Co to znaczy „w tym momencie”?

– W samochodzie Kevina znaleźliśmy dowody przestępczych zamiarów.

– Jakie dowody?

– Porozmawiajmy w środku – powtórzyła Petra.

Drummond nie odpowiedział.

– Wystarczy, Frank. Wpuśćmy ich – zawołała jego żona.

Nozdrza Drummonda rozchyliły się.

– Tylko na chwilę.

Ale uszła z niego cała wola walki.

Salon świadczył o tym, że bogactwo Drummondów było efektem raczej własnych osiągnięć niż dziedzictwa. Sufit był za wysoki w stosunku do skromnej wielkości tego pokoju. Ściany wykończone imitacją marmuru, prefabrykowane sztukaterie jak bita śmietana. Jasne, ciężkie meble, zbyt liczne kryształowe lampy i żyrandole. Na grubej, beżowej wykładzinie porozrzucane bezładnie imitacje perskich dywanów.

Trzy obrazy na ścianach: arlekin, balerina, jaskrawy krajobraz: parów pod łososiowym niebem. Odbicia światła oddano kropkami srebrnej farby. Przeróżające. Kevin Drummond nie wychowywał się w otoczeniu wytwornej sztuki.

I uciekł. Zapuszczona kawalerka w Hollywood znajdowała się niecałą godzinę drogi stąd, ale pod każdym względem był to zupełnie inny świat.

Frank Drummond opadł ciężko na miękką kanapę. Terry w obcisłych legginsach siadła pół metra dalej, skrzyżowała swoje długie nogi tancerki, odrzuciła płomieniście rude włosy i najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jak kołyszają się jej piersi.

Nosiła buty na wysokich obcasach, ale nie zakładała biustonosza. Z kuchni przyplłynął zapach spaghetti z puszki.

Pomyślałem o dzieciństwie Kevina.

Frank Drummond odetchnął głęboko, wyprostował się. Terry siedziała niby swobodnie – Kleopatra na barce na Nilu – ale mocny makijaż nie mógł ukryć, że się martwi.

Ich dłonie dzieliło kilka centymetrów. Nie dotykali się.

– Wiem, że to dla państwa niełatwe... – zaczęła Petra.

– A wy to jeszcze utrudniacie – przerwał Drummond.

Żona spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

– A co chciałby pan, żebyśmy zrobili?

Milczenie.

– Wygląda na to, że Kevin gdzieś poleciał – powiedział Milo. – Domyśla się pan gdzie?

– To wy jesteście detektywami.

Milo się uśmiechnął.

– Ja chciałbym wiedzieć, gdzie jest mój syn.

Znów cisza. Przyglądałem się ich twarzom, wypatrując najmniejszych oznak oszustwa. Niekontrolowane mrugnięcie okiem, skurcz mięśni twarzy – mowa ciała.

Widziałem tylko mękę. Ból, który oglądałem aż za często.

Rodzice ciężko chorych dzieci. Rodzice uciekinierów. Rodzice mieszkający z nastolatkami, których zachowanie już dawno przestało być przewidywalne.

Agonia niewiedzy.

Terry Drummond napotkała mój wzrok. Uśmiechnąłem się, a ona odpowiedziała uśmiechem. Jej mąż niczego nie zauważył. Siedział sztywno, patrzył tępo przed siebie, zamknięty w sobie.

– Mam jedną dobrą wiadomość – oznajmił Milo. – Dobrą dla nas, a może i dla państwa. Kevin nigdy nie dostał paszportu, więc istnieje szansa, że wciąż jest w kraju.

– To nie może się dziać naprawdę – powiedziała Terry Drummond.

– Kochanie... – zaczął Frank.

– To po prostu nie może być prawda... proszę. Czego wy od nas chcecie?

– Informacji o miejscu pobytu Kevina – odparł Milo.

– Nie wiem, gdzie jest! Dlatego właśnie odchodzę od zmysłów!

– Terry – uspokajał ją Frank.

Zignorowała go, przesunęła się i pokazała mu plecy.

– Nie sądzicie, że gdybym wiedziała, gdzie jest, powiedziałabym wam?

– Powiedziałyby pani? – spytała Petra.

Terry spojrzała na nią z pogardą.

– Najwyraźniej nie jest pani matką.

Petra zbladła, potem się uśmiechnęła.

– Bo...

– Matki chronią swoje dzieci, młoda damo. Naprawdę pani uważa, że chcę, żebyście ścigali Kevina? Albo, nie daj Boże, zastrzelili go, bo krzywo na was spojrzal? Wiem, jak działacie. Lubicie najpierw strzelać, potem pytać. Gdybym wiedziała, gdzie jest, chciałabym, żeby był bezpieczny i poza podejrzeniami!

Frank Drummond spojrzał na żonę z szacunkiem. Nikt się nie odezwał.

– To całkowicie niedorzeczne – ciągnęła Terry – to, że Kevin jest o coś podejrany. Matka wie takie rzeczy. Czy którekolwiek z was jest rodzicem?

Milczenie.

– Ha. Tak myślałam. Więc posłuchajcie: Kevin to dobre dziecko, nie zrobił nic złego. Dlatego powiedziałabym wam, gdybym wiedziała, gdzie jest. Bo jestem jego matką. – Zerknęła na Franka. Jej wzrok jasno mówił: być matką to o wiele więcej niż być ojcem.

– W porządku? – powiedział cicho. – Pójdziecie już państwo?

– Dlaczego Kevin miałby wyjeżdżać z miasta? – spytał Milo.

– Nie wiecie, że wyjechał – oświadczyła Terry.

– Jego samochód stał niedaleko lotniska...

– Mogło tak być z wielu powodów – przerwał Frank zaczepnym tonem.

Znowu odezwał się w nim prawnik.

Żona spojrzała na niego z niechęcią i odwróciła się do Petry.

– Gdyby naprawdę zależało pani na wykonywaniu swoich obowiązków, młoda damo, przestałaby pani uważać mojego syna za przestępcę i zaczęła go szukać jak zwyczajnej osoby.

– To znaczy?

– To znaczy... nie wiem, co to znaczy. To pani praca, pani świat.

– Proszę pani...

Terry załamała rękę.

– Jesteśmy normalnymi ludźmi, nie wiemy, jak się zachowywać w takich sytuacjach!

– Na dobry początek możecie państwo zacząć odpowiadać na pytania – rzuciła Petra.

– Jakie pytania?! – krzyknęła Terry. Machnęła rękami o czerwonych paznokciach, jakby próbowała rozedrzeć jakąś niewidzialną zasłonę. – Nie usłyszałam jeszcze żadnego inteligentnego pytania! Co? Co?!

Milo i Petra pozwolili jej dojść do siebie, po czym zaczęli robić swoje. Dwadzieścia minut później dowiedzieli się tylko, kiedy w przybliżeniu Kevin dzwonił ostatnio do rodziców.

Prawie miesiąc temu.

Powiedział to Frank. Terry zbladła.

Miesięczne przerwy między telefonami mówiły wiele o stosunkach dziecko-rodzice.

– Kevin potrzebował swobody – wyjaśniła Terry. – Zawsze był najbardziej twórczy.

Frank zaczął coś mówić, przerwał, zaczął skubać obicie kanapy.

– Przestań, poprujesz – burknęła Terry.

Frank usłuchał, zamknął oczy i podłożył sobie pod kark poduszkę.

– Kevin ma dwadzieścia cztery lata. Ma swoje własne życie – oświadczyła Terry.

– Kiedy po raz ostatni wysłaliście mu państwo pieniądze? – spytałem.

Na słowo „pieniądze” Frank się ożywił: jego ciemne oczy otworzyły się gwałtownie.

– Nie wysłaliśmy już od jakiegoś czasu. Kevin ich nie chciał.

– Nie chciał pieniędzy?

– W końcu.

– W końcu – powtórzyłem.

– Zawsze był niezależny – wtrąciła Terry. – Nigdy nie chciał się na nas opierać.

– Ale finansowaliście państwo „GrooveRat”? – spytałem.

Na wspomnienie magazynu oboje się skrzywili.

– Płaciłem na początku – powiedział Frank.

– A potem?

– A potem nic. Myli się pan, sądząc, że braliśmy udział we wszystkim, co robił Kevin.

– Braliśmy – powiedziała stanowczo jego żona. – To nasz syn, zawsze będziemy częścią jego życia, ale... – Umilkła.

– Kevin musiał zrozumieć, kim jest, a państwo to uszanowaliście – powiedziałem.

– Właśnie – przytaknęła Terry. – Kevin zawsze był kimś.

Frank zamrugał, więc zwróciłem się do niego:

– A zatem posyłał mu pan pieniądze, żeby mógł zacząć z pismem, a potem pan przestał.



– Wysyłałem mu pieniądze, na co chciał – odparł Frank. – Nie chodziło mi konkretnie o pismo.

– Co pan o nim sądzi?

Drummond wzruszył ramionami.

– Nie znam się na tym.

– Uważałam, że to cudowne – wtrąciła się Terry. – Bardzo dobrze napisane.

– A po kilku pierwszych miesiącach... – zacząłem.

Frank zmrużył oczy.

– Przestał dzwonić...

– Nie mów tak – upomniała go Terry. – Nie pokłóciliśmy się. Ty i on... – Do nas: – Mój mąż ma dominujący charakter. Pozostali chłopcy sobie z tym radzą. Kevin musiał znaleźć własną drogę.

– Świetnie – uniósł się Frank. – Teraz to moja wina.

– To niczyja wina, Frank, nie mówimy o winie, nikt nie jest niczemu winny. Próbujemy im opisać Kevina, żeby zaczęli widzieć w nim człowieka, a nie jakiegoś... podejrzanego.

Frank skrzyżował grube ramiona na piersi.

– Nie chodzi o ciebie, Frank – perswadowała Terry.

– Dzięki Bogu.

Odsunęła się dalej od niego. Wzięła jedną z poduszek i położyła sobie na kolanach jak pieska. Frank zerknął w stronę kuchni. Poruszył szczęką.

– Wiecie co? Mam tego dość. Byłem cały dzień w sądzie, chyba zasłużyłem sobie na cholerny domowy obiad. A wy przeszkodziliście nam w obiedzie.

Ale żona go nie poparła, a sam się nie ruszył.

– Z czego utrzymywał się Kevin, kiedy przestał prosić o pieniądze? – spytałem Terry.

– Nigdy nie prosił – obruszyła się. – Nawet na początku. My je zaproponowaliśmy, a on przyjął.

– Zrobił nam wielką łaskę – burknął Frank.

– Kevin nie jest materialistą – wyjaśniła Terry. – Kiedy skończył studia, zaproponowaliśmy, że kupimy mu ładny samochód. A on poszedł i kupił sobie tego rżęcha. – Nachmurzyła się. Pomyślała o hondzie, pozostawionej niedaleko lotniska.

Potrzebował nierzucającego się w oczy samochodu? – pomyślałem. W takim razie dlaczego nie wybrał ciemnego?

– W pewnym momencie zaczął odmawiać pieniędzy – powiedziałem.

– Tak.

– Można prosić na różne sposoby – stwierdził Frank. Rozplótł ręce i trzasnął kłykciami. – Finansowałem jego zainteresowania od lat.

– Od tego są ojcowie, Frank.

– Ja – ciągnął Drummond. – Super-ojciec.

Terry spojrzała na niego wilkiem. Jej małe pięści pobieleły.

– Teraz widzieliście już nas państwo z najgorszej strony. Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni.

Frank wzdrygnął się, słysząc wstyd w jej głosie. Przysunął się bliżej, położył dłoń na jej kolanie. Terry ani drgnęła.

Milo spojrzał na Petrę, potem na mnie. Petra kiwnęła lekko głową, ja się nie sprzeciwiłem.

Sięgnął do swojej teczki, wyjął zdjęcie martwej Erny Murphy i pokazał je Drummondom.

– O mój Boże – powiedziała Terry.

– Kto to jest, do cholery? – zdziwił się Frank. I dodał: – No, to już zjadłem obiad.

Milo i Petra przytrzymali ich jeszcze trochę. Zapach spaghetti znikł. Zadawali te same pytania po kilka razy. Zmieniali ich formę, byli na przemian współczujący i zdystansowani. Sondowali ich, próbując znaleźć związek między Drummondami a Murphymi.

Drummondowie zaprzeczali. Zaprzeczali wszystkiemu. Bez zdenerwowania. Wierzyłem im. Wierzyłem, że niewiele wiedzą o swoim synu.

W pewnym momencie rozmowa stała się luźniejsza. Obie strony były zniechęcone. My nie dowiedzieliśmy się niczego ważnego, im zniknął syn.

– Biedna kobieta – powiedziała Terry. – Mówicie państwo, że była bezdomna?

– Tak, proszę pani – odparł Milo.

– Dlaczego Kevin miałby znać kogoś takiego?

– Mieszkał w Hollywood – wyjaśniła Petra. – W Hollywood spotyka się bardzo różnych ludzi.

Frank Drummond się skrzywił. Pomyślał o orientacji seksualnej Kevina?

– Nigdy mi się nie podobało, że tam mieszkał – mruknął.

– Potrzebował czegoś nowego, Frank – powiedziała Terry. Do nas: – Kevin by nie... Chodzi mi o to, że byłby dobry dla kogoś takiego, dałby mu pieniądze, ale nic poza tym. Nie interesowały go choroby umysłowe ani nic takiego.

– Tylko sztuka – wtrąciłem.

– Tak, proszę pana. Kevin uwielbia sztukę. Ma to po mnie. Kiedyś tańczyłam.

– Naprawdę? – zdziwiła się Petra. – W balecie?

– Brałam lekcje baletu, ale specjalizowałam się w tańcach nowoczesnych. Rock'n'roll, disco. Występowałam w telewizji. – Dotknęła włosów. – W *Hullabaloo*, *Liście Przebojów*, we wszystkich programach tanecznych. Dawno temu. Wtedy sporo pracowałam.

Oczy Franka rozbliły.

Tych parę zdań o jej karierze o czymś mi przypomniało.

– Słyszała pani kiedyś o Baby Boyu Lee? – spytałem.

Przygryzła wargę.

– To muzyk, prawda?

– Spotkała go pani kiedyś?

– Niech się zastanowię... – powiedziała. – Nie, chyba nie było go w żadnym programie. Poznałam The Dave Clark Five, Byrdsów, Little Richarda...

Frank westchnął głośno. Przerwała.

– Czemu pan o to pyta?

Teraz ja musiałem spytać o zgodę. Milo i Petra kiwnęli głowami.

– Baby Boy Lee został zamordowany – powiedziałem. – Kevin pisał o nim w „GrooveRat”, zadzwonił na policję, żeby poznać szczegóły zbrodni.

– I to o to chodzi? – spytał z niedowierzaniem Frank i zaśmiał się ochryple. – Mój Boże. Co za totalna bzdura. – Znów się roześmiał. – Telefon? Chyba nie mówicie poważnie.

– Tu chodzi o coś więcej, panie Drummond.

– O co, na przykład?

Milo pokręcił głową.

– Wspaniale – westchnął Drummond.

– Ile pieniędzy dał pan Kevinowi? – wtrąciłem.

– Czemu to takie ważne?

– Czemu to tajemnica?

– Bo...

– Dziesięć tysięcy dolarów – przerwała mu Terry.

– Wspaniale – powtórzył Frank.

– To nie tajemnica, Frank.

– Jednorazowo czy w ratach? – spytałem.

– Jednorazowo – odparł. – Jako prezent po skończeniu studiów. Chciałem to rozłożyć na raty, ale żona... Opłacam też ubezpieczenie za jego samochód i składkę zdrowotną. Stwierdziłem, że dziesięć tysięcy wystarczy na roczny czynsz i wydatki, jeśli nie będzie szalał.

– Jak Kevin finansował swoje pismo i życie przez dwa lata?

– Nie wiem. Uznałem, że znalazł sobie jakąś pracę.

– Wspominał coś o pracy?

– Nie, ale o nic mnie nie prosił.

– Kevin zawsze był niezależny – powtórzyła Terry.

– Pracował wcześniej? – spytałem.

– Nie na studiach – odparła. – Nie godziłam się na to. Chciałam, żeby skupił się na nauce.

– Dobrze się uczył?

– O, tak.

Opiekun Kevina, Shull, widział to inaczej: nie wybijał się.

– Więc pracował przed studiami – powiedziałem.

– Oczywiście – przytaknęła Terry. – Pracował w sklepie zoologicznym, sprzedawał prenumeraty pism, kosił trawę i sprzątał podwórko. – Oblizwała wargi. – Przez kilka wakacji pod rząd pomagał

Frankowi w kancelarii.

– Co robił? – spytałem.

– Segregował dokumenty. – Wyraz twarzy Franka wskazywał, że to nie był dobry pomysł.

Terry to zauważyła.

– Kevin zawsze był... Zawsze miał własne pomysły.

– Nie lubi rutyny – przyznał Frank. – W mojej kancelarii, w każdej kancelarii, rutyny jest bardzo dużo. Założę się, że znalazł sobie coś... niekonwencjonalnego.

– Na przykład? – spytała Petra.

– Pisarstwo, coś takiego.

– Nic mu się nie stało – powiedziała Terry. – Po prostu wiem, że nic mu się nie stało. – Głos jej drżał. Frank wziął ją za rękę, ale wyrwała się i wybuchnęła płaczem.

Odsunął się zniesmaczony.

– Martwi się pani o Kevina – powiedziałem, kiedy Terry trochę się uspokoiła.

– Oczywiście, że tak... Wiem, że nic nikomu nie zrobił. Ale to... to zdjęcie, które nam państwo pokazaliście...

Znów się rozplakała.

– Przestań – rozkazał ostrym tonem Frank. Potem zreflektował się i powiedział cicho: – Terry nie wygłupiaj się. Nie płacz, kochanie.

– Bo co? – prychnęła. – Bo ty mi każesz?

– A więc co tu mamy oprócz samej dysfunkcji? – spytał Milo, kiedy Petra odwoziła nas swoim samochodem.

– Kevin opuścił dom dwa lata temu – powiedziałem – ale był dla nich obcy już znacznie wcześniej. Nie mają pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Jeśli mówią prawdę, że nie chciał brać od nich pieniędzy, chciałbym wiedzieć, jak finansował swoje wydawnictwo.

– Nielegalnie – stwierdził Milo. – Robił coś na ulicy. Tak poznał Ernę.

– Która nie jest jego kuzynką – zauważyła Petra.

– Na to wygląda.

Poruszyłem temat samochodu. Dlaczego Kevin wybrał białą hondę zamiast czegoś ciemnego?

– Nie jest aż tak cwany – powiedziała Petra. – Przez telefon mówił jak dziecko.

– Wredne dziecko – mruknął Milo. – Jego mama obawia się, że jest ofiarą.

– Mamy zawsze tak myślą – szepnęła Petra. Wydawała się tak samo smutna jak Terry Drummond.

Petra i Milo chcieli jeszcze pogadać, więc znaleźliśmy całodobową kawiarnię na Ventura przy Sepulveda i zamówiliśmy kawę i ciastka u kelnerki, która dobrze odczytała nasze zamiary i trzymała się z daleka.

– Miałeś rację co do pieniędzy – powiedział Milo. – Dziesięć tysięcy mogło starczyć tylko na sprzęt Kevina i to może niecały. A musiał jeszcze opłacić koszty druku, dystrybucję, czynsz i jedzenie.

– Gospodyni Kevina powiedziała, że płacił za pół roku z góry – dodała Petra. – Mieszkanie kosztuje pięćset miesięcznie, więc to trzy kawałki. Kevin płacił też co pół roku za skrytkę pocztową. To w sumie niedużo, ale najwyraźniej trwonił kasę taty. A tata przyznał właśnie, że Kevin lubił „niekonwencjonalne” zajęcia.

Zamówiła czekoladę z bitą śmietaną. Wyrzuciła śmietaną, dobrała się do czekolady.

Milo wchłonął połowę swojego jabłka *à la modę de luxe* (dwie kulki lodów waniliowych). Poczulem, że i ja jestem głodny, więc zamówiłem orzechy pekana i zacząłem się w nie wgryzać.

– Sęk w tym – powiedziała Petra – że od trzech dni biegam po ulicach i nie mogę znaleźć nikogo, kto by go choćby znał, nie mówię już o tym, że coś wskazywałoby, że prowadził przestępczą działalność.

– Na co stawiasz? – spytałem. – Narkotyki?

– Bogaty dzieciak z forszą od starych. Pasuje.

– Dziesięć kawałków to nie kartel, ale starczy, żeby kupić pierwszą partię towaru, upłynnić ją i odłożyć na następną – stwierdził Milo.

– Miejsce, z którego zabrał Ernę, to powszechnie znany targ pigulek. Może Kevin znał je ze swoich handlowych doświadczeń – zastanawiała się Petra.

Milo skończył ciastko, zajął się lodami.

– Pracowałeś kiedyś w szpitalu, Alex. Masz ochotę pomóc?

– Nigdy nie zetknąłem się z czarnorynkowym handlem lekami.

– Masz jeszcze kontakt z kimś z Western?

– Od czasu do czasu.

– A w sąsiednich szpitalach?

– Mam parę kontaktów.

Milo spojrział na Petrę.

– Co powiesz na to, żeby Alex pokazał zdjęcie Kevina paru lekarzom?

– Nie zaszkodzi – odparła. – Może bardziej się otworzą przed kolegą po fachu. Możesz, Alex?

– Jasne. Ale jeśli ktoś handluje pigułkami, nie przyzna się do tego. Ani do znajomości z jakimiś dilerami.

– Ale mógłbyś przyjrzeć się ich reakcjom, zobaczyć, czy ktoś nie wyda ci się podejrzany. Wtedy my wkroczymy.

– W porządku.

– Nie przemęczaj się, daj sobie na to cały dzień. To daleki strzał, ale kto wie.

– Zajmę się tym jutro. Mimo wszystko powinniśmy też zastanowić się nad innymi źródłami dochodów Kevina. Ma tyle komputerów, drukarek, skanerów, a do tego zbiera pornografię.

Oboje na mnie popatrzyli.

– Powinam była o tym pomyśleć – przyznała Petra. – Kiedy byliśmy w kancelarii Franka Drummonda, jego sekretarka spytała, czy chodzi o jakieś porno. Rany, miałam to przed samym nosem, może wie coś o przeszłości tego chłopaka.

– Wakacje w kancelarii taty – powiedział Milo. – Dla taty to chyba nie jest miłe wspomnienie.

– Kevin jest podobno twórczy – zauważyła Petra. – Może ojcu nie podoba się jego twórczość – sadomasochistyczne, ostre porno.

– A może w biznesie siedział nie tylko Kevin i poróżniły ich twórcze rozbieżności – powiedziałem. – A jeśli wrogość Franka to nie tylko zwykła rodzicielska opiekuńczość?

Oboje zamilkli. Petra zaczęła bawić się widelcem.

– Rodzinny interes... właściwie Terry wygląda, jakby za młodych lat mogła grać w świńskich filmach. – Postukała widelcem w stół. – Sprawdź w obyczajówce.

Spędziłem cały dzień na rozmowach ze znajomymi w Western i innych szpitalach przy Sunset Boulevard. Nikt nie rozpoznał Kevina. Spróbowałem spytać kilka zupełnie obcych osób – patrzyły na mnie obojętnie, kręciły głowami. Przejechałem obok miejsca, w którym Kevin zabrał Ernę Murphy. W dzień ulica była cicha i słoneczna. Nic nie wskazywało na to, co się tu dzieje po zmroku.

Zauważyłem młodą Latynoskę, spacerującą z bliźniakami w podwójnym wózku. Niemowlaki



spały.

Kilka kilometrów na zachód miałyby na sobie mundurek, a w wózku spałyby cudze dzieci. Tutaj matki same zajmowały się swoim potomstwem.

I nocą zamykały drzwi na klucz.

Zanim wróciłem do domu, zadzwoniłem do Mila, żeby powiedzieć mu, że niczego się nie dowiedziałem.

– Jesteśmy towarzyszami broni, stary – mruknął. – Linie lotnicze nic nie wiedzą, cały rano wydzwaniałem do Bostonu, próbowałem się dowiedzieć, czy Kevin gdzieś się tam nie pojawił, teraz i wtedy, kiedy została pocięta Angelique Bernet. Teraz go nie ma, czy był, trudno powiedzieć, bo większość mniejszych hoteli nie trzyma danych gości dłużej niż rok. W kilku miejscach mieli komputery, ale jeśli Kevin tam jest, zameldował się pod innym nazwiskiem. Większe hotele były pełne, mnóstwo zjazdów, i mają dane. Kevina w nich nie ma.

– Co to za zjazdy?

– Zobaczmy... W tamtym tygodniu sześć dużych. Trzy na Harvardzie: medycyna rehabilitacyjna, media, historia fizyki, jeden na Wydziale Fizyki Plazmy MIT, sympozjum prawnicze w Tufts, coś o Bliskim Wschodzie w Brandeis. Czy któryś z nich mógłby zainteresować Kevina?

– Nie – powiedziałem. – Poza tym student nie zatrzymałby się w Four Seasons ani Parker House.

– Dlatego najpierw skoncentrowałem się na motelach i tanich hotelach. Sprawdziłem też wypożyczalnie samochodów i wymęczyłem departamenty z Bostonu i Cambridge, żeby sprawdziły swoje archiwa drogówki, na wypadek gdyby Kevin wziął samochód na inne nazwisko i dostał, na przykład, mandat za złe parkowanie. Tak dorwali Syna Sama, dlaczego mnie miałyby się nie poszczęścić? – Westchnął. – *Nada*. A Petra dowiedziała się, że Dmmmondów z pornografią łączy nie Kevin, tylko jego ojciec. Franklin D. reprezentował ponad tuzin producentów filmów dla dorosłych. Valley to stolica porno, więc rzecznik z Encino to logiczne rozwiązanie.

– Kwestie konstytucyjne?

– Banalne sprawy cywilne: zaległe rachunki, kontrakty, prawa pracownicze. Frank okazuje się być typową, ciężko pracującą, jednoosobową firmą. Pewnie nie czerwieni się od byle czego. Przez jego kancelarię przewinęło się tyle pornogwiazdek, że nic dziwnego, że jego sekretarka podejrzewała Kevina o babranie się w brudach. Że tak powiem.

– Ale nie ma dowodów, że Kevin brał w tym udział?

– Jak dotąd, nie. Obyczajówka wie o Franku, ale nigdy nie słyszała o Kevinie. Sprawdzili wszystkie swoje dane. *Nada redioc*.

– A Terry? – spytałem.

– Nic. Ale nawet zakładając, że mamuśka grała w świńskich filmach... może tak poznała Frankiego... i tak nic z tego nie wynika, skoro Kevin nie przejął rodzinnego interesu.

– Rodzinny interes mógł wpłynąć na seksualne zagubienie Kevina – powiedziałem. – Samo w sobie to nic nie znaczy, ale w połączeniu z resztą pomaga go zrozumieć. Wyobrażam sobie, że chciał się od tego odciąć. Wpadł w obsesję sztuki dla sztuki. Rozwścieczali go ludzie, którzy według niego się sprzedali, w jego oczach się prostytuowali. Ale w zaciszu swojego mieszkania zbierał świńskie zdjęcia.

– Seksualne zagubienie – powtórzył Milo. – Ładny eufemizm. To gej, Alex.

– Dla mnie to nie jest eufemizm. Mógłby być hetero i zagubiony.

– Może i tak... Nie chciałbym wyjść na nadwrażliwca, ale jak mówił stary Bob D. , mamy trochę za wiele niczego. W porządku: Drummondowie są nieźle popieprzeni. Lecz jak, do cholery, mam znaleźć Kevina, zanim wyładuje swoje zagubienie na następnym niczego niepodświadającym artyście?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

– Cały czas próbujemy wiązać z nim Ernę Murphy – ciągnął Milo. – Na wypadek, gdyby Frank i Terry kłamali, że jej nie znają, albo mądry kuzyn Erny istniał naprawdę. Stahl siedzi w Internecie, przepatruje drzewo genealogiczne rodziny pod kątem nazwiska jej ciotki, tej Trueblood.

Wychodzi na to, że ta baba naprawdę ma grubsze pieniądze. Wyszła za króla szafek kuchennych, mieszka w wielkim domu w Pasadenie.

– Sąsiadka Everetta Kipperera – powiedziałem.

Chwila milczenia.

– O tym nie pomyślałem... Zobaczmy, co znajdzie Stahl. Tymczasem Petra i ja przyjęliśmy show-biznesową zasadę: nie masz pomysłów, zwołaj zebranie. Następne jest dzisiaj wieczorem, o dziewiątej, na terenie Petry: knajpa u Gina. Jesteś zaproszony, ale nie mogę ci obiecać dobrej zabawy.

– Wstydzilibyś się – powiedziałem. – Nie dość, że zapomniałeś o kwiatkach, to jeszcze to.

Allison miała przerwę między swoim ostatnim pacjentem a mężczyzną umierającym na chorobę Lou Gehriga, którego odwiedzała w hospicjum. Kupiłem jedzenie na wynos, podjechałem po nią na Montana Avenue pod jej gabinet i pojechaliśmy do Ocean Park, gdzie zjedliśmy kolację, oglądając zachód słońca. Na plaży zostało jeszcze kilku windsurferów, niepoprawnych optymistów. Pelikany machały skrzydłami i wpatrywały się w wodę w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Allison zaatakowała swoją kanapkę, otarła usta i popatrzyła na ptaki.

– Uwielbiam je. Czyż nie są urocze?

Zawsze bardzo lubiłem pelikany. Kiepsko latają, za to świetnie umieją się wyżywić. Zero pretensjonalności, czysta skuteczność. Powiedziałem to Allison, objąłem ją ramieniem i dopiłem piwo.

– Do mojej definicji uroczego bardziej pasujesz ty.

– Bezwstydne pochlebstwo.

– Czasami to działa.

Oparła głowę na moim ramieniu.

– Czeka cię ciężki wieczór? – spytałem.

Rozmawiała ze mną kilka razy o pacjencie chorym na Gehriga. Wspaniały człowiek, miał nie dożyć pięćdziesiątki. Zajmowała się nim od czterech miesięcy. Teraz gasł, a razem z nim jej poczucie przydatności.

– Wybieramy sobie ten zawód – powiedziała kilka tygodni temu – jesteśmy niby ekspertami, ale który bóg nas do tego wyznaczył?

– Baal Wyższych Studiów – odparłem.

– Właśnie. Zdobądź dobre stopnie, zdaj egzaminy. Nie tak powinien wyglądać duchowy trening.

Oboje bardzo długo milczeliśmy. Usłyszałem, jak Allison wzdycha.

– Co się stało?

– Zniesiesz następną spowiedź?

Ścisnąłem jej ramię.

– Mój mały, chromowany przyjaciel – powiedziała. – Raz go użyłam.

– Kiedy?

– Niedługo po tym, jak go sobie sprawiłam. Zanim kupiłam dom, wynajmowałam mieszkanie w Culver City. Pracowałam do późna. Bo nie miałam do czego wracać. Któregoś wieczora siedziałam w gabinecie nad papierkową robotą, było już po północy. Wyszłam na parking, a tam siedzieli jacyś gówniarze, punki, palili trawę, pili piwo. Kiedy doszłam do samochodu, podeszli do mnie. Było ich czterech, mieli po piętnaście, szesnaście lat, nie wyglądali jakoś szczególnie przerażająco, ale byli mocno nawaleni. Jestem pewna, że chcieli mnie tylko nastraszyć. Kiedy jednak ich przywódca podszedł do mnie tak blisko, że prawie mnie dotykał, uśmiechnęłam się dziewczęco, wyciągnęłam pistolet z torebki i przystawiłam mu go do skroni. Zsikał się w spodnie, poczułam to. Potem się cofnął i uciekł, wszyscy uciekli. Kiedy już ich nie było, ja dalej stałam i uśmiechałam się jak głupia, czułam, że to bez sensu, ale nie mogłam poruszyć mięśniami twarzy. Potem zaczęłam dygotać, pistolet skakał na wszystkie strony. Odbijało się w nim światło księżyca, odbijało się od lufy jak spadające gwiazdy. Kiedy byliśmy w kanionie i oglądaliśmy meteoryty, przypomniało mi się to... Ścisnęłam pistolet tak mocno, że zaczęły mnie boleć palce. W końcu się uspokoiliłam, ale dalej nie mogłam ich rozprostować. Okazało się, że zaczęłam naciskać spust.

Spuściła głowę. Wiatr rozwiały czarne fale jej włosów.

– Chciałam potem wyrzucić pistolet. Ale doszłam do wniosku, że to nie o to chodzi. Musiałam nad nim zapanować... zapanować nad moim życiem... i teraz zaczyna się prawdziwa spowiedź: przyciągnęło mnie do ciebie między innymi to, że zajmujesz się przestępstwami. Byłeś kimś z mojej branży, komu się to udało. Wydawało mi się, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Dużo o tobie myślałam. Kiedy wreszcie zadzwoniłeś, byłam niesamowicie podekscytowana.

Dotknęła mojej dłoni, połaskotała ją paznokciem. Wzwód pojawił się nagle, wydawał się bezcielesny i obcy.

Najpierw Robin, teraz to. Reagowałam na wszystko uniesieniem małej główki.

– Oczywiście nie chodziło tylko o to. To, że jesteś przystojny i mądry, też mi wcale nie przeszkadzało. – Spojrzała na mnie. – Nie mówię ci tego po to, żeby pokazać, że jestem lepsza od Robin, bo ona nie potrafiła zaakceptować twojej pracy, a ja chcę za wszelką cenę być twoją pokrewną duszą. Po prostu tak jest. – Ścisnęła moją dłoń. – Czy to brzmi dziwnie?

– Nie.

– Czy to coś zmienia? Naprawdę, mam nadzieję, że nie. Jestem z tobą taka szczęśliwa... mocno ryzykuję... mówiąc ci, kim naprawdę jestem.

– Nic się nie zmieniło – powiedziałam. – Podoba mi się to, co usłyszałem.

– Jesteś cudowny, że tak mówisz.

– To prawda.

– Prawda – powtórzyła, obracając się na bok i przytulając do mnie. – Na razie musi wystarczyć.

Wysadziłem ją przed jej gabinetem i ruszałem właśnie na zebranie u Gina, kiedy zadzwonił Milo.

– Odwołane. Znalazł się następny trup. Podobny do naszych, ale nie do końca, bo nie leżał blisko żadnego miejsca występów. Ktoś go zostawił na mokradłach, niedaleko przystani Marina. Nie był zakopany, tylko na wpół schowany w zaroślach. Jacyś rowerzyści zauważyli stado ptaków i podjechali zobaczyć, co się stało. Zaawansowany rozkład, koroner twierdzi, że ciało leżało tam dwa, trzy dni.

– Zaraz po tym, jak Kevin zabrał Ernę – powiedziałem. – Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jego samochód został porzucony koło lotniska. Do Mariny stamtąd niedaleko.

– Po drodze. Wygląda na to, że Kevin sprawił sobie pożegnalny prezent. Ofiara to artysta, rzeźbiarz Armand Mehrabian. Na stałe mieszkał w Nowym Jorku, przyjechał na rozmowę w sprawie dużego projektu w centrum. Pracował w kamieniu, brązie i bieżącej wodzie, nazywają to rzeźbiarstwem kinetycznym. Mieszkał w Loews w Santa Monica, zniknął. Młody, utalentowany, świat sztuki właśnie zaczynał go zauważać. Miał spore szanse dostać ten projekt. Został wypatroszony tak samo jak Baby Boy i przyduszony jakimś szorstkim drutem. Powiedziałem technicznie koronera, że pewnie to gruba struna E. Była pod wrażeniem.

– Marina oznacza, że to sprawa Pacific.

– Zajęli się nią jacyś dwaj detektywi, których nie znam – powiedział Milo. – Schlesinger i Small. Petra mówi, że Small pracował kiedyś w Wilshire, zna go, jest w porządku. Przekładamy zebranie na później, żeby mogli na nie przyjechać. Jesteśmy organizacją równych szans, wspólnie się angażujemy w beznadziejne sytuacje. Na razie umawiamy się na jutro rano, żeby Schlesinger i Small mieli czas wstępnie obrobić Mehrabiana. Nie u Gina, na Westside, żeby mieli bliżej. Moi hinduscy przyjaciele mówią, że o dziesiątej. Pasuje ci?

– Jak ulał.

Znów to samo małe pomieszczenie na zapleczu Cafe Moghul, ten sam zapach rozgrzanego oleju i curry.

Dodatkowe dwie osoby – i było tu ciasno jak w celi.

Detektywi z Pacific byli po czterdziestce. Dick Schlesinger, wysoki, chudy, miał pociągłą, zamyśloną twarz i wąs koloru futra z norek, który przecinał ją jak autostrada. Marvin Small był niższy, pulchny i jasnowłosy. Jego wąsy stanowiła srebrna najeżona szczotka pod płaskim jak u boksera nosem. Dużo się śmiał, nawet kiedy nie było z czego.

Kobieta w sari przyniosła nam chai i wodę z lodem, po czym wyszła, uśmiechnąwszy się do Milo.

– Ten żartowniś Drummond – powiedział Marvin Small – mógł prysnąć gdzieś indziej niż do Bostonu?

– Sam sobie odpowiedz, wiesz tyle, co ja – odparł Milo.

Dick Schlesinger pokręcił głową.

– Następną zagadka.

– Miałeś ostatnio jakieś? – spytała Petra.

– Cały czas nad dwoma pracuję. Mała dziewczynka zniknęła z supermarketu, w którym robiła z mamą zakupy. Podejrzewamy jednego z chłopaków z magazynu, był notowany za molestowanie. Ale nie ma ciała, nie ma dowodów, a jak na idiotę facet jest bystry. Męczymy się jeszcze ze strzelaniną na Lincoln, załatwili tam jedną z dziwek pracujących między Rose i lotniskiem. Ten, kto ją wykończył, zostawił jej torebkę pełną prochów i gotówki, i oczywiście musieliśmy trafić na alfonsa, któremu zależy. Mieli troje dzieci. W tamtych okolicach przyskrzyniliśmy ostatnio kilku pracowników służb miejskich, głównie kolejarzy i kierowców autobusów, wracających do domu po nocnej zmianie i zbaczających na szybki numer. Mamy nadzieję, że to nie jest początek serii, i to w wydaniu służb miejskich.

– Ale nie płacz za mną, Argentyno – powiedział Small. – Wygląda na to, że wy też byliście ostatnio zajęci.

Ktoś zapukał do drzwi. Uśmiechnięta kobieta wniosła tacę darmowych przekąsek i postawiła ją na stole. Milo jej podziękował i wyszła.

– Leci na ciebie – mruknął Marvin Small.

– Ma się ten urok – odparł Milo.

Petra wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Wszyscy próbowali maskować frustrację wesołością. Wszyscy oprócz Stahla, który siedział sztywno i się nie odzywał. Detektyw Small spojrzał podejrzliwie najedzenie.

– Nastąpiła era wielokulturowości. Tej kultury jeszcze nie próbowałem, jeśli chodzi o jedzenie.

– Nie jest złe, Marve – powiedział Schlesinger. – Moja żona jest wegetarianką, często chodzimy do indyjskich restauracji. – Sięgnął po sarriosę, podniósł ją i powiedział głośno, co to jest. Petra, Milo i Marvin wzięli po kawałku. Stahl nie.

W żołądku zalegały mi resztki kanapki z pastrami – telefon Mila przeszkodził mi w trawieniu więc ograniczyłem się do gorącej herbaty z przyprawami.

Stahl żył w jakimś innym świecie. Przyjechał z dużą, białą kopertą, położył ją przed sobą na stole. Odkąd narada się zaczęła, nic nie powiedział ani się nie poruszył.

Reszta jadła. Small i Schlesinger podsumowywali przy tym sprawę Armanda Mehrabiana. Przy wtórze odgłosów żucia pokazali zdjęcia. Przerzuciłem je szybko. Rana brzucha była straszną, ziejącą jamą. Tak, jak u Baby Boya Lee i Wasilija Lewicza.

Trup pozostawiony na dworze – jak w przypadku Angelique Bernet i Chiny Marangi.

Elastyczność. Twórczość.

Powiedziałem to głośno. Wysłuchali, bez komentarza. Zjedli jeszcze trochę. Przez dwadzieścia minut powtarzali to, co już wiedzą.

– Czego się dowiedziałeś o rodzinie Murphych, Erie? – spytał w końcu Milo.

Stahl otworzył białą kopertę i wyjął z niej komputerowy wydruk drzewa genealogicznego.

– Ściągnąłem to z Internetu, ale wygląda na wiarygodne. Ojciec Erny Murphy, Donald, miał brata i siostrę. Brat, Edward, ożenił się z Colette Branigan. Jedyne kuzyn z tej strony to ich córka, Mary Margaret. Edward nie żyje, Colette mieszka w Nowym Jorku, Mary Margaret jest zakonnice w Albuquerque.

– Proszę, już macie gorący trop – powiedział Small. – Szalona siostra Mary.

– Siostra Murphy’ego nazywa się Alma Trueblood – ciągnął Stahl. – Spotkałem ją w domu starców, w którym Murphy umiera. Dwóch synów z pierwszego małżeństwa, jeden zmarł. Jej pierwszy mąż nie żyje, ale przedtem się z nim rozwiodła. Znalazłem kilku dalekich kuzynów, ale wszyscy mieszkają gdzieś na antypodach i żaden nie nazywa się Drummond. Nie znalazłem żadnego powiązania z Kevinem.

– Całe to gadanie o kuzynie to pewnie był bełkot wariatki – powiedział Small.

– Kuzyn, który lubi sztukę. Co z tego? – zastanawiał się Schlesinger.

Milo sięgnął po wydruk, przejrzał go pobieżnie i skrzywił się. Spojrzałem.

– Kto to? – spytałem, pokazując palcem.

Stahl nachylił się nad małym stołem i przeczytał do góry nogami.

– Pierwszy mąż Almy Trueblood. Był agentem sprzedaży nieruchomości w Tempie City.

– Alvard G. Shull – powiedziałem. – Opiekun Kevina z Charter College nazywa się A. Gordon Shull. Dwaj synowie, których masz tu wypisanych, to Bradley, zmarły, i Alvard junior.

– A. Gordon – powiedziała Petra. – Gdybym miała na pierwsze Alvard, używałabym drugiego.

– Cholera – zaklął Marvin Small. – Ten profesor lubi sztukę?

– W rzeczy samej – powiedziałem.

Zapadła martwa cisza.

– Shull powiedział mi, że wychował się na sztuce, literaturze i teatrze – oznajmiłem. – Do tego jest rady.

– Duży i wystarczająco silny? – spytał Milo.

– Tak. Metr osiemdziesiąt parę, około stu kilo. Typ podróżnika. Otwarty. I zupełnie nie bronił Kevina, jak można by się spodziewać po opiekunie. Na początku wyraził zaskoczenie, że Kevin jest o coś podejrany. Ale w rozmowie zaczął rozwodzić się o jego ekscentrycznych zachowaniach. Zapamiętałem jedno zdanie: „Kevin nie był typem człowieka, z którym poszłoby się chętnie na piwo”. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz widzę, jakie to było okrutne. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie mi powiedział, było to, że Kevin był marnym pisarzem.

– O, rany – jęknęła Petra.

Milo potarł twarz.

– Coś jeszcze. Kiedy rozmawiałem z kierowniczką wydziału Shulla o Kevinie, broniła się jak oblężona twierdza. Powoływała się na uczelnianą autonomię, poufność. Dokładnie tak, jak można by się spodziewać po kierownicze wydziału. Potem sprawdziła, że opiekunem Kevina był Shull, i jej nastawienie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Zaczęła mnie namawiać, żebym z nim porozmawiał. Nie zastanawiałem się nad tym, ale może miała jakiś powód. Chciała, żeby Shull miał kłopoty.

– Shull był niegrzeczny? – spytała Petra.

– W przypadku profesora – powiedział Small – bycie niegrzecznym może oznaczać postawienie złego stopnia nie temu, komu trzeba. Co tak naprawdę mamy na tego faceta oprócz tego, że lubi sztukę i miał walniętą kuzynkę?



– Kuzynkę, która została uduszona – przypomniała Petra. – I była widziana w miejscu popełnienia jednego z naszych morderstw.

Small skubnął wąsa.

– Więc co, myślicie, że mamy teraz dwóch podejrzanych? Ucznia i nauczyciela? Jak Buono i Bianchi, Bittaker i Norris, dwaj psychole w duecie?

– Mamy ucznia i nauczyciela dosłownie – powiedziała Petra. – Może wynieśli tę relację poza uczelnię. – Do Stahla: – Powiedziałeś, że mama Shulla ma kasę. To mogłoby wyjaśniać finansowanie Kevina.

– Wpływ Shulla wyjaśniałby też zmianę w jego stylu pisania – zauważyłem. – Kevin zaczął od prostej prozy, ale Shull poprowadził go w stronę większej złożoności. Powiedziałem Shullowi, że styl Kevina stał się pretensjonalny. Zaśmiał się. Ale może wcale nie było mu do śmiechu.

– Okazywał jakieś oznaki dziwactwa, Alex? – spytał Milo.

– Właściwie nie. Był bardzo opanowany. Ale od samego początku czułem, że ten, kogo szukamy, będzie się wydawał normalny. Że to będzie ktoś, kto wchodzi i wychodzi z miejsc występów, nie zwracając na siebie uwagi. Ktoś wystarczająco inteligentny, żeby wszystko zaplanować.

– Ktoś starszy niż Kevin – dodał Milo. – Od samego początku nie pasował ci jego wiek.

– Ile lat ma Shull? – spytała Petra.

– Trzydzieści parę, czterdzieści.

– Idealnie.

– Skąd jego rodzina ma pieniądze? – spytał Small.

– Od drugiego męża – odparł Stahl.

– Część z nich mogła trafić do jedyne żyjącego syna Almy Trueblood – powiedziałem. – Wiesz, jak umarli ojciec i brat Shulla?

Stahl pokręcił głową.

– Dobra robota, Erie – pochwaliła go Petra.

W oczach Stahla błysnęła ledwie zauważalna iskierka emocji. Potem znów stały się nieprzeniknione jak zawsze.

– Takie jest życie – powiedział Marvin Small. – Nagle wszystko się zmienia.

– Filozof – parsknął Schlesinger z wesołością żonatego mężczyzny. – Ja nie miałbym nic

przeciwko jakiejś zmianie. Na dobre. Dowiedcie się czegoś więcej o tym profesorze?

– Jak tylko stąd wyjdę, sprawdzę go w systemie – obiecała Petra.

– Lepiej nie rozmawiać z jego mamą – poradził Stahl.

– Nie jest miła? – spytał Milo.

– Nie należy do typu osób, z którymi chciałoby się iść na piwo. Pierwszy raz słyszałem, jak żartuje, jego głos nie miał jednak wesołej intonacji. Jak zwykle nie było w nim śladu emocji, jak u kogoś zrezygnowanego. A może Stahl miał po prostu dziwną osobowość.

Włożył wydruk z powrotem do koperty i przyjrzał się swojemu pustemu talerzowi.

Milo odwrócił się do mnie.

– Jak się nazywa ta kierowniczką wydziału?

Nazwisko Alvarda Gordona Shulla zostało przepuszczone przez system policyjnych banków danych. Nie był nigdy notowany, ale Guadalupe Santos, gospodyni kamienicy Kevina Drummonda, wydawało się, że rozpoznaje go na zdjęciu z wydziału komunikacji, które pokazała jej Petra.

– Hm... Może.

– Może co, proszę pani?

– Widziałam raz, jak Jurij rozmawiał na ulicy z jakimś człowiekiem. To mógł być on.

– Gdzie na ulicy, pani Santos?

– Niedaleko stąd, na Melrose, parę przecznic w tamtą stronę. – Wskazała na wschód. – Pomyślałam, że Jurij poszedł na zakupy albo coś takiego.

Petra pokręciła głową opowiadając o tym Milowi i mnie. Czy gospodyni nie pomyślała wcześniej, żeby o tym powiedzieć?

– Proszę pani, czy miał wtedy ze sobą torbę na zakupy?

Santos zamyśliła się.

– To było jakiś czas temu... Może.

– Ale sądzi pani, że rozmawiał wtedy z tym mężczyzną?

– Nie jestem pewna... Jak powiedziałam, to było jakiś czas temu.

– Jak dawno?

– Kilka miesięcy. Zwróciłam na to uwagę, bo nigdy wcześniej z nikim Jurija nie widziałam. Ale to nie było tak, że razem gdzieś szli.

– Co robili?

– Tylko rozmawiali. Jakby ten człowiek zapytał Jurija o drogę, czy coś takiego. Potem Jurij wrócił do domu sam.

– Mężczyzna odszedł na piechotę?

– Chyba tak. Ale nie mogłabym tego zeznać, czy coś. Nie mogę uczciwie powiedzieć, że pamiętam jakieś szczegóły, to wszystko „może”. Kto to jest?

– Może nikt. Dziękuję pani.

Santos zamknęła drzwi z zatroskanym wyrazem twarzy.

Shull mieszkał w domu przy Aspen Way, na wzgórzach Hollywood. Stahl czaił się całą noc przecznicę dalej. Niczego nie zauważył.

– Jak daleko z Aspen do napisu Hollywood? – spytałem Mila.

– W dół zbiega wzgórze i na wschód. Od Kevina też niedaleko. – Wpadł do mnie zaraz po naradzie, zajął telefon, w końcu usiadł przy stole w kuchni.

– Blisko studia, w którym nagrywała China – zauważyłem. – I Jamy Węży. Powiedziałbym, że Shull nie lubi wypuszczać się poza Hollywood, ale mamy też trzy morderstwa na Westside, nie wspominając już o Bostonie. Trudno go rozgryźć.

– Jak widzisz związek Shulla i Kevina? Wypaczona relacja nauczyciel-uczeń?

– To jedna możliwość. Spotykam się z Shullem, on się denerwuje, każe Kevinowi zniknąć. Któryś z nich albo obaj zabierają Ernę i pozbywają się jej, potem Shull odwozi Kevina na lotnisko, porzuca samochód i wraca taksówką do domu.

– Każę swoim detektywom sprawdzić korporacje taksówkowe. – Milo wykonał następny telefon. – Jaka jest inna możliwość?

– Terry Drummond ma rację i jej syn jest niewinny.

– Jeśli tak, to jest też prawdopodobnie martwy. – Milo poszedł do lodówki, nalał sobie mleka i wrócił do stołu. – Jeśli prysnął, wątpię, żeby wybrał Boston. Shullowi zależałoby raczej, żeby się tam nie pokazywał.

Wiedziałem, o czym myśli. Ile innych miast? Ile następnych trupów?

Zapisał jego pager. Biuro koronera. Milo zadzwonił, a ja poszedłem do gabinetu i wpisałem nazwisko A. Gordona Shulla do wszystkich głównych wyszukiwarek.

Link do osobistej strony Shulla nie działał. Oprócz tego wyszukiwarki znalazły trzydzieści jeden innych wzmianek. Dwie trzecie z nich się powtarzały. Dwanaście było cytatami z publikacji Charter College. Shull przewodniczył symposium Wydziału Dziennikarstwa.

*Rola artysty we współczesnym społeczeństwie.*

*Dziennikarstwo sponsorowane: dopuszczalne narzędzie zmian czy podstęp?*

*Rock'n'roll: seksualność jako metafora we współczesnej muzyce.*

*Lingwistyka jako przeznaczenie: dlaczego Noam Chomsky może być bogiem*

Kolejny tytuł mnie zmroził.

*Zimne serce: skrajny fatalizm artystycznych usiłowań.*

Na stronie nie było streszczenia tekstu ani żadnych odnośników. Shull przedstawił go w kawiarni w Venice, podczas przyjęcia na cześć Ezry Pounda.

Sprawdziłem miejsca jego innych wystąpień. Wszystko to były podobne, nieformalne spotkania. Wypychał sobie CV. Czy to dlatego doktor Martin nie lubiła swojego kolegi po fachu? A może chodziło o coś więcej?

Przypomniałem sobie swobodę, z jaką Shull odnosił się do dziewczyny czekającej pod jego gabinetem. Chłodny profesjonalista? Czy oślizgły podrywacz? Tak samo jak polityka, wyższa uczelnia daje mnóstwo możliwości komuś bez zasad moralnych.

Kawiarnia w Venice. Jakie znaczenie ma w L.A. odległość? Mając samochód, jest się panem własnego przeznaczenia.

A potem przyszło mi do głowy coś jeszcze...

Wrócił Milo.

– Rany Mehrabiana pasują do Baby Boya, tak samo ślady po strunie. I zgadnij, co jeszcze: tym razem nasz ulubieniec zostawił fizyczny ślad swojej obecności. Kilka włosów z zarostu na twarzy, siwo-rudych. Mehrabian też miał brodę, ale jego była czarna i długa. Spotkali się twarzą w twarz. Dosłownie.

– Shull nosi pięciodniowy zarost. Siwo-rudy.

– Proszę, Sherlocku, koroner ocenia długość tych włosów na pięć, sześć dni.

– I co teraz? – spytałem. – Przesłuchujesz go i dostajesz nakaz wyskubania mu brody?

– Do tego nam jeszcze daleko.

– Nawet kiedy mamy włosy?

– Dzwoniłem do prokuratury. Chcą czegoś więcej. Dużo więcej.

– Chodzi o to, że Shull ma bogatą mamę?

Milo się uśmiechnął.

– Zastępcy prokuratora okręgowego nawet by to nie przeszło przez myśl.

– To może pomóc – powiedziałem, wskazując na ekranie wzmiankę o artykule *Zimne serce*.

– O, rany.

– Czy teraz dostaniemy nakaz?

– Raczej nie. Pretensjonalność literacka nie załapuje się jako prawdopodobny motyw zbrodni.

– Więc co powiesz na to: w ciągu tygodnia, w którym zamordowano Angelique Bernet, w Bostonie odbywało się sześć zjazdów. Wspomniałeś, że jeden miał coś wspólnego z mediami. Shulla mogłoby to zainteresować.

Milo wyciągnął swój notes, przerzucił kartki.

– Media na Harvardzie – powiedział.

– Kto go prowadził?

– Mam tylko tyle.

– Chcesz, żebym to sprawdził?

– Jasne. Zrób dobry użytek ze swojego doktoratu. Proszę.

Wyszedł, obiecując, że wróci za godzinę. Zadanie zajęło mi prawie tyle samo, ale w końcu miałem w ręku kopię listy uczestników zjazdu.

Nie zdobyłem jej tak od razu – poufność i inne tego typu bzdury – ale jeden z moich kolegów ze studiów wykładał na Harvardzie, więc zadzwoniłem do niego, przypomniałem się, bezwstydnie porzuciłem trochę nazwiskami i wcisnąłem mu kit, że zamierzam zorganizować sympozjum na temat przemocy w mediach. Lista była mi potrzebna, żeby „dotrzeć do właściwych ludzi”.

Ostatecznym celem tej intrygi był jeden ze współprzewodniczących sympozjum, szybko mówiący profesor dziennikarstwa z Uniwersytetu Waszyngtońskiego Lionel South.

– To ja, zgadza się. Harvard pozwolił nam skorzystać ze szkoły Kennedy’ego, więc wpisaliśmy jednego z ich profesorów jako organizatora.

Ale naprawdę organizowaliśmy to ja i Vera Mancuso, jest w Clark... Mówi pan, że pana sympozjum będzie na Akademii Medycznej? Będziecie się skupiać na aspekcie psychologicznym?

– Eklektyzm – powiedziałem. – Na razie uzgadniam wszystko z Akademią, Wydziałem Psychologii i Wydziałem Prawa.

Kłamstwo czasami przychodziło mi tak łatwo, że w wolnych chwilach aż się nad tym zastanawiałem.

– Przemoc w mediach – powtórzył South. – Dostaniecie spore fundusze.

– Nie najgorsze.

– Jeszcze kilka strzelanin w szkołach i będziecie ustawieni.

Zmusiłem się do śmiechu.

– Wracając do tej listy...

– Już ją panu wysyłam. Proszę mi zrobić przysługę i informować nas na bieżąco. A gdyby potrzebował pan współorganizatora...

Znalazłem je na trzeciej stronie, w połowie nazwisk na „S”.

Shull, A. Gordon, prof. kom. ppoł., Charter College.

Odrobinę się awansował – był zwykłym wykładowcą.

To do niego pasowało.

Wrócił Milo. Pokazałem mu listę.

– Super! Świetna robota... Czy Shull wygłosił jakiś referat?

– Nie, tylko słuchał. Albo tylko się zapisał.

– Oszukiwał?

– Nie byłoby trudno. Kiedy już się wpisał na listę, nikt na pewno nie sprawdzał, czy naprawdę siedzi na wszystkich odczytach. Shull miał wolny czas.

– Dużo wolnego czasu, na przykład na balet.

– Może bardzo lubić balet. Wychował się przecież w kulturalnym domu – zauważyłem.

– Zimne serce... a to sukinsyn. – Milo zajrzał do swoich notatek, znalazł listę bostońskich hoteli, znów zaczął wydzwaniać.

Czterdzieści minut później zdobył potwierdzenie. Kiedy zamordowano Angelique Bernet, Shull mieszkał w Ritzu-Carltonie.

– Niedaleko teatru. Zabrał ją do samochodu w Bostonie, zawiózł do Cambridge, tam załatwił i zostawił. Bo to kawał drogi od jego hotelu, a blisko sympozjum... pociął dziewczynę i wrócił na

następny głupi referat.

Oczy Miła błyszczały.

– Czas na nakaz – powiedziałem.

Zaklął pod nosem.

– Wybrałem najprzychylniejszą panią sędzię, jaką mogłem znaleźć. Współczuje, ale musi mieć dowód rzeczowy.

– Na przykład włosy znalezione w brodzie Mehrabiana – zasugerowałem. – Ale nie możesz ich porównać z włosami Shulla, dopóki nie będziesz miał podstaw, żeby kazać mu dać próbkę.

– Niech żyje Joseph Heller – zawołał Milo. – Przynajmniej mamy już cel. Petra od nowa wypytuje na ulicy, tym razem ze zdjęciem Shulla. Rozmawiałem też ze Smallem i Schlesingerem o włosach. Podziękowali, poprosili, żeby informować ich na bieżąco. Mam wrażenie, że z przyjemnością zepchnęliby na nas sprawę Mehrabiana. Mam też wrażenie, że tak się właśnie stanie. Spojrzał na mój komputer. – Znalazłeś w cyberprzestrzeni jeszcze coś ciekawego?

– Shull miał własną stronę, ale już nie działa.

– Zacierają ślady?

– Albo ma problemy techniczne. Z takim ego chciałby mieć swoją wizytówkę w sieci. Chętnie bym się dowiedział, czym się ostatnio zajmował. Mogłaby nam w tym pomóc doktor Martin.

– Myślisz, że będzie współpracować?

– Tak jak powiedziałem na naradzie, mam wrażenie, że Shull nie jest jej ulubionym pracownikiem, więc może tak.

– Spróbujmy – powiedział Milo. – U niej w domu, nie na uczelni.

– Dlaczego?

– Żeby nie czuła się za pewnie.

Gabinet Elizabeth Gali Martin był urządzone antykami, ale dom wykończyła nowocześnie.

Budynek był szerokim, szarym zbiorem sześcianów, stał na dużej działce w lepszej części Pasadeny. Teren wokół domu zaprojektowano skromnie, w japońskim stylu, podkreślonym rozmieszczonymi z rozmysłem lampami. Na rozległym, nieskazitelnie równym trawniku, trochę z boku stał rzeźbiony gong. Na podwójnej szerokości podjeździe parkowały dwa samochody: nowe, srebrne bmw i takiego samego koloru mercedes coupe, nieco starszy.



Każde źdźbło trawy było na swoim miejscu, jakby trawnik regularnie odkurzano.

Niecały kilometr dalej mieszkał Everett Kipper, ale teraz to już nie miało znaczenia. Była ósma wieczór, kiedy Milo zastukał do frontowych drzwi.

Otworzyła je sama doktor Martin, ubrana w długi zielony, jedwabny kaftan haftowany w złote smoki. Na stopach miała złote sandały, paznokcie pomalowała na różowo, a jej farbowane włosy wyglądały na świeżo ułożone. Z uszu zwisały olbrzymie, sześciokątne kolczyki. Za nią widać było szeroki hol wyłożony trawertynem. Początkowe zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca chłodnej obserwacji.

– Profesor Delaware.

– To miło, że pani zapamiętała.

– Zrobił pan na mnie wrażenie. – Przyjrzała się Milowi.

Przedstawiłem go.

– Policja – powiedziała spokojnie. – Znów chodzi o pana Drummonda?

– Znów chodzi o pana Shulla – odparł Milo.

Martin zacisnęła dłonie i opuściła ręce wzdłuż boków.

– Proszę wejść.

Dom był chaotycznie zaprojektowany i nastrojowo oświetlony. W dach wbudowano świetliki. Tylne szklane ściany wychodziły na ogród i długie wąskie oczko wodne ciągnące się wzdłuż wysokiego białego muru. Na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy, a w gablotach z mosiądzu stało nowoczesne szkło.

Elizabeth Martin zaproponowała, żebyśmy usiedli na niskiej zamszowej kanapie, a sama zajęła czarne skórzane krzesło.

– No dobrze. Powiedzcie mi panowie, o co chodzi.

– Profesor Martin, zajmujemy się możliwą przestępczą działalnością A. Gordona Shulla. Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć nic więcej – wyjaśnił Milo.

Z jadalni dobiegły jakieś odgłosy. Czyjeś kroki, szcęknięcie talerzy, szum wody. Ktoś był w kuchni.

– Nie możecie mi panowie powiedzieć więcej, ale chcielibyście, żebym ja powiedziała wszystko, co wiem.

Milo się uśmiechnął.

– Otóż to.

– Cóż, niech będzie. – Zielony jedwab zmarszczył się, kiedy Martin założyła nogę na nogę. Uperfumowała się wodą toaletową o zapachu trawy, który poczuliśmy dopiero teraz. Czyżby był aktywowany ciepłem ciała? Wyglądała na spokojną, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Profesor Martin, to bardzo poważna sprawa i mogę pani obiecać, że wszystkie informacje i tak prędzej czy później wyjdą na jaw.

– Jakie informacje?

– O problemach pana Shulla.

– Och. Gordon ma kłopoty, prawda?

– Wie pani, że tak – powiedziałem.

Odwróciła się do mnie.

– Profesorze Delaware, kiedy pan do mnie przyszedł, powiedział pan, że Kevin Drummond jest zamieszany w morderstwo. Takie rzeczy nie przytrafiają się nudnym akademickim belfrom na co dzień. Dlatego zrobił pan na mnie wrażenie. – Znow do Mila: – Twierdzi pan, że Gordon Shull jest podejrzany o morderstwo?

– Nie wydaje się pani zaskoczona – zauważył.

– Staram się unikać zaskoczeń. Ale zanim powiem coś więcej, musicie mi panowie odpowiedzieć na jedno pytanie: czy na moim wydziale szykuje się jakaś poważna afera?

– Obawiam się, że tak, proszę pani.

– Szkoda – westchnęła Martin. – Morderca. – Uśmiechnęła się nagle, dziko i niepokojąco. – Cóż, kiedy nabiera się za dużo śmieci, najlepiej chyba je wynieść. Pomówmy więc o Gordonie. Może uda się panom go ode mnie zabrać. – Wyprostowała nogi. Wyglądała na rozbawioną. – Morderca... Muszę przyznać, że nigdy nie postrzegałam Gordona w tych kategoriach.

– O jakich kategoriach pani mówi?

– O braku treści. Gordon to pozer. Dużo mówi, nic nie robi.

Drzwi do kuchni otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna z wielką kanapką na talerzu.

– Liz?

To był ten sam człowiek, którego widziałem na zdjęciach w jej gabinecie. Miał na sobie białą koszulkę polo, beżowe lniane spodnie i brązowe buty. Był wysoki i dobrze zbudowany, ale zaczynał tyć. Martin była od niego młodsza o co najmniej dziesięć lat.

– Wszystko w porządku, kochanie – uspokoiła go. – To tylko policja.

– Policja? – Podszedł do nas.

Kanapka była trójwarstwową konstrukcją z zieleniny i indyka.

– Chodzi o Gordona Shulla, kochanie.

– A co, ukradł coś? – Mężczyzna stanął obok krzesła Martin.

– To mój mąż, doktor Vernon Lewis. Vernon, to detektyw...

– Sturgis – przedstawił się Milo. – Czy pan też jest wykładowcą?

– Nie. Vernon jest naprawdę doktorem. Chirurgiem ortopedą – wyjaśniła Martin.

– Ta uwaga o kradzieży, panie doktorze... Zabrzmiało to tak, jakby pan też znał Gordona Shulla.

– Znam głównie jego reputację – odparł Vernon Lewis. – Spotkałem go kilka razy na wydziałowych przyjęciach.

– Kochanie, może odpoczniesz? – zaproponowała Martin.

Lewis spojrział na nią pytająco. Uśmiechnęła się do niego. Uniósł brwi i popatrzył na swoją kanapkę.

– Ile to potrwa, Liz?

– Niezbyt długo.

– W porządku. Miło było panów poznać. Nie zajmujcie mojemu skarbowi za dużo czasu.

Przeszedł przez pokój, skręcił za róg, zniknął.

– O jakiej reputacji mówił doktor Lewis? – spytał Milo.

– O ogólnej amoralności. Gordon od samego początku był problemem. Moim problemem.

– Czy w amoralność wlicza się też kradzież?

– Gdyby tylko. – Martin zmarszczyła czoło. – Bóg jeden wie, czy sobie nie zaszkodzę, rozmawiając z panami, ale prawda jest taka, że mam już dość tego człowieka. Prowadzę trzysobowy wydział, powinnam mieć kontrolę nad tym, kogo przyjmuję.

– Zmuszono panią do zatrudnienia Shulla? – spytałem.

– „Zmuszono” byłoby zbyt szorstkim słowem. – Zrobiła minę, jakby właśnie zjadła coś zepsutego. – Bardzo stanowczo mnie poproszono, żebym zatrudniła Gordona.

– Ponieważ jego rodzina ma pieniądze.

– O, tak – powiedziała. – Zawsze chodzi o pieniądze, nieprawdaż? Sześć lat temu ściągnięto mnie do Charter College, żebym stworzyła tam dobry Wydział Dziennikarstwa. Dużo mi naobiecowano. Miałam kilka innych propozycji, od większych, lepszych szkół. Ale wszystkie były w innych miastach, a ja właśnie poznałam Vernona, prowadził tu praktykę. Wybrałam romans. – Uśmiechnęła się lekko. – Wybór był słuszny, ale... każda decyzja wiąże się z konsekwencjami.

– Złamano obietnice – domyśliłem się.

– Złamane obietnice to codzienność w świecie wyższych uczelni. Chodzi tylko o proporcje między prawdą i nonsensem. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ogólnie jestem zadowolona. Charter to dobra szkoła. Jak na taką szkołę.

– To znaczy...

– Małą. Bardzo małą. Dzięki temu można bliżej poznać studentów, co na początku bardzo mi się podobało i właściwie dalej podoba. To miłe dzieciaki. Po pięciu latach na Berkeley, po tych wszystkich lewicowych bzdurach, tu wydawało mi się staroświecko przytulnie. Ale Charter czasami ogranicza.

– Jakie obietnice złamano? – spytałem.

Zaczęła wyliczać na palcach.

– Obiecano mi pięcioosobowy wydział, dostałam trzy. Obcięto mi trzydzieści procent budżetu, bo wyszło kilka źródeł finansowania: akurat szalała recesja, ofiarodawcy stracili na giełdzie i tak dalej. Musiałam poważnie zmienić program, bo mam teraz mniejszy wydział.

– Których obietnic dotrzymani?

– Dostałam ładne biurko – uśmiechnęła się. – Dochody z praktyki Vernona wystarczają nam na życie. Ale nie po to chodziłam do szkoły dwadzieścia trzy lata, żeby grać w golfa i robić sobie paznokcie. Więc postanowiłam wykorzystać sytuację, na ile się da, i cieszyć się jedną rzeczą, której nie ograniczyli: „dowolnością” wyboru personelu. Miałam szczęście ściągnąć Susan Santorini, bo ona też chciała zostać w południowej Kalifornii, jej mąż jest agentem filmowym. Zaczęłam się rozglądać za trzecim członkiem naszej małej grupy i wtedy dziekan poinformował mnie, że pojawił się mocny kandydat i że radzi mi spojrzeć na jego podanie przychylnym okiem. – Dotknęła perłowego kolczyka. – Gordon Shull to dowcip. Ale jego ojczym to jeden z naszych najbogatszych absolwentów. Gordon też jest naszym absolwentem.

– Dowcip w dziedzinie nauczania? – spytałem.

– Po prostu dowcip. Kiedy na moje biurko trafiło jego podanie i zobaczyłam, że skończył Charter, sprawdziłam jego oceny.

– Miała pani jakieś podejrzenia?

Uśmiechnęła się.

– Nie byłam zadowolona, że ktoś mi coś stanowczo doradza. Kiedy zobaczyłam jego oceny, niezadowolenie zamieniło się we wściekłość. Powiedzieć, że Gordon był niewyróżniającym się studentem, byłoby eufemizmem. Kilka semestrów musiał zaliczać warunkowo, dobił do średniej trzy plus, chodząc na najłatwiejsze zajęcia, studiował pięć lat. Jakoś udało mu się zrobić magistra. – Ściągnęła usta. – Ja robiłam doktorat w Berkeley, habilitację na Uniwersytecie Londyńskim i na Columbii. Susan Santorini doktoryzowała się na Columbii, wykładała we Florencji i na Cornell, zanim ją tu ściągnęłam. Rynek pracy na uczelniach działa tak, że moglibyśmy wybierać między najlepszymi doktorami z najlepszych szkół. Zamiast tego musimy marnować czas i miejsce na tego błazna.

– Ale budżet na tym zyskuje – stwierdziłem.

– Och, tak – odparła. – Rok w rok wydział dostaje czek od Fundacji Truebloodów. Dość, żeby nas... zmotywować.

– Akademicki nelson – powiedział Milo.

– Bardzo dobrze pan to ujął, detektywie. I prawdę mówiąc, wizyta panów może mi pomóc uświadomić sobie jasno pewne rzeczy. Jeśli wyczyny Gordona przeszły moje najśmielsze wyobrażenia, mogę być w końcu zmuszona podjąć poważną, życiową decyzję. Ale zanim powiem panom coś więcej, musicie mi obiecać jedno: że będziecie mnie informować na bieżąco, żebym miała czas uciec przed burzą i uniknąć zamieszania w prawno-kryminalne afery.

– Chce pani zrezygnować?

– Dlaczego nie, skoro mogę miękko wylądować? Vernon często mówi o wakacjach, kusi nas, żeby trochę popodróżować. Może to zrządzenie opatrności. Więc jeśli chcecie panowie wiedzieć więcej o wadach charakteru Gordona, musicie mi to obiecać.

– Zgoda – powiedział Milo. – Jakie problemy miała pani z Shullem?

– Drobne kradzieże, niechlujnie zaksięgowane wydatki, słaba frekwencja, marne ocenianie – wyliczyła Martin. – Jego wykłady, kiedy łaskawie się na nich pojawia, są żałosne. To głupie pogadanki o popkulturze z kretyńsko dobranymi listami lektur. Wszystko sprowadza się do tego, co akurat ubzdurał sobie Gordon, a on nie umie dłużej się na niczym skoncentrować.

– Dyletant – powiedziałem. Shull użył tego określenia w stosunku do Kevina.

– Musiałby sporo popracować, żeby zostać dyletantem. Gordon reprezentuje sobą wszystko, czym pogardzam we współczesnym szkolnictwie wyższym. Uważa się za mesjasza popkultury. Wyrocznie, orzekającą o sprawach świata sztuki. Bez wątplenia dlatego, że sam ma się za artystę, chociaż wychodzi mu to żałośnie.

– Jak to? – spytał Milo.

– Gordon uważa się za człowieka renesansu. Maluje okropne obrazy: sceny ogrodowe, w zamierzeniu impresjonistyczne, ale na poziomie dziecka z podstawówki. Niedługo po tym, jak do nas przyszedł, przyniósł mi kilka i zażądał, żeby wydział zasponsorował jego jednoosobową wystawę. – Parsknęła. – Odmówiłam, więc poszedł do dziekana. Ale nawet jego koneksje mu nie pomogły.

– Człowiek renesansu – powtórzył Milo. – Co jeszcze?

– Gra na bębnach i gitarze, bardzo kiepsko. Wiem, bo ciągle mówi o sztukach i riffowaniu, czy jak to się tam nazywa. W zeszłym roku zaproponował, że zagra na przyjęciu, które ja i Vernon zorganizowaliśmy dla najlepszych studentów. Byłam głupia i się zgodziłam. – Przewróciła oczami. – Jakby nie dość było tego samooszukiwania się, twierdzi, że pracuje nad powieścią, jakimś opus magnum, które tworzy, odkąd go znam. Nie widziałam nawet jednej strony maszynopisu.

– Dużo mówi, nic nie robi – wtrącił Milo.

– Prawdziwy kalifornijczyk – powiedziała Martin. – Bez pieniędzy matki sprzątałby stoliki w jakimś barze i kłamał o kolejnych wielkich szansach.

– Powiedziała pani, że rzadko się pojawiał.

– Ciągle gdzieś wyjeżdżał za pieniądze ojczyma.

– Gdzie?

– Podobno na jakieś badania, sympozja, zjazdy. Uważa się za poszukiwacza przygód, był w Azji, Europie, wszędzie.. To część jego image'u twarziela: kraciaste koszule z krawatem, buty, broda jak u Arafata. Ciągle twierdzi, że pracuje nad jakimś poważnym artykułem, ale nigdy żadnego nie napisał. – Machnęła ręką. – Właściwie to ręka opatrności, że nigdy niczego nie kończy. Bo Gordon jest fatalnym pisarzem. Niespójnym, nadętym, pompatycznym.

– Wierny Skryba – powiedziałem.

Otworzyła szeroko oczy.

– Wie pan o tym?

– O czym?

– Gordon lubi mówić o sobie w trzeciej osobie. Nadał sobie kilka paskudnych pseudonimów. Gordster, Nieustraszony Pan Shull, Wierny Skryba. – Wyszczrzyła zęby. – Zawsze był dowcipem. Szkoda, że mnie nigdy nie śmieszyły takie dowcipy. A teraz panowie mówicie, że kogoś zabił... nasze gabinety dzieli kilka kroków... to niepokojące. Czy coś mi grozi?

– Nie sądzę, pani profesor – uspokoił ją Milo.

– Kogo zabił?

– Kilku artystów.

Martin szeroko otworzyła oczy.

– Kilku?

– Obawiam się, że tak, pani profesor.

Westchnęła.

– Teraz już na pewno zrobię sobie wakacje.

– Co może nam pani powiedzieć o Kevinie Drummondzie? – spytał Milo.

– To, co powiedziałam profesorowi Delaware, to prawda: nie przypominam sobie tego chłopca. Po pana wizycie zajrzałam w jego oceny. Średni student, absolutnie niczym się nie wyróżniał.

– Nie pamięta pani, czy zadawał się z Shullem?

– Przykro mi, nie. Do gabinetu Shulla bez przerwy wchodzi jacyś studenci. Shull jest atrakcyjny dla pewnego typu osób. Jestem pewna, że tak naprawdę najbardziej by chciał zostać prezenterem jakiegoś programu w MTV.

– Czy Shull miał kontakty seksualne ze studentami? – spytałem.

– Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie? – zdziwił się Milo. – Tak po prostu?

– Nikt się nie skarżył, ale nie byłabym zaskoczona. Większość studentów, którzy przychodzą na dyżury Shulla, to dziewczyny.

– Ale nikt nie skarżył się wprost na molestowanie.

– Nikt. Seks studentów z wykładowcami to normalna część uczelnianego życia i skargi są bardzo rzadkie. Najczęściej do kontaktów dochodzi za zgodą obu stron. Mam rację, profesorze Delaware?

Skinąłem głową.

– Kevin Drummond jest gejem – powiedział Milo. – Czy powinniśmy się temu przyjrzeć?

– Pyta pan, czy Gordon jest biseksualistą? Niczego takiego nie zauważyłam, ale prawda jest taka, że nic, co mógłby pan powiedzieć na jego temat, nie jest w stanie mnie już zaskoczyć. Jest kimś, kogo kiedyś określało się mianem łajdaka. Dobre słowo, szkoda, że wyszło z użycia. To typowy, rozpuszczony bachor, który obja się i robi tylko to, na co ma ochotę. Poznali panowie jego matkę?

– Jeszcze nie, Martin się uśmiechnęła.

– A powinniście. Zwłaszcza pan, profesorze Delaware. To pana działka.

– Jakaś psychopatologia? – spytał Milo.

Martin popatrzyła na niego przeciągle, z rozbawieniem.

– Ta kobieta nie zna podstawowych zasad uprzejmości i jest całkowicie pozbawiona zwykłego taktu. Co rok na przyjęciu fundacji osacza mnie i przypomina, ile pieniędzy wyłożył jej mąż, a potem robi mi wykład, jakich to cudownych rzeczy dokonał jej synalek. Pozuje na damę z towarzystwa, ale z tego, czego się dowiedziałam, jej pierwszy mąż, ojciec Gordona, był pijakiem, niespełnionym agentem handlu nieruchomościami, który siedział w więzieniu za defraudacje. On i brat Gordona spłonęli w pożarze domu, kiedy Gordon był mały, a kilka lat później jego mama znalazła sobie nowego tatuśka.

Milo bazgrał szybko w notesie.

– To było bardzo pouczające – powiedziała Martin – ale jestem trochę zmęczona. Jeśli to wszystko...

– Przydałaby nam się próbka stylu pisania Shulla, jeśli ma pani coś takiego.

– Mam w gabinecie. Jego ostatnie roczne sprawozdanie. Każdy członek wydziału musi coś takiego dostarczyć: spis osiągnięć i celów. W przypadku Gordona to formalność, bo oboje wiemy, że trafił do nas na dożywocie.

– Może nie – powiedział Milo.

– Co za przyjemna myśl. Jutro rano tam będę, od razu to panu prześlę.

Odprowadziła nas do drzwi. Milo jej podziękował.

– To ja dziękuję – powiedziała. – Naprawdę... wie pan co, teraz, jak o tym pomyślę, wcale mnie nie zaskakuje, że Gordon może być mordercą.

– Dlaczego, proszę pani?

– Ktoś tak fałszywy i tak płytki może być zdolny do wszystkiego.



Petra miała przyzwoitą noc.

Powietrze było chłodne, niebo aksamitnie purpurowo-czarne tam, gdzie łuna Hollywood nie przyoblekła go w szarość, a A. Gordon Shull dobrze znany w klubach, barach i alternatywnych księgarniach.

Wspomnienia skacowanego barmana w Śrubie, zatęchłej thrashmetalowej norze na Vermont, były typowe:

– Aha, widziałem go. Ubiera się na czarno i próbuje podrywać młode laski.

– Udaje mu się?

– Może, czasami.

– Podrywa jakąś konkretną dziewczynę?

– Wszystkie są takie same.

– Co jeszcze może mi pan o nim powiedzieć?

– To tylko starszy facet, co próbuje być *cool*, no, wie pani.

– Co wiem?

– Tak to bywa.

Wszystko toczyło się zupełnie inaczej, niż kiedy próbowała dowiedzieć się czegoś na temat Kevina Drummonda. Zastanawiała ją tylko jedna rzecz: nikt nie kojarzył Shulla właśnie z Kevinem. Czy ten chłopak ma w ogóle jakiś związek z całą sprawą?

Nie udało jej się natomiast powiązać Shulla z prochami, skłonnością do przemocy, zboczonym seksem i Emą Murphy. Pod koniec zmiany zdała sobie sprawę, że nie dowiedziała się niczego, co mogłoby pchnąć sprawę do przodu, i poczuła, że jej dobry humor znika. Wtedy los się nad nią zlitował: kiedy pierwszy raz przejeżdżała Fountain Avenue, Jama Węży była zamknięta – DZIŚ NIE GRAMY – ale kiedy mijala ją po raz drugi, wracając na posterunek, zauważyła zaparkowane przed lokalem samochody i lekko uchylone drzwi.

Weszła do środka i natknęła się na grubego bramkarza z końskim ogonem pijącego dzin z tonikiem. Cała sala śmierdziała jak kibel.

– Zamknięte – powiedział. – Sprzątanie.

Miał na myśli siebie i zamiatającego klejącą się podłogę drobnego człowieczka, który wyglądał jak Indianin z amazońskich lasów. Z głośników ryczała muzyka – jakiś zbasowany, chicagowski blues z harmonijką. Gołe stoły ze sklejki porozsuwano na boki. Na scenie stała perkusja i statyw do mikrofonu, bez którego wyglądał jak zdekapitowany. Nie ma nic smutniejszego niż knajpa bez klientów.

Petra weszła dalej, rozejrzała się i uśmiechnęła do bramkarza.

– No? – Skrzyżował na olbrzymim brzuchu przedramiona grubości ud normalnego człowieka. Był różowy jak surowa kiełbasa. Ręce miał pokryte tatuażami, więziennymi i bardziej wyrafinowanymi. Jego kark zdobiła swastyka.

Nie był jednym z przesłuchanych po zabójstwie Baby Boya. Petra pokazała mu odznakę i spytała, dlaczego tak się stało.

– Miałem wtedy wolne.

Kierownictwo lokalu obiecało dać jej pełną listę zatrudnionych. I tyle z tego wyszło. Petra pokazała bramkarzowi zdjęcie Shulla.

– Tak, przychodzi tu. – Kiełbasa dopił drinka, wtoczył się za bar i nalał sobie następnego. Długo i starannie rozcinał limonkę, potem wycisnął ją do szklanki i zjadł. Ze skórką.

– Często? – spytała Petra.

– Czasami.

– Jak się pan nazywa?

Nie spodobało mu się to pytanie, ale nie przestraszył się.

– Ralf Kvellesenn.

Kazała mu to przeliterować, potem napisać. Ralf przez „f”. Jego wikińscy przodkowie przewracali się w grobach.

– Spróbuj dokładniej niż „czasami”, Ralf.

Kvellesenn zmarszczył czoło.

– Gościu przychodzi raz na jakiś czas, nieregularnie, znam go tylko dlatego, że jest strasznie przyjacielski.

– W stosunku do ciebie?

– Do zespołów. Lubi z nimi pogadać. Między setami. Lubi wchodzić za scenę.

– Wolno mu?

Kvellesenn mrugnął okiem.

– To nie Hollywood Bowl. Czyli wolno, za kilka dolarów.

– A więc jest trochę jak *groapie* – powiedziała Petra.

Kvellesenn zaśmiał się wilgotnym śmiechem.

– Nie widziałem, żeby komuś robił łąchę.

– Nie mówiłam dosłownie, Ralf.

– Wszystko jedno.

– Nie wydajesz się ciekawy, dlaczego o niego pytam.

– Nie jestem ciekawy – odparł Kvellesenn. – Za ciekawość dostaje się po dupie.

Petra zapisała sobie adres i numer telefonu Kvellesenna, usiadła przy stole, nie zwracając uwagi na gapiącego się na nią bramkarza, i przejrzała jeszcze raz swoje notatki. Znalazła nazwisko człowieka, który pilnował drzwi w noc zamordowania Baby Boya.

Val Bove.

Wyszła z klubu, zadzwoniła do niego do domu, obudziła i opisała Shulla.

– No – powiedział.

– Co, no?

– Znam tego gościa. Ale nie pamiętam, czy był w klubie, kiedy wykończyli Baby’ego.

– Dlaczego nie?

– Mieliśmy *full*.

– Ale wie pan, o kim mówię.

– No, o tym profesorze.

– Skąd pan wie, że to profesor?

– Tak na siebie mówi. Powiedział mi, że jest profesorem. Jakby chciał mi zaimponować. A ja mam to w dupie.

– Co jeszcze panu powiedział?

– No, różne rzeczy. „Jestem spoko”, „piszę książki”, „też gram na gitarze”. A ja mam to w dupie.

– Artystyczny typ – powiedziała Petra.

– Może. – W słuchawce rozległo się głośne ziewnięcie. Petra mogłaby przysiąc, że poczuła smrodliwy oddech Bove’a.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć o tym profesorze?

– Nic, mała. Następnym razem nie dzwoń tak wcześnie.

Petra starannie wszystko zanotowała. Już miała zadzwonić do Mila i uznać dzień za owocny, ale zamiast tego pojechała do Domu Gołębicy. Dianę Petrello siedziała przy biurku na dole. Petra przyprowadziła jej swego czasu parę osób.

Diane się uśmiechnęła. Miała zaczerwienione oczy i pytanie na twarzy: „co znowu?”

– Ciężki dzień? – zagadnęła Petra.

– Okropny. Dwie nasze dziewczyny wczoraj wieczorem przedawkowały.

– Przykro mi to słyszeć, Diane. Razem?

– Osobne przypadki. To jeszcze gorzej. Jedna tuż za rogiem. Wyszła się przejść, obiecała, że wróci na wieczorną modlitwę. Druga na tym dużym parkingu za nowym Centrum Kodaka. Tylu turystów... Dowiedzieliśmy się tak szybko tylko dlatego, że obie dziewczyny miały w torebkach nasze karty, a wasi ludzie byli tak uprzejmi, że nas poinformowali.

Petra pokazała jej zdjęcie Shulla.

Diane pokręciła głową.

– Czy on ma coś wspólnego z Erną?

– Jeszcze nie wiem, Diane. Mogę to pokazać twoim podopiecznym?

– Oczywiście.

Poszły na górę. Petra zaczęła od mężczyzn – sześciu mocno nietrzeźwych, z których żaden nie rozpoznał Shulla. Na piętrze kobiet znalazła tylko trzy, siedziały razem w jednym pokoju. Wśród nich była Lynnette, wychudzona, czarnowłosa ćpunka, z którą Milo rozmawiał o Ernie.

– Niezły – powiedziała.

– Widziałaś go już, Lynnette?

– Nie. Szkoda.

Oczy Diane Petrello, skryte za brudnymi szklami okularów, zamknęły się i otworzyły.

– Lynnette – powiedziała cicho.

– Szkoda? – spytała Petra, zanim Lynnette zdążyła zareagować.

– Powiedziałam przecież, że jest fajny. Mogłabym mu zrobić tak dobrze, że kupiłby mi coś ładnego. – Uśmiechnęła się, ukazując nierówne, brudne zęby. Miała żółte oczy – żółtaczkę albo coś podobnego. Petra miała ochotę się cofnąć, ale nie zrobiła tego.

– Lynnette, widziałaś kiedykolwiek tego mężczyznę z Erną?

– Erna to był śmierdziel. On jest dla niej za fajny.

Jedna z pozostałych dwóch kobiet, starsza, z włoskami na brodzie, spała wyciągnięta na łóżku. Druga, czterdziestoparolatka, była wysoka, czarnoskóra i grubonoga. Kiedy Petra na nią zerknęła, podeszła. Mimo wykładziny i kapci każdy jej krok brzmiał jak uderzenie w werbel.

– Ja widziałam go z Erną.

– No pewnie – parsknęła Lynnette.

– Kiedy ich pani widziała, panno...

– Devana Moore. Widziałam go tutaj i tam. Rozmawiał.

– Z Erną.

– Aha.

– No pewnie – powtórzyła Lynnette.

– Widziałam – upierała się Devana Moore.

– Tutaj i tam? – spytała Petra.

– Nie tutaj... no wie pani, tutaj – powiedziała Devana Moore.

Mówiła powoli, bełkotliwie. Każde zdanie było dla niej męką.

– Tutaj i... tam.

– Nie w budynku – podsunęła Petra – ale w okolicy.

– Właśnie!

– Ona kłamie – stwierdziła Lynnette.

– Nie kłamię – zaprzeczyła Devana bez śladu urazy w głosie, bardziej jak dziecko, które broni swojej niewinności.

Petra nie była ekspertem, ale założyłaby się, że ze względu na iloraz inteligencji Devana była beznadziejnym świadkiem. No ale, jak się nie ma, co się lubi...

Lynnette zachichotała.

– Dziewczyno, jak kłamię, niech mnie połamie – powiedziała Devana.

– Kiedy ostatni raz widziała pani tego mężczyznę z Erną panno Moore? – spytała Petra.

– Panno Moore – zakpiła Lynnette, wciąż chichocząc.

– Chodź, Lynnette. Napijemy się kawy – zaproponowała Diane Petrello.

Lynnette ani drgnęła. Starsza kobieta głośno zachrapała. Devana gapiała się na Petrę. Petra powtórzyła pytanie.

– To musiało być... kilka dni temu.

– Ile dni?

Cisza.

– Mniej więcej?

– Nie wiem... może... nie wiem.

– Zamkną cię za kłamstwo, panno Moore – zakpiła Lynnette.

Spojrzała na Petrę.

– To debilka.

Moore oklapła i Petra myślała już, że zaraz zaleje się łzami, ona jednak rzuciła się na Lynnette. Obie zaczęły wymachiwać rękami, a Petra wpadła między nie, by je rozdzielić.

– Spokój! – wrzasnęła. – Już!

Cisza. Spuszczony wzrok. Lynnette znów zachichotała i Diane Petrello wygoniła ją z pokoju. Devana Modre się rozplakała.

– Ona tylko się z tobą drażni – uspokajała Petra. – Wiem, że mówisz prawdę.

Pociągniecie nosem.

– Naprawdę mi pomagasz, panno Moore. Doceniam to.

– Nie zamykaj mnie – chlipnęła Moore. – Proszę.

– Za co miałabym cię zamknąć?

Moore kopnęła się lekko w kostkę.

– Czasami się kurwię. To grzech i ja nie chcę, ale czasami to robię.

– To twoja sprawa, panno Moore. Jestem z wydziału zabójstw, nie z obyczajówki.

– A kogo zabili?

– Erneę.

– Aha – powiedziała Devana. – To prawda. – Uspokoila się, jakby to potwierdzenie przydało wiarygodności Petrze.

Mrugnęła, podrapała się w głowę, wskazała zdjęcie Shulla.

– On załatwił Erneę?

– Może. Gdzie widziałaś go z Erną?

– Em... em... na Highland.

– Na Highland i gdzie?

– Sunset.

– Na północ czy na południe od Sunset?

– Tam. – Devana przycisnęła rękę do piersi, co, jak przypuszczała Petra, miało oznaczać południe. Dwie kolejne próby dokładnego ustalenia miejsca nie powiodły się.

Tak czy inaczej, Highland i Sunset się zgadzały. To były okolice gabinetu lekarki Erny, Hannah Gold.

– Co oni robili, panno Moore?

– Rozmawiali.

– Byli źli?

– Tylko rozmawiali. Pytasz, bo załatwił Erneę?

– Może – odparła Petra. – Coś jeszcze, panno Moore?

– To wszystko – Devana przeżegnała się. – Jak załatwił Ernę, to bardzo zgrzeszył.

Petra wróciła na posterunek o czwartej rano. Biurko Stahla było puste. Wciąż obserwował Shulla. Zaczął tuż po zmroku. Siedział tam już tyle godzin. Trzeba przyznać, że miał cierpliwość.

Sprawdziła skrzynkę na wiadomości. Stahl nie dzwonił. Nigdy nie dzwonił.

Czyli nie zrobił żadnych postępów. Jak znosił taką beczyność?

Petra pomyślała, że jego kamienna osobowość czyni z niego idealnego partnera do tej sprawy. Jak poradzi sobie z innymi, wymagającymi więcej pracy zespołowej, można tylko zgadywać... Nie ma sensu się nad tym zastanawiać, lepiej skupić się na teraźniejszości.

Czwarta rano nie jest godziną o której można zawracać głowę znajomym, więc Petra zadzwoniła do Milla do West L.A. i zostawiła mu wiadomość. Wiedziała, że pewnie ją obudzi, kiedy wróci, ale nie przeszkadzało jej to. Chciała, żeby wiedział, że Shull był stałym bywalcem Jamy Węży i lubił pokazywać się na scenie.

Chciało jej się pić. Wstała i nałala sobie straszliwej, policyjnej kawy. Wypiła ją na stojąco, samotnie, na środku pokoju detektywów. Myślała o Schullu.

Hollywoodzki nocny bywalec.

Profesor.

Szkoda, że żaden bramkarz nie mógł potwierdzić jego obecności w Jamie Węży w noc, kiedy zamordowano Baby Boya. Petra pomyślała, że może warto jeszcze raz porozmawiać z ludźmi z listy świadków, pokazać im zdjęcie, może któryś coś zapamiętał.

Tak, będzie musiała to zrobić. Kawał nudnej roboty. Samo sedno pracy detektywa.

Shull jest pod stałą obserwacją, więc można z tym poczekać do jutra. Petra była wykończona, musiała wziąć prysznic, wyciągnąć się i złapać kilka godzin snu. Głębokiego snu. Więc po co szprycowała się kofeiną?

Wyrzuciła kubek z resztką mętnej kawy, wróciła do biurka i wzięła swoją marynarkę. Przez chwilę stała bez ruchu. Wyobraziła sobie, co zaszło między Shullem i Baby Boyem.

Shull wchodzi do klubu, zamawia tyle drinków, że może zostać przy swoim stoliku w wygodnym, ciemnym kącie. Ogląda występ, patrzy, słucha.

Klaszcze. Dla kogo te oklaski?

Bardziej dla siebie niż dla Baby Boya.



Baby Boy kończy swój pierwszy set i wychodzi. Shull obserwował go już wcześniej, wie, że bluesman ma zwyczaj wychodzić do zaułka na papierosa.

Siedzi jeszcze chwilę, popija drinka, planuje, upewnia się, że nikt nie patrzy, po czym wymyka się z klubu.

Linus Brophy powiedział, że morderca miał na sobie długi, ciemny płaszcz. Shull ubierał się na czarno, kiedy wychodził w nocy na miasto.

Obszerny, czarny płaszcz jest idealny, żeby ukryć pod nim wielki, ostry nóż.

Gotowy do działania Shull wchodzi do zaułka, kryje się w cieniu.

Czeka.

Baby Boy wychodzi, zapala papierosa. Shull przygląda mu się, nie spieszy.

Rozkoszuje chwilą.

W końcu podchodzi. Nie wie o Brophym, ale obecność menela okazuje się nie mieć znaczenia.

Baby Boy niczego nie podejrzewa. To słodki facet, dobry i ciepły. Przywykł do uwielbienia fanów, a tu podchodzi następny. Zachowanie Shulla to podstęp. Uśmiecha się szeroko, rzuca słowa pochwały jak prawdziwy, oddany wielbiciel.

Profesor. Przypochlebia się Baby Boyowi, tak jak wielu artystom przed nim.

Żaden z nich nie wiedział, że Shull za jedyne, największego artystę uważa siebie.

W rzeczywistości marna kreatura, czuje się legendą. Tak jak powiedział Alex – psychologiczny kanibal.

Jeśli nie możesz ich pokonać, zjedz ich.

Petra zadrzała.

Baby Boy, ufny i naiwny, odpowiada uśmiechem.

Obaj się uśmiechają kiedy Shull pcha nożem.

Włożyła marynarkę i wyszła.

Kiedy dojechała do domu, na sekretarce miała nagraną wiadomość od Mila: „Zadzwoń, nie śpię”. Zastała go pod komórką.

– Długo się nie kładziesz.

– Źli ludzie nie śpią więc dlaczego ja mam spać. Co jest?

Zdała mu sprawozdanie z postępów.

– Dobra robota, bardzo dobra – pochwalił. – Jesteśmy coraz bliżej.

– To znaczy?

– To znaczy, że zasłużyłaś na kimę, a ja jutro o dziewiątej jadę do sądu zobaczyć, czy sędzia Davison nie będzie bardziej skora do współpracy.

– Daj mi znać, co i jak.

– Jasne. Dzięki, mała.

– Nie ma sprawy, tatku.

Kiedy tylko Erie Stahl zobaczył dom, wiedział, że sytuacja nie jest najlepsza.

Z ulicy widać było tylko białą, drewnianą bramę, zamocowaną na ceglanych słupkach. Dalej ciągnął się dwumetrowy porośnięty bluszczem mur. Zza niego wystawały cyprysy, jałowce i jakieś pnącza.

Ładne miejsce. Shull miał pieniądze.

Zawsze wszystko sprowadza się do pieniędzy.

Niedługo po tym, jak zajął pozycję przecnicę dalej, przez chwilę fantazjował: wyobraził sobie, że wspina się na mur, włamuje do domu, przyłapuje Shulla na czymś zbrodniczym i wykańcza go, tak jak powinno się wykańczać zbrodniarzy.

Niezły film. W rzeczywistości tylko siedział, patrzył i czekał.

Tego wieczora jednak z jakiegoś powodu jego cierpliwość była wystawiona na próbę. O wpół do dziesiątej – dwie godziny po przyjeździe – znów marzył, widząc siebie jako bohatera.

Wyobrażał sobie, jak załatwia Shulla. Skręceniem karku, a gdyby się stawiał, nożem.

Erie Stahl, wielki bohater, zamyka sprawę.

Zamknięcie. *Closure*. Najpaskudniejsze słowo w języku angielskim.

*Justice*, sprawiedliwość, była na drugim miejscu. Stahl zastanawiał się, jak długo jeszcze da radę to robić.

Może zawsze. A może do jutra.

Sytuacja miała trzy plusy: dom Shulla stał na końcu ślepej uliczki, co oznaczało, że można z niej wyjechać tylko w jednym kierunku. Po zachodniej stronie ulicy wolno było parkować, Stahl ustawił się więc między dwoma innymi samochodami, nie zwracając na siebie uwagi.

I najlepsze: to była boczna ulica, trudna do znalezienia bez mapy, nie miała chodników, można było się nie obawiać przypadkowych przechodniów.

Nieźle, jak na niegrzecznego chłopca...

O dziewiątej czterdzieści pięć Stahl wciąż nie był pewien, czy Shull w ogóle jest w domu. Facet pracował według profesorskich godzin, a i to nie zawsze, jak powiedział Sturgis. Równie dobrze mógł cały dzień przespać, jeszcze nie wychodzić. Albo wcale nie wrócił do domu, był gdzieś na

dole, w Hollywood, i przemierzał nocne ulice.

Szukając sztuki.

Odkąd Stahl przyjechał, przez pierwszą godzinę pojawiły się tylko dwa samochody. Oba zatrzymały się dość daleko od niego. Kierowcami były młode kobiety o idealnych figurach, jeździły nowoczesnymi zagranicznymi autami. Stahl patrzył, jak niosą torby z zakupami do swoich małych, uroczych domków.

Okolice nie była najlepsza dla samotnej kobiety. Za bardzo na uboczu, za daleko od ludzi. Choć w tłumie też nie jest bezpiecznie...

Zastanawiał się, jak zareagowałyby na wiadomość, że były sąsiadkami kogoś bardzo złego. Wyobraził sobie typowe, pełne grozy cytaty z gazet. „Nie miałam pojęcia”. „Nie mogę w to uwierzyć, wydawał się taki sympatyczny”.

Lepiej uwierzcie, drogie panie. Wszystko jest możliwe.

Nocne niebo zakrzepło i nabrało połyskliwego, purpurowo-czarnego koloru, przypominającego dżem jeżynowy. Czarny napalm. Stahl zjadł kanapkę z szynką, napił się kawy z termosu i zaryzykował kilka wypadów na drugą stronę ulicy, żeby wysikać się w krzakach. Potem szybko wracał do samochodu i dalej wypatrywał jednego z dwóch aut zarejestrowanych na Shulla: rocznego bmw i dwuletniego forda expedition.

Beemka była prawdopodobnie na specjalne okazje, terenówką jeździł na co dzień. Nie furgonetką – ludzie tacy jak Shull uwielbiali furgonetki, bo łatwo można było z nich zrobić więzienie na kołach. Ale ktoś tak *trendy*, mieszkający na wzgórzach, uważałby furgonetkę za dyshonor, a wielki samochód terenowy miał podobne zalety: był duży i nie zwracał na siebie uwagi.

I miał duży bagażnik.

Sto do jednego, że Shull przyciemnił w nim okna.

W tylną szybę samochodu Stahla zaświeciły reflektory, więc Stahl zsunął się pod kierownicę i odwrócił głowę.

Mały wóz.

Ciemny – jest, maska bmw, pędzącego ślepą uliczką. Przejechało zbyt szybko, żeby Stahl zdążył w ciemności zauważyć kierowcę, ale kiedy zatrzymało się przed wyblakłą bramą usiadł prosto i zaczął się przyglądać.

Brama była zdalnie otwierana. Samochód przejechał. Równo trzydzieści sekund później zamknęła się – działał automat.

Stahl zaczął do jedenastej, zanim wysiadł z samochodu. Stwierdził, że nawet tak wyluzowany facet, jak Shull prawdopodobnie zostaje czasem na noc w domu. Czy przyjechał sam? Nie było jak tego sprawdzić.

Stahl rozejrzał się, przeszedł przez ulicę, wysikał się i poszedł dalej. Trzymał się blisko krzaków. Mógłby się w nich schować, gdyby ktoś się nagle pojawił.

Szedł wolno, bezgłośnie, czując, jak ogarnia go dobrze znane zen polowania. Dobrzy tropiciele i snajperzy już się z tym rodzą.

Tak odludna okolica powinna być cicha, ale od podnóża wzgórz dobiegał nieustający szum. Hollywood, prawdziwe Hollywood, dawało się słyszeć na kilka kilometrów dookoła.

Stahl zbliżył się do wypłowiałej bramy. Pomędzy rosnącymi przed domem Shulla wysokimi drzewami błyskały odległe światła. Kilka niewyraźnych gwiazd na niebie również próbowało przebić się przez smog.

Facet miał niesamowity widok.

Nieźle życie.

Stahl dotarł do bramy, jeszcze raz się rozejrzał, przytknął nos i zbadał konstrukcję bramy, nie zapalając latarki. Łączone na pióra i wpusty deski, ułożone w ładny, jodełkowy wzór, obramowane były grubszymi belkami. Spód obramowania był solidny i gruby, można było na nim stanąć. Stahl zrobił to, podciągnął się i spojrzał na posesję.

Zobaczył okrągły, wyłożony ceglami dziedziniec, otoczony zielenią. Rośliny w donicach. Po lewej fontanna bez wody. W delikatnym oświetleniu dom – hiszpański, z łukami okien i dachem krytym dachówką.

Wyjątkowo nieźle życie.

Ani śladu bmw i forda, ale dziedziniec kończył się pod garażem na trzy samochody przytulonym do jednego ze skrzydeł domu. Słaba żarówka oświetlała troje pasujących do bramy drzwi z białego drewna. Po prawej schody z żelazną poręczą – prowadziły, jak przypuszczał Stahl, do głównego wejścia do domu. Trudno było powiedzieć, jaki był duży, ale wyglądał okazale.

Stahl zastanowił się nad rozkładem wnętrza. Drzwi na szczycie schodów musiały być przeznaczone dla gości, którym chciało się zaimponować. Zaraz, jak tylko weszli, widzieli okno z widokiem na światła miasta.

Nie mając komu imponować, Shull wjeżdżał zapewne do garażu i wchodził do domu wewnętrznymi schodami. Nigdzie nie było widać bmw, co znaczyło, że tak właśnie zrobił tym razem. Czyli był sam.

Albo z kimś, komu nie musiał imponować.

Stahl stał tak, uczepiony bramy, i już myślał, że szykuje się następna bezowocna noc, gdy nagle usłyszał szelest liści. Zesztywniał, zsunął się na ziemię i przywarł do muru.

Znów hałas. Głośniejszy, niż mógłby robić buszujący w krzakach gryzoń. Wyraźne węszenie.

Stahl czekał. Nic się nie działo.

Nagle dźwięk się powtórzył, jeszcze wyraźniejszy, kilka metrów dalej. Zarośla się rozchyliły i wyskoczyła z nich łania.

Zatrzymała się na środku drogi i dreptała w miejscu. Serce Stahla biło bardzo powoli – zawsze zwalniało po nagłym przyspieszeniu. Szybko wracał do siebie... po pewnych rzeczach...

Łania zastanowiła się, co robić, w końcu odbiegła i zniknęła między dwoma domami.

Stała bywalczyni. Wiedziała, kto jest w domu, a kto nie. Teraz czyjś ogródek zostanie jej kolacją. A ona może stać się kolacją jakiegoś kojota. Albo dopadnie ją puma. Stahl słyszał, że wielki powrót świętują górskie lwy – przyroda centymetr po centymetrze wdzierała się do miejskiej dżungli. Tak było zwłaszcza w bazie. Różne stworzenia pojawiały się w najdziwniejszych miejscach – ulubioną historią Stahla była ta o wężu, który uznał bidet żony pułkownika za wodopój. Przykucnęła nad nim w ciemności, poczuła śliską niespodziankę...

Stahl się uśmiechnął.

Szybko jednak przestał się uśmiechać, kiedy usłyszał hałas za bramą.

Ktoś zapalił silnik.

Stahl podbiegł do bramy, wspiął się na nią, zaryzykował szybki rzut okiem. Środkowe drzwi garażu właśnie się otwierały. Zeskoczył z bramy i pognął z powrotem do swojego samochodu.

Ledwie zdążył wskoczyć do środka, kiedy brama się otworzyła.

Błysnęły światła, inne, wyżej zamocowane niż w bmw.

Expedition wysunął nos na ulicę, zatrzymał się na chwilę, po czym szybko ruszył.

Czarna terenówka. Z przyciemnionymi szybami.

Jednoosobowe ogony były niepraktyczne, często niemożliwe, ale śledzenie tak aroganckiego faceta, jak Shull powinno być łatwe. Czemu miałby podejrzewać, że ktoś go tropi?

Stahl pojechał za nim z wyłączonymi światłami. Shull pędził w dół wzgórza o wiele za szybko. Na Cahuenga expedition skręcił w lewo, w kierunku klubu jazzowego na południe od Valley. Niedaleko mieszkania Baby Boya. Shull zostawił samochód parkingowemu, spędził w klubie czterdzieści minut, wyszedł. Dochodziła pierwsza w nocy. Ruch na ulicach się przerzedził i Stahl musiał zachowywać

większy dystans.

Shull nie zajechał daleko, podskoczył tylko do Studio City, gdzie napił się kawy i zjadł hamburgera w nocnym barze przy Ventura, niedaleko Lankershim. Tu nie było parkingowego. Stahl zatrzymał się na prawie pustym parkingu i patrzył w okno baru.

Shull wypił cztery filiżanki kawy. Czarnej. A hamburgera dosłownie pochłonał.

Tankował.

Zapłacił gotówką, wrócił do samochodu.

Pojechał Laurel Canyon z powrotem do miasta, skręcił w prawo na Sunset. Kilka przecznic dalej zatrzymał się przed barem Bambu, stylizowanym na bambusową chatę. Przed wejściem stał znudzony bramkarz. Znów parkingowy.

Stahl pojechał dalej, szybko zawrócił, zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i patrzył, jak Shull wysiada z forda, paląc cygaro.

Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, czarne dzinsy i czarną koszulkę. Kroczył dumnie i pewnie, pożartował chwilę z parkingowym.

Zero nerwów. Najwyraźniej wizyta Delaware wcale go nie zaniepokoiła. Wręcz przeciwnie: Shull uznał jego pytania o Drummonda za dowód, że sam jest bezpieczny.

Jeśli Drummond był jego partnerem w zbrodni – jeśli Drummond w ogóle coś wiedział – swoimi pytaniami Delaware osiągnął prawdopodobnie jeszcze jedno: Drummond był teraz poważną zawadą do widzenia, Kevinku.

Sturgis wspomniał o tym na ostatniej naradzie. Samochód Drummonda niedaleko lotniska świadczył o tym, że Shull prawdopodobnie zajął się chłopakiem, po Ernę Murphy pojechał jego hondą a potem ją porzucił, żeby upozorować ucieczkę Kevina z miasta. I udało mu się. Tyle dni zmarnowali, sprawdzając listy pasażerów. Tyle czasu zmarnował on sam, Stahl, obserwując mieszkanie Drummonda.

A Drummond w tym czasie pewnie gdzieś gnił.

Nawet jeśli nie brał w niczym udziału, i tak raczej nie żył. Jego zniknięcie odwracało uwagę od Shulla. Doskonały kamuflaż.

Poza tym Shull po prostu lubił zabijać ludzi.

Sztuka współczesna.

Drzwi Bambu otworzyły się i wyszedł z nich Shull, holując za sobą superblondynkę: dwadzieścia parę lat, burza złotych włosów, prawdziwa Barbie. Miała na sobie czerwoną błyszczącą bluzkę,

czarną krótką kurtkę, obcisłe poszarpane dzinsy i buty na wysokich obcasach. Piersi za wysoko i za duże, żeby mogły być naturalne, zbyt ostry makijaż. Stahl zmienił zdanie co do jej wieku – była po gorszej stronie trzydziestki.

Typowa rozrywkowa dziewczyna z Sunset, która ma najlepsze lata już za sobą. Ale nie była profesjonalistką. Owinięta wokół ramienia Shulla, wyglądała na zbyt szczęśliwą.

Chichotała, chwiała się. Kręciło jej się w głowie.

Shull uśmiechnął się, ale wciąż był spokojny.

„Życie rozwija przede mną czerwone dywany”.

Stahl siedział w samochodzie i patrzył, jak flirtują. Widział, jak Shull pozuje na macho, i prawie czuł na ramieniu ciężar karabinu snajperskiego.

Expedition podjechał i Shull otworzył Barbie drzwi. Pomógł jej wsiąść. Pocałowała go w podzięce.

Kiedy wsiadła, Shull i parkingowy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Komuś się dzisiaj poszczęściło, bracie.

Nie dziewczynie.

Shull trzymał się Sunset i jechał na zachód, przez Strip do Beverly Mills, potem przez Bel Air. Przy Hilgard skręcił na południe, przejechał przez Westwood Village, dostał się na Wilshire i znów ruszył na zachód.

Stahl śledził go bez problemu, bo nawet o tej porze – była druga w nocy – na jasno oświetlonym bulwarze panował spory ruch. Erie trzymał się trzy długości za expeditionem, towarzyszył Shullowi i blondynce przez całą drogę przez Brentwood i Santa Monica.

Aż do autostrady Pacific Coast Highway. Plaża. Tutaj ruch był niewielki i zadanie stało się trudniejsze. Stahl zwiększył odległość, wbił wzrok w tylne światła terenówki. Shull przyspieszył do prawie stu dziesięciu – trzydzieści ponad dopuszczalną – przeleciał przez granice Pacific Palisades i wjechał do miasta Malibu.

Sto dziesięć, sto trzydzieści, sto czterdzieści. Bardzo mu się spieszy. Nie martwi się, że zatrzyma go policja, bo uważa się za faceta, któremu takie rzeczy się nie przydarzają.

Albo dlatego, że mandat to tylko pieniądze, a on ma ich mnóstwo.

Czy znaczy to również, że wyczyścił terenówkę ze wszystkich obciążających go śladów? Niełatwo było to zrobić. Jeden zabłąkany włos, kropelka jakiegoś płynu ustrojowego mogły wiele zdradzić. Shull nie przewoził swoich ofiar, zostawiał je na miejscu, ale mimo to na jego własnym ubraniu, na fotelach – wszędzie mogło się coś znaleźć.



A jednak bawił się w wyścigi. Był aż tak arogancki?

Stahl ocknął się z tych myśli, kiedy expedition nagle skręcił w prawo, na parking białego motelu o niebieskich okiennicach. W Objęciach Morza.

Zaskoczony Stahl przejechał jeszcze pół kilometra, zjechał na pobocze, zawrócił i cofnął się.

Zaparkował od strony plaży, przyjrzał się motelowi.

Piętrowy budynek, rodem z Nowej Anglii, przed nim otwarty parking. Z tyłu nic – motel stał u podnóża gór. Zwykły szyld, na wysokim słupie różowy neon WOLNE POKOJE.

Na parterze i piętrze po sześć. Biuro właściciela na dole, po prawej.

Na parkingu trzynaście samochodów, włącznie z expeditionem. Dwunastu gości plus właściciel.

1. Gordon Shull, jako prawdziwy szczęściarz, zajął ostatni wolny pokój.

Stahl zasnął.

Zasnął w samochodzie. Obudziło go natarczywe stukanie w szybę i oślepiające światło.

Otworzył okno.

– Dokumenty proszę – warknął jakiś głos.

Ręka Stahla instynktownie chwyciła pistolet, ukryty w kaburze pod marynarką, na szczęście jednak jego mózg zaczął działać, kiedy tylko zobaczył robocopową sylwetkę policjanta z patrolu autostrady.

W końcu wszystko się wyjaśniło i gliniarz odjechał swoim krążownikiem.

Stahl siedział bez ruchu, upokorzony. Jak długo spał? Trzecia czterdzieści – prawie pół godziny.

W głowie ryczał mu ocean. Niebo nad plażą było pełne gwiazd, a morze wyglądało jak płachta popiołu, skrząca się drobinami złota.

Na parkingu jedenaście samochodów. Wśród nich expedition. Shulla.

Stahl wysiadł, odetchnął głęboko słonym powietrzem i rozprostował kości. Potem przeklął własną głupotę, wsiadł z powrotem do samochodu i zaczął obserwować.

O czwartej dwadzieścia A. Gordon Shull wyszedł z pokoju. Sam, bez blondynki. Czarną kurtkę przerzucił przez ramię, przecierał oczy. Wsiadł do expeditiona, wytyłował z parkingu i skręcił w lewo na autostradę, przecinając podwójną ciągłą linię. Popędził z powrotem do miasta. Gdzie jest

patrol, kiedy człowiek go potrzebuje?

Czas na szybką decyzję: jechać za draniem, czy sprawdzić, co z blondynką?

Czy pasuje do wzorca Shulla? Artystka? Nidoszła aktorka? Czy to ważne? A może tancerka. Z takimi nogami...

Shull załatwił już jedną tancerkę. Powtórka z rozrywki?

Tamta, w Bostonie, była baleriną. Ta wyglądała bardziej na tancerkę z baru.

Wszedł z nią, wyszedł bez niej. Czyli w pokoju może być niezła jatka.

Stahl przeciął autostradę i wjechał prosto na parking motelu. Zaparkował na samym końcu: chciał obejrzeć miejsce, w którym stał expedition. Nic, tylko plama oleju.

Podszedł do drzwi pokoju numer pięć, zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc nacisnął klamkę. Zamknięte.

Zastukał głośniej. Nic. Zerknął na biuro właściciela. Światła pogaszone. Czy powinien go obudzić i wziąć klucz, czy wyciągnąć wytrych? Zamek był kiepski, a zestaw wytrychów leżał w samochodzie. Zawsze można później powiedzieć, że drzwi były otwarte.

Zastanowił się, mówiąc do siebie słowami gliniarza tłumaczącego się na sali sądowej: „Podejrzany o wielokrotne morderstwo wszedł do budynku w towarzystwie kobiety i był w środku przez... godzinę i pięćdziesiąt dwie minuty, zanim wyszedł sam. Początkowo próbowałem dostać się do środka, pukając, a kiedy po dłuższym nasłuchiowaniu nie usłyszałem odpowiedzi, uznałem, że sytuacja wymaga...”

Niebieskie drzwi się otworzyły.

Blondynka stanęła w nich w swojej czerwonej bluzce i poszarpanych, obcisłych džinsach. Rozporek miała do połowy rozpięty, znad różowych majtek wystawał ledwie zauważalny wałeczek brzucha i kilka platynowych włosów łonowych.

Zamrugnęła, zachwiała się, spojrzała na miejsce, w którym stał expedition, potem na Stahla.

W ciszy rozbrzmiewał huk przyboju. Powietrze było chłodne, wilgotne i pachniało mokrym drewnem.

– Panno... – zaczął Stahl.

Blondynka nie miała makijażu, za to przekrwione oczy i gniazdo na głowie – tak to jest z lakierowanymi włosami, jeśli się z nimi prześpi.

Na ładnych policzkach widać było ślady łez.

Nie miała aż tak pospolitej twarzy, jak się Stahlowi zdawało – bez grubej warstwy makijażu wyglądała młodziej. Delikatniej.

– Kim pan jest, do cholery? – zapytała tonem, który rozpuściłby rdzę na starej rynnie.

Rzeczywiście, delikatna!

Stahl pokazał jej odznakę i wparował do środka.

Chociaż położony przy plaży. W Objęciach Morza był zwykłym, tanim motelem, a pokój zapleśniała, płatną za dzień norą. Dziurawy sufit, powgniatane podwójne łóżko z wibratorem za dodatkową opłatą, stolik z imitacji drewna, przykręcona do niego plastikowa lampka. Nad przymocowanym do ściany telewizorem wisiała lista filmów – płatnych od godziny – przynajmniej połowa tylko dla dorosłych. Bura wykładzina poznaczona była nieusuwalnymi plamami.

Stahl zauważył białe granulki na szafce przy łóżku. Obok rurka ze sztywnego papieru – do wciągania koki – i pognieciona, brudna chusteczka higieniczna.

Kyra Montego wiedziała, że zobaczył resztki narkotyku, ale udawała, że jej to nie dotyczy. Przycupnęła na krawędzi łóżka.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Rozporek miała już zapięty. Stanik wisiał na oparciu krzesła, przez bluzkę widać było sterczące sutki.

Próbowała coś zrobić z włosami, bez większego efektu.

– Mężczyzna, z którym pani była...

– To nie tak, jak pan myśli.

Kyra Montego. Niemożliwe, żeby miała takie imię i nazwisko w metryce. Spytał ją, jak się nazywa.

– Nie ma pan prawa – odparła. – Sugeruje pan, że jestem jakąś dziwką, a to gównem prawda, nie ma pan prawa.

– Muszę wiedzieć, jak się pani naprawdę nazywa.

– Musi pan mieć nakaz!

Wszyscy oglądają za dużo telewizji.

Stahl wziął jej torebkę z komody, znalazł w niej trzy skręty w plastikowej torebeczce i położył je na łóżku. Na wymiętej poduszce leżał długi, jasny włos.

– Chwileczkę – zaczęła.

Wyjął jej portfel, znalazł prawo jazdy.

Katherine Jean Magary, adres w Van Nuys, trzycyfrowy numer mieszkania oznaczający lokal w dużym bloku.

– Katherine Magary brzmi dobrze – powiedział.

– Tak pan myśli? – spytała. – Mój agent mówi, że to zbyt prostackie.

– Filmowy agent?

– Chciałabym. Jestem tancerką, tak taką jak pan myśli, ale występowałam też w teatrze, więc niech pan sobie nie wyobraża...

– Nie uważam, żeby było prostackie – powiedział Stahl.

Popatrzyła na niego, a jej spojrzenie zmiękło. Miała duże oczy o wilgotnych tęczówkach, ciemne, prawie czarne. Jakimś cudem pasowało to do jej platynowych blond włosów.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Naprawdę. – Stahl włożył portfel z powrotem do torebki. Skręty też.

Magary/Montego przeciągnęła się i poprawiła włosy.

– Fajny z pana gość.

Rozmawiał z nią przez dwadzieścia minut, ale uwierzył jej już po pięciu.

Nigdy wcześniej nie widziała Shulla, za dużo wypiła – mrugnięcie okiem – Shull wydawał się fajny. Męski. Inteligentny. Po jego ubraniu domyśliła się, że ma pieniądze.

– Po ubraniu? – spytał Stahl.

– Miał kurtkę od Gucciego. – Magary/Montego się uśmiechnęła. – Udało mi się zerknąć na metkę.

Stahl odpowiedział jej uśmiechem sugerującym, że to było bardzo sprytne, i poprosił, żeby mówiła dalej.

Shull naopowiadał jej, że jest profesorem sztuki i malarzem, że maluje pejzaże, był wystawiany na całym świecie, reprezentowały go galerie w Nowym Jorku i Santa Fe.

– Pejzaże. – Stahl przypomniał sobie, jak Sturgis opisywał obrazy Kipper. Opisywał je szczegółowo, bardziej, niż to było konieczne. Najwyraźniej mu się spodobały.

– Tak powiedział.

– Podał nazwę galerii? – spytał Stahl.

– Ee... Chyba nie. – Katherine Magary, postanowił nazywać ją w myślach tak, jak naprawdę się nazywała, oblizła usta, uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na kolanie. Pozwolił jej na to. Nie było sensu zrażać do siebie świadka.

– To wszystko była bujda? – spytała. – To, co mi powiedział?

– To nie jest dobry człowiek.

– O, rany. – Katherine westchnęła, palnęła się w czoło. – Muszę z tym skończyć, dość ponieważ, dość przypadkowych facetów. Nawet, jak są fajni.

– To niebezpieczne – powiedział Stahl.

– Założę się, że dużo pan o tym wie. Jest pan detektywem. Na pewno zna pan mnóstwo takich historii.

– Niestety.

– No właśnie. To musi być fascynujące. Pana praca.

Stahl nie odpowiedział.

– Byłam w poważnym niebezpieczeństwie? – spytała. – Z nim?

– Drugi raz bym się z nim nie spotykał – odparł Stahl.

– Jezu... przepraszam.

Przepraszała jego?

– Mieszka pani sama, więc musi pani na siebie uważać.

– Tak, uważam... Miałam ostatnio ciężki okres. Od jakiegoś czasu nie mam pracy.

– Musi być pani ciężko.

– O, rany. Człowiek uczy się tańczyć, kiedy jest mały, a proszę mi wierzyć, to ciężka, naprawdę ciężka praca. Olimpijski sportowiec nie pracuje wcale ciężiej. A potem wszyscy chcą tylko... No, wie pan.

Stahl kiwnął głową. Jedyne okno w pokoju zakrywały brudne, poprzypalane papierosami zasłony. Przez materiał i szybę widział niewyraźny zarys fal przyboju.

Powolny rytm: raz w jedną, raz w drugą.

– Dobrze panią potraktował? – spytał.

Katherine Magary nie odpowiedziała. Stahl odwrócił się do niej. Była czerwona.

– Robił coś dziwnego, Katherine?

– Nie. Właśnie o to chodzi. Nie mógł... no, wie pan... wyglądał, jakby nie mógł się już doczekać, a potem nie mógł... więc zamiast tego my... on... naprawdę nie chcę się w nic wpakować.

– Nie wpakuje się pani – uspokoił ją Stahl.

Dalej milczała.

– Nie stawał mu, więc zamiast tego zafundował sobie wciągnięcie nosem – odpowiedział.

– Jak świnia. Chciał, żebym też wzięła, ale tego nie zrobiłam. Naprawdę. Wtedy chciałam już tylko iść spać, ale się bałam. Bo kiedy mu nie stanął, zrobił się strasznie nerwowy: miotał się, chodził w kółko. A po koce jeszcze gorzej. W końcu uspokoiłam go masażem. To też umiem, jestem dyplomowaną masażystką, chodzi o prawdziwy masaż, nie byle co. Dobrze go wymasowałam i w końcu się odprężył. Ale było w nim coś takiego... Nawet przez sen był spięty. Zgrzytał zębami, miał... paskudny wyraz twarzy.

Zmrużyła oczy, wysunęła szczękę, sprężyła się.

– Spięty – powtórzył Stahl.

– Kiedy go poznałam, był zupełnie wyluzowany. To mi się w nim spodobało. Na co dzień mam dość stresu, po co mi jeszcze cudze zmartwienia. – Wzruszyła ramionami. – Myślałam, że jest w porządku. Głupia jestem.

Stahl poczuł gorąco na udzie, tam gdzie trzymała dłoń. Delikatnie poklepał ją po palcach, odsunął jej rękę i wstał.

– Gdzie pan idzie? – spytała z niepokojem.

– Przeciągam się tylko.

Podszedł bliżej do łóżka, stanął obok niej.

– Kiedy się obudziłam – powiedziała – kiedy pan mnie obudził, przestraszyłam się, jak zobaczyłam, że go nie ma. Jak mam wrócić do domu?

– Zawiozę panią.

– Naprawdę fajny z pana facet.

Sięgnęła do jego rozporoka, bardzo powoli go rozpięła.

– Miły – powtórzyła. – Miły gość.

Stahl jej pozwolił.

Odłożyłem fotokopie.

– To oczywiste.

Była dziesiąta wieczór. Milo wpadł, żeby pokazać mi roczne sprawozdania, które Elizabeth Martin wyjęła z akt Shulla. Kiedy tylko przejrzałem papiery, od razu rzuciły mi się w oczy rozdęte akapity. Zdania stłoczone jak pasażerowie tokijskiego metra. Bez składu, ład, bez wdzięku. Shull potrafił dokładnie i sprytnie zaplanować i popełnić morderstwo, ale nie radził sobie ze słowem pisany.

Zaproponował swój temat zajęć: *Kartografia dysonansu i chaosu: sztuka jako paleo-bioenergetyczny paradoks*.

Sięgnąłem do szafki, znalazłem w niej recenzję wystawy Julie Kipper, zamieszczoną w „SeldomScene” i podpisaną WS. Zobaczyłem te same słowa: paradoksalny, kartografia, dysonans. Szukałem dalej. WS, wybierając Angelique Bernet z całej *la compagnie*, zachwycił się: „To TANIEC, paleo-instynkto-bioenergetyczny, tak słuszny, tak prawdziwy, tak bezwstydnie erotyczny”.

Pokazałem to Milowi.

– Powtarza się. Jest ograniczony twórczo. To musi być frustrujące.

– Więc dlaczego nie pisze scenariuszy, zamiast zabijać ludzi? – Milo, mruczając coś pod nosem, zaznaczył zdania czerwonym długopisem.

– Teraz, kiedy wiemy, że to on – powiedziałem – zaczynam patrzeć na jego wybór ofiar pod nowym kątem. Do tej pory myślałem o tym w kategoriach czysto psychologicznych: wyłapywał wschodzące gwiazdy, pożerał ich tożsamości, zanim uległy zepsuciu.

– Psychiczny kanibal – rzucił Milo. – Zaczynała mi się podobać ta teoria. Tobie już nie?

– Dalej mi się podoba. Ale kolejnym czynnikiem jest rozdźwięk między nadętym ego Shulla a jego osiągnięciami. Wielki artysta, któremu nie udało się z muzyką i malarstwem. Nie zabił jeszcze żadnego pisarza, więc prawdopodobnie ciągle uważa, że w tym jest dobry.

– Mówił coś o jakiejś powieści.

– Może ma gdzieś w szufladzie maszynopis – zasugerowałem. – Chodzi mi o to, że Shull jest zgorzkniały i patologicznie zazdrosny, ale to nie wszystko. Myślę, że jest praktyczny: zamorduje kogoś naprawdę sławnego, zrobi się szum, będzie dokładne śledztwo. Coś tak wielkiego mogłoby go kusić, ale na razie odstrasza go ryzyko. Więc celuje niżej, w mniej sławnych ludzi, jak Baby Boy, Julie Kipper i Wasilij Lewicz. O nich nie piszą w gazetach.

– Twierdzisz, że w końcu zrobi krok dalej?



– Jeśli będzie mu się udawało. Mordowanie to jedyna rzecz, w jakiej jest dobry.

– Masz rację. Gdyby zabił kogoś sławnego, już dawno miałbym nakaz.

– Jeszcze się nie udało?

– Próbowałem u trojga najprzychylniejszych sędziów, jakich znam. Poszedłem do prokuratora, żeby mnie poparł, i nic. Mówią to samo: wszystko brzmi przekonująco, ale brak konkretnych podstaw.

– Czego chcą?

– Naoczego świadka, płynów ustrojowych, dowodu rzeczowego. Możliwe, że Stahl popchnął sprawę do przodu. Dzisiaj rano widział, jak Shull podrywa dziewczynę w barze na Sunset, zabiera ją do motelu w Malibu i wychodzi bez niej. Stahl założył najgorsze i sprawdził pokój, ale okazało Shull po prostu ją zostawił. Rozmawiając z dziewczyną, Erie wydobył od niej zgodę, żeby się rozejrzeć. Zgoda jest ważna, dziewczyna była tam tymczasowo zameldowana. Stahl znalazł i zabrał kartonową rurkę do koki, zasmarkaną i pewnie trochę zakrwawioną chusteczkę, szklankę, której według dziewczyny używał Stahl, i prześcieradło. Jeśli coś z tego będzie pasować do tych radych włosków na brodzie Armanda Mehrabiana, sprawa załatwiona.

– Kiedy będziesz coś wiedział?

– Spieszmy się, lecz to i tak potrwa kilka dni. Ale w końcu to jakiś postęp.

– Niezły ten Stahl.

– Dziwny gość – mruknął Milo. – Możliwe jednak, że to nasz bohater. – Skoro mowa o brodzie Mehrabiana – powiedziałem – stwierdziłeś, że spotkali się twarzą w twarz. Ciekaw jestem, czy Shull go pocałował.

– Pocałunek śmierci?

– Mogłoby mu się coś takiego podobać, wyobrażał sobie siebie jako mafiosa albo anioła śmierci. Poza tym taka seksualna dwuznaczność... To by pasowało do związku Shulla z Kevinem.

– Myślisz, że Kevin żyje?

– Nie założyłbym się o to. Był czy nie był pomocnikiem Shulla, skoro zacząłem o niego wypytywać, musiał zacząć mu przeszkadzać.

– Petra mówi, że nikt nie widział ich razem, więc jeśli coś razem knuli, to po cichu.

– Założyłbym się o jedno: Shull finansował pismo Kevina, żeby mieć gdzie drukować to, co pisał. Dziesięć do jednego, że przez wiele lat próbował dostać się do prawdziwych wydawnictw i zebrał cały plik listów odmownych.

– Kevin pozwalał mu się spełnić – powiedział Milo.

– Shull krył się za nim, bo Kevin był młody, niecierpliwy i łatwo było na nim zrobić wrażenie. Gdyby z „GrooveRat” poszło coś nie tak, Shull nie najadłby się publicznie wstydu. Tuż po morderstwie Baby Boya Kevin zadzwonił do Petry, wypytywał o makabryczne szczegóły. Albo namówił go do tego Shull, mając nadzieję na jakieś psychiczne pamiątki, albo Kevin miał jakieś podejrzenia wobec swojego nauczyciela i chciał go sprawdzić. Tak czy inaczej, wpadł w kłopoty.

Milo zmarszczył czoło.

– Co teraz? – spytałem.

– To samo, co do tej pory. Stahl drugi dzień obserwuje Shulla. Dzwonił godzinę temu. Jak dotąd Shull spędził kilka godzin w kampusie, załatwił parę spraw, wrócił do domu. Ciągłe tam jest, ale Stahl sądzi, że niedługo się ruszy. Zazwyczaj wypełza mniej więcej o tej porze.

– Dokąd pełza?

– Po całym mieście. Kluby, bary, restauracje. Dużo jeździ, bez przerwy zmienia miejsce... to pasuje, tacy ludzie zawsze tak mają. Dzisiaj Stahl zmienił samochód, wypożyczył terenówkę, na wszelki wypadek. Petra już nie ma co robić, więc mogą pojeździć razem. Dwuosobowa obserwacja zawsze jest lepsza. Pokazałem zdjęcie Shulla ludziom z galerii, Szabo i Lohowi. Nikt go nie rozpoznał, ale czemu tu się dziwić? Ubiera się na czarno, typowy koleś z L.A. Jego nazwiska nie ma też na liście gości Szabo, ale będę szukał dalej.

– Kogo poderwał Snuli? – spytałem.

– Stahl nie powiedział. Najważniejsze, że nie zabił. Stahl mówi, że przez cały wieczór Shull robił wrażenie wyluzowanego. Jest pewien, że Shull nie zdaje sobie sprawy z tego, że go obserwujemy. Więc może zrobi błąd, kogoś zaatakuje.

– A my przyłapiemy go na gorącym uczynku.

– No właśnie. Pomarzyć zawsze można.

Milo zadzwonił następnego dnia rano.

– Nudna noc. Shull tylko jeździł. Na wzgórze, potem na plażę, aż do hrabstwa Ventura. Skręcił z Las Posas, pojechał sto pierwszą na północ, zawrócił po piętnastu kilometrach, zatrzymał się w całodobowej kawiarni w Tarzana. Lubi jeść w tanich miejscach, pewnie wydaje mu się, że to *cool*. Potem pojechał do domu, sam, i poszedł spać.

– Niespokojny – powiedziałem. – Rośnie w nim napięcie.

– Zobaczymy, czy wybuchnie.

Kiedy wychodziłem na przebieżkę, zadzwoniła Allison i powiedziała, że musiała dopisać sobie jeszcze trzech pacjentów i że nie skończy przed dziewiątą trzydzieści.

– Kryzysy? – spytałem.

– Jak już, to wszyscy naraz. Dasz radę przesunąć rezerwację? Byliśmy umówieni na kolację o ósmej w hotelu Bel Air. Podawali tam doskonałe jedzenie, obsługa była nienaganna, a jeśli pogoda dopisywała, co w L.A. zdarzało się często, można było zjeść na dworze, oglądając pływające po lagunie łabędzie. Wiele lat temu widziałem tam Bette Davis. Byłem wtedy z Robin. Chodziliśmy do Bel Air świętować wyjątkowe okazje. To, że zaprosiłem tam Allison, to dobry znak.

– Może być dziesiąta? Będziesz jeszcze miała siłę?

– Jeśli nie, będę udawać.

Zaśmiałem się.

– Na pewno? Możemy tam pójść innym razem.

– „Innym razem” to nie jest moje ulubione wyrażenie. Przepraszam za zamieszanie.

– Kryzys to kryzys.

– Nareszcie – powiedziała. – Nareszcie ktoś to rozumie.

Trzecia noc obserwacji Shulla – Petra stała niedaleko jego domu. Nie aż tak blisko, jak udało się Stahlowi, bo na ulicy było mniej samochodów, a Petra musiała się wtopić w tłum. Ale i tak miała dobry widok na bramę.

Stahl zasugerował, żeby stanęła na wzgórzu, a on zostanie na dole, w mieście, w swojej wypożyczonej terenówce. Właściwie przez cały dzień powiedział tylko to. Wydawał się bardziej nieobecny niż zwykle, jeśli to w ogóle było możliwe.

Stał na Franklin w fordzie bronco, ślicznym, błyszczącym, czarnym wozie, który Petra podziwiała na parkingu przed posterunkiem.

– Nieźle, Erie.

W odpowiedzi Stahl wyjął tłustą szmatę, schylił się i zaczął nią trzeć o asfalt. Kiedy nazbierał już dość brudu, wziął się za rozsmarowywanie go po bokach i szybach samochodu. Wkrótce wóz wyglądał, jakby przed chwilą przyjechał z Arizony.

– Schoelkopf musiał być w dobrym humorze – stwierdziła Petra. – Zgodził się na lepszy wózek.

Stahl zebrał jeszcze trochę brudu, znów zaczął trzeć samochód.

– Nie pytałem go. – Zapłaciłeś z własnej kieszeni?

– Aha.

– Może jeszcze dostaniesz zwrot. Jeśli szybko złożysz podanie.

Stahl poruszył głową w geście, który można było uznać za potaknięcie. Jeśli oczekiwało się potaknięcia. Otworzył drzwi bronco od strony kierowcy.

– Daj znać, kiedy będziesz gotowa – powiedział, wsiadł i odjechał.

Kontaktowali się co godzinę na taktycznej częstotliwości radia. Jak dotąd cztery razy. Za każdym razem to samo.

– Nic.

– Okej.

Była za piętnaście jedenasta, a Shull, który, jak zakładali, był w domu, jeszcze nie wyszedł.

Nie zamierzał nigdzie jechać?

Petra była zniecierpliwiona. Nie znosiła siedzieć beczynnym, czekać, walczyć z sennością, nie

znosiła nudy. Dobrze, że chociaż Shull nikogo w tym czasie nie zabijał.

Uśmiechnęła się krzywo. Właściwie szkoda, że nie pojechał kogoś zabić. Ta sprawa od samego początku ograniczała się do zimnych tropów i Petra miała już dość, potrzebowała trochę akcji, mogła zgodzić się na zamianę odrobiny publicznego bezpieczeństwa na mały strzał adrenaliny.

Przecież mała próba morderstwa to nic takiego.

Niegrzeczna dziewczynka, zaszeptał głos w jej głowie.

– Wal się – powiedziała głośno, tylko po to, żeby się usłyszeć.

O jedenastej znów wymieniła dwa słowa z Erikiem Martwym. Usiadła wygodnie i popatrzyła w czarne niebo nad bramą.

Unikała płynów na kilka godzin przed obserwacją, ale mimo to pęcherz już jej pękał.

Ciężka sprawa dla dziewczyny.

Chociaż nikomu nigdy się nie skarżyła.

Zastanawiała się, jak rozwiązać kwestię moczową, kiedy otworzyła się brama Shulla i rozbłysły zza niej reflektory. Expedition czy bmw?

Zsunęła się pod kierownicę, kiedy ją mijał.

Ani jeden, ani drugi. Cadillac, ciemnoszary, błyszczący.

Mimo zaskoczenia dostrzegła jednak numer rejestracyjny. Powtórzyła go szeptem, żeby dobrze zapamiętać.

Stahl mówił, że na Shulla są zarejestrowane tylko dwa samochody. Ciekawe. Petra przełączyła na taktyczną, powiedziała Ericowi, czego ma wypatrywać. Teraz to on miał przejąć pałeczkę. Petra zamierzała sprawdzić cadillaca.

Wkrótce miała jego dane: pięcioletni sedan deville, zarejestrowany na Williama F. Trueblooda, adres w Pasadenie.

Bogaty ojczym Shulla.

Wpuściła w system nazwisko Trueblood, wyrzuciło jej jeszcze dwie pozycje z wydziału komunikacji: roczny eldorado i jaguar z 1952.

Ojczym kupuje sobie nowego cadillaca, starego oddaje juniorowi. William F. Trueblood nie zawracał sobie głowy zmianą rejestracji. Co oznaczało, że pewnie dalej płaci ubezpieczenie.

Gordie dostał niezły prezent, bezpieczny, za darmo. Dzięki temu miał do dyspozycji całkowicie

legalny, niezarejestrowany na siebie wózek.

Rozpuszczony bachor.

Petra odpaliła swoją hondę, zawróciła i pojechała do miasta. Pierwsza czysta, bezpieczna toaleta, jaką zauważyła, znajdowała się we francuskiej restauracji na Franklin, siedem przecznic na zachód od Beachwood. Petra zostawiła samochód parkingowemu, dała mu napiwek i kazała nie odjeżdżać. W restauracji był bar i kilka stolików. Lokal pełen ludzi, wszyscy hałasowali, w powietrzu unosił się zapach ratatouille i skorupiaków. Petra przepchnęła się przez tłum roześmianych, flirtujących ludzi, wychwyciła parę urywków żalonych podrywów i uśmiechnęła się wbrew sobie. Potem obraziła się na wszystkich za to, że mieli jakieś życie towarzyskie, a ona nie.

Kiedy szła do damskiej toalety, ktoś uszczypnął ją w tyłek. Normalnie dałaby mu nauczkę. Tego wieczoru jednak sprawiło jej to przyjemność.

Kiedy wróciła do samochodu i wywołała Stahla, spodziewała się, że i on, i Shull są gdzieś wiele kilometrów dalej.

– Jestem na Fountain przy Vermont – powiedział jednak Stahl.

– Zatrzymał się gdzieś?

– Pojechał prosto na Fountain, trzy razy nią przejeżdżał. Obok Jamy Węży.

– Wraca na miejsce zbrodni. Wchodził do zaułka, w którym załatwił Baby Boya?

– Jeszcze nie. Tylko przejeżdża, zawraca na trzy, jedzie przecznicę dalej i znów wraca. Na ulicy jest pusto, nie mogę podjechać bliżej.

– Gdzie jesteś?

Stahl podał swoje dokładne położenie.

– Przyjadę z zachodu, będę jechać średnio szybko. Jeśli odjedzie, zanim się pojawię, daj mi znać.

Pojechała do Western, skręciła w lewo na Fountain. Ulica była opustoszała, ciemna, niepokojąca. Kiedy od Jamy Węży dzieliły Petrę trzy przecznice, odezwał się Stahl.

– Skończył. Jedzie w twoją stronę.

Petra zauważyła dwie pary świateł. To nie mógł być Stahl, nie jechałby tak blisko. Nie zwolniła, kiedy jej przednia szyba rozbłysła białością.

Jakiś pikap, za nim cadillac.

W lusterku zobaczyła, że Shull pojechał do Western, załapał się na żółte światło i przeskoczył

przez skrzyżowanie.

Chwilę później obok przemknął wypożyczony bronco.

Petra zawróciła i pojechała za nim, zachowując bezpieczny dystans.

Dogonili cadillaca, kiedy jechał na południe Wilton. Umiarkowany ruch ułatwiał im zadanie. Zamieniali się miejscami: najpierw bronco jechał trzy, cztery długości z tyłu, potem Stahl zwalniał, a na jego miejsce wskakiwała Petra.

Tańczymy, pomyślała. Bardziej nie chciała się już do Stahla zbliżyć.

Shull pojechał do Wilshire, skręcił w prawo, na zachód. Jechał spokojnie, powoli, piętnaście kilometrów na godzinę poniżej dopuszczalnej.

Jeździł dla przyjemności.

Kiedy znów wypadła kolej Petry, podjechała dość blisko, by zauważyć, że okna cadillaca są prawie czarne. Nie wyobrażała sobie, żeby pasowało to starszemu facetowi z Pasadeny. Shull przerobił samochód pod siebie.

Sedan deville przejechał przez Beverly Hills i skręcił w prawo na skrzyżowaniu Wilshire i Santa Monica. Potem pojechał na północ San Vincente, obok siedziby Urzędu ds. Weteranów. Minął najeżony białymi krzyżami i gwiazdami Dawida cmentarz i wjechał w dżunglę butików i kawiarenek dolnego Brentwood.

Shull skręcił znów na północ, w Bundy, potem w lewo na Sunset. Ruch był już tu zbyt mały. Stahl jechał z przodu i nie spieszył się. Zwlekał tak długo, że w końcu cadillac zniknął mu z oczu.

Petra wywołała Erica.

– Wiesz, gdzie może być?

– Nie.. Świetnie.

– Ale mogę zgadywać – powiedział Stahl. Przyspieszył, jechał chwilę prosto, skręcił w prawo. W Bristol. Miejsce zamordowania Lewicza.

Petra bardzo powoli wjechała w cichą uliczkę. Rozejrzała się w poszukiwaniu bronco i zauważyła go zaparkowanego pół przecznicy dalej, z wyłączonymi światłami. Zgasła swoje, przejechała jeszcze kilka metrów i zatrzymała się przy krawężniku.

– Nie wiem, czy on tu jest – powiedział Stahl.

Więc co, czekamy? Petra nic nie odpowiedziała. Rozejrzała się, z podziwem obejrzała kilka posiadłości, potężne cedry, zasłonięte drzewami rondo, które spowalniały ruch i nadawały okolicy charakter idealnego przedmieścia. Dla ludzi z siedmiocyfrowymi dochodami.

W jednym z wielkich domów zamigotały światła. Petra zauważyła kryształowe żyrandole, drogie obrazy i sztukaterie. Na zewnątrz: tabuny wysmukłych samochodów, ustawione na szerokich podjazdach.

A potem – światła w oddali. Poruszały się, były coraz większe. Może dwie przecznice dalej. To mógł być każdy.

To był Shull. Jechał w ich stronę, zwalniając na rondzie. Zatoczył koło i ruszył na północ.

W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Napawał się widokiem scen swoich zbrodni. Było w tym coś seksualnego i Petra zastanawiała się, czy pajac robił sobie właśnie dobrze.

– Podjedziemy? – Była zła na siebie, że pyta Stahla o zdanie, ona starszy partner.

Ale to Stahl rozgryzł zamiary Shulla.

– To ryzykowne – odparł.

– Dobra, ale jeśli nie wróci za pięć minut, jadę zobaczyć, co się dzieje.

– W porządku.

Cztery minuty później cadillac wrócił, minął rondo, pojechał dalej do Sunset i szybko skręcił w prawo.

Stahl włączył światła. Petra pojechała za nim, oboje przyspieszyli i zobaczyli Shulla jadącego w stronę Palisades.

Wracał na plażę? Zabrał dziewczynę do motelu w Malibu, ale z tego, co wiedzieli, nikogo tam jeszcze nie zabił.

Z tego, co wiedzieli.

Na autostradzie Pacific Coast Highway Shull znów zmienił kierunek. Skręcił w lewo – na południe – i skierował się w stronę światła przystani Santa Monica.

Zygzakował, w górę i w dół.

Pojechali za nim do Ocean Avenue. Kiedy wjechał na Colorado, skręcił na wschód, minął gwar Promenady i dotarł do Lincoln, gdzie znów odbił na południe.

W stronę lotniska. Trasą, którą obrał, kiedy jechał zostawić samochód Kevina Drummonda.

Jeśli zostawił gdzieś samego Kevina, może dowiedzą się gdzie.

Na Rose Shull znów zaskoczył Petrę. Skręcił w stronę oceanu i pojechał aż do Venice Walkway,



gdzie zjechał na prawą stronę, ale nie zaparkował.

Trzymał silnik na chodzie, nie wyłączał świateł.

Petra została na Pacific, zachowując dystans. Stahl przyciemnił światła i stanął przecznicę od cadillaca.

Cadillac zawrócił powoli na trzy razy i popędził z powrotem w ich kierunku. Wszystkie trzy samochody wróciły na Lincoln.

Dla Shulla jeżdżenie było czymś znacznie więcej niż sposobem przemieszczania się z miejsca na miejsce.

Minął Marinę i Playa del Rey, blisko miejsca, w którym zostawił trupa Armanda Mehrabiana, po czym wjechał w ponury, przemysłowy krajobraz okolic El Segundo.

Świetne miejsce na wyrzucenie zwłok i beznadziejne, jeśli się kogoś śledzi. Petra i Stahl wyłączyli światła na kilometr wcześniej.

Shull zwolnił, przelatując obok pustych pól, platform wiertniczych i rozlewisk.

Miejsce ostatniego spoczynku Kevina? Nie, Shull znów przyspieszył. Jechał jeszcze około kilometra, potem skręcił na wschód w Sepulveda. Znów w prawo.

Wjeżdżał w Inglewood. Zdecydowanie lotnisko.

Ale, jakby chcąc zagrać Petrze na nosie, zwolnił trzy przecznice wcześniej i wjechał w boczną uliczkę.

Bardzo blisko miejsca, w którym znaleziono samochód Kevina Drummonda.

Cadillac przejechał jeszcze cztery kwartały, w końcu się zatrzymał. Po obu stronach ulicy wznosiły się magazyny i małe fabryki. Ciemno. Petra wiedziała, co jeszcze można tu znaleźć.

Dziwki.

Podjechała na sto metrów do Stahla.

– Widzę go przez lornetkę – odezwał się przez radio Erie. – Wsiadł z samochodu, teraz... idzie. Rozmawia z jakąś kobietą.

– Jak ona wygląda? – spytała Petra, pamiętając, co Small i Schiesinger mówili o nierozwiązanej sprawie zabitej prostytutki w tej okolicy.

– Ma krótkie, obciste spodnie – powiedział Stahl.

– Podjeżdżam bliżej.

A. Gordon Shull rozmawiał z prostytutką – pulchną kobietą w czerwonych obcisłych spodenkach i bluzce. Tylko rozmawiali. Po chwili wrócił do cadillaca.

Petra wezwała Stahla.

– Zatrzymam się i pogadam z nią. Ty jedź za nim.

O dziewiątej wieczorem, kiedy wychodziłem właśnie na spotkanie z Allison, zadzwonił telefon. Postanowiłem, że nie będę już odbierał, niech włączy się sekretarka. Kiedy jednak jechałem już samochodem, zapiszczała moja komórka.

– Jadę do Pasadeny – powiedział Milo – dostałem paniczny telefon od dziewczyny Kipperera. Stephanie Craner. Kipperer mocno ją pobił, potem najadł się jakichś pigułek. Zawiadomiłem pasadeńską policję, ale chcę tam też pojechać sam. Zrobiła na mnie wrażenie sympatycznej... Dobra, jedziemy, autostrada pusta. Oto moje najświeższe wieści na najważniejszy temat: moi mali detektywi skończyli. Kazałem im sprawdzić każde nazwisko na liście zaproszeń na koncert Lewicza, zadzwonić do każdej zaproszonej osoby, upewnić się, że wszyscy zaproszeni przyszli. Okazało się, że jedna para, starsi ludzie z San Gabriel nie mogli przyjść i oddali swoje bilety. I wiesz co? Są w zarządzie Charter College i znają państwa Tmebloodów.

– Shull dostał bilety. Z kim poszedł?

– Z nikim, tylko jeden bilet został sprawdzony. To nie jest stuprocentowy dowód, że Shull faktycznie tam był, zawsze może powiedzieć, że też oddał bilet. Ale to wystarczyło, razem z moimi zapewnieniami, że na pewno znajdziemy DNA pasujące do włosów z brody Mehrabiana, żeby naciągnąć sędziego Foremana na ograniczony nakaz przeszukania domu Shulla. Jak załatwię wszystko w Pasadenie, jadę do Foremana. Potem skupiamy się na Wiernym Skrybie. Foreman mieszka w Porter Ranch, więc zajmie mi to co najmniej trzy, cztery godziny.

– Gdzie jest teraz Shull?

– Kiedy ostatni raz rozmawiałem z Petrą, siedział jeszcze w domu, ale to było kilka godzin temu. Zamierzam zrobić mu niespodziankę nad ranem, powiedzmy, o drugiej. Jeśli będzie się gdzieś szwendał, Stahl i Petra pojedą za nim, a my sprawdzimy dom. Jeśli będzie w domu, wchodzimy wszyscy.

– Jak bardzo ograniczony jest nakaz?

– Poprosiłem o zezwolenie na zarekwirowanie wszystkich materiałów pisanych i osobistych rzeczy ofiar, grubych strun E i broni. Dzwonię, żebyś mi powiedział, czy masz jeszcze jakieś sugestie, zanim skończę podanie.

– Kasety audio i wideo – powiedziałem. – Szkicowniki, rysunki, obrazy. Wszystkie dostępne Shullowi środki wyrazu.

– Mówisz, że odtwarza morderstwa?

– Jest spora szansa, że tak.

– Okej – powiedział Milo. – Dzięki... dobrze jest, już nie mogę się doczekać. Pora napisać mu złą

recenzję.

Kiedy dojeżdżałem do Montana Street, komórka znów zadzwoniła. Tym razem ją zignorowałem.

Myślałem o tym, jaka piękna jest noc, i zastanawiałem się, w co ubierze się Allison.

Spokojna noc; mało kto przejeżdżał ulicą, nikt się nie zatrzymywał, więc kobiety stały w półmroku i paliły papierosy.

Petra zostawiła swoją hondę accord dwie przecznice wcześniej, dalej poszła pieszo, znalazła dobre miejsce przy śmietniku pod magazynem zabawek i przez chwilę obserwowała stamtąd okolice. Śmierdziało winylem i paliwem. W górze co chwila z rykiem przelatywały jumbojety.

Petra wyjęła pistolet z torebki i włożyła go do lekkiej kabury na biodrze, ukrytej pod luźną, czarną marynarką. Prawdziwym Richardem Tylerem, kupionym okazjnie za bezcen. O wiele za eleganckim do takich rzeczy, ale przy trybie życia Petry odrobina markowej mody była jedyną rzeczą, która łączyła ją z cywilizacją.

Co pomyślałby Tyler, widząc swoje ciuchy w Alei Prostyucji?

Petra postanowiła działać. Poszła w kierunku dziwek, pozorując nonszalancję, ale czuła niepokój. Kiedy minęła dwie pierwsze kobiety, obie czarne, opuściły papierosy i przyjrzały się jej.

– Hej, siostró, lubisz lizanko? – spytała jedna.

Chichoty.

– Bo ja mogę.

Petra szła dalej.

– Nawet nie próbuj tu stawać, chudzielcu – zawołała inna. – To teren prywatny, a ty masz ciuchy do Hollywood.

Znów śmiechy, ale tym razem bardziej chrapliwe.

– Teren prywatny – powiedział ktoś wysokim, nosowym głosem. Petra rozejrzała się, szukając tej dowcipnej. Poznała ją po szerokim, złośliwym uśmiechu – przysadzista brunetka w czerwonym, winylowym wdzianku.

Uśmiechała się do niej. Petra odpowiedziała uśmiechem i kobieta wysunęła biodro. Jej spodenki wyglądały jak rubinowy flak od kielbasy, z którego wylewało się blade, sflaczałe ciało. Dziwka miała szeroką twarz o topornych rysach i wyglądała, jakby dawno weszła w wiek średni, chociaż Petra wiedziała, że nie może mieć więcej niż dwadzieścia parę lat.

– Cześć – powiedziała.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała Czerwony Winył.

Petra znów się uśmiechnęła, a kobieta zacisnęła dłonie w pięści.

– Na co się tak gapisz?

Petra podeszła bliżej, błysnęła odznaką.

– No i?

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Za rozmowę biorę od godziny.

– Tutaj albo na posterunku. Twój wybór.

– Niby dlaczego?

– Dla twojego bezpieczeństwa. – Upewniwszy się, że żadna z innych dziwek nie podeszła bliżej, i cały czas nie spuszczać oka z brunetki, Petra wyciągnęła swoją wizytówkę i oświetliła ją latarką.

Prostytutka odwróciła głowę, nie chciała przeczytać.

– Patrz – rozkazała Petra.

Czerwony Winyl w końcu posłuchała, powoli poruszając ustami. Zab... zabój-stwa.

– Kogoś zabili?

Ciszę przerwał ryk silnika przelatującego samolotu. Potem rozległo się staccato obcasów podbiegających dziwek. Stłoczyły się dookoła Petry, ale czuła się bezpieczna – wszystkie były wystraszone.

– Co jest? – spytała któraś.

– Ten gość, co tu przed chwilą był – rzuciła Petra. – Szarym cadillakiem.

– Ach, on – mruknęła Winyl.

– Znasz go?

– To jakiś lewus? Nigdy mi nic nie zrobił.

– A mnie się nigdy nie podobał – powiedziała jedna z czarnych kobiet.

– Do ciebie nie przychodził – odgryzła się Czerwony Winyl, potrząsając biustem.

– Co lubi? – spytała Petra.

– A co zrobił?

Petra się uśmiechnęła.

– Przestań.

– Przestań co? – zdziwiła się Petra.

– Tak się uśmiechać. To mnie wkurza.

Petra odciągnęła kobietę na bok, zapisała jej niewątpliwie fałszywe nazwisko, wydrukowane na imponująco opieczętowanym, fałszywym dowodzie.

Alexis Gallant. Adres w Westchester.

Wszystko, co Gallant mogła – albo chciała – powiedzieć o A. Gordonie Shullu to, że był dość regularnym klientem o zwyczajnych upodobaniach.

Raz do trzech razy w miesiącu seks oralny, żadnych dziwnych żądań, żadnych komplikacji.

– Trochę długo mu to zajmuje, ale wielka mi rzecz. Gdyby wszyscy byli tacy, jak on, nie miałabym się czym przejmować.

Petra pokręciła głową.

– Co? Nic mi nie mówisz, a ja wiem tylko, że lubi, jak mu się ciągnie – zaprotestowała Gallant.

– A ta dziewczyna, którą jakiś czas temu zamordowali tu niedaleko?

– Shaneen? To była robota jej alfonsa.

– Moi koledzy twierdzą, że dobrze się dogadywała ze swoim alfonsiem.

– Twoi koledzy gównu wiedzą. Tyle tylko powiem.

– Jak chcesz, Alexis. Ale pan Cadillac to zły pomysł.

– To ty tak twierdzisz.

– Dlaczego jesteś tak uparta, Alexis?

Coś wymamrotała.

– Nie słyszę?

– Ciężko zarobić na życie.

– Co prawda, to prawda.

Stahl pojechał za cadillakiem na ulicę, na której znaleziono porzucony samochód Kevina Drummonda. A. Gordon Snull zaparkował, ale nie zgasił silnika. Wysiadł z samochodu, podniósł ramiona i przeciągnął się. Stahl usłyszał coś, od czego zrobiło mu się niedobrze. Shull wył do księżycyca.

Wył i wymachiwał pięścią. Grał w swoim prywatnym filmie. Chłodne dłonie Stahla zacisnęły się na kierownicy. Tylko oni dwaj, jakie to proste...

Siedział i patrzył, jak Shull otrząsa się niczym mokry pies i wraca do cadillaca, po czym jedzie pięć przecznic na zachód do całodobowej przechowalni.

Nie zatrzymał się przy niej, tylko zwolnił. Stahl zapisał sobie adres. Cadillac przyspieszył, przejechał jeszcze około kilometra, po czym skręcił w plątaninę bocznych uliczek. Stahl musiał znów zgasić światła.

Wyjechali na Howard Hughes Boulevard, gdzie Shull zmienił kierunek jazdy, potem jeszcze raz. Na północ, z powrotem w stronę miasta.

Do Venice, gdzie po raz kolejny pojechał na zachód Rose.

Wracał do swoich wspomnień. Jakie wspomnienia miał tutaj?

Znów do promenady? Czyżby tutaj też kogoś załatwił?

Jednak tym razem, zamiast dojechać do końca, cadillac skręcił w boczną uliczkę – Rennie.

Ciemny kwartał parterowych bungalowów i maleńkich domków.

Shull zaczął jeździć w tę i z powrotem.

Stahl chciał pojechać za nim, ale na wąskiej, cichej uliczce było to zbyt ryzykowne. Został na Rose, wystarczająco blisko rogu, żeby widzieć przednie światła Shulla. I tylne.

W tę i z powrotem.

W głowie Stahla rozbrzmiewało echo jego wycia.

Bydlak uważał się za wielkiego, groźnego drapieżnika.



Allison czekała na mnie pod swoim gabinetem. Miała na sobie czarny kostium z pomarańczową szarfą. Włosy spięła w kok.

Wsiadła do samochodu, zanim zdążyłem obejść go dookoła i otworzyć jej drzwi. W świetle górnej lampki zobaczyłem, że jej kostium jest w rzeczywistości ciemnozielony.

– Świetny kolor.

– Czarny szmaragd. Cieszę się, że ci się podoba, kupiłam go specjalnie na dziś wieczór. – Cmoknęła mnie w policzek. – Głodny? Ja umieram z głodu.

Sala restauracji Bel Air jest jedną z tych, które nawet pełne, są ciche i spokojne. Dla Allison kawa po irlandzku, dla mnie dzin z tonikiem. Darmowe miseczki zupy, potem sałatki, jagnię, sola, butelka pinot grigio.

Prawdziwy kelner, nie ładna buźka, dorabiająca sobie w przerwach między kolejnymi castingami. Poznałem go – był jednym z salwadorskich pomocników, który dzięki sumiennej pracy piął się w górę.

Tuż przed deserem podszedł do naszego stolika ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, panie doktorze, telefon do pana.

– Kto?

– Ktoś z pana skrytki pocztowej. Bardzo nalegają, żeby pan podszedł. Skorzystałem z aparatu w barze.

– Jestem June – powiedziała operatorka – przepraszam, że przeszkadzam, doktorze Delaware, ale ten człowiek ciągle wydzwaniania, twierdzi, że to ważne. Wydaje się mocno zdenerwowany, więc pomyślałam...

Telefon, który zignorowałem w samochodzie.

– Czy to detektyw Sturgis?

– Nie, pan Tim Plachette. Czy dobrze zrobiłam?

– Jasne – powiedziałem zdziwiony. – Proszę go przełączyć.

– Gdzie ona jest? – spytał Tim.

– Robin?

– A kto? – Mówił głośno, prawie krzyczał, a jego wspaniały głos stracił swoją jedwabistość.

– Nie mam pojęcia, Tim.

– Nie pieprz mi tu, Alex...

– Ostatnim razem widziałem się z nią, kiedy leciała do ciebie do San Francisco.

Chwila ciszy.

– Lepiej, żebyś mówił prawdę.

– Jestem na kolacji, Tim. Odkładam słuchawkę...

– Nie! – krzyknął. – Proszę.

Wzięłem głęboki oddech.

– Przepraszam – powiedział. – Założyłem... to było logiczne.

– Co?

– Że Robin jest z tobą. Wyleciała dzisiaj rano... pokłóciliśmy się. Pomyślałem, że uciekła do ciebie. Przepraszam... gdzie ona jest?

– Gdybym wiedział, Tim, powiedziałbym ci.

– Gdybyś mnie spytał, o co się pokłóciliśmy, nie umiałbym ci odpowiedzieć. Wszystko było dobrze i nagle... to moja wina, byłem za bardzo zajęty, nie poświęcałem jej dość uwagi, to cholerne przedstawienie...

– Na pewno dasz sobie radę, Tim.

– Ty nie dałeś.

Puściłem to mimo uszu.

– Przepraszam – powiedział. – Zachowuję się jak skończony dupek, naprawdę przepraszam. Ale ona była na mnie taka zła, pomyślałem, że wróciła, bo... prawda jest taka, Alex, że ona wciąż coś do ciebie czuje. Ciężko mi sobie z tym poradzić...

– Nie masz się o co martwić. Jestem właśnie na kolacji z inną kobietą. Spotykam się z nią już od dość dawna...

– Ta psycholog. Robin mi powiedziała. Mówi o tobie częściej, niż zdaje sobie z tego sprawę. Udaje, że jej nie zależy... Wytrzymam, jeśli to tylko kwestia czasu... Naprawdę ją kocham, Alex.

– To wspaniała kobieta.

– Tak, tak... cholera jasna, jeśli nie ma jej z tobą, to gdzie jest? Jej samolot wylądował o piątej, dałem jej półtorej godziny na powrót do domu, zadzwoniłem, nikt nie odebrał. Znowu zadzwoniłem, i jeszcze raz...

– Spróbuj sprawdzić u jej przyjaciółki Debby w San Diego.

– Dzwoniłem. Ona też nic nie wie.

– Pewnie Robin chce być sama – powiedziałem, czując, jak ściska mi się żołądek.

– Wiem, wiem... w porządku, będę dalej próbował. Słuchaj, Alex, dzięki. Przepraszam, że zrobiłem z siebie takiego idiotę. Nie powinienem był zakładać...

– Daj spokój, nie przejmuj się.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Wyglądasz, jakbyś sam właśnie zażegnał jakiś kryzys – stwierdziła Allison, kiedy wróciłem do stolika.

– Chyba tak.

– Opowiesz?

W głowie kłębiły mi się różne myśli. Wydawało mi się, że nie powinienem nic zatajać przed Allison, więc streściłem jej rozmowę z Timem.

– To miło z twojej strony, że go uspokoiłeś.

– Ojciec Teresa!

Allison nachyliła się do mnie i pokazała mi menu deserów.

– Zamów, na co masz ochotę – zachęciłem.

– Najadłeś się?

– Nie, po prostu nie jestem wybredny.

– Dobrze, w takim razie... z czekoladą czy bez?

– Wszystko jedno.

– Wiesz co – powiedziała – a ja się chyba najadłam.

– Nie, zamówmy.

Pokręciła głową.

– Zmieniłam zdanie, robi się późno.

– Wszystko zepsułem.

– Wcale nie, kochanie.

– Z czekoladą – powiedziałem.

Poklepała się po brzuchu.

– Naprawdę się najadłam, poproś o rachunek. A potem pojedziemy do Venice.

– Co?

– Martwisz się. Jestem pewna, że to nic takiego... może Robin nie chce odbierać jego telefonów. Ale sprawdzimy, żebyś się uspokoił.

Gapilem się na nią.

– Wszystko w porządku – powiedziała.

– Ale randka.

– Od jakiegoś czasu to już coś więcej niż randki.

Wyszliśmy z hotelu. Allison była dość bystra i spostrzegawcza, by zauważyć, że jestem zmartwiony, ale nie powiedziałem jej, jak bardzo. W głowie miałem mętlik, myśl goniła myśl.

China i Baby Boy – dwie ofiary, dla których Robin pracowała.

Włamanie – ukradzione tylko tandetne elektryki. I akustyk Baby Boya.

Shull uważał się za gitarzystę, instrumenty to idealne trofea.

A Robin zyskała właśnie pewien rozgłos – napisał o niej „Guitar Player”. To był specjalistyczny magazyn, ale Shull, samozwańczy muzyk i arbiter sztuki, na pewno go czytywał.

Popędziłem do Venice.

Allison włączyła radio, ściszyła je, udawała, że słucha muzyki. Zostawiła mnie moim myślom.

Przypomniałem sobie, co powiedział Shull, kiedy rozmawiałem z nim w jego gabinecie: „Pana nazwisko wydaje mi się znajome”.

Zaraz potem spytałem, czy zauważył jakąś zmianę w stylu pisania Kevina.

„Jaka?”

„Najpierw pisał prosto i bezpośrednio, potem jego teksty zrobiły się przeładowane i pretensjonalne”.

Nie miałem wtedy pojęcia, że zaatakowałem rozrośnięte ego samego Shulla. A on nie przyjmował dobrze krytyki.

Co wtedy zrobił... uśmiechnął się spokojnie.

„Au. Nie, wręcz przeciwnie. Kevin robił niewielkie postępy, lecz to akurat wychodziło mu coraz lepiej”.

A potem mnie zbył.

Patologicznie zawistny psychopata, a ja wymierzyłem mu policzek.

„Pana nazwisko wydaje mi się znajome”.

Od czasu do czasu pojawiałem się w gazetach. Nie na pierwszych stronach, byłem tylko pionkiem w różnych kryminalnych historiach. Niektórzy psychopaci je czytawali. Czy Shull też? Czy miał dość dobrą pamięć, żeby zapamiętać moje nazwisko?

A potem zrozumiałem: płyta Baby Boya. Shull na pewno ją miał – poznawał przecież swoją ofiarę.

Wyobraziłem go sobie, jak słucha i słucha nagrania. Czyta wszystko, co wydrukowano na wkładce. Pochłania szczegóły.

Milo, który przesłuchał płytę tylko raz, znalazł nazwisko Robin – i moje – w podziękowaniach. Shull po prostu musiał je zobaczyć.

Baby Boy dziękował „pięknej pani od gitar” za to, że dbała o jego instrumenty.

Dziękował „doktorowi Aleksowi Delaware za to, że uszczęśliwia panią od gitar”.

W piśmie było tyle zdjęć Robin, tyle pochwał.

Wschodząca gwiazda.

Powiedziałem to wszystko Allison.

– Bujna wyobraźnia?

– To paskudna sprawa, masz prawo. Zadzwońmy do niej, może jest w domu i wszystko się wyjaśni.

Zadzwoiłem z komórki. Nikt nie odebrał. Spróbowałem złapać Mila. Na posterunku go nie było, komórkę miał wyłączoną.

Przypomniałem sobie: pojechał do Porter Ranch wyjednać u sędziego podpisanie nakazu rewizji.

Zadzwoiłem na posterunek w Hollywood. Petry też nie było, a nie miałem numeru jej komórki.

– Dodaj trochę gazu – powiedziała Allison.

Ulica Robin była ciemna i cicha. Małe domki poszły spać w towarzystwie zaparkowanych przed nimi samochodów, w powietrzu czuć było słony zapach oceanu.

– Tam – powiedziałem. – Jej furgonetka stoi na podjeździe. Miałaś rację, nie odbiera telefonów. Pali się u niej światło, wszystko chyba w porządku.

– Jeśli chcesz sprawdzić, proszę bardzo – zachęciła mnie Allison.

– Co to jest, jakiś siostrzany spisek?

– Nie. Nie znam jej. Nie wiem nawet, czy ją lubię. To dla ciebie, kochanie. Jeśli masz dzisiaj w nocy nie spać, to chcę, żeby to było z mojego powodu.

– Zaczekasz?

– Jasne – zapewniła i uśmiechnęła się szeroko. – Albo wysiądę i zacznę paradować w mojej nowej kreacji.

Rozejrzałem się za miejscem do zaparkowania.

– Założę się, że jest piękna – powiedziała Allison.

– Wolałbym porozmawiać o tobie.

– Czyli jest piękna. Trudno.

– Allison...

– Dobrze, już dobrze. – Zaśmiała się. – Jest wolne miejsce, zaraz za tym cadillakiem.

Zacząłem coś mówić – do dziś dnia nie pamiętam co.

Przerwał mi krzyk.

Zostawiłem seville'a na środku drogi, blokując wyjazd cadillacowi. Wyskoczyłem i pogałem do domu Robin. Krzyki wciąż nie cichły.

Przy drzwiach były głośniejsze.

– Nie, nie... przestań! Kim jesteś, kim jesteś... przestań, przestań!

Uderzyłem barkiem w drzwi, ale były otwarte i straciłem równowagę. Podparłem się rękami, wyprostowałem, pobiegłem dalej.

W domu było ciemno, ale zobaczyłem trójkąt światła w holu po lewej.

Warsztat.

Krzyki... Wpadłem do środka, prawie potknąłem się o leżącego na podłodze mężczyznę, ubranego na czarno. Leżał twarzą w kałuży krwi.

Robin kulila się pod przeciwległą ścianą zasłaniając się rękoma.

Zobaczyła mnie. Pokazała w lewo.

Zza drzwi wypadł ubrany na czarno człowiek, ruszył na nią z nożem. Wielkim, kuchennym nożem. Nożem Robin. Poznałem go, sam kupiłem ten zestaw.

Robin krzyczała, on podchodził. Miał na twarzy kominiarkę, do tego czarną bluzę i nylonowe spodnie.

Na bluzie logo Benettona. Niesamowite, jakie rzeczy zauważa się w takich sytuacjach.

Coś w oczach Robin sprawiło, że się odwrócił. Decyzja zajęła mu pół sekundy, rzucił się na mnie.

Odskoczyłem do tyłu. Robin podbiegła do stołu, złapała coś w obie dłonie i rzuciła się na napastnika. Z dżutem. Chybiła, wypuściła je z rąk, potoczyło się daleko po podłodze.

Mężczyzna obejrzał się na moment – nie zdążyłem zyskać przewagi. Znow mnie namierzył. Bawił się nożem. Musiałem uskakiwać przed jego krótkimi cięciami. Robin znow coś złapała.

Rozejrzałem się za jakąś bronią. Byłem za daleko od stołu. Kilka metrów ode mnie na stojakach stało kilka rozbebeszonych gitar... Robin znow wrzasnęła, mężczyzna mimowolnie się obejrzał. Zobaczył w jej rękach młotek, przyskoczył do niej, potem znow do mnie. Do niej. Do mnie. Do niej.

Sto pierwsza zasada drapieznika: najpierw małe cele.

Skoczył na Robin, całym pędem, celując w nią nożem.

Robin rzuciła w niego młotkiem, chybiła, upadła i wturlała się pod stół. Napastnik schylił się, wyciągnął rękę, złapał ją, ciął nożem, chybił, puścił.

Robin wczołgała się głębiej.

Chwyciłem go za ramię. Próbował się wyrwać, nie mógł, więc odwrócił się i przyciągnął mnie do siebie.

Twarzą w twarz.

Uścisk.

Wyrwałem się, złapałem jedną z gitar, taniego meksykańskiego strata. Solidny, jesionowy korpus. Zamachnąłem się i trafiłem napastnika prosto w twarz.

Ugięły się pod nim nogi i upadł na plecy. Nóż wyleciał mu z ręki, prosto na mnie. Uchyliłem się. Spadł na podłogę i potoczył się pod ścianę.

Mężczyzna leżał bez ruchu, z jedną nogą podwiniętą pod siebie.

W otworach maski widać było białka jego oczu. Oddychał równo i szybko.

Ściągnąłem maskę, czując, jak materiał zaczepia się o zarost. Twarz Gordona Shulla wyglądała, jakby pocałował kosiarkę do trawy.

– Kto to? – usłyszałem za sobą cichy głosik.

Robin dygotała i szczekała zębami. Chciałem ją przytulić, ale nie mogłem – Shull zaczął się ruszać i jęczeć.

Rozejrzałem się za nożem, znalazłem go. Purpura na ostrzu przypomniała mi o rannym mężczyźnie, którego przeskoczyłem, biegnąc na pomoc Robin.

Kevin Drummond? Działali w zespole?

Jak Robin go załatwiła?

Nie oddychał. Kałuża krwi rozlała się szerzej.

– O Boże, musimy mu pomóc! – krzyknęła Robin. A to dopiero!

– Dzwon na policję – zawołałem.

Wybiegła, a ja zacząłem badać Drummonda. Ciemne włosy, odkryte. Na szyi słaby puls.

Ostrożnie go odwróciłem.

To nie był Drummond. To był Erie Stahl.



Krew pod nim zgęstniała, ścięła się. Jego skóra zaczęła nabierać szarzielonego zabarwienia. Ściągnąłem marynarkę i podłożyłem ją ostrożnie pod ranę. Nie widziałem, żeby oddychał, ale wciąż wyczuwałem tętno.

– Trzymaj się, Erie, świetnie ci idzie – dopingowałem go, bo nigdy nie wiadomo, co taki ktoś słyszy.

Parę metrów dalej Shull znów się poruszył. Jego podwinięta noga zadrżała. Poderwałem się w chwili, kiedy w drzwiach stanęła Allison.

– Tamten to przestępca, ten tutaj to gliniarz. Robin dzwoni na policję, zobacz, czy wszystko z nią w porządku.

– Właśnie z nimi rozmawia, świetnie sobie radzi. – Allison weszła ostrożnie do warsztatu. Ominęła kałużę krwi.

W dłoni trzymała swojego małego, chromowanego przyjaciela. Jej niebieskie oczy patrzyły spokojnie i chłodno.

Nie bała się. Była zła.

Shull jęknął i poruszył prawą ręką. Otworzył oczy. Allison błyskawicznie znalazła się obok niego.

Próbował ją uderzyć, ale nie mógł zacisnąć pięści. Allison mogła. Trafiła go w ramię, mocno, przystawiła mu lufę do skroni.

– Masz być cicho albo cię zastrzelę – powiedziała spokojnym głosem terapeuty.

Petra krążyła bezradnie po szpitalnej sali dla gości. Nie pozwolono jej siedzieć przy Ericu, mogła jedynie obserwować go przez szklaną ścianę.

Ostatni raz rozmawiała godzinę temu z chirurgiem LaVigne, przystojnym mężczyzną wyjętym żywcem z telewizyjnego serialu.

– Powinien z tego wyjść.

– Powinien?

– W tej chwili jego życiu nic nie zagraża, ale przy ranach brzucha nigdy nic nie wiadomo. Najważniejsze to nie dopuścić do zakażenia. No i utrata krwi. Prawie całą musieliśmy wymienić. Był w szoku, nieprzytomny, znów może zapaść w śpiączkę.

– Dzięki – powiedziała Petra.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że LaVigne zmarszczył czoło.

– Jestem tylko szczery.

– Zawsze trzeba być szczerym.

Odwróciła się do niego plecami.

Wkrótce przyjechali Milo i Rick. Rickowi, jako doktorowi, pozwolono przeczytać kartę Stahla. Rozmawiał potem z jego lekarzami – za zamkniętymi drzwiami.

Wyszedł, doktor w każdym calu.

– Nic nie obiecuję, ale instynkt mi mówi, że Erie da radę.

– Świetnie – mruknęła Petra, zmęczona, słaba, bezużyteczna, winna, myśląc: miejmy nadzieję, że ten twój instynkt jest coś wart.

Kiedy wyszła do poczekalni, siedziała w niej jedynie trzydziestoparoletnia blondynka. Czytała „Elle” w kącie sali. Obcisły, czarny golf, równie obcisłe białe dzinsy, sandały na wysokim obcasie, różowe paznokcie u stóp. Miała wszystko, o czym marzy kobieta: wspaniałe włosy, wspaniałe piersi, twarz – kiedyś nieskazitelnie piękną teraz tylko wspaniałą.

Popatrzyły na siebie.

– Przepraszam – powiedziała, kiedy Petra usiadła – czy pani jest... z policji?

– Tak, proszę pani.

Kobieta wstała i podeszła do niej. Petra rozpoznała jej perfumy. Bal a Versailles. Intensywne. Paznokcie u dłoni również różowe, o jaśniejszym, opalizującym odcieniu. Blondynka bez przerwy wykręcała palce.

– Mogę pani w czymś pomóc?

– Jestem... znam Eri... detektywa Stahla. Zadzwonili do mnie ze szpitala, bo miał mój numer telefonu na kartce w kieszeni i...

Umilkła.

Petra wstała i wyciągnęła rękę.

– Petra Connor.

– Kathy Magary. Co z nim?

– Wychodzi z tego, Kathy.

Magary odetchnęła z ulgą, miętowo.

– Dzięki Bogu.

– Jesteś jego przyjaciółką?

– Bardziej znajomą. – Magary się zaczerwieniła. – Raz się spotkaliśmy. Dlatego miał mój numer. No, wiesz.

Stahl, ty Don Juanie. Obyś przeżył i dalej mógł mnie zaskakiwać.

– Jasne.

– Znaczący, nie wiedziałam, czy powinnam przyjeżdżać. Ale zadzwonili do mnie. Poczułam się... zobowiązana?

– Erie potrzebuje przyjaciół – powiedziała Petra.

Kathy wyglądała na zmieszaną. W tych okolicznościach było to całkowicie zrozumiałe.

– Mam nadzieję, że wydobrzeje. To miły facet.

– Miły.

– Co... się dokładnie stało?

– Erie brał udział w akcji – wyjaśniła Petra. – W aresztowaniu podejrzanego. Został dźgnięty

nożem w brzuch.

Magary zasłoniła dłonią swoje doskonałe usta.

– O Boże! Powiedzieli mi tylko, że jest ranny. A kiedy tu przyjechałam, nie pozwolili mi tam wejść. – Wskazała drzwi do sali pooperacyjnej. – Tobie pewnie pozwolili, bo jesteś z policji.

– Jestem jego partnerem.

– Och. – Oczy Magary zawilgotniały. – Tak bardzo mi przykro.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Petra z udawaną pewnością siebie.

Magary odprężyła się i uśmiechnęła.

– To świetnie!

Może wybrałam zły zawód, pomyślała Petra. Zawsze jeszcze jest telemarketing.

– Chyba już pójde – powiedziała Kathy. – Myślisz, że mogę przyjść jutro? Może będzie się czuł lepiej i będę mogła do niego wejść?

– Oczywiście, że możesz, Kathy. Nawet powinnaś. Ericowi jest potrzebne każde wsparcie.

Coś w jej głosie sprawiło, że entuzjazm Magary trochę przygasł.

– Cały czas jest z nim źle, prawda? Chociaż się wyliże.

– Został poważnie ranny. Ale jest pod bardzo dobrą opieką.

– To wspaniale – ucieszyła się Magary. – Jedyne lekarz, jakiego znam, to mój ortopeda. Jestem tancerką.

– Aha.

– No, już pójde. Przyjde znów jutro. Jeśli Erie się obudzi, powiedz mu, że byłam. – Pocałowała koniuszki palców i machnęła nimi w stronę drzwi do sali pooperacyjnej. Uśmiechnęła się do Petry i wyszła.

Niedługo potem Petra zauważyła wysiadającego z windy doktora LaVigne, rozmawiał z dwójkiem siwowłosych ludzi. Cała trójka zatrzymała się na tyle daleko, że Petra nie słyszała, o czym rozmawiają.

Mężczyzna miał sześćdziesiąt kilka lat, był niski, szczupły, ubrany w brązową, sportową marynarkę, białą koszulę pod beżowym swetrem i zaprasowane w kant beżowe spodnie. Do tego siwe, po wojskowemu ostrzyżone włosy, okulary w drucianych oprawkach. Kobieta była drobniutka

– może z metr pięćdziesiąt, szczupła. Miała na sobie niebieski sweter i szare spodnie.

LaVigne powiedział coś, na co oboje zareagowali skinieniem głowy. Poszli za nim, minęli Petrę i weszli do sali pooperacyjnej. LaVigne wyszedł stamtąd pół godziny później. Spieszył się i zignorował Petrę. Kwadrans po nim wyszła siwowłosa para.

Petra siedziała na ohydny, pomarańczowym krześle, które skrzypiało przy każdym jej ruchu. Próbowła odpędzić złe myśli, czytając jakieś pismo. Równie dobrze mogłoby być w suahili.

– Detektyw Connor? – zapytała kobieta.

Petra wstała.

– Jesteśmy rodzicami Erica. To wielebny Stahl, ja jestem Mary.

– Bob – powiedział jej mąż.

Petra ścisnęła dłoń Mary Stahl obiema rękami.

– Tak mi przykro, proszę pani.

– Mówią że wyjdzie z tego.

– Będziemy się modlić – zapewnił wielebny Bob Stahl.

– Oczywiście.

– Jak to się stało? – spytała Mary Stahl. – Jeśli pani wie.

– Wiem tylko tyle – odparła Petra – że państwa syn jest bohaterem.

Pomyślała jednak: nie musiało do tego dojść.

Stahl przestał się zgłaszać na godzinę przed konfrontacją z Shullem. Próbowła wywołać go dwa razy na taktycznej, ale nie odpowiadał. Co znaczyło, że ignorował jej wezwania odbioru. Albo wyłączył radio.

Dlaczego?

Siedziała z Bobem i Mary Stahlami ponad godzinę, zanim odpowiedź zaczęła nabierać kształtu.

Dowiedziała się, że mieszkają w Camarillo, gdzie Erie się wychował, niedaleko plaży. Dobrze się uczył, grał w baseball i na trąbce, uwielbiał hamburgery. W weekendy surfował – Petra pomyślała, że jej początkowe wyobrażenia nie były aż tak błędne. Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. Nie było to trudne, kiedy pomyślała o Ericu leżącym na sali pooperacyjnej z brzuchem zszytym od pępka po mostek. Nóż Shulla zmasakrował jego wnętrzności, przeszedł o milimetry od przepony...

– Erie zawsze był dobrym chłopcem – powiedziała Mary Stahl. – Nigdy nie sprawiał kłopotów.

– Nigdy – zgodził się Bob. – Był prawie za dobry, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Petra zachęciła ich uśmiechem.

– Nie powiedziałabym tak, kochanie – zaprotestowała Mary.

– Masz rację. Ale wiesz, o co mi chodzi. – Do Petry: – Syndrom kaznodziejskich dzieci. Nie jest im łatwo: muszą podtrzymywać ten wizerunek, albo tak im się wydaje. Nigdy nie wywieraliśmy żadnej presji na Erica. Jesteśmy prezbiterianami.

Jakby to wszystko wyjaśniało. Petra skinęła głową.

– Mimo to niektóre dzieci czują presję. Tak było z moim drugim synem – wyznał wielebny Bob. – Teraz jest prawnikiem.

– Steve mieszka na Long Island – dodała Mary Stahl. – Pracuje w dużej firmie na Manhattanie. Jutro przylatuje. On i Erie często razem surfowali.

– Erie wydawał się nie odczuwać żadnej presji – ciągnął jej mąż. – Był naprawdę wyluzowany. Żartowałem często, że powinien się czasem czymś zdenerwować, bo krew przestanie w nim krążyć.

Mary zalała się łzami. Petra siedziała i czekała, aż wielebny Bob pocieszy żonę.

– Przepraszam – szepnęła pani Stahl, kiedy nad sobą zapanowała.

– Nie masz za co, kochanie.

– Muszę być silna, dla Erica. Nie chcę robić scen.

Petra się uśmiechnęła. Tylko do tego była zdolna. Miała nadzieję, że chociaż ten uśmiech wygląda autentycznie, bo ona sama była sztywna.

Mary Stahl odpowiedziała uśmiechem. Jeszcze chwilę popłakała.

– Kilka lat temu – wyznała – życie Erica się zmieniło.

– Mary – obruszył się Bob.

– Ona jest jego partnerem, kochanie. Powinna wiedzieć. Oczy Boba za grubymi szklami okularów błysnęły.

– Tak, masz rację.

Mary westchnęła, przygładziła włosy. Usiadła wygodniej, znów zeszywniała.

– Erie miał rodzinę, pani detektyw. Kiedy był w wojsku, w Siłach Specjalnych. Żonę i dwoje

dzieci. Heather, Danny'ego i Dawn. Danny miał pięć lat, a Dawn dwa i pół. Wszyscy mieszkali w Rijadzie. W Arabii Saudyjskiej. Erie miał przydział do amerykańskiej ambasady, nigdy nie powiedział nam, co tam robił... tak to już jest w Siłach Specjalnych, nie wolno mówić, co się robi.

– Oczywiście, że nie.

– Zabili jego najbliższych. Jeden z kuzynów rodziny królewskiej w szybkim samochodzie, ferrari. Heather spacerowała z dziećmi w wózku na głównej ulicy, niedaleko dużego centrum handlowego. Ten człowiek jechał za szybko, wpadł na nich i wszyscy zginęli.

– Mój Boże – powiedziała Petra.

– Nasze wnuki.

– Jakby tego było mało – dodał wielebny Bob – Erie nie mógł się pogodzić z tym, jak potraktował go rząd, nasz rząd. Morderca nie został ukarany. Saudyjczycy twierdzili, że Heather przechodziła przez ulicę w niedozwolonym miejscu, że to była jej wina. Zaproponowali Ericowi pieniądze, sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Pięćdziesiąt tysięcy za każde życie – podkreśliła Mary.

– Erie zwrócił się do armii i ambasady o wsparcie. Chciał procesu. W odpowiedzi otrzymał propozycję, żeby wziął pieniądze. W interesie narodowym.

– Zrezygnował – dokończyła Mary. – Od tamtej pory się zmienił.

– Potrafię to zrozumieć – szepnęła Petra.

– Żałuję, że z nikim o tym nie rozmawiał – powiedziała Mary. – Ze mną, ze swoim ojcem, z kimkolwiek. Przedtem potrafił mówić bez przerwy. Nasza rodzina była otwarta. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Pokręciła głową.

– Tak było, kochanie – zapewnił Bob. – Na coś takiego nie można się przygotować.

– Od dawna pani z nim pracuje? – spytała Mary.

– Od kilku miesięcy.

– Pewnie nie mówi za wiele, prawda?

– Nie, nie mówi. – Petrze nagle coś się przypomniało: cierpienie w oczach Erica po rozmowie z Randolphem Drummondem. Erie od razu nabrał do niego niechęci. Do pijaka, który zabił swoją rodzinę.

– A teraz to – zająknęła się Mary. – Nie wiem, jaki z tego wyjdzie.

– Wyzdrowieje – pocieszył ją Bob. – Kto wie, może nawet teraz się bardziej otworzy.

– Może – odparła Mary z powątpiewaniem.

– Teraz najważniejsze, żeby wrócił do zdrowia, kochanie.

– Jest w takiej depresji – powiedziała Mary. – Musimy coś zrobić. – Do Petry: – Jest pani matką?

– Nie, proszę pani.

– Może któregoś dnia pani zrozumie.

Petra siedziała ze Stahlami jeszcze trzy godziny. Dzień się skończył, rodzice wyszli wykonać kilka osobistych telefonów. Petra weszła do sali pooperacyjnej.

– Już z nim dużo lepiej, pani detektyw – poinformowała pielęgniarka. – Zdumiewająco lepiej. Tętno i ciśnienie dobre, temperatura właśnie lekko się podniosła. Musiał być w świetnej formie.

– Aha.

– Policjanci – powiedziała pielęgniarka. – Kochamy was. Nienawidzimy, kiedy tak się dzieje.

– Dzięki. Mogę tam wejść?

Pielęgniarka zerknęła za szybę.

– Jasne, ale proszę włożyć fartuch. Pokażę pani, jak umyć ręce. Ubrana w żółty, papierowy fartuch Petra podeszła do łóżka Erica. Był przykryty po szyję, podłączony do licznych kroplówek, cewników i różnych tajemniczych urządzeń.

Miał zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. W nosie rurki podające tlen.

Był taki delikatny. Młody.

Rana brzucha była zakryta i wyglądał na zdrowego. Gdyby nie te wszystkie urządzenia, można by pomyśleć, że spokojnie śpi.

Petra położyła dłoń w rękawiczce na jego palcach.

Nabrał kolorów. Wciąż był blady – zawsze był blady – ale już bez tego szarzielonego odcienia.

– Ale miałeś przygodę – szepnęła.

Erie oddychał równo i spokojnie. Przyrządy wskazywały, że ciśnienie i tętno ma w normie. Nie zareagował na jej głos. Nie słyszał jej. I dobrze.

Całkiem przystojny facet, jak już człowiek pogodził się z jego osobowością.



Uważała go za dziwaka, teraz wiedziała, że był jeszcze jedną ofiarą.

Życie jest jak pryzmat – to, co widzimy, zależy od tego, jak obrócimy szkiełko.

Jego matka powiedziała, że Erie ma depresję. Czasami ludzie w depresji atakują policjantów, chcąc ze sobą skończyć, nie mają odwagi zrobić tego samemu i oczekują, że wymuszą własną śmierć.

Nazywa się to: samobójstwo policjantem.

Czy Erie zdecydował się na samobójstwo przestępcą?

Taki doświadczony facet, po szkoleniu w Siłach Specjalnych, jakim cudem dał się załatwić takiemu amatorowi jak Shull?

Intrygujące.

Petra znów popatrzyła na niego.

Naprawdę, całkiem przystojny. Spróbowała wyobrazić go sobie młodszego, opalonego i wyluzowanego, ujeżdżającego fale.

– Erie – powiedziała – wyjdiesz z tego.

Brak odpowiedzi. Zupełnie jak wtedy, kiedy razem jeździli. Petra pogłaskała jego dłoń, czując ciepło przez lateksowe rękawiczki.

– Na pewno z tego wyjdiesz, detektywie Stahl. A wtedy sobie porozmawiamy.

Allison i ja leżeliśmy nago w łóżku. Lewą ręką obejmowałem ją za szyję, ona lekko drapała mnie po ramieniu.

Oddechnęła przeciągle, uwolniła się z moich objęć i wsunęła pod prześcieradło. Zgarnęła włosy i zawiązała je w luźny węzeł na czubku głowy.

– Jak Robin?

– Lepiej.

– To dobrze. Możesz mi podać wodę?

– Jasne.

– Dziękuję.

Jeszcze przed chwilą byliśmy zatraceni w sobie, a teraz prowadziliśmy kulturalną rozmowę.

– Myślisz o Robin? – spytałem.

– To nie tak, że nie daje mi spokoju. Współczuję jej. – Napila się wody i ostrożnie odstawiła szklankę. – Kochanie, w końcu będziesz musiał jakoś sobie z tym poradzić.

– Z czym?

– Z tym, że ją uratowałeś. Z tym, co to dla niej znaczy.

– Jest z nią Tim. Nie jest sama.

Podjechałem pod dom w Venice dwa dni temu. Tima spotkałem w drzwiach. Chciał coś powiedzieć, ale słowa utknęły mu w gardle – wokalny mistrz oniemiał. Złapał mnie za rękę, potrząsał nią mocno i wyszedł. Zostawił Robin i mnie samych w salonie. To było dziwne uczucie, widzieć ją, jak tam po prostu siedzi. Odkąd ją znałem, nie umiała nic nie robić.

Pozwoliła się uścisnąć, podziękowała mi, powiedziała, że u niej wszystko dobrze.

Powiedziałem, że faktycznie wygląda świetnie.

Oboje jakoś przebrnęliśmy przez ten moment. Zostałem chwilę, potem wyszedłem.

– Nie mówię o wsparciu, kochanie – powiedziała Allison.

– Ja to widzę inaczej: to nie ją uratowałem – odparłem. – Bohaterem jest Tim, to od jego telefonu wszystko się zaczęło. Nawet nie odebrałem za pierwszym razem, kiedy do mnie dzwonił. A gdyby

nie ty, nie pojechałbym do Robin sprawdzić, co się stało.

– Gdyby nie ja, pojechałbyś wcześniej. – Uśmiechnęła się.

– Co?

– Wysilek zbiorowy. Tak to widzisz.

Podparłem się na łokciu.

– Czy to najlepsza pora na taką rozmowę?

– A kiedy będzie lepsza?

– Chciałem, żeby dzisiejszy wieczór był trochę bardziej romantyczny.

– Dla mnie szczerłość jest romantyczna – powiedziała Allison. – Przynajmniej trochę. – Przysunęła się do mnie, ujęła moją twarz w dłonie, pocałowała mnie w usta.

– Nie będę się spierał. Masz w końcu broń.

Znów się uśmiechnęła. Położyła na plecach.

Potem uniosła na łokciach i pocałowała mnie zupełnie inaczej.

Jak ktoś napisze moją biografię, to będzie w niej niemało ironii – powiedział Milo, kończąc kanapkę. – Dostaję nakaz, czuję się jak as, a całe przedstawienie odbywa się beze mnie.

– Mama Shulla wynajęła dobrego prawnika. To jeszcze nie koniec – pocieszyłem go.

– To prawda – zgodził się Milo, wycierając usta. Jego kanapka była improwizacją na temat indyka, steku, zimnych pulpetów i wszystkich jarzyn, jakie znalazł u mnie w lodówce, wciśniętych między dwie kromki chleba. Konstrukcja była tak wielka, że na jego miejscu wystąpiłbym najpierw o pozwolenie na budowę. – Mimo to przyznaję, że jestem pełen optymizmu.

– Niesłychane.

– Widzisz, Alex, jednak jestem otwarty na zmiany.

– Jesteś, jesteś.. .

Złożył serwetkę.

– Nie mogę przeboleć, że mnie to ominęło. Nie ma to, jak złapać kogoś na gorącym uczynku. Mogę wyliczyć na palcach jednej ręki, ile razy mi się to udało w ciągu dwudziestu lat.

Tym gorącym uczynkiem była Robin. Nic nie powiedziałem.

– Stahl dochodzi do siebie – ciągnął Milo. – Rick twierdzi, że na pewno się wyliże. Facet ma szczęście. I jest głupi. Poszedł na Shulla sam, nie wezwał wsparcia. Petra mówi, że tłumaczy się, że wszystko wydarzyło się zbyt szybko.

– Dzięki Bogu, że tam był i na chwilę powstrzymał Shulla.

– Dzięki Bogu, że ty tam byłeś.

– To zasługa Allison.

Pomyślałem: Robin ma dług wdzięczności u Tima i Allison. Pomyślałem: Życie bywa skomplikowane.

– Co u Robin?

– W porządku.

Milo zaczął się bawić serwetką.

– Pojechałem do niej zaraz po tym. Była jak sparaliżowana. Wstałem i nalałem sobie kawy.

– W każdym razie – ciągnął Milo – dzisiaj rano Stahl porozmawiał trochę dłużej z Petrą. Nie wspomniał ani słowem o sobie, a ona nie chciała go męczyć. Powiedział za to, że Shull, zanim pojechał do Robin, był w opuszczonej okolicy w Inglewood, niedaleko miejsca, w którym znaleźliśmy samochód Kevina. Pojechaliśmy tam, wypuściliśmy psy, a one oszalały. Kilka godzin temu wykopaliśmy jakieś kości. Technicy jadą właśnie do Encino, żeby zdobyć dane dentystyczne Kevina.

– Smutne – powiedziałem.

– No. – Znów zajął się kanapką. Odetchnął. – Przeczesał dom Shulla. Strasznie wielki jak na jednego gościa. Wszędzie stare, drogie meble, które dostał od mamy. Ale mieszkał jak świnia, o nic nie dbał. Miał zdalnie sterowany aparat, robił sobie zdjęcia i wszędzie je rozwieszał. Na fotkach dobrze ubrany, upozowany jak model Ralphi Laurena, a na podłodze spleśniałe resztki jedzenia i karaluchy. Znaleźliśmy sporo dobrych rzeczy w piwnicy z winami. Shull miał niezłą kolekcję starych roczników, sądząc po pustych butelkach często ich kosztował. Razem z proszkiem szczęścia, w dużych ilościach. – Milo postukał się w nos. – Pigułki też. Farmaceutyki, niektóre jeszcze ze szpitalnymi naklejkami, więc miałeś co do tego rację. Znał okolicę, z której zabrał Ernę, bo kupował tam na lewo leki.

– Jaką rolę odegrała w tym wszystkim Erna? – spytałem.

– Myślałem, że ty mi to powiesz.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle się tego kiedyś dowiemy. Wydaje mi się, że dla Shulla była przydatną kuzynką wariatką. Wykorzystywał jej nieźrównowagę, jej miłość do malarstwa. Wiemy, że przywłaszczył sobie jej nazwisko, podpisywał nim swoje artykuły. Dzięki temu trudno byłoby go namierzyć, gdyby ktoś powiązał je z ofiarami. Uznał chyba, że Erna jest nieszkodliwa i niczym mu nie zagrazi, jeśli ktoś skojarzy ją z jego podpisami. Potem jednak zmienił zdanie i ją zabił.

– Myślę, że wykorzystywał ją również do odwracania uwagi. Wysłał ją do galerii, do innych miejsc pewnie też. Zakładał, że ludzie ją zauważą, skupią się na niej, a wtedy on będzie mógł szybko się rozejrzeć. I tak było. Tyle że w końcu jego plan zadziałał przeciw niemu, bo dotarliśmy do niego, właśnie prowadząc dochodzenie w sprawie śmierci Erny. – Milo rozłożył serwetkę, rozprostował ją i odsunął na bok. – Pewnie masz rację. Robił Ernie wodę z mózgu. Dla zabawy. Tak jak z Kevinem Drummondem. Udawał, że się nim opiekuje, pomagał finansować „GrooveRat”, podtrzymując wydawnicze złudzenia Kevina. Sam za to miał gdzie drukować swoje badziewne artykułiki. Czy to ma sens?

– No pewnie – odparłem. – Ale znów przedobrzył. Każąc Kevinowi zadzwonić do Petry i spytać o szczegóły morderstwa Baby Boya. Pewnie powiedział mu, że to będzie świetny materiał na pośmiertne podsumowanie jego kariery. Chyba że Kevin był zamieszany w morderstwa i zadzwonił też dla własnej przyjemności.

– Jak dotąd nie mamy nawet cienia poszlaki, że Kevin był kimś więcej niż biednym frajerem. Dopóki czegoś nie znajdziemy, pozostanie ofiarą, niech jego rodzice mają chociaż odrobinę pociechy. – Wstał, zaczął chodzić po kuchni. – Shull uważał się za kogoś wielkiego, ale to tylko

żałosny maniak. Zanim zaatakował Robin, całymi godzinami jeździł po mieście. Był w Jamie Węży, pod domem Szabo i Loha, w Marinie, gdzie porzucił Mehrabiana. Podniecał się wspomnieniami. Jedno tylko mnie zastanawia. Zmienił technikę. Aż do Robin zabijał po cichu. Udawał przyjaznego, podchodził, wsadzał nóż w brzuch. Robił to w publicznych miejscach, ryzykował. W przypadku Robin to wygląda tak, jakby cofnął się w rozwoju. Ciche włamanie, maska, błyskawiczny atak. Przypuszczalnie tak zabił Angelique Bernet. Dlaczego?

– Może wolał zabijać po cichu – powiedziałem. – Subtelność i teatralność mogły pasować do jego wyczucia dramatyizmu. Pewnie postanowił być ostrożny, bo wypytywałem o Kevina. Nie czuł się tak bardzo zagrożony, żeby przestać, ale wiedział, że jesteśmy coraz bliżej.

– Pewnie masz rację – przytaknął Milo. – Mimo to nie przestał być bezczelny. Jeździł po całym mieście i nie przyszło mu do głowy sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

– W końcu okazał się amatorem.

Milo przeciągnął się, pochodził jeszcze chwilę, wreszcie usiadł. Patrzył na mnie, jakby mnie nie widział. W kącikach oczu miał zaschniętą skorupę, był niedokładnie ogolony.

Tyle dni bez snu.

– Co znaleźliście w jego piwnicy? – spytałem.

– Gitary Baby Boya, siedem opakowań niskich strun E, czarny płaszcz, niedawno chemicznie prany, pudełko chirurgicznych rękawiczek i wycinki prasowe na temat ofiar. Wszystko to razem w jednym pudle. Wycinał recenzje, wywiady, choćby ten, którego Robin udzieliła magazynowi dla gitarzystów, i wzmianki o morderstwach. – Zaciśnął zęby. – Teraz zła wiadomość, Alex. Oprócz Baby Boya, Julie, Wasilija, Chiny, tej Bernet i Mehrabiana było jeszcze czworo innych. Wszystkich zabił w ciągu ostatnich pięciu lat, czyli w okresie, który badaliśmy. Garncarz w Albuquerque, następny tancerz, tym razem mężczyzna, zabity w San Francisco i wrzucony do zatoki, artysta szklarz z Minneapolis i Wilfred Reedy, ten stary jazzman zabity cztery i pół roku temu na Main Street. Wszyscy myśleli, że chodziło o narkotyki, bo, jak ci mówiłem, dzieciak Reedy’ego brał, a na Main Street potrafi być nieprzyjemnie, ale wygląda na to, że to był debiut Shulla.

– Miał wszystkie płyty Reedy’ego?

Milo popatrzył na mnie.

– Aha. Teraz poszerzamy krąg poszukiwań, chodzi o zjazdy, w których Shull mógł uczestniczyć.

Próbowałem poczuć ulgę, że jest już po wszystkim. Próbowałem wymazać z pamięci obrazy tych wszystkich trupów.

– Miałeś rację co do jeszcze jednej rzeczy, Alex. Shull nie polował na pisarzy, bo sam uważał się za aktywnego pisarza. Na pudle z wycinkami leżała koperta z napisem „WAP”. Chwilę trwało, zanim to rozgryzłem. Wielka Amerykańska Powieść. W środku była strona tytułowa. Skserowałem ją dla ciebie.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę papieru, rozłożył ją i rozpostarł na stole.

Była pusta, znajdowały się na niej tylko trzy napisane na maszynie linijki tekstu, na samym środku.

***ARTYSTA***

*Powieść*

*Gordona A. Shulla*

– Tylko tyle? – spytałem. – Sam tytuł?

– Tylko tyle napisał. Dosłownie. Pewnie opuściła go wena.